MARGARET ATWOOD

PANI WYROCZNIA

WIELKA LITERA

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

MARGARET ATWOOD

PANI WYROCZNIA

Z angielskiego przełożyła
Zofia Uhrynowska-Hanasz

WIELKA LITERA

CZĘŚĆ
PIERWSZA

1

Śmierć zaplanowałam sobie starannie, w przeciwieństwie do życia, które meandrowało od przypadku do przypadku mimo słabych wysiłków z mojej strony, żeby nad nim zapanować. Moje życie jak gdyby się rozmazywało, pełne zawijasów i festonów niczym rama barokowego lustra, co wynikało z tego, że szłam po linii najmniejszego oporu. Chciałam więc, żeby dla kontrastu moja śmierć była schludna i skromna, powściągliwa, może nawet trochę surowa – jak kościół kwakrów czy prosta czarna suknia z pojedynczym sznurem pereł, tak lansowana przez żurnale, kiedy miałam piętnaście lat. Żadnych fanfar, żadnych głośników, ozdóbek, tym razem żadnego niechlujstwa. Dowcip polegał na tym, żeby zniknąć bez śladu, pozostawiając za sobą jedynie cień trupa – cień, który każdy wziąłby za rzeczywistość. Początkowo myślałam, że mi się to udało.

Nazajutrz po przyjeździe do Terremoto siedziałam na balkonie. Zamierzałam się opalać; oczyma duszy widziałam, jak na podobieństwo śródziemnomorskiego złocistobrązowego bóstwa wchodzę roześmiana do morza, wreszcie beztroska, wolna od

przeszłości. Nagle przypomniałam sobie, że nie mam olejku do opalania („chroni skórę i zabezpiecza”; bez tego spiekę się na raka i wyskoczą mi piegi), przykryłam więc ramiona i uda kilkoma skąpymi ręcznikami gospodarza. Nie wzięłam ze sobą kostiumu kąpielowego; stanik i majtki wystarczą, pomyślałam, skoro balkon jest niewidoczny od ulicy.

Zawsze lubiłam balkony. Czułam, że gdybym tylko postała na jakimś dostatecznie długo, na tym właściwym oczywiście, w powłóczystej białej szacie z trenem, najlepiej podczas pierwszej kwadry Księżyca, to coś musiałoby się zdarzyć: odezwałaby się muzyka, w dole pojawiłaby się jakaś postać, gibka i ciemna, która zaczęłaby się ku mnie piąć, podczas gdy ja, przytulona płochliwie, z nadzieją i wdziękiem, do kutej poręczy, czekałabym z drżeniem. Ale ten balkon nie był szczególnie romantyczny. Miał poręcz o geometrycznych kształtach, jak w budynkach średnio zamożnych ludzi z lat pięćdziesiątych, i betonową podłogę, już tu i ówdzie wyszczerbioną. Nie był to balkon, pod którym mógłby stać mężczyzna i tęsknie grać na lutni czy wspinać się po nim z różą w zębach albo sztyletem w rękawie. Poza tym znajdował się na wysokości zaledwie półtora metra nad ziemią. Tajemniczy gość, jakiego ewentualnie mogłabym się spodziewać, zbliżałby się raczej prymitywną ścieżką od strony ulicy – żwir chrzęściłby mu pod butami, a różę czy nóż skrywałby jedynie w wyobraźni.

To by było przynajmniej w stylu Artura, pomyślałam, on by już prędzej chrzęścił, niż się wspinał. Gdybyśmy tylko mogli wrócić do tego, co było dawniej, zanim tak się zmienił... Wyobrażałam sobie, jak próbuje mnie odzyskać, jak wjeżdża krętą drogą na wzgórze wynajętym fiatem, który miałby jakiś defekt; powiedziałby mi

o tym defekcie później, kiedy już padlibyśmy sobie w ramiona. Zaparkowałby jak najbliżej muru. Zanim by wysiadł, przejrzałby się jeszcze w lusterku wstecznym, dostosowując do sytuacji wyraz twarzy: nie lubił robić z siebie idioty, a nie byłby pewien, czy nie zrobi. Wygramoliłby się z wozu, zamknął go tak, żeby nikt nie ukradł jego skąpego bagażu, schował kluczyki do wewnętrznej kieszeni marynarki, spojrzał w lewo i w prawo i z tym charakterystycznym pochyleniem głowy, jakby chciał uniknąć rzuconego kamienia czy zmieścić się w niskich drzwiach, prześliznąłby się przez zardzewiałą furtkę i ruszył ostrożnie ścieżką. Artura zwykle zatrzymują na granicy. To pewnie dlatego, że porusza się ukradkiem, ale w sposób, do którego nie można się przyczepić – jak szpieg.

Na wyobrażenie wysokiego, chudego Artura, idącego ku mnie niepewnie, z kamienną twarzą, by mnie wybawić, w niewygodnych butach i sfatygowanej bawełnianej bieliźnie, na widok Artura, który nie wiedział, czy mnie tu znajdzie, czy nie, zaczęłam płakać.

Zamknęłam oczy – przede mną, za bezmiarem błękitu, w którym rozpoznałam Ocean Atlantycki, zebrali się wszyscy, których zostawiłam po tamtej stronie. Stali na plaży (widziałam wiele filmów Felliniego). Wiatr burzył im włosy, a oni uśmiechali się i machali do mnie, chociaż oczywiście nie słyszałam ich słów. Najbliżej stał Artur, za nim Jeżozwierz Królewski, znany też jako Chuck Brewer, w swojej długiej, pretensjonalnej pelerynie, potem Sam i Marlena i inni. Leda Sprott, trzepocząca na wietrze jak prześcieradło, widoczna była z boku, mignęła mi też skórzana łata na łokciu Frasera Buchanana, który krył się za nadbrzeżnymi

krzakami. W głębi, moja matka w granatowym kostiumie i białym kapeluszu, przy niej ojciec, ledwie widoczny, i ciotka Lou. Ciotka Lou była jedyną osobą, która na mnie nie patrzyła. Szła plażą, oddychając głęboko, podziwiając fale i od czasu do czasu zatrzymując się, żeby wysypać piasek z butów. Wreszcie zdjęła je i szła dalej – w futrze z lisów, w kapeluszu z piórami, w samych pończochach, w kierunku odległego kiosku z hot dogami i oranżadą, który ją kusił z daleka jak kiczowaty miraż.

Ale myliłam się co do reszty. Uśmiechali się i machali do siebie nawzajem, nie do mnie. Czy to możliwe, żeby spirytyści byli w błędzie i żeby zmarli mimo wszystko nie interesowali się żywymi? Chociaż niektórzy z nich żyli, a to właśnie ja miałam nie żyć. Do tego jeszcze zamiast mnie opłakiwać, nieźle się bawili. To nie było w porządku. Usiłowałam myślami ściągnąć na tę ich plażę coś złowieszczego – jakąś ogromną skałę, upadającego konia – ale bez skutku. W gruncie rzeczy niezbyt to wszystko przypominało dzieło Felliniego, już raczej film Disneya, który oglądałam, mając osiem lat, o wielorybie, który chciał wystąpić w Metropolitan Opera. Podpłynął do statku i zaczął wyśpiewywać arie, ale marynarze rzucili w niego harpunem i wszystkie te dźwięki uleciały w postaci kolorowej duszy, która żeglując ku słońcu, śpiewała w dalszym ciągu. *O wielorybie, który chciał śpiewać w Metropolitan*; tak to się chyba nazywało. Okropnie wtedy płakałam.

To właśnie wspomnienie tego wieloryba tak na mnie podziałało. Nigdy nie umiałam płakać elegancko, po cichu, tak żeby perliste łzy z błyszczących oczu ściekały mi po policzkach, jak na okładkach komiksów *Prawdziwa miłość,* nie pozostawiając smug

ani śladów. Szkoda, mogłabym wtedy płakać przy ludziach zamiast po łazienkach, ciemnych salach kinowych, krzakach, pustych sypialniach czy na łóżku, ukryta wśród palt gości. Jeśli ktoś potrafi płakać po cichu, ludzie mu współczują. A ja smarkałam, moje oczy kolorem i kształtem przypominały gotowane pomidory, z nosa mi leciało, zaciskałam pięści, jęczałam, stawałam się dla innych krępująca, a wreszcie śmieszna: postać humorystyczna co się zowie. Mój żal był za każdym razem autentyczny, ale objawiał się jako parodia żalu, przerysowana imitacja, jak neon w kształcie róży na stacjach benzynowych White Rose Gasoline, teraz już straconych na zawsze... Płacz estetyczny należał do sztuk, których nigdy nie udało mi się opanować, podobnie jak przyklejania sztucznych rzęs. Powinnam mieć guwernantkę, uczęszczać do szkoły dla dziewcząt z dobrych domów, chodzić z deską przywiązaną do pleców, uczyć się malowania akwarelami i panowania nad sobą.

Przeszłości nie zmienisz, jak mawiała ciotka Lou. Lecz ja bardzo chciałam; było to właściwie jedyne, czego pragnęłam. Tęsknota doprowadzała mnie do szału. Niebo było błękitne, świeciło słońce, na lewo kupka tłuczonego szkła lśniła jak kałuża, mała zielona jaszczurka z opalizującymi niebieskimi oczyma podgrzewała swoją zimną krew na poręczy, z doliny dochodziło podzwanianie, kojące muczenie, usypiający dźwięk obcych głosów. Byłam bezpieczna, mogłam zaczynać od nowa; zamiast tego siedziałam na balkonie, obok szczątków kuchennego okna, wybitego nie za moich czasów, na krześle z rurek aluminiowych i żółtych plastikowych pasków, i wydawałam chlipiące odgłosy.

Krzesło należało do gospodarza, pana Vitroniego, który lubował się w pisakach nasyconych różnokolorowymi tuszami: czerwonym, różowym, fioletowym, pomarańczowym – było to upodobanie, które podzielałam. On za pomocą swoich flamastrów dawał innym ludziom w mieście do zrozumienia, że umie pisać, ja używałam swoich do pisania różnych kartek i listów miłosnych, a czasami jednego i drugiego naraz. „Poszłam kupić trochę kawy". Myśl o tych zaniechanych wyprawach po zakupy spotęgowała jeszcze mój żal. Koniec z grejpfrutami przekrojonymi na pół dla dwojga, z wisienką z likieru maraskino sterczącą pośrodku jak pępek, którą Artur zawsze odsuwał na bok talerzyka, koniec z owsianką, tak znienawidzoną przeze mnie, a wynoszoną pod niebiosa przez Artura, wiecznie pełną kluch i przypaloną, ponieważ nie stosowałam się do jego rad i nie używałam garnka z podwójnym dnem. Lata śniadań chybionych, zapomnianych, które już nigdy nie miały wrócić... Lata śniadań straconych – dlaczego ja to zrobiłam?

Doszłam do wniosku, że wylądowałam w miejscu najgorszym na świecie. Powinnam była pojechać gdzieś, gdzie jest świeżo i czysto, gdzie jeszcze dotychczas nie byłam. Tymczasem wróciłam do miasta, a nawet do domu, w którym spędziliśmy lato ubiegłego roku. I nic się nie zmieniło: musiałam gotować na tej samej dwupalnikowej kuchence z butlą gazową – *bombola* – która mi się zawsze kończyła w połowie przygotowywania posiłku, jeść przy tym samym stole, którego politurowany blat zachował białe kółka – skutek mojego beztroskiego stawiania gorących filiżanek, spać w tym samym łóżku, na materacu wygniecionym starością i ciężarem obaw wielu lokatorów. Duch Artura będzie mnie

prześladował; już słyszę dochodzące z łazienki ciche gulgotanie, chrzęst szkła, kiedy odsuwał na balkonie krzesło, czekając, aż mu podam przez kuchenne okno filiżankę kawy. Gdybym otworzyła oczy i obróciła głowę, z pewnością bym go zobaczyła, jak siedzi z gazetą w odległości kilku centymetrów od twarzy, ze słownikiem kieszonkowym na kolanie, z palcem wskazującym lewej ręki (być może) w uchu – był to nieświadomy gest, do którego się nie przyznawał.

To moja głupota, moja wina. Powinnam była pojechać do Tunezji, na Wyspy Kanaryjskie czy nawet do Miami Beach, autokarem Greyhounda, z hotelem w cenie biletu, ale zabrakło mi silnej woli; potrzebowałam czegoś bardziej swojskiego. Miejsce bez żadnej podpory, żadnych drogowskazów, absolutnie żadnej przeszłości za bardzo jednak przypominałoby śmierć.

Łkałam więc już na całego w jeden z ręczników kąpielowych mojego gospodarza, z drugim zarzuconym na głowę; był to mój stary zwyczaj: płakałam z głową pod poduszką, żeby nikt mnie nie przyłapał. Ale przez ręcznik słyszałam teraz dziwne mlaskanie. Musiało się rozlegać już od jakiegoś czasu. Zaczęłam nasłuchiwać – ustało. Odchyliłam ręcznik. Mniej więcej na poziomie moich kostek, zaledwie niecały metr od nich, unosiła się w powietrzu głowa starego mężczyzny w wystrzępionym słomkowym kapeluszu. Białawe oczy gapiły się na mnie z wyrazem paniki albo potępienia; usta, zapadnięte na dziąsłach, były z jednej strony otwarte. Musiał mnie słyszeć. Może myślał, że dostałam jakiegoś ataku – w bieliźnie, przykryta ręcznikiem, na balkonie. Może uznał, że jestem pijana.

Uśmiechnęłam się smętnie, żeby go uspokoić, i przytrzymując wokół siebie ręczniki, usiłowałam wstać z aluminiowego krzesła, nieco za późno przypominając sobie o jego paskudnym zwyczaju składania się, kiedy człowiek chciał się szybko podnieść. Zanim zdołałam wycofać się do mieszkania, opadło ze mnie kilka ręczników.

Poznałam starego. Był to ten sam, który raz czy dwa razy w tygodniu przychodził po południu doglądać karczochów na spieczonym słońcem tarasie poniżej domu, usuwając co większe chwasty zardzewiałym sekatorem i obcinając skórzaste łebki karczochów, kiedy już były dojrzałe. Inaczej niż ludzie w mieście, nigdy nie odezwał się do mnie słowem ani nie odpowiedział na pozdrowienie. Na jego widok przechodziły mnie ciarki. Włożyłam sukienkę za drzwiami, niewidoczna przez duże balkonowe okno, i poszłam do łazienki przetrzeć twarz mokrą myjką, wysiąkać nos w szorstki papier toaletowy pana Vitroniego, a następnie do kuchni, zrobić sobie filiżankę herbaty.

Po raz pierwszy od przyjazdu zaczęłam odczuwać lęk. Powrót do tego miasta był więcej niż przygnębiający, był niebezpieczny. Nie ma sensu wmawiać sobie, że człowiek jest niewidzialny, skoro nie jest. Problem był prosty: jeżeli ja poznałam starego mężczyznę, to być może i on poznał mnie.

2

Usiadłam przy stole, żeby wypić herbatę. Działała kojąco i miałam nadzieję, że pomoże mi zebrać myśli, choć nie była najlepsza: śmierdziała środkami opatrunkowymi. Kupiłam ją w największym sklepie spożywczym, razem z paczką herbatników Peek Frean rodem z Anglii. Sklep zaopatrzył się w większą ilość tych artykułów w oczekiwaniu potężnej fali angielskich turystów, którzy na razie nie dopisali. Na pudełku widniał napis, który niewątpliwie podnosił na duchu: „Nadworny Producent Herbatników Jej Królewskiej Mości". Królowa by nie chlipała, rozczulanie się jest w złym guście. Weź się w garść – usłyszałam stanowczy królewski głos. Usiadłam prosto, zastanawiając się, co robić.

Naturalnie przedsięwzięłam środki ostrożności. Występowałam pod swoim drugim nazwiskiem, a kiedy poszłam sprawdzić, czy mieszkanie u pana Vitroniego jest wolne, założyłam okulary przeciwsłoneczne, włosy zaś schowałam pod kupioną na lotnisku w Toronto japońską chustką w różowych policjantów konnych defilujących na tle fioletowych Gór Skalistych. Nosiłam workowatą kretonową sukienkę, też różową, w cukierkowe błękitne kwiatki, którą kupiłam w Rzymie na ulicy. Wolałabym wielkie czerwone

róże albo pomarańczowe dalie – w tej sukience bowiem wyglądałam jak kawał tapety – lecz potrzebne mi było coś nierzucającego się w oczy. Pan Vitroni mnie nie poznał, byłam pewna. Ale ten starzec zaskoczył mnie nieubraną, a co gorsza, z odsłoniętymi włosami. W tej części kraju długie do pasa rude włosy były czymś nie do przeoczenia.

Herbatniki były twarde jak gips i smakowały półką. Zjadłam ostatniego, maczając go w herbacie i żując bezwiednie, zanim się zorientowałam, że skończyłam całą paczkę. Zły znak, będę musiała zwrócić na to uwagę.

Zdecydowałam, że powinnam coś zrobić z włosami. Stanowiły dowód rzeczowy – ich długość i kolor były jak znak firmowy. W każdym wycinku z gazety, przyjaznym bądź wrogim, wspominano o włosach; w gruncie rzeczy poświęcono im sporo miejsca: włosy u kobiety to rzecz ważniejsza niż talent czy jego brak. „Tryskająca życiem Joan Foster, słynna autorka *Pani Wyroczni,* która świeżością przypomina portrety Rosettiego, zahipnotyzowała widownię swoim nieziemskim…" („The Toronto Star"). „Powieściopisarka-poetka Joan Foster ze swoimi rudymi rozwianymi włosami i w zielonej sukni wyglądała jak wspaniała Junona; niestety, prawie jej nie było słychać…" („The Globe" i „Mail"). Te moje włosy znajdą znacznie łatwiej niż mnie samą. Powinnam je obciąć, a to, co zostanie, ufarbować, chociaż nie miałam pojęcia, gdzie w tym mieście dostanę farbę do włosów. Może będę musiała jechać po nią do Rzymu. Powinnam sobie sprawić perukę, pomyślałam, to było przeoczenie.

Poszłam do łazienki i z zamykanej na suwak kosmetyczki wygrzebałam nożyczki do paznokci. Były za małe, ale mogłam

jedynie wybierać pomiędzy nimi a jednym z tępych noży kuchennych pana Vitroniego. Sporo czasu zajęło mi ścięcie wszystkich włosów kosmyk po kosmyku. Usiłowałam temu, co zostało, nadać jakiś kształt, ale włosy robiły się coraz krótsze, a wcale nie równiejsze, aż się zorientowałam, że wyglądam jak więzień obozu koncentracyjnego. Za to moja twarz przeczyła temu obrazowi – mogłam uchodzić za sekretarkę na urlopie.

Sterty i pukle włosów zalegały umywalkę. Chciałam je ratować; przez chwilę pomyślałam, że schowam je do szuflady sekretery. Ale jak się z nich wytłumaczę, jeśli zostaną znalezione? Zaczną szukać nóg i rąk, i reszty ciała. Muszę się pozbyć włosów. Chciałam je spuścić w klozecie, ale było ich za dużo, a pożeracz śmieci zaczął już działać, puszczając bańki gazu bagiennego i plując strzępami rozkładającego się papieru toaletowego.

Wyniosłam włosy do kuchni, zapaliłam gaz i pasemko po pasemku składałam je w ofierze. Kurczyły się, czerniały, wiły jak garść owsików, topiły i dopiero na koniec płonęły, trzeszcząc jak lont. Ich smród, podobny do woni opalanego indyka, był potworny.

Z oczu płynęły mi łzy; nie ulegało wątpliwości, że jestem sentymentalna, i to w najckliwszym wydaniu. Chodziło o to, że Artur miał zwyczaj mnie czesać, i to wspomnienie całkiem mnie rozczuliło – chociaż nigdy nie robił tego delikatnie i szarpał boleśnie jak diabli. Za późno, za późno... Nigdy nie potrafiłam wzbudzić w sobie właściwych emocji we właściwym czasie – złości, kiedy powinnam być zła, łez, kiedy powinnam płakać; nic tu nie pasowało.

W połowie wrzucania do ognia pukli włosów usłyszałam kroki na żwirowej ścieżce. Serce podeszło mi do gardła, zamarłam:

ścieżka prowadziła tylko tutaj, a w domu oprócz mnie nie było nikogo, pozostałe dwa mieszkania stały puste. Jakim cudem Artur mógł mnie tak prędko znaleźć? Mimo wszystko może miałam co do niego rację. Chyba że to nie jest Artur, tylko jedno z tamtych... Panika, na którą nie pozwoliłam sobie przez cały ubiegły tydzień, przewaliła się lodowoszarą falą przez moją głowę, przynosząc kształty mojego strachu: martwe zwierzę, złowrogie tchnienie telefonu, listy zabójcy wycięte z żółtych kartek książki telefonicznej, rewolwer, złość... Twarze formowały się i rozpadały w mojej wyobraźni. Nie miałam pojęcia, kogo się spodziewać. Czego oni ode mnie chcą? Pytanie, na które nigdy nie znajdowałam odpowiedzi. Miałam ochotę krzyczeć, rzucić się do łazienki, gdzie było wysoko umieszczone kwadratowe okienko, przez które może mogłabym się przecisnąć, a potem pobiegłabym na wzgórze i odjechała swoim samochodem. Kolejna szybka ucieczka. Usiłowałam sobie przypomnieć, co zrobiłam z kluczykami.

Rozległo się pukanie do drzwi, powolne, spokojne pukanie, i jakiś głos zawołał:

– Halo, czy pani jest w domu?

Odzyskałam oddech. To tylko pan Vitroni, signore Vitroni, Reno Vitroni od szerokiego uśmiechu, dokonujący obchodu swojej posiadłości. Była to jego jedyna własność, o ile wiedziałam, co nie przeszkadzało, że uchodził za jednego z najbogatszych ludzi w miasteczku. A jeśli zechce zajrzeć do kuchni, co pomyśli o ofiarnych włosach? Zgasiłam gaz i wepchnęłam włosy do papierowej torby, której używałam na śmieci.

– Już idę, jedną chwileczkę. – Nie chciałam, żeby wchodził do środka: łóżko było niezasłane, ubranie i bielizna porozrzucane na oparciach krzeseł i podłodze, na stole i w zlewie piętrzyły się brudne naczynia. Zarzuciłam na głowę jeden z ręczników, a przechodząc koło stołu, złapałam ciemne okulary.

– Właśnie myłam głowę – wyjaśniłam, otwierając drzwi.

Był zdziwiony widokiem ciemnych okularów: trochę, nie bardzo. Cudzoziemki, jak się zorientował, odprawiają przedziwne obrządki związane z urodą. Uśmiechnął się i wyciągnął rękę. Podałam mu swoją, pan Vitroni uniósł ją, jakby miał zamiar ucałować, ale zamiast tego tylko nią potrząsnął.

– Jestem niesłychanie miły, że panią widzę – powiedział, strzelając obcasami w dziwnym, wojskowym ukłonie. Kolorowe flamastry zdobiły jego pierś jak medale. Musiał się dorobić na wojnie; teraz, kiedy już było po wszystkim, nikt takich rzeczy nie kwestionował. Przy okazji nauczył się trochę angielskiego i liznął też kilku innych języków. Ciekawe, dlaczego przyszedł do mnie wczesnym wieczorem, w porze z pewnością nieodpowiedniej na składanie wizyt młodej cudzoziemce – ten szacowny pan w średnim wieku, z odpowiednią beczułkowatą żoną i licznymi wnukami? Miał coś pod pachą i patrzył ponad moim ramieniem, jakby zamierzał wejść.

– Pani może coś gotuje? – Poczuł swąd palonych włosów. Bóg jeden wie, co ci ludzie jadają, niemal słyszałam jego słowa. – Mam przyjemność nie przeszkadzać?

– Broń Boże – zapewniłam gorąco. Stałam twardo w samych drzwiach.

– Dobrze się pani dzieje? Światło znowu się pali?

– Tak, tak, oczywiście – odparłam, kiwając głową skwapliwiej, niż było trzeba. Kiedy się wprowadzałam, nie było światła, ponieważ ostatni lokator nie zapłacił rachunku. Ale pan Vitroni użył swoich wpływów.

– Jest dużo słońca, nie?

– Bardzo dużo. – Usiłowałam nie dać po sobie poznać zniecierpliwienia. Stał stanowczo za blisko.

– Tak jest dobrze. – Nareszcie przechodził do rzeczy. – Mam tu coś dla pani. Żeby się pani poczuła więcej... – Uniósł wolną rękę dłonią do góry, szerokim, powitalnym, zapraszającym do środka gestem. – Żeby... Żeby pani poczuła się u nas więcej jak w domu.

Jakaż niezręczna sytuacja, pomyślałam, przyniósł mi prezent, żeby mi było u nich przytulniej. Ciekawe, czy to taki zwyczaj? Co powinnam powiedzieć?

– To naprawdę bardzo miło z pana strony – powiedziałam – ale...

Pan Vitroni machnięciem ręki skwitował moją wdzięczność. Spod pachy wyciągnął kanciaste zawiniątko, położył je na plastikowym krześle i zaczął rozwiązywać sznurki. Przy ostatnim węzełku przerwał dla spotęgowania napięcia, jak sztukmistrz. Brązowy papier rozchylił się, odsłaniając pięć czy sześć malowideł wykonanych – o Boże! – na czarnym aksamicie, w złoconych gipsowych ramkach. Wyjmował obrazki jeden po drugim i podsuwał mi pod nos. Wszystkie przedstawiały historyczne rzymskie budowle – każdą w innym kolorze. Koloseum było na przykład wściekle czerwone, Panteon bladofioletowy, Łuk Konstantyna mgliście żółty, Bazylika Świętego Piotra różowa jak

ciastko z kremem. Zmarszczyłam czoło na ich widok niczym prawdziwy rzeczoznawca.

– Podoba się? – zapytał sugerująco. Jestem cudzoziemką, tego rodzaju rzeczy powinny mi się podobać i on je przyniósł dla mnie w prezencie, żeby mi zrobić przyjemność. Posłusznie okazałam zadowolenie; nie potrafiłabym zranić jego uczuć.

– To bardzo miłe – powiedziałam. Miałam na myśli nie obrazki, tylko jego gest.

– Jeszcze jak – odparł. – Syn mojego brata, on ma geniusz.

Oboje patrzyliśmy na obrazki w milczeniu. Stały teraz szeregiem na parapecie, jarząc się jak znaki drogowe w świetle złoto zachodzącego słońca. Kiedy tak na nie patrzyłam, zaczęły nabierać jakiejś straszliwej energii, a może zaczęły nią emanować, jak zamknięte drzwi ogromnych pieców czy grobowców.

Byłam nie dość szybka dla pana Vitroniego.

– Którego pani lubi? – zapytał. – Tego?

Jak miałam wybierać, nie wiedząc, czemu ten wybór ma służyć? Język to tylko jeden problem, pozostawał jeszcze drugi: co wypada, a co nie. Jeżeli przyjmę obrazek, to czy będę musiała zostać jego kochanką? Czy taki wybór coś znaczy, czy stanowi jakąś próbę?

– Może to... – powiedziałam nieśmiało, wskazując na neonowe Koloseum.

– Dwieście pięćdziesiąt tysięcy lirów – odparł bez wahania. Odczułam natychmiastową ulgę. W prostych transakcjach, opartych na zasadach finansowych, nie ma nic tajemniczego, łatwo sobie z tym poradzić. Naturalnie autorem obrazków w żadnym wypadku nie jest jego bratanek, pomyślałam; musiał je

kupić w Rzymie od handlarza ulicznego, a teraz je odprzedaje z zyskiem.

– Świetnie – powiedziałam. Wprawdzie nie mogłam sobie na ten zakup pozwolić, ale nigdy nie umiałam się targować, a poza tym bałam się go obrazić. Nie chciałam się też pozbawiać elektryczności. Poszłam po portmonetkę.

Kiedy pan Vitroni schował pieniądze, zaczął składać pozostałe obrazki.

– Dwa by pani wzięła? By rodzinie posłać?

– Nie, dziękuję. Ten jest uroczy.

– Mąż niedługo przyjedzie też?

Uśmiechnęłam się i niewyraźnie skinęłam głową. Coś podobnego dałam mu do zrozumienia, kiedy wynajmowałam mieszkanie. Wolałam, żeby w miasteczku wiedziano, że mam męża, nie chciałam mieć kłopotów.

– Polubi on te obrazki – stwierdził, jakby nie miał wątpliwości.

Zaczęłam się zastanawiać. Czyżby mnie jednak rozpoznał – mimo ciemnych okularów, ręcznika i innego nazwiska? Był całkiem zamożny, nie ulegało wątpliwości, że nie musiał uprawiać domokrążnego handlu tanimi obrazkami przeznaczonymi dla turystów. Cała ta historia mogła służyć stworzeniu pozorów, ale jakich? Miałam uczucie, że podczas rozmowy wydarzyło się znacznie więcej, niż potrafiłam zrozumieć, co nie byłoby niczym niezwykłym. Artur mówił, że jestem tępa.

Kiedy już pan Vitroni oddalił się na bezpieczną odległość, zaczęłam szukać miejsca, w którym mogłabym powiesić obrazek. Powinno być odpowiednie: z powodu mojej matki najważniejsze przedmioty w moim pokoju musiały się znajdować we właściwym

wzajemnym stosunku, a ten obrazek – czy mi się podobał, czy nie – miał być jednym z najważniejszych przedmiotów. Był bardzo czerwony. Ostatecznie powiesiłam go na gwoździu na lewo od drzwi; w ten sposób mogłam siedzieć plecami do niego. Mój zwyczaj przestawiania mebli nagle, bez uprzedzenia, zawsze irytował Artura. Nigdy nie rozumiał, po co to robię, twierdził, że otoczenie powinno być człowiekowi obojętne.

Ale pan Vitroni się mylił. Arturowi nie podobałby się ten obrazek. Nie należał do rzeczy, które mu się podobały. Należał do rzeczy, które w pojęciu Artura podobały się mnie. Bardzo stosowne, powiedziałby: Koloseum w krwawej czerwieni na ordynarnym tle z czarnego aksamitu, ze złotą ramką, krzyk, tumult, wiwatujące tłumy, śmierć na piasku, ryki i warczenie dzikich zwierząt, wrzaski i szlochy ukrytych za kulisami ofiar szykujących się na śmierć, a przede wszystkim emocje, strach, wściekłość, śmiech i łzy – widowisko, którym syci się tłum. Podejrzewałam, że taka jest jego koncepcja mojego życia wewnętrznego, chociaż nigdy nie powiedział mi tego wprost.
A gdzie było jego miejsce w tym ogólnym zamieszaniu?
Z pewnością pośrodku pierwszego rzędu. Widziałam, jak siedzi bez ruchu, uśmiechając się jedynie – bo wiele trzeba, żeby go zadowolić – i od czasu do czasu wykonując nieznaczne gesty, które miały decydować o ułaskawieniu lub śmierci: kciuk w górę albo kciuk w dół. Teraz, pomyślałam, jesteś w tym spektaklu jedynym aktorem, musisz się skupić na własnych uczuciach. Dość mam tej gry, krew stała się zbyt realna.

Byłam na niego wściekła, a nie miałam nic, czym mogłabym ciskać, poza talerzami, które należały do pana Vitroniego,

i nikogo, w kogo mogłabym ciskać, poza samym panem Vitronim, obecnie wdrapującym się niewątpliwie pod górę, z zadyszką – to przez te jego krótkie nogi i brzuch wielki jak poducha. Co by sobie pomyślał, gdybym w ataku furii pobiegła za nim, rzucając talerzami? Zawołałby policjanta, aresztowaliby mnie, przeszukali mieszkanie i znaleźli papierową torbę pełną rudych włosów, moją walizkę...

Szybko wrócił mi zdrowy rozsądek. Walizka leżała pod dużą pseudobarokową komodą z odłażącym fornirem i intarsjami z macicy perłowej. Wyciągnęłam ją i otworzyłam. W środku były moje mokre rzeczy w zielonej plastikowej torbie. Cuchnęły moją śmiercią, jeziorem Ontario, oliwą, zdechłymi mewami, maleńką srebrną rybką wyrzuconą na brzeg, aby tam gniła. Dżinsy i granatowa trykotowa koszulka, mój grzebalny strój, moja poprzednia osobowość, zmoczona i zmięta, z której uleciały wielokolorowe dusze. Nigdy nie mogłabym nosić takiego ubrania w Terremoto, nawet gdyby nie stanowiło obciążającego dowodu. W pierwszej chwili pomyślałam, żeby wyrzucić te ciuchy do śmietnika, ale uświadomiłam sobie, że dzieciaki często grzebią w pojemnikach na śmieci, zwłaszcza tam, gdzie mieszkają cudzoziemcy.

Po drodze do Terremoto, dość uczęszczanej, też nie było jak się ich pozbyć. Powinnam to zrobić na lotnisku w Toronto albo w Rzymie, ale ubranie porzucone na lotnisku to również podejrzana sprawa.

Chociaż zapadł już zmierzch, było wciąż na tyle widno, że zdecydowałam się zakopać ubranie. Zgniotłam zieloną torbę i wsadziłam pod pachę. Ubranie należało do mnie, nie robiłam nic

złego, a mimo to czułam się tak, jakbym się pozbywała trupa, ciała kogoś, kogo zabiłam. Idąc ścieżką koło domu, ślizgałam się na kamieniach w moich podzelowanych skórą sandałach, aż znalazłam się na dole wśród karczochów. Ziemia była twarda jak kamień, a ja nie miałam łopaty; wykluczone, żebym mogła wykopać dół. Poza tym ów staruszek zauważyłby natychmiast, gdybym naruszyła jego ogród. Zbadałam fundament domu. Na szczęście był tandetny i cement popękał w kilku miejscach. Znalazłam ruchomy kawałek i wydłubałam go za pomocą płaskiego kamienia. Pod warstwą cementu była zwykła ziemia; dom został wbudowany w zbocze wzgórza. Wygrzebałam dziurę, zwinęłam torbę w jak najmniejszy tobołek, wcisnęłam w szczelinę i zatkałam wyłupanym kawałkiem cementu. Może za kilkaset lat ktoś wyciągnie moje dżinsy i koszulkę i wysnuje stąd wniosek o jakimś zapomnianym obrządku, o zamordowaniu dziecka czy grobie zastępczym. Przypadł mi do gustu ten pomysł. Wyrównałam nogą ziemię dokoła, żeby nikt nie zauważył tego miejsca.

Z uczuciem ulgi wróciłam na balkon. Jeszcze tylko ufarbuję włosy, tym samym pozbywając się wszystkich obciążających dowodów, i mogę zacząć być kimś innym, całkowicie inną osobą.

Poszłam do kuchni i dokończyłam palenie włosów. Następnie wyciągnęłam butelkę cinzano, którą ukryłam w kredensie za talerzami. Nie chciałam, żeby pomyśleli, że popijam po cichu, czego zresztą nie robiłam, po prostu nie istniało miejsce, w którym mogłabym się napić otwarcie. Tutaj nie było przyjęte, żeby kobiety samotnie popijały w barach. Nalałam sobie niedużą szklaneczkę i wzniosłam toast.

– Za życie. – Zaniepokoiłam się, że powiedziałam to głośno. Obym tylko nie zaczęła mówić do siebie.

W szpinaku, który kupiłam poprzedniego dnia, były mrówki. Żyły w ścianie na zewnątrz, a szpinak i mięso stanowiły dla nich jedyną pokusę; wszystko inne lekceważyły, jeśli tylko zostawiło im się na spodku wodę z cukrem. Znalazły już swój przysmak i teraz patrzyłam, jak kursują tam i z powrotem między talerzykiem a gniazdem: cienkie, kiedy szły w stronę spodka, a grube w drodze powrotnej, napełniały się jak miniaturowe cysterny. Otoczyły wodę wianuszkiem, a te, które weszły za daleko, utonęły.

Nalałam sobie jeszcze jedną szklaneczkę, a potem umoczyłam palec w wodzie z cukrem i wypisałam na parapecie swoje inicjały. Czekałam, aż moje imię zostanie wypisane mrówkami: żywa legenda.

3

Kiedy obudziłam się nazajutrz rano, nie było śladu po mojej euforii. Nie żebym miała kaca, ale wstałam z trudem. Butelka po cinzano stała na stole – pusta; groźne w tym wszystkim wydało mi się to, że nie pamiętałam, abym ją kończyła. Artur mi mówił, żebym tyle nie piła. Sam pił niewiele, ale od czasu do czasu przynosił do domu jakiś alkohol i zostawiał w widocznym miejscu. Myślę, że byłam dla niego czymś w rodzaju małego chemika: w głębi ducha lubił przyprawiać mnie o zmieszanie, bo sądził, że wyniknie z tego coś ciekawego. Chociaż nigdy nie wiedział, co ani czego w gruncie rzeczy oczekuje; gdybym przynajmniej ja to wiedziała, wszystko byłoby łatwiejsze.

Na dworze mżyło, a ja nie miałam płaszcza od deszczu. Mogłam sobie kupić w Rzymie, ale tutejszy klimat zachowałam w pamięci jako niezmącony błękit i ciepłe noce. Nie wzięłam ani płaszcza, ani parasolki, ani wielu innych rzeczy, ponieważ nie chciałam zostawiać po sobie zbyt oczywistych śladów pakowania. Teraz zaczynałam żałować mojej garderoby: czerwono-złotego sari, haftowanego kaftana, morelowej aksamitnej sukienki z oberwanym zakładem. Tylko gdzie ja bym to wszystko tutaj nosiła? W każdym razie leżałam w łóżku, tęskniąc za wachlarzem

z pawich piór, w którym brakowało tylko jednego pióra, za wieczorową torebką z niebieskimi paciorkami – prawdziwym antykiem.

Artur miał dziwny stosunek do mojej garderoby. Żałował mi pieniędzy na ubranie; uważał, że nas nie stać, więc początkowo mówił, że to czy tamto nie pasuje do moich włosów albo że wyglądam w czymś za grubo. Później, kiedy w akcie samoudręczenia zaczął popierać Ruch Wyzwolenia Kobiet, wmawiał mi, że nie powinnam nosić tego rodzaju ciuchów, że to woda na młyn wyzyskiwaczy. Ale było w tym coś więcej – traktował moje ubieranie się jako afront, coś w rodzaju osobistej obrazy, będąc tym jednocześnie zafascynowany, tak jak wszystkimi innymi związanymi ze mną sprawami, których nie akceptował. Podejrzewam, że moje ciuchy musiały go podniecać, i to go irytowało.

Wreszcie doprowadził do tego, że prawie przestałam nosić długie sukienki w miejscach publicznych. Zamykałam więc drzwi do sypialni, owijałam się jedwabiami i aksamitami i wyciągałam wszystkie wiszące złote kolczyki, łańcuchy i bransolety, jakie tylko mogłam znaleźć. Perfumowałam się, zdejmowałam pantofle i tańczyłam przed lustrem, obracając się powoli w walcu z niewidzialnym partnerem – wysokim mężczyzną w stroju wieczorowym, pelerynie i z płonącym wzrokiem. Kiedy tak ze mną wirował, od czasu do czasu potrącając o róg toaletki czy łóżka, szeptał zwykle: „Zabiorę cię stąd. Będziemy tańczyli razem, na zawsze". Bardzo mnie to kusiło, mimo że nie był prawdziwy.

Artur nigdy nie chciał ze mną tańczyć, nawet kiedy byliśmy sami. Twierdził, że nie umie.

Leżałam w łóżku, patrząc, jak pada. Z jakiegoś zakątka miasta dochodziło żałosne muczenie, schrypnięte, metaliczne, niczym głos żelaznej krowy. Zrobiło mi się smutno, a w mieszkaniu nie znajdowałam niczego na pocieszenie. Mieszkanie – właściwe słowo. W dziale ogłoszeń na ostatniej stronie angielskiej gazety nazwaliby to willą, ale były to zaledwie dwa pokoje i ciasna kuchnia ze ścianami pokrytymi surowym tynkiem, poplamionym i pożyłkowanym przez wilgotne zacieki. Przez sufit biegły gołe drewniane belki – pan Vitroni najwyraźniej uważał, że są po wiejsku malownicze – dając schronienie stonogom, które z nich czasem spadały, zwykle w nocy. W szczelinach pomiędzy ścianami i podłogą, a nierzadko i w małej wannie, gnieździły się średniej wielkości brunatne skorpiony, podobno niejadowite. Lał deszcz, było ciemno i zimno, gdzieś ciurkała woda, co odbijało się echem jak w grocie – dwa mieszkania nade mną w dalszym ciągu były puste. Dawniej mieszkała nad nami rodzina z Ameryki Południowej; do późna w nocy grali na gitarach, zawodzili i tupali, tak że kawałki tynku spadały nam na głowy jak grad. Nieraz miałam ochotę iść na górę pośpiewać z nimi i potupać, ale Artur uważał, że takie nawiązywanie znajomości to namolność. On wychował się w Fredericton w Nowym Brunszwiku.

Przewróciłam się na łóżku i goła sprężyna wbiła mi się w kręgosłup. Sterczała pośrodku, ale wiedziałam, że jeśli odwrócę materac na drugą stronę, czekają tam na mnie cztery inne. Był to ten sam materac, z tymi samymi górami, dolinami i zasadzkami, które nie uległy zmianom przez rok używania go przez innych. Kochaliśmy się na nim w pośpiechu przywodzącym na myśl pokoje w motelach. Artura podniecały stonogi, którym

zawdzięczaliśmy atmosferę zagrożenia (dobrze znany afrodyzjak, czego dowodem czarna śmierć). Lubił też mieszkać na walizkach. Czuł się pewnie jak zbieg polityczny, co prawdopodobnie było jednym z jego urojeń, chociaż nigdy się do niego nie przyznał.

W dodatku mógł sobie wyobrażać, że się dokądś przenosimy, w jakieś lepsze miejsce. I rzeczywiście, ilekroć gdzieś przyjeżdżaliśmy, zawsze to nowe miejsce uważał za lepsze, przynajmniej przez pewien czas. Potem wydawało mu się zaledwie inne, a wreszcie zaledwie takie samo. Ale złudę przemijania cenił znacznie wyżej niż złudę trwałości, tak więc całe nasze małżeństwo realizowało się jakby w duchowej stacji kolejowej. Być może miało to coś wspólnego ze sposobem, w jaki się poznaliśmy. Skorośmy zaczęli od pożegnania, zdążyliśmy się do niego przyzwyczaić. Nawet kiedy Artur szedł na róg po papierosy, patrzyłam za nim tak, jakby to miał być ostatni raz. A teraz rzeczywiście miałam go więcej nie zobaczyć.

Wybuchnęłam płaczem i nakryłam głowę poduszką. Następnie zdecydowałam, że dość tego dobrego. Nie mogę pozwolić, żeby Artur wciąż decydował o moim życiu, zwłaszcza z takiej odległości. Byłam teraz kimś innym, prawie kimś innym. Ludzie mówili mi często: „Wyglądasz zupełnie inaczej niż na fotografiach” i była to prawda, tak więc po dokonaniu kilku zmian będę mogła minąć Artura na ulicy i mnie nie pozna. Wyplątałam się z prześcieradeł – z prześcieradeł pana Vitroniego, cienkich i starannie poreperowanych – poszłam do łazienki i zmoczyłam myjkę zimną wodą, żeby zrobić okład na spuchniętą twarz, w porę spostrzegając małego brunatnego skorpiona ukrytego w fałdach materiału. Trudno było przywyknąć do tych pułapek. Gdyby był

tutaj Artur, z pewnością narobiłabym wrzasku. Tymczasem rzuciłam myjkę na ziemię i rozgniotłam skorpiona dnem puszki z proszkiem do czyszczenia, również dostarczonej przez pana Vitroniego. Dobrze wyposażył mieszkanie w środki czystości, jak mydło, płyn odkażający do klozetu, szczotki, za to do gotowania miałam tylko jedną patelnię i dwa garnki, w tym jeden bez uszu.

Powlokłam się do kuchni i zapaliłam gaz. Rano, przed poranną kawą, zawsze byłam do niczego. Musiałam łyknąć coś ciepłego, żeby mieć poczucie bezpieczeństwa; na parapecie stały ekspres do kawy i mleko w trójkątnym tekturowym pojemniku. Nie było lodówki, ale mleko jeszcze nie skwaśniało. Tak czy siak należało je zagotować. Wszystko tu wymagało gotowania.

Siedziałam przy stole z filiżanką gorącej kawy, zostawiając na politurze jeszcze jeden biały krążek, pogryzając herbatniki i usiłując zorganizować sobie życie. Spokojnie, po troszeczku, powiedziałam sobie. Na szczęście kupiłam kilka pisaków; zrobię listę. „Farba do włosów" – napisałam na samej górze na zielono. Muszę pojechać po farbę do Tivoli albo raczej do Rzymu, im prędzej, tym lepiej. A kiedy już ufarbuję włosy, nic mnie nie będzie łączyło z tamtym życiem, poza odciskami palców.
A przecież nikogo nie interesują odciski palców kobiety oficjalnie uznanej za zmarłą.

Napisałam „pieniądze" i podkreśliłam podwójną linią. Pieniądze były ważne. Miałam ich mniej więcej na miesiąc, gdybym była oszczędna. Myśląc realnie, na dwa tygodnie. Czerwone Koloseum pogorszyło moją sytuację. Z konta nie mogłam wziąć wiele, bo podjęcie poważniejszej sumy dzień przed śmiercią wyglądałoby dziwnie. Gdybym miała więcej czasu,

mogłabym to jakoś załatwić przez moje drugie konto, zawodowe. O ile coś na nim było. Niestety, większość wpływów przelewałam zaraz na prywatne konto. Zastanawiałam się, komu te pieniądze przypadną; najprawdopodobniej Arturowi.

„Pocztówka do Sama" – napisałam. Kartkę już kupiłam, na lotnisku w Rzymie. Przedstawiała krzywą wieżę w Pizie. Zielonymi drukowanymi literami wypisałam uzgodniony tekst:

BAWIMY SIĘ CUDOWNIE. BAZYLIKA ŚWIĘTEGO PIOTRA
JEST WSPANIAŁA. DO ZOBACZENIA WKRÓTCE.
CAŁUJEMY, MITZI I FRED

W ten sposób będzie wiedział, że dojechałam bezpiecznie. Gdyby były jakieś komplikacje, napisałabym:

JEST ZIMNO I FRED MA BIEGUNKĘ.
BOGU DZIĘKI JEST ENTEROVIOFORM!
CAŁUJEMY, MITZI I FRED

Postanowiłam najpierw wysłać kartkę, a dopiero potem martwić się o pieniądze i farbę do włosów. Dopiłam kawę, zjadłam ostatniego herbatnika, przebrałam się w drugą z moich dwóch nowych workowatych sukienek, białą w szare i fiołkowe romby. Zauważyłam, że moja nocna koszula jest rozdarta na szwie w okolicy uda. Ciekawe, czy jeśli nikt nie będzie na mnie patrzył i wytykał mi tych małych wykroczeń, to stanę się niechlujna? Dlaczego o siebie nie zadbasz? – odezwał się głos. Czy nie chcesz wyglądać jak człowiek? „Igły i nici" – dopisałam.

Owinęłam głowę chustką w różowych policjantów i włożyłam ciemne okulary. Już nie padało, ale w dalszym ciągu było szaro; w tych okularach będę wyglądała głupio, ale nic na to nie mogłam poradzić. Szłam wijącą się pod górę wąską brukowaną uliczką, która wiodła do rynku, pomiędzy dwoma rzędami starych kobiet dzień w dzień przesiadujących na przyzbach swoich agresywnie zabytkowych kamiennych domostw, kobiet z wielkimi, tłustymi biustami wciśniętymi w czarne sukienki jakby na znak żałoby, z nogami niby wzdęte kiełbasy obciągnięte wełną. Były to te same stare kobiety, które mnie lustrowały wczoraj po południu, te same, które tu były rok i dwa tysiące lat temu. One się nie zmieniały.

Buongiorno – mówiły, kiedy je mijałam, a ja kłaniałam im się z uśmiechem, powtarzając to słowo. Nie robiły wrażenia specjalnie zainteresowanych moją osobą. Wiedziały już, gdzie mieszkam, jaki mam samochód, że jestem cudzoziemką, i o każdym moim zakupie na rynku też będą wiedziały. Co więcej trzeba wiedzieć o cudzoziemcu? Jedyne, co mogłoby je zaintrygować, to fakt, że mieszkam sama: to by im się wydało nienaturalne. Tak jak i mnie.

Poczta mieściła się od frontu jednego z wilgotnych zabytkowych budynków. Na jej wyposażenie składały się ławka, kontuar i tablica ogłoszeń z poprzyczepianymi zdjęciami, które przypominały listy gończe: gburowaci mężczyźni z profilu i *en face*. Na ławce siedziało rozwalonych paru policjantów – czy może byli to żołnierze – w mundurach jeszcze z czasów Mussoliniego: wysokie, sztywne buty, lampasy, snopki pszenicy na klapach kieszeni. Dreszcz przebiegł mi po plecach, kiedy stojąc przy kontuarze, usiłowałam wytłumaczyć kobiecie, że chcę wysłać

kartkę pocztą lotniczą. Przychodziło mi na myśl tylko *par avion* – ale to nie ten język. Zaczęłam wymachiwać rękoma jak skrzydłami; czułam się idiotycznie, ale to jakoś chwyciło. Za plecami usłyszałam śmiech policjantów. Oczywiście zauważą mój paszport, który jarzył się przez skórzaną torbę jak roztopione żelazo, jak syrena, każą mi go pokazać, zaczną mnie wypytywać, zawiadomią władze... I co te władze zrobią?

Kobieta siedząca za kontuarem wzięła kartkę przez otwór w okienku. Kiedy tylko Sam ją dostanie, będzie mógł mnie zawiadomić, w jakim stopniu nam się powiodło. Wyszłam ścigana spojrzeniami błyszczących, chrabąszczowatych oczu policjantów.

Plan był jednak dobry, byłam zadowolona z siebie, że go wymyśliłam. I nagle zapragnęłam, żeby Artur się dowiedział, jaka jestem inteligentna. Jego zdaniem byłam niedostatecznie zorganizowana na to, żeby obmyślić wydostanie się z domu, a co dopiero z kraju. To przecież ja potrafiłam wyruszyć na zakupy ze starannie sporządzoną, głównie przez niego, listą i zapomnieć torebki, wrócić i zapomnieć kluczyków do samochodu, pojechać i zapomnieć listy, albo wrócić z dwiema puszkami kawioru, paczką krakersów i małą butelką szampana, a następnie wmawiać mu, że te skarby kupiłam właśnie na wyprzedaży, co było kłamstwem za każdym razem, poza pierwszym. Sprawiłoby mi dziką rozkosz, gdyby mógł się dowiedzieć, że przeprowadziłam skomplikowany i niebezpieczny plan, nie popełniwszy żadnego błędu. Zawsze marzyłam o tym, żeby zrobić coś takiego, co by Artur podziwiał.

Na wspomnienie o kawiorze poczułam głód. Przeszłam przez rynek do największego sklepu spożywczego, gdzie można było

dostać puszki i inne produkty, i kupiłam jeszcze jedną paczkę peek freanów, trochę sera i makaronu. Na zewnątrz koło kawiarni stała stara ciężarówka z warzywami, to widocznie jej klakson musiałam wcześniej słyszeć. Otaczały ją tłuste gospodynie domowe w kretonowych podomkach i z gołymi nogami, wykrzykując zamówienia i wymachując zwitkami banknotów. Sprzedawca warzyw był młody, z wypomadowaną czupryną, stał w głębi skrzyni ciężarówki, napełniając koszyki i żartując z kobietami. Kiedy podeszłam, wyszczerzył do mnie zęby i krzyknął coś do kobiet, co wywołało śmiechy i wrzaski. Zaproponował mi kiść winogron, wywijając nimi sugestywnie, ale nie nastawiałam się na winogrona, mój słownik był za skromny, poszłam więc do straganu z warzywami. Towar może nie był taki świeży, ale ze starym, uprzejmym sprzedawcą mogłam się lepiej dogadać, pokazując, o co mi chodzi.

U rzeźnika kupiłam dwa drogie, cienkie jak papier plastry wołowiny, która z reguły była bez smaku. Mięso pochodziło z roczniaków, nikogo nie było stać na to, by dłużej trzymać krowę, a poza tym nigdy nie nauczyłam się tego mięsa właściwie przyrządzać – zawsze przypominało winyl.

Zeszłam z zakupami ze wzgórza. Mój czerwony wóz wynajęty u Hertza stał zaparkowany naprzeciwko kutej żelaznej bramy, która prowadziła do ścieżki. Wynajęłam go na lotnisku i już zdążyłam zarysować na jednej z ulic Rzymu, która okazała się jednokierunkowa, *senso unico.* Miejscowe dzieciaki otaczały go kręgiem, wypisując palcami różne rzeczy na pokrytej warstwą kurzu karoserii, zaglądając przez okno niemal z lękiem, głaszcząc

zderzaki. Na mój widok cofnęły się i zbiły w gromadkę, szepcząc coś między sobą.

Uśmiechnęłam się do nich, myśląc, jakie są czarujące, z brązowymi okrągłymi oczami, czujnymi jak u wiewiórki. Kilkoro miało włosy blond, co było zaskakujące przy śniadej cerze. Przypomniałam sobie, jak mi mówiono, że dziesięć czy piętnaście wieków temu przechodzili tędy barbarzyńcy i że dlatego wszystkie miasta zostały zbudowane na wzgórzach.

– *Buongiorno* – powiedziałam dzieciakom. Zachichotały zawstydzone. Wjechałam w bramę i z chrzęstem opon ruszyłam w dół. Dwie nędzne kury, kolorem przypominające poszarpaną tekturę, pierzchły mi sprzed kół. W połowie drogi zatrzymałam się: usiłowałam sobie przypomnieć, czy zamknęłam drzwi do mieszkania, czy nie. Mimo poczucia pozornego bezpieczeństwa nie mogłam sobie pozwolić na nieuwagę czy lenistwo. Było w tym coś irracjonalnego, ale miałam wrażenie, że w mieszkaniu ktoś jest – że siedzi przy oknie i na mnie czeka.

4

Nie było jednak nikogo. Prawdę powiedziawszy, mieszkanie było bardziej puste niż kiedykolwiek. Ugotowałam lunch bez żadnych przygód – nic mi nie wybuchło, nic nie wykipiało – i zjadłam przy stole. Jeszcze trochę, pomyślałam, a będę jadła w kuchni na stojąco, prosto z garnków i patelni. Tak to bywa z ludźmi, którzy żyją samotnie. Uznałam, że powinnam spróbować ustanowić coś w rodzaju codziennej rutyny.

Po lunchu przeliczyłam pieniądze, które miałam częściowo w gotówce, a częściowo w czekach podróżnych. Było mniej, niż myślałam – jak zwykle; będę się musiała wziąć do pracy i coś zarobić. Podeszłam do komody, wysunęłam szufladę z bielizną i zaczęłam w niej grzebać, zastanawiając się, co mi strzeliło do głowy, żeby kupić czerwone majtki bikini z wyhaftowanym na czarno słowem „Niedziela". To oczywiście przez Jeżozwierza Królewskiego; poza wszystkim innym był jeszcze zboczony na punkcie bielizny. Majtki stanowiły część kompletu weekendowego – miałam też „Piątek" i „Sobotę", obie pary dwujęzyczne. Kiedy wyjęłam je z celofanowych opakowań, Jeżozwierz Królewski powiedział: „Włóż Niedzielę/*Dimanche*"; lubował się w tworzeniu obrazów pogwałconej niewinności.

Włożyłam. „Dynamit – stwierdził. – A teraz się odwróć". Rzucił się na mnie i skończyło się lubieżną kotłowaniną na łóżku. W szufladzie był jeszcze stanik w cielistym kolorze, z zapięciem z przodu. „Tylko dla kochanków" – głosiła ulotka reklamowa, dokupiłam go więc dla kochanka. Byłam skończoną idiotką, jeśli chodziło o reklamy, zwłaszcza te, które obiecywały szczęście.

Wzięłam ze sobą tę obciążającą bieliznę, bo bałam się, że Artur odkryje ją po mojej „śmierci" i stwierdzi, że nigdy do tej pory jej nie widział. Za mojego życia nigdy by nie zajrzał do tej szuflady; unikał bielizny, uważając, że jego duch przebywa w wyższych rejonach, co – trzeba mu oddać sprawiedliwość – było najczęściej zgodne z prawdą. Używałam więc szuflady z bielizną jako skrytki, co siłą przyzwyczajenia robiłam w dalszym ciągu.

Wyjęłam czarny notes Frasera Buchanana. Pod nim na dnie, owinięty w halkę, spoczywał rękopis, nad którym pracowałam właśnie w chwili śmierci.

Charlotte w dalszym ciągu stała w pokoju, tam gdzie ją zostawił, bezwiednie ściskając w rękach szkatułkę z klejnotami. W obszernym kominku trzaskał ogień, rzucając ciepły blask na marmurowe herby rodzinne, które zdobiły bogato rzeźbione obramowanie kominka, ale dziewczynie było zimno. Mimo to policzki jej płonęły. Ciągle jeszcze miała przed oczami jego wywiniętą wargę, cynicznie uniesione brwi w ciemnej, ale zniewalającej twarzy, surowe usta, wąskie i drapieżne... Pamiętała, jak jego oczy szacowały krągłości jej młodego, jędrnego ciała, jedynie częściowo ukryte pod tanią, niezgrabną czarną suknią z krepy. Była wystarczająco obyta ze szlachtą, żeby wiedzieć, jak tacy panowie patrzą na podobne jej kobiety,

które nie ze swojej winy były zmuszone zarabiać na życie. A on nie będzie lepszy od innych. Jej pierś zafalowała pod czarną krepą, kiedy Charlotte pomyślała o upokorzeniach, jakie znosiła. Kłamcy i hipokryci – wszyscy co do jednego! Już go zaczynała nienawidzić. Skończy ze szmaragdami i opuści dwór Redmond jak najszybciej. W tym przepastnym domostwie czai się jakaś groźba, niemal ją czuła. Przyszły jej na myśl zaskakujące słowa stangreta Toma, wypowiedziane, kiedy niezbyt zręcznie pomagał jej wysiąść.

– Panienko, panienka się nie zbliża do labiryntu, taka jest moja rada – powiedział. Był to ponury, podobny do szczura mężczyzna z zepsutymi zębami, który patrzył spode łba.

– Do jakiego labiryntu? – zapytała Charlotte.

– Bardzo szybko sama się panienka przekona – odparł z chichotem. – Niejedna młoda dziewczyna napytała sobie biedy w labiryncie. – Ale odmówił dalszych wyjaśnień.

Zza oszklonych drzwi dobiegł srebrzysty śmiech; był to śmiech kobiety... Któż mógłby spacerować po tarasie o tej godzinie, i to w listopadzie? Charlotte wzdrygnęła się na wspomnienie kroków, które słyszała w tym samym miejscu poprzedniego wieczoru; ale kiedy z okna swojej sypialni spojrzała wtedy na taras, nie zobaczyła nic poza światłem księżyca i cieniami krzewów kołysanych przez wiatr.

Ruszyła ku drzwiom, zamierzając wejść po schodach do swojego pokoiku, który znajdował się na tym samym piętrze co pomieszczenia dla pokojówek. Oto, jak wysoko mnie Redmond ceni, pomyślała z pogardą. Mogła być równie dobrze guwernantką – jeden stopień wyżej niż pokojówka – albo

kucharką, ale w żadnym razie damą. A przecież była równie dobrze urodzona jak i on, gdyby tylko prawda wyszła na jaw.

Przed drzwiami salonu Charlotte zatrzymała się zaskoczona. U podnóża schodów, zagradzając jej drogę, stała wysoka kobieta w płaszczu z soboli. Odrzucony kaptur ukazywał płomień rudych włosów, głęboki dekolt szkarłatnej sukni odsłaniał wzgórki białych piersi. W jej stroju widać było cały kunszt najmodniejszych i najdroższych krawców z Bond Street, a jednak ten polor i wyrafinowanie kryły ciało, które poruszało się ze zmysłowością drapieżnego zwierzęcia. Była zachwycająco piękna.

Spojrzała na Charlotte ponuro, a jej zielone oczy miotały ognie w świetle świec ze srebrnego świecznika zdobnego w kupidyny i kiście winogron, który trzymała w lewej ręce.

– Kim pani jest i co pani robi w tym domu? – zapytała władczym tonem. Zanim Charlotte zdążyła odpowiedzieć, wzrok kobiety padł na szkatułkę. – Moje klejnoty! – krzyknęła i uderzyła Charlotte w twarz dłonią w rękawiczce.

– Spokojnie, Felicio – dało się słyszeć głos Redmonda, który we własnej osobie wyłonił się z cienia. – Odświeżenie twoich klejnotów miało być niespodzianką na powitanie. Tymczasem to ty mi sprawiłaś niespodziankę, przyjeżdżając wcześniej. – Zaśmiał się sucho i ironicznie.

Kobieta nazwana Felicią obróciła się w jego stronę – jej płomienny wzrok był władczy, a prowokacyjny uśmiech odsłaniał małe, białe, doskonale równe zęby. Redmond z galanterią uniósł do ust jej dłoń w rękawiczce.

Brakowało ośmiu stron, pierwszych ośmiu stron. Przez chwilę pomyślałam, że zostały w domu, gdzie Artur znajdzie je bez trudu. Ale to niemożliwe, nie mogłam być aż tak roztargniona. Musiał je wziąć Fraser Buchanan – wsunął kartki do rękawa marynarki, a potem poskładał i schował do kieszeni, zanim go dopadłam. Ale ja miałam jego czarny notes i mój fant był lepszy.

Odtworzenie pierwszych stron nie przedstawiałoby większego problemu. Charlotte jechałaby właśnie rozległym, łukowatym podjazdem pod sklepieniem lip, siedząc w powozie Redmonda – drugim co do wytworności – który wysłano by po nią na stację. Otuliłaby się skromnym szalem, ubolewając nad ubóstwem własnego stroju i sfatygowanego kuferka spoczywającego w bagażniku powozu: czy służba będzie z niej szydzić? A potem zobaczyłaby dwór o przysadzistych kobiecych kształtach, z męskimi strzelistymi wieżyczkami i wszechobecną atmosferą zła. Zostałaby zaprowadzona przez pełnego pogardy lokaja do biblioteki, dokąd – przetrzymawszy ją niefrasobliwie dłuższą chwilę – pan domu przybyłby na rozmowę. Wyraziłby zdumienie, że renowator biżuterii przysłał kobietę, i dałby jej do zrozumienia, że się do tego nie nadaje. A ona odpowiedziałaby mu stanowczo, nawet trochę zaczepnie. Dostrzegłby wyzwanie w jej błyszczących błękitnych oczach i zauważył, że we własnym interesie nie powinna okazywać nadmiernej niezależności. „Osoba w mojej sytuacji, sir – odpowiedziałaby nie bez pewnej goryczy – musi być niezależna". Charlotte była naturalnie sierotą. Jej ojciec, młodszy syn szlachetnego rodu, został wydziedziczony za poślubienie jej matki, pełnej słodyczy młodej osoby, tancerki w operze. Oboje rodzice zmarli podczas epidemii ospy. Charlotte wyszła z tego

jedynie z kilkoma niewielkimi bliznami, które tylko dodały pikanterii jej urodzie. Wychował ją wuj, rodzony brat matki, człowiek bogaty, ale skąpy, który zmusił siostrzenicę do wyuczenia się jej obecnego zawodu, zanim zmarł na żółtą febrę. Nienawidząc Charlotte całe życie, nie zostawił jej ani centa, a szlachetna rodzina ojca nie chciała mieć z nią nic wspólnego. Pragnęła, by Redmond wiedział, że nie znalazła się w jego domu, w jego mocy, z wyboru, lecz z konieczności. Ostatecznie każdy musi jeść.

Potrzebny mi był tytuł roboczy. *Pan na Redmond*, pomyślałam, albo może lepiej: *Strach w Redmond.* Strach to była jedna z moich specjalności, druga to historyczne detale. A może jeszcze lepiej – coś ze słowem „miłość". Miłość to przynajmniej samograj, jeśli chodzi o sprzedaż. Latami usiłowałam połączyć strach i miłość w jednym tytule, ale nie było to proste. *Miłość i strach w Redmond* byłoby o wiele za długie i zanadto przypominałoby *Bliźnięta Bobbsey na Sunset Beach. Moja miłość to strach* – za bardzo trąci Mickeyem Spillane'em. *Podchody miłosne* – od biedy może być.

Nie obejdę się także bez maszyny do pisania. Wszystko pisałam na maszynie elektrycznej, tak było szybciej, a w tym zawodzie szybkość miała ogromne znaczenie. Byłam dobrą maszynistką; w moim liceum pisanie na maszynie uważano za żeńską cechę wtórną, jak piersi. Może uda mi się kupić jakąś używaną maszynę w Rzymie. Wtedy mogłabym odtworzyć pierwsze strony, dopisać jeszcze osiem czy dziewięć rozdziałów i wysłać to wszystko do Hermes Books, wyjaśniając w liście, że z powodów zdrowotnych przeniosłam się do Włoch. Nigdy mnie nie widzieli

w wydawnictwie, a znali pod innym nazwiskiem jako byłą bibliotekarkę, panią w średnim wieku, otyłą i nieśmiałą. W zasadzie odludka, a w gruncie rzeczy osobę uczuloną na kurz, wełnę, ryby, dym z papierosów i alkohol – jak im wyjaśniłam, wykręcając się od zaproszeń na lunch. Zawsze, jak dalece to było możliwe, starałam się ściśle rozdzielać moje dwa nazwiska i dwie osobowości.

Artur nigdy się nie zorientował, że pisuję historyczne powieści grozy. Początkowo pracowałam nad nimi tylko wtedy, kiedy nie było go w domu. Potem zamykałam się w sypialni i mówiłam mu, że uczę się do jednego z kursów uniwersyteckich – jak historia chińskiej porcelany czy religioznawstwo porównawcze – których nigdy nie mogłam skończyć z tej prostej przyczyny, że nigdy ich nie zaczynałam.

Dlaczego mu nie powiedziałam? Głównie ze strachu. Kiedy tylko się poznaliśmy, mówił bardzo dużo o tym, że zależy mu na kobiecie, którą mógłby szanować w sensie intelektualnym, a przecież zdawałam sobie sprawę, że gdyby się dowiedział o *Tajemnicy dworu Morgrave,* nie byłoby mowy o żadnym szacunku. A ja bardzo chciałam zasługiwać na szacunek w sensie intelektualnym. Wobec przyjaciół Artura, książek, które czytywał, obowiązkowo z przypisami, spraw, o które walczył, czułam się zawsze absurdalnie głupia – jak prowincja intelektualna – i w tej sytuacji przyznanie się do mojego zawodu mogłoby tylko pogorszyć sprawę. Te książki, z okładkami przedstawiającymi ponure, złowrogie zamczyska i lękliwe dziewice w lekko zmodyfikowanych nocnych koszulach, z rozwianym na wietrze włosem i wyłupiastymi oczyma, jakby były chore na tarczycę, gotowe

w każdej chwili do ucieczki, zostałyby uznane za szmirę najgorszego gatunku. Gorzej niż szmirę – czyż bowiem nie służyły wyzyskowi mas, odwracając ich uwagę i propagując degradujące wzorce kobiet jako istot bezradnych i prześladowanych? Oczywiście że tak, wiedziałam o tym bardzo dobrze, ale nie mogłam przestać pisać.

– Jesteś inteligentną kobietą – powiedziałby Artur. Zawsze tak mówił przed wytknięciem mi jakiejś niedoskonałości, ale on w to naprawdę wierzył. Złościł się na mnie jak ojciec na zdolne dziecko, które przynosi złe stopnie.

Nie zrozumiałby tego. W najmniejszym nawet stopniu nie potrafiłby zrozumieć pragnienia moich czytelniczek, ich czystej, dogłębnej potrzeby ucieczki – czegoś, co ja rozumiałam aż nazbyt dobrze. Życie obeszło się z nimi twardo, a one zamiast walczyć, padały jak suflety w przeciągu. Ucieczka nie była dla nich luksusem, lecz koniecznością. Musiały ją sobie jakoś załatwić. I kiedy były zbyt zmęczone, by wymyślać własne wersje ucieczek, moją miały w zasięgu ręki, w narożnej drogerii, podaną elegancko jak inne środki przeciwbólowe. Moje wersje ucieczki można było połykać jak kapsułki, szybko i dyskretnie, w chwilach kiedy suszarka dmuchała w loki nawinięte na plastikowe wałki albo kiedy olejek kąpielowy zamieniał skórę w różowy aksamit, pozostawiając na ścianach wanny obwódkę do usunięcia ajaksem, po którym ich ręce nabiorą szpitalnego zapachu, a mężowie stwierdzą, że są one równie ponętne jak ścierki do naczyń. No i oczywiście łzy – z powodu braku urody, przemijającej młodości... Wiedziałam wszystko na temat ucieczki, na tym zostałam wychowana.

Bohaterki moich książek były jedynie statystkami: ich rysów nigdy wyraźnie nie określałam, a twarze stanowiły ciasto, z którego każda czytelniczka mogła ulepić własną twarz, przydając jej nieco urody. W setkach tysięcy domów te ukryte osobowości wstają nocą z przyziemnych łóżek swoich władców, by ruszyć na spotkanie przygód tak skomplikowanych i powabnych, że nie sposób przyznać się do nich nikomu, a już szczególnie mężom, którzy wychrapują właśnie swoje czarowne sny, igrając w nich co najwyżej z króliczkiem „Playboya". Znałam na wylot moje czytelniczki, chodziłam z nimi do szkoły, byłam dobrym kumplem, zgłaszałam się na ochotnika do różnych komitetów, dekorowałam salę gimnastyczną w liceum napisami w rodzaju: *BAW SIĘ RAZEM Z NAMI* i *DIABELSKI MŁYN*, a potem szłam do domu, jadłam kanapki z masłem orzechowym i czytałam kieszonkowe wydania książek, podczas kiedy cała reszta tańczyła. Byłam Osobowością, Powiernicą przez duże P i Prawdziwą Przyjaciółką. Zwierzały mi się ze wszystkiego.

Teraz mogłam odgrywać w stosunku do nich rolę dobrej wróżki, pomimo ich oczywistych defektów – za chudych łydek, szpecącego zarostu na górnej wardze, któremu tyle miejsca poświęcają gęsto nabite działy reklamy magazynów filmowych, guzowatych łokci przypominających kurze łapy. Każdą z nich mogłam przemienić z Kopciuszka w królewnę. Wojna, polityka i wyprawy badawcze nad Amazonkę, te inne wielkie ucieczki, były dla nich, ogólnie rzecz biorąc, niedostępne, a hokej i futbol, w które i tak nie grywały, nie interesowały ich specjalnie. Dlaczego im żałować tych zamków z ich tyranami i książętami, i kim znowu takim jest Artur, żeby mówić o społecznych zależnościach? Czasami rzygać

mi się chciało od jego cholernych teorii i ideologii. Bo przecież to właśnie ja dawałam ludziom nadzieję, oferując im wizję lepszego świata, choćby niedorzeczną. Czy to coś złego? Nie uważałam, żeby moja wizja tak bardzo się różniła od tej, którą proponowali Artur i jego przyjaciele, czy też żeby była mniej realna.

No więc dobrze, interesujesz się ludem i robotnikami, tłumaczyłam się mu w długich nocnych monologach. Otóż właśnie to jest to, co twój lud i robotnicy czytają, a przynajmniej co czytają kobiety, kiedy mają czas i serdecznie dość realizmu społecznego *Prawdziwych wyznań.* Czytają właśnie moje książki. Wyobraź sobie.

Ale mówiąc takie rzeczy, posunęłabym się za daleko, nadepnęłabym mu na najboleśniejszy odcisk, byłoby to kalanie świętości. Raczej należało podejść do sprawy z punktu widzenia materialistyczno-deterministycznego: „Wiesz co, Artur, tak się akurat składa, że jestem w tym dobra, to mi pasuje. Odkryłam to przypadkiem, ale teraz połknęłam bakcyla i to jest mój zawód, nie umiałabym już inaczej zarabiać na życie. Jak mówią prostytutki: dlaczego, do diabła, miałabym być kelnerką? Zawsze mi powtarzałeś, że kobieta powinna przez ważną pracę starać się osiągnąć pełnię człowieczeństwa, i bez przerwy mnie pilnowałeś, żebym sobie taką pracę znalazła. No więc to jest właśnie taka praca i uważam ją za ważną. Naprawdę nie jestem trutniem, napisałam piętnaście takich powieści".

Ale Artur by tego nie kupił. Marlena, wzorzec pozytywny, pracowała przez trzy miesiące jako zecerka w drukarni („Nigdy nie zrozumiesz naprawdę klasy robotniczej, dopóki nie znajdziesz

się z nimi po tamtej stronie"). Dla takiego snoba jak Artur nic poniżej tego nie wchodziło w grę.

Biedny Artur. Myślałam o nim, samotnym w naszym mieszkaniu, pośród gruzów naszego małżeństwa. Ciekawe, co robi w tej chwili. Czy upycha moje czerwone i pomarańczowe sukienki do worka z napisem „Pomoc dla niepełnosprawnych cywilów"? Czy opróżnia do śmieci moją szufladę z kosmetykami? Czy może kartkuje zeszyt z wycinkami, który prowadziłam przez te pierwsze tygodnie dziecinnej euforii po wyjściu *Pani Wyroczni*? Co za naiwność sądzić, że oni wszyscy zaczną mnie w końcu szanować... Zeszyt pójdzie do śmieci łącznie z resztą tego, co ze mnie po tamtej stronie zostało. Ciekawe, co sobie zatrzyma – rękawiczkę, pantofel?

A może mnie żałuje? Była to nowa myśl: jest smutny, czuje się nawet osierocony, tak jak ja. Uderzyło mnie nagle, że mogłam go źle oceniać. A jeśli przestał mnie już nienawidzić, jeśli poniechał zemsty? Może zrobiłam mu coś strasznego, coś ostatecznego. Może należało wysłać z Rzymu anonimową kartkę: „Joan żyje". Podpisano: „Przyjaciel" – żeby go pocieszyć?

Powinnam mu była bardziej zaufać. Powinnam być uczciwa od samego początku, nie kryć uczuć, mówić wszystko. (Lecz gdyby wiedział, jaka jestem naprawdę, to czyby mnie mimo to kochał?). Problem polegał na tym, że chciałam mu zostawić jego własne złudzenia, co zresztą nie było trudne – wystarczyło tylko zachować pewną powściągliwość: po prostu nigdy nie mówiłam mu nic ważnego.

Jednak to nie większa uczciwość była mu potrzebna, tylko przeciwnie – większa nieuczciwość. Doświadczenie nauczyło mnie,

że uczciwość i zdradzanie własnych uczuć mogą prowadzić tylko do jednego – do katastrofy.

CZĘŚĆ
DRUGA

5

Jeśli wypuścisz jednego robaka z puszki robaków, to wszystkie pozostałe pójdą w jego ślady. Tak mawiała ciotka Lou; miała w zanadrzu wiele pożytecznych maksym – jedne czerpała gotowe z tradycji, inne wymyślała sama. Spotkałam się na przykład, nie u ciotki, z powiedzeniem: „Język jest nieprzyjacielem szyi", ale nigdy: „W każdym worku jest więcej niż jeden kot" albo „Nie licz na króliki, dopóki nie wylezą z kapelusza". Ciotka Lou była zwolenniczką dyskrecji, ale tylko w sprawach ważnych.

To był powód, dla którego niewiele mówiłam Arturowi na temat mojej matki. Gdybym zaczęła o niej mówić, bardzo szybko odkryłby całą prawdę o mnie. Na jego użytek wymyśliłam swoją matkę, miłą, spokojną kobietę, która umarła na rzadką chorobę – chyba toczeń – wkrótce potem, jak się poznaliśmy.

Na szczęście Artur nigdy się specjalnie nie interesował moją przeszłością, był zbyt zajęty opowiadaniem mi o swojej. O jego matce dowiedziałam się wszystkiego: jak twierdziła, że wiedziała o fakcie jego poczęcia dokładnie w chwili, kiedy się to stało, i jak przeznaczyła go od razu, kiedy jeszcze był w jej łonie, do stanu duchownego (obrządku anglikańskiego), i jak mu groziła poobcinaniem palców, kiedy w wieku lat czterech bawił się

ptaszkiem. Wiedziałam, jak bardzo pogardzał nią i jej wiarą w ciężką pracę i postęp, która w dziwny sposób przypominała jego poglądy, i jak się bał jej pedanterii, znajdującej wyraz w pielęgnowaniu rabatek kwiatowych, do których pielenia był zmuszany. Słyszałam o jej pełnym potępienia stosunku do picia, jak również o maleńkim barze jego ojca mieszczącym się w sali rekreacyjnej tej rezydencji sędziego z Fredericton, od której Artur, jak twierdził, całkowicie się odciął, i o butelkach pozatykanych korkami zdobnymi w miniaturowe złote główki Szkotów, wyglądające perwersyjnie jak sutki – a może to tylko ja tak je sobie wyobrażałam. Wiedziałam o najróżniejszych histerycznych listach jego matki, wydziedziczających go za to czy za tamto – za sprawy polityczne, religijne, seks. Jeden z tych listów przyszedł, kiedy się dowiedziała, że zamieszkaliśmy razem, czego mi nigdy nie darowała.

O wszystkich tych potwornościach i niesprawiedliwościach słuchałam cierpliwie, częściowo w nadziei, że go stopniowo zacznę rozumieć, ale głównie z przyzwyczajenia. Na tym etapie mego życia byłam dobrą słuchaczką, kultywowałam sztukę słuchania, uważając, że przynajmniej w tym powinnam być dobra, skoro nie mogę w niczym innym. Słuchałam wszystkiego, bez względu na to, o czym mówił, w stosownych momentach pomrukując, podtrzymując na duchu, nie angażując się, bezstronna i pełna współczucia jak poduszka. Zaczęłam nawet podsłuchiwać pod drzwiami, w autobusach i restauracjach, ale jako czynność całkowicie jednostronna było to zupełnie co innego. Tak więc bez trudu słuchałam Artura, dzięki czemu wiedziałam znacznie

więcej o jego matce niż on o mojej, nie na wiele mi się to jednak zdało. Wiedza niekoniecznie oznacza siłę.

Jedno mu wszakże powiedziałam, co powinno było zrobić na nim znacznie większe wrażenie, niż zrobiło: moja matka dała mi imię na cześć Joan Crawford. Była to jedna z rzeczy, które mnie zawsze u niej zastanawiały. Czy dała mi imię Joan Crawford, bo chciała, żebym była jak bohaterki filmów, w których grywała – piękna, ambitna, bezwzględna i obdarzona niszczycielską siłą w stosunku do mężczyzn – czy dlatego, żeby mi się w życiu wiodło? Według mojej matki Joan Crawford ciężko pracowała, miała silną wolę i startując od zera, sama do wszystkiego doszła. A może dała mi cudze imię, żebym nigdy nie miała własnego? Ale tak naprawdę Joan Crawford też nie miała własnego imienia. W rzeczywistości nazywała się Lucille LeSueur, co by do mnie znacznie lepiej pasowało. Lucy Pot. Kiedy miałam osiem czy dziewięć lat, matka spoglądała na mnie w zadumie. „I pomyśleć, że nazwałam cię na cześć Joan Crawford" – mawiała. Żołądek podjeżdżał mi wtedy do gardła, ogarniał mnie wstyd, wiedziałam, że ma do mnie pretensje, ale do dziś nie wiem o co. Bo Joan Crawford miała niejedno oblicze. W gruncie rzeczy było w niej coś tragicznego: duże, poważne oczy, smutne usta, wystające kości policzkowe, no i różne nieszczęścia, które jej się przytrafiały. Może chodziło o to. Albo raczej – co ważniejsze – o to, że Joan Crawford była szczupła.

A ja nie byłam, co stanowiło jedno z licznych przewinień, których matka nigdy mi do końca nie wybaczyła. Początkowo byłam zwyczajnie pulchna, na pierwszych fotografiach w albumie matki wyglądałam po prostu na zdrowe dziecko, niewiele bardziej

dorodne niż inne niemowlęta w moim wieku, a jedynym, co mnie wyróżniało, było to, że nigdy nie patrzyłam w aparat – zawsze usiłowałam coś włożyć do buzi: zabawkę, rękę, butelkę. Zdjęcia następowały po sobie seriami i chociaż właściwie nie tyłam, to jednak nigdy nie wyrosłam z tego, co się nazywa niemowlęcym tłuszczykiem. Kiedy skończyłam sześć lat, zdjęcia urwały się gwałtownie. Widocznie matka machnęła na mnie wtedy ręką – bo to ona była autorką fotografii; być może nie życzyła sobie dalszej dokumentacji mojego rozwoju. Zdecydowała, że się nie nadaję.

Dość wcześnie zdałam sobie z tego sprawę. Matka zapisała mnie do szkoły tańca, gdzie niejaka panna Flegg, niemal tak szczupła i krytyczna jak ona, uczyła stepowania i baletu. Zajęcia odbywały się w długiej sali położonej nad sklepem rzeźnika i na zawsze zapamiętałam, jak w miarę wspinania się po zakurzonych schodach zapach trocin i surowego mięsa stopniowo ustępował zaduchowi zmęczonych stóp pomieszanemu z wonią wody kolońskiej Yardleya panny Flegg. Moja matka podjęła tę decyzję częściowo dlatego, że zapisywanie siedmioletnich dziewczynek do szkoły tańca było modne – hollywoodzkie musicale nie straciły jeszcze na popularności – a częściowo w nadziei, że przestanę być taka pulchna. Nie powiedziała mi tego jednak, powiedziała to pannie Flegg; jeszcze wtedy nie mówiła o mnie, że jestem gruba.

Kochałam tę szkołę. Taniec szedł mi zresztą nieźle, chociaż panna Flegg od czasu do czasu stukała mocno w podłogę swoją pałeczką i mówiła: „Joan, kochanie, przestań tupać”. Jak większość dziewczynek w tamtych czasach uwielbiałam tancerki; taniec był zajęciem dla dziewczyn, rozpłaszczałam więc swój perkaty nos o szybę wystawową jubilera i pożerałam wzrokiem

pozytywki z porcelanowymi figurynkami pięknych dam w zwiewnych różowych spódniczkach, z różą w twardych ceramicznych włosach, wyobrażając sobie, jak śmigam w powietrzu, unoszona przez szczupłego partnera w czarnych trykotach, lekka niby piórko, odziana w rodzaj koronkowej serwetki, z włosami pełnymi diamentów iskrzących się jak nadzieja.

Na lekcjach pracowałam uczciwie, uważając pilnie, a czasem ćwiczyłam jeszcze w domu, owijając się w starą koronkową zasłonę z łazienki, którą wyżebrałam u mamy, kiedy ją chciała wyrzucić do śmieci. Najpierw ją jednak uprała; nie znosiła brudu. Marzyłam o czarnych satynowych baletkach, ale panna Flegg wyjaśniła, że jesteśmy za małe – kości stóp nie stwardniały nam jeszcze do końca. Musiałam się więc zadowolić czarnymi kapciami z prozaiczną gumą na podbiciu.

Panna Flegg była pełna inwencji – twórcza, jak by się dzisiaj powiedziało. Jako osoba nauczająca małe dzieci podstaw tańca, nie miała jednak wielkiego pola do popisu, wyżywała się więc w corocznych wiosennych pokazach. Owe pokazy miały głównie na celu zrobienie odpowiedniego wrażenia na rodzicach, ale również na samych dziewczynkach, po to żeby domagały się zapisania na przyszły rok.

Osobiście odpowiedzialna za układ choreograficzny całego programu była rzecz jasna panna Flegg. Dekoracje i rekwizyty również były jej dziełem, podobnie jak projekty kostiumów, których wykonanie, wraz z dokładnymi instrukcjami, powierzała matkom. Moja matka nie lubiła szyć, ale z tej okazji się poświęcała, przykrawając i upinając co trzeba, jak inne matki.

Może wtedy nie machnęła na mnie ręką całkowicie, może jeszcze o mnie walczyła.

Panna Flegg dzieliła nas według wieku na grupy odpowiadające poszczególnym klasom. Było tych grup pięć: Mikrusy, Malinki, Margarytki, Małolatki i Młódki. Jej kanciasta powierzchowność – długie, kościste ręce, włosy zwinięte w koczek i pajęcze brwi narysowane, jak się później zorientowałam, ołówkiem – kryła pokłady sentymentalizmu, który nadawał ton jej pomysłom. Ja byłam Mikrusem, co stanowiło sprzeczność, ponieważ będąc cięższa od wszystkich innych w grupie, zaczynałam być także wyższa. Ale to mi nie przeszkadzało, prawdę powiedziawszy, nawet tego nie zauważałam, z każdym dniem coraz bardziej podniecona perspektywą występu. Godzinami ćwiczyłam w suterenie, jedynym miejscu, gdzie mi pozwalano ćwiczyć, po tym jak niechcący przewróciłam i stłukłam biało-żółtą lampę w kształcie ananasa należącą do kompletu mamy. Kręciłam więc piruety koło pralki, nucąc w myślach muzykę taneczną, gięłam się w ukłonach przed piecem, w którym nadal paliło się w tamtych czasach węglem, robiłam uniki pomiędzy złożonymi podwójnie prześcieradłami suszącymi się na sznurze, a kiedy wyczerpana, bez tchu i pokryta pyłem węglowym wspinałam się po schodach na górę, stawałam twarzą w twarz z matką, która miała usta pełne szpilek. Po porządnym myciu ustawiała mnie na krześle, z poleceniem, żebym się powoli obracała. A ja ledwie mogłam ustać spokojnie, mimo że była to przymiarka kostiumu.

Zniecierpliwienie mojej matki równało się niemal mojemu, chociaż było innego rodzaju. Może nawet zaczęła już żałować, że mnie posłała do szkoły baletowej. Po pierwsze, wcale nie

szczuplałam, po drugie, robiłam teraz dwa razy więcej hałasu niż zwykle, zwłaszcza kiedy ćwiczyłam stepowanie w lakierkach podkutych blaszkami na gołej drewnianej podłodze w holu, czego mi nie było wolno, a po trzecie, miała kłopoty z moimi kostiumami. Stosowała się wprawdzie do instrukcji, ale jakoś nic jej nie wychodziło.

Kostiumy były trzy, ponieważ Mikrusy miały trzy numery: *Pora tulipanów* – balet holenderski, do którego ustawiałyśmy się w rzędzie parami, wymachując ramionami i udając wiatraki, *Rzućcie kotwicę* – stepowanie z szybkimi zwrotami i salutowaniem (było to wkrótce po zakończeniu wojny i motywy wojskowe nie wyszły jeszcze z mody) i *Motyli żart*, pełen wdzięku numer, którego delikatne trzepotanie najbardziej odpowiadało mojemu wyobrażeniu o tym, jak powinien wyglądać taniec. Był to mój ulubiony numer, a do niego miałam ulubiony kostium: spódniczka z gazy, krótka jak u prawdziwej baletnicy, dopasowany stanik na ramiączkach, stroik na głowę z połyskliwymi owadzimi czułkami i kolorowe skrzydła z celofanu rozpięte na ramkach zrobionych z wieszaków, dostarczonych przez pannę Flegg. Te skrzydła stanowiły przedmiot moich szczególnych pragnień, ale wolno nam było je włożyć dopiero w dniu występu, z obawy że zostaną uszkodzone.

Właśnie ten kostium przysparzał mamie najwięcej kłopotów; pozostałe były łatwiejsze: strój holenderski składał się z długiej spódnicy z czarnym stanikiem i białymi rękawami, a ja i tak stałam w ostatniej parze. W numerze *Rzućcie kotwicę* miałyśmy sukienki obszyte po marynarsku lamówką. Z tym też nie było problemu – sukienki zachodziły wysoko na szyję, miały długie

rękawy i były luźne w talii, a ja znów z powodu wzrostu stałam w tylnym szeregu; nie awansowałam na jedną z trzech gwiazd, które, uczesane w loki à la Shirley Temple, wykonywały solówki na bębenkach zrobionych ze skrzynek po serze. Ale na tym mi tak bardzo nie zależało, mnie się marzył główny numer z motylami. Duet z udziałem jedynego w klasie chłopaka, Rogera. Podkochiwałam się w nim trochę i miałam nadzieję, że jego partnerka zachoruje i będą musieli wziąć mnie. Obkułam jej rolę równie dobrze jak swoją – no, prawie.

Stałam na krześle, a mama, ciężko wzdychając, wbijała we mnie szpilki, potem kazała mi się powoli obracać i marszcząc brwi, wbiła we mnie jeszcze więcej szpilek. Sprawa była jasna: w krótkiej różowej spódniczce, z wyeksponowaną talią i odsłoniętymi rękami i nogami, wyglądałam groteskowo. Odtwarzam to teraz z punktu widzenia osoby dorosłej, zdenerwowanej i pruderyjnej jak wówczas moja matka czy panna Flegg, i rzeczywiście: z moimi galaretowatymi udami i pecynami tłuszczu w miejscach, gdzie miały być później piersi, z pulchnymi ramionami i grubą talią musiałam wyglądać obrzydliwie, niemal starczo, nieprzyzwoicie, jak sypiąca się striptizerka. Byłam dzieckiem, które zdaniem tamtych ludzi z początku 1949 roku nie powinno się pokazywać publicznie w tak skąpym stroju. Nic dziwnego, że zakochałam się w wieku dziewiętnastym; w tamtych czasach, jak wynikało z nieprzyzwoitych kart pocztowych, ciało było w cenie.

Matka walczyła z kostiumem: podłużyła go, dodała jeszcze jedną warstwę gazy, żeby nie prześwitywał, podwatowała stanik – wszystko na nic. Nawet mnie samą z lekka zatkało, kiedy mi

w końcu pozwoliła spojrzeć w trzyczęściowe lustro toaletki. Chociaż byłam za młoda na to, żeby się niepokoić swoją figurą, efekt niezupełnie odpowiadał moim oczekiwaniom. Nie przypominałam motyla. Ale wiedziałam, że wszystko zależy od skrzydeł. Wierzyłam w magiczne przeobrażenia, nawet wtedy.

Próba generalna miała się odbyć po południu, a pokaz jeszcze tego samego dnia wieczorem. Przerwa między jednym a drugim była tak krótka, ponieważ mieliśmy występować nie w pomieszczeniu nad sklepem rzeźniczym, gdzie byłoby za ciasno, tylko w auli szkoły średniej, specjalnie wynajętej na tę sobotę. Odprowadzała mnie matka, niosąc moje kostiumy w tekturowym pudle. Scena była ciasna i miała słabą akustykę, ale wszystko wynagradzała pluszowa kurtyna, miękka i purpurowa; dotknęłam jej przy pierwszej sposobności. Za kulisami wrzało. Był tam cały tłum matek. Niektóre z nich zgłosiły się na ochotnika do robienia makijażu i malowały właśnie twarze swoim i cudzym córkom – usta ciemnoczerwoną szminką, rzęsy czarnym tuszem, który usztywniał je jak druty. Umalowane i przebrane dziewczęta stały pod ścianą, żeby niczego nie zepsuć, nieruchome jak ofiary w świątyni. W tym czasie starsze uczennice przechadzały się, plotkując; dla nich nie było to już takie ważne, one już to robiły, miały swoje numery przećwiczyć później.

Pora tulipanów i *Rzućcie kotwicę* poszły gładko. Przebierałyśmy się za kulisami w plątaninie rąk i nóg, chichocząc nerwowo i zapinając sobie nawzajem haftki i zamki błyskawiczne. Wokół lustra zebrał się pokaźny tłumek. Malinki, które występowały na zmianę z nami, były właśnie na scenie z numerem *Koci, koci łapci*, podczas gdy panna Flegg stała za kulisami, oceniając je,

wymachując do taktu swoją pałeczką i od czasu do czasu pokrzykując. Była podniecona. Kiedy wkładałam kostium motyla, zobaczyłam obok niej moją matkę.

Miała siedzieć w pierwszym rzędzie, tam gdzie ją zostawiłam, na składanym krzesełku, z rękawiczkami na kolanach i z papierosem, i kołysać nogą w odkrytym pantoflu na wysokim obcasie – a ona zamiast tego rozmawiała z panną Flegg. Panna Flegg spojrzała w moją stronę, po czym podeszła do mnie, tuż za nią mama. Stała z zaciśniętymi ustami, mierząc mnie wzrokiem.

– Rozumiem, o co pani chodzi – zwróciła się do niej panna Flegg.

Wspominając później z urazą tę scenę, myślałam zawsze, że gdyby nie matka, panna Flegg niczego by nie dostrzegła, ale może tylko mi się tak wydaje. Bo panna Flegg dostrzegła, dostrzegły obie, że jej wesoły, jej artystyczny, jej wzniosły *Motyli żart* został sprowadzony do czegoś śmiesznego i gorszącego przez obecność małej, tłustej dziewczynki, która bardziej przypominała gigantyczną gąsienicę, czy nawet białą larwę, jeśli już chodzi o ścisłość, niż motyla.

Było to za wiele dla panny Flegg. Końcowy efekt liczył się nade wszystko. Chciała zebrać komplementy, i to szczere, a nie wyrażane bez przekonania, ze współczuciem czy powstrzymywanymi uśmieszkami. Teraz ją rozumiem, ale wtedy nie potrafiłam. W każdym razie inwencja jej nie opuściła. Pochyliła się nade mną, położyła mi rękę na nagim, okrągłym ramieniu i zaciągnęła mnie w kąt. Uklękła i swoimi czarnymi, obdarzonymi wielką siłą oczami wpatrzyła się w moje. Jej rozmazane brwi to się wznosiły, to opadały.

– Joan, kochanie, a co byś powiedziała na specjalną rolę?

Uśmiechnęłam się do niej niepewnie.

– Czy mogłabyś coś dla mnie zrobić? – zapytała ciepło.

Skinęłam głową. Byłam chętna do współdziałania.

– Postanowiłam odrobinę zmienić ten taniec – powiedziała panna Flegg. – Zdecydowałam, że dodam nowy element, a ciebie, jako najbystrzejszą z całej grupy, wybrałam do tej specjalnej roli. Jak myślisz, dasz radę, kochanie?

Dostatecznie dobrze znałam pannę Flegg, by wiedzieć, że ta jej serdeczność jest podejrzana, ale mimo wszystko dałam się nabrać. Skwapliwie skinęłam głową, podniecona myślą, że zostałam do czegoś wybrana. Może wystąpię w motylim duecie z Rogerem, może dostanę większe, ważniejsze skrzydła? Byłam pełna zapału.

– No to świetnie – rzekła panna Flegg, zaciskając dłoń na moim ramieniu. – Chodź więc zaraz i wskocz w swój nowy kostium.

– A czym będę? – spytałam, kiedy mnie prowadziła.

– Kulką naftaliny, kochanie – odparła pogodnie, jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie.

Jej pełen inwencji umysł, być może wsparty wcześniejszymi doświadczeniami, już dawno sformułował pewną podstawową zasadę dotyczącą takich sytuacji: jeżeli masz się ośmieszyć i nie ma na to rady, udawaj, że tak właśnie miało być. Ja również poznałam tę zasadę, ale znacznie później, nieświadomie. Poczułam się dotknięta do żywego, w gruncie rzeczy zniszczona, kiedy się okazało, że na życzenie panny Flegg mam zdjąć zwiewną spódniczkę i czułki i włożyć jeden z białych kostiumów, których Małolatki używały do numeru *Piknik misiów*. Zażądała też, abym zawiesiła sobie na szyi wielką tablicę z napisem NAFTALINA.

„Żeby wszyscy wiedzieli, kochanie, kim jesteś”. Ona sama miała wykonać ten napis między próbą a przedstawieniem.

– A czy mogę zatrzymać skrzydła? – spytałam. Zaczynały do mnie docierać potworne rozmiary poświęcenia, jakiego ode mnie wymagała.

– No wiesz! Kto słyszał, żeby kulka naftaliny miała skrzydła? – spytała tonem, który miał być zarazem żartobliwy i rzeczowy.

Jej pomysł polegał na tym, że gdy już motyle zakończą swoje igraszki, wtedy ja się właduję między nie w swoim niedźwiedzim kostiumie i z napisem na piersi, a one się rozpierzchną. To będzie bardzo oryginalne, zapewniła mnie panna Flegg.

– Ale mnie się podobał ten taniec taki, jaki był – powiedziałam nieśmiało. – Nie chcę tam nic zmieniać. – Byłam bliska łez, może nawet już płakałam.

Zachowanie panny Flegg uległo nagłej zmianie. Przysunęła twarz tak blisko mojej twarzy, że widziałam wszystkie zmarszczki wokół jej oczu i czułam ostry zapach pasty do zębów z jej ust, i powiedziała wolno a dobitnie:

– Zrobisz tak, jak ci mówię, albo w ogóle nie weźmiesz udziału w występie. Zrozumiano?

Całkowitego pominięcia już bym nie zniosła. Skapitulowałam, ale zapłaciłam za to. Musiałam stać w przebraniu kulki naftaliny, z ręką panny Flegg na ramieniu, podczas gdy ona wyjaśniała zmiany w programie i moją nową rolę innym Mikrusom, wiotkim sylfidom w zwiewnych spódniczkach i z lśniącymi skrzydłami. Patrzyły na mnie z wyrazem pogardy na umalowanych ustach; nie dały się nabrać.

Wracałam z matką do domu, nie odzywając się do niej, ponieważ mnie zdradziła. Padał lekki śnieg, mimo że był kwiecień, z czego byłam zadowolona, bo włożyła białe pantofle z odkrytymi czubkami i wiedziałam, że przemoczy nogi. Zamknęłam się w łazience, żeby nie miała do mnie dostępu, i dopiero wtedy zaczęłam niepohamowanie płakać, leżąc na podłodze z twarzą wtuloną w puszysty różowy dywanik. Następnie tak przysunęłam kosz na brudną bieliznę, żeby móc na nim stanąć i przejrzeć się w lustrze. Cały makijaż mi spłynął: na policzkach miałam czarne smugi, jak łzy z sadzy, a moje purpurowe wargi były porozmazywane i spuchnięte. Co się ze mną działo? Przecież nie chodziło o to, że nie będę mogła tańczyć.

Matka pertraktowała ze mną krótko przez zamknięte drzwi łazienki, a potem zaczęła grozić. Wyszłam, ale odmówiłam zjedzenia obiadu: ktoś jeszcze oprócz mnie musiał cierpieć. Matka starła mi z twarzy makijaż cold creamem Ponda, besztając mnie, że trzeba będzie robić wszystko od nowa, i znów poszłyśmy na występ. (Gdzie się wtedy podziewał mój ojciec? Nie było go w domu).

Stałam za kulisami, czerwona i spocona, w znienawidzonym kostiumie, i zazdrośnie słuchałam wstępnych pokasływań i szurania składanych krzeseł, a następnie patrzyłam, jak motyle lekko i zwiewnie powtarzają ruchy, które znałam – jestem przekonana – znacznie lepiej niż którakolwiek z dziewcząt. Najgorsze było to, że w dalszym ciągu nie rozumiałam do końca, dlaczego zostałam w ten sposób potraktowana, skąd to upokorzenie ukryte pod pozorami przywileju.

W odpowiednim momencie panna Flegg wypchnęła mnie na scenę, na którą wtoczyłam się, usiłując, zgodnie z zaleceniem, w maksymalnym stopniu przypominać kulkę naftaliny. A potem zaczęłam tańczyć; nie był to żaden konkretny układ, ponieważ nikt mnie takiego nie nauczył, improwizowałam więc na poczekaniu. Wymachiwałam ramionami, wpadając na motyle, okręcałam się w kółko, waląc nogami w deski nędznej sceny, która aż drżała. Z zapamiętaniem wczułam się w rolę; był to taniec rozpaczy i zagłady – łzy ciekły mi po twarzy pod futrem – motyle muszą zginąć! Stopy bolały mnie jeszcze długo po występie. „To nie ja – powtarzałam sobie w myśli. – To oni mnie do tego zmuszają". I pomimo że byłam ukryta w przebraniu niedźwiedzia, w którym biły na mnie siódme poty, czułam się obnażona i wystawiona na widok publiczny, jakby ten groteskowy taniec zdradzał całą prawdę i wszyscy mogli ją poznać.

Na dany znak motyle rozpierzchły się i ku mojemu zdumieniu zostałam pośrodku sceny sama, twarzą w twarz z publicznością, która nie tylko się śmiała, ale i energicznie klaskała. Nawet kiedy te ślicznotki, te kruche elfy, wyszły na scenę do ukłonów, śmiech i oklaski nie ustawały i kilka osób, głównie ojcowie, krzyczało: „Brawo, Naftalina!". Zaintrygowało mnie, że niektórym bardziej podobał się mój niezgrabny, brzydki kostium niż urocze stroje innych dziewcząt.

Po występie pannie Flegg gratulowano genialnego pomysłu z Naftaliną. Nawet moja matka robiła wrażenie zadowolonej.

– Świetnie się spisałaś – powiedziała, ale ja i tak w nocy opłakiwałam moje utracone skrzydła. Wiedziałam, że już nigdy nie będę miała okazji w nich wystąpić; mimo szczerego

zamiłowania do tańca postanowiłam jesienią nie wracać do szkoły. To prawda, że w większym stopniu skupiłam na sobie uwagę innych, ale nie byłam pewna, czy rzeczywiście o to mi chodziło. Poza tym kto by chciał się ożenić z kulką naftaliny? Było to pytanie, które matka często mi stawiała – później, w innej formie.

6

Początkowo za każdym razem, kiedy przeżywałam w myślach tę historię, z głową pod poduszką albo w samotności zamkniętej łazienki, napełniała mnie ona takim samym uczuciem wściekłości, bezradności i poczuciem zdrady jak wtedy. Stopniowo jednak, zwłaszcza kiedy wyobrażałam sobie, że ją komuś opowiadam, zaczęła mi się wydawać śmieszna. Słuchacze bowiem, zamiast potępiać niesprawiedliwość mojej matki, z pewnością śmialiby się ze mnie. Nie jest łatwo czuć szczere współczucie dla otyłej siedmiolatki przebranej na siłę za kulkę naftaliny i zmuszonej do tańca, ten obraz jest po prostu zbyt śmieszny. Gdybym jednak przedstawiła siebie jako pełną czaru i zwiewną, uznaliby całą historię za wzruszającą i rażąco niesprawiedliwą. Zdawałam sobie z tego sprawę, mając zaledwie dziesięć lat. Gdyby Desdemona była tłusta, kogo by to obchodziło, czy Otello ją udusił, czy nie? Dlaczego dziewczyny, nad którymi znęcają się faceci na okładkach szmatławych pisemek dla mężczyzn, są z reguły śliczne? Gdyby były tłuste, efekt byłby dokładnie odwrotny. Mężczyźni uważaliby to za coś zabawnego, nie zaś niemoralnego czy podniecającego seksualnie. A przecież kobiety tłuste i brzydkie są w równym

stopniu narażone na tortury co szczupłe. Może nawet w większym.

Rok po klęsce ze szkołą tańca, kiedy miałam osiem lat, przenieśliśmy się z ciasnego dwurodzinnego domku do troszkę większego, przypominającego bungalow pudełka, położonego w pobliżu domu towarowego Loblawsa. Wprawdzie w żadnej mierze nie odpowiadał wyobrażeniom mojej matki o przyzwoitym domu, jednak był czymś znacznie lepszym od tymczasowych sublokatorskich pokojów, obskurnych mieszkań czy poddaszy starych domów, którymi musiała się zadowalać do tej pory. Dla mnie oznaczało to nową szkołę i nowe otoczenie; moja matka uznała, że najlepiej ułatwi mi proces adaptacji, jak się wyraziła, zapisując mnie do zuchów. W sposób dla siebie charakterystyczny nie wybrała jednak najbliższej drużyny, do której należała większość dziewczynek z mojej klasy. Zdecydowała się na dalszą, w lepszej dzielnicy, skupiającą dzieci z zupełnie innych szkół. Tak więc jej przedsięwzięcie nie służyło żadnemu z zamierzonych celów. Nie tylko bowiem nie pomagało mi poznać lepiej koleżanek z mojej szkoły, ale wręcz przeciwnie – mając zbiórki we wtorki, musiałam w te dni wychodzić ze szkoły wcześniej, żeby na nie zdążyć, a w organizacji zuchowej też byłam obca, jako przybysz spoza dzielnicy.

Żeby się dostać na zbiórkę, musiałam jechać tramwajem, a żeby dotrzeć na przystanek tramwajowy, musiałam przechodzić przez jeden z licznych wąwozów, które wiły się przez miasto. Tego wąwozu matka bała się szczególnie: cały był pokryty pnączami i zachwaszczony, zarośnięty gąszczem wikliny i krzewów, a za każdym krzewem czaił się w wyobraźni matki jakiś zboczeniec,

stary włóczęga zidiociały od nadużywania alkoholu, gwałciciel dzieci albo ktoś jeszcze gorszy. Czasami matka nazywała ich „ekshibicjonistami", co brzmiało bardzo uczenie. W każdy więc wtorek, zanim wyruszyłam do szkoły, ubrana już od wczesnego ranka w brunatny mundurek i pantofle, które glansowałam pracowicie poprzedniego dnia wieczorem, dawała mi kazanie.

– Nie wdawaj się w żadne rozmowy z tymi paskudnymi mężczyznami – mówiła. – Jeśli któryś z nich podejdzie do ciebie w wąwozie, bierz nogi za pas i zmykaj. – Zwykle wygłaszała te ostrzeżenia podczas śniadania, tonem, który pozwalał się domyślać, że niezależnie od tego, jak szybko bym biegła, i tak nie ucieknę, ponieważ taki już mój los, i wtedy przełknięta dopiero co owsianka zbijała się w twardą grudę i opadała mi na dno żołądka. Matka nigdy nie mówiła, jak tacy mężczyźni wyglądają ani co by zrobili, gdyby mnie złapali, pozostawiając mojej wyobraźni szerokie pole do popisu. Sposób, w jaki o tym mówiła, czynił mnie za to wszystko odpowiedzialną, jakbym to ja sama posadziła te krzewy w wąwozie i ukryła za nimi złych mężczyzn, jakbym to ja sama, w razie gdyby mnie złapali, była temu winna.

Aby przeprawić się przez wąwóz, należało zejść w dół długim żwirowym zboczem, a następnie pokonać drewniany mostek, dość wiekowy. Pochylił się już ze starości, a przez dziury wygniłe w niektórych deskach widać było daleko w dole ziemię. Po drugiej stronie mostka pięła się w górę ścieżka, na której liście i gałęzie muskały przechodniów jak złe palce roślin. Zbocze i mostek pokonywałam biegiem, ciężko jak tocząca się beczka, ale kiedy zaczynało się podejście pod górę, byłam już tak zdyszana, że musiałam iść. To był najgorszy odcinek.

Potem, kiedy już wiele razy odbyłam tę drogę samodzielnie, matka znalazła rozwiązanie. Jak większość jej rozwiązań, było gorsze od samego problemu. Odkryła mianowicie, że kilka innych matek w naszej dzielnicy miało te same aspiracje co ona; w każdym razie zapisały swoje córki do tej samej drużyny zuchowej. Wiedziałam o tym już od jakiegoś czasu, ale celowo jej nie mówiłam, ponieważ były to dziewczynki starsze ode mnie, z wyższych klas, i wydawały mi się groźne. Chociaż na zbiórki chodziłyśmy tą samą drogą, to jednak zawsze starałam się iść w bezpiecznej odległości przed albo za nimi, a w tramwaju dbałam o to, żeby dzieliły nas przynajmniej cztery miejsca. Ale w tym okresie swego życia moja matka była wielką organizatorką, zadzwoniła więc do tamtych matek, które również wiedziały o złych mężczyznach, i po prostu z nimi ustaliła, że będę chodzić na zbiórki razem z ich córkami. Towarzystwo tych dziewcząt wprawdzie mnie denerwowało, ale przechodząc przez wąwóz, rzeczywiście czułam się nieco bezpieczniej.

Problem jednak polegał na tym, że mimo strachu związanego z drogą na zbiórki uwielbiałam zuchy jeszcze bardziej niż lekcje tańca. U panny Flegg trzeba się było starać, żeby być lepszą od innych, natomiast w zuchach nie należało się niczym wyróżniać i ta idea zaczynała mi się podobać. Z zapałem więc nosiłam luźny, workowaty mundurek z dziwnym wojskowym beretem i krawatem, taki sam jak strój wszystkich dziewcząt, klepałam z pamięci te same rytualne wierszyki, ściskałam dłonie, salutowałam i skandowałam wraz z innymi:

Zuchy dla starszych zrobią wszystko,
Zuchy o sobie nigdy nie myślą.

W ramach zajęć zuchowych było nawet trochę tańca. Na początku każdej zbiórki, kiedy już lekko sfatygowany muchomor z papier mâché, który był godłem naszego zastępu, został ustawiony na swoim trawiastozielonym filcowym dywaniku, a siwowłosa pani w niebieskim mundurze skautowskim i z tikiem w oku zawołała: „Hop! Hop!", zuchy wyskakiwały z czterech rogów pokoju, po sześć naraz, i miotając się w dzikim tańcu, wykrzykiwały możliwie najgłośniej słowa piosenek swoich zastępów. Mnie przypadało:

A krasnalki roześmiane
Pomagają w domu mamie.

Była to niezupełnie prawda: ja przynajmniej wcale mamie nie pomagałam. Nie pozwalała mi na to. W tych nielicznych wypadkach, kiedy usiłowałam jej pomóc, nie była zadowolona z moich wysiłków. Tylko jedno mogłoby ją zadowolić: gdybym się zamieniła w kogoś zupełnie innego. Ale tego jeszcze wtedy nie wiedziałam. Mamie nie podobały się ani mój swobodny styl słania łóżek, ani obtłuczenia i skorupy, jakie zostawały, kiedy wycierałam naczynia. Nie lubiła też szorować garnków po moich wyczynach kulinarnych („deser gotowany" to była jedna z obowiązkowych sprawności wymaganych od zuchów) ani ponownie nakrywać do stołu po tym, jak ułożyłam sztućce dokładnie na odwrót. Początkowo próbowałam ją zaskakiwać dobrymi uczynkami zalecanymi w przewodniku zuchowym.

Pewnej niedzieli, niosąc jej na tacy śniadanie do łóżka, potknęłam się i oblałam ją płatkami kukurydzianymi. To znów wyczyściłam jej przyzwoite granatowe zamszowe pantofle czarną pastą. Kiedyś postanowiłam wyrzucić śmieci, ale pojemnik okazał się za ciężki i całą zawartość wysypałam na kuchennych schodach. Matka nie należała do osób cierpliwych; bardzo szybko powiedziała mi, że woli od razu sama zrobić dobrze, niż wszystko po mnie poprawiać. Nazwała mnie niezdarą, na co oblałam się łzami; odsunięcie mnie od obowiązków domowych odczułam jako udogodnienie dopiero znacznie później. Mimo to bez wahania wyśpiewywałam przydzielone mi słowa, tańcując wokół muchomora w tumanach kurzu zalegającego kościelną suterenę i trzymając inne Krasnale za wilgotne ręce.

Pani, która prowadziła nasze zajęcia, zwana była Szarą Sową; sowa, jak nam mówiono, symbolizuje mądrość. Na zawsze zapamiętałam jej wygląd: pomarszczona jak wysuszone jabłko twarz, srebrzyste włosy, mrugające niebieskie oczy, które nie przepuściły najmniejszej plamki śniedzi na mosiężnej czarodziejskiej różdżce, brudu za paznokciem czy źle zawiązanego sznurowadła. Odwrotnie jednak niż moja matka, Szara Sowa była sprawiedliwa i miła i przyznawała punkty za dobre uczynki. Byłam nią zachwycona. Nie mogłam wprost uwierzyć, że dorosła osoba, starsza nawet od mojej matki, kuca wśród nas na podłodze i mówi rzeczy w rodzaju: „Entliczek-pentliczek” czy „Gdy krąg cię zuchów obsiędzie, to wnet ci wesoło będzie”. Szara Sowa zachowywała się tak, jakby w to wszystko wierzyła i jakby myślała, że my też wierzymy. To była zupełna nowość: spotkanie kogoś jeszcze bardziej naiwnego niż ja. Czasem nawet jej

współczułam, widząc to całe popychanie, szczypanie i kuksańce podczas chwili skupienia, no i miny, które dziewczynki robiły za jej plecami, kiedy powtarzałyśmy: „Obiecuję wypełniać swoje obowiązki wobec Boga i króla i pomagać innym, szczególnie w domu". Szara Sowa miała młodszą przyboczną, Brunatną Sowę. Jak wszyscy zastępcy na całym świecie, była ona bardziej surowa i mniej lubiana.

Trzy dziewczynki, z którymi co wtorek przeprawiałam się przez wąwóz, Elizabeth, Marlena i Lynne, były dziesięciolatkami i szykowały się już do skautów – miały tam wkrótce przefrunąć, jak się mówiło o uzyskaniu Złotych Skrzydeł. Bez Złotych Skrzydeł po prostu się do skautów przechodziło. Wszyscy wiedzieli, że Elizabeth przefrunie, była obwieszona odznakami jak walizka dyplomaty, Marlena pewnie też, Lynne zaś najprawdopodobniej nie. Elizabeth była Szostakiem, o czym świadczyły dwa paski na jej ramieniu, Marlena Chochlikiem, a czym była Lynne, nie pamiętam. Podziwiałam Elizabeth, a bałam się pozostałych dwóch, które w mniej czy bardziej bezwzględny sposób rywalizowały o jej względy.

Początkowo tolerowały mnie podczas naszych długich wypraw na przystanek tramwajowy. Musiałam wprawdzie iść trochę z tyłu za nimi, ale uważałam to za niewielką cenę w zamian za ochronę przed niewidzialnymi złymi mężczyznami. Tak było we wrześniu i w październiku, kiedy liście żółkły, spadały i płonęły w rozpalanych na chodnikach ogniskach, jeszcze wtedy niezabronionych, w sezonie jazdy na wrotkach i skakanek, w czasie gdy z podkolanówek wskakuje się w pończochy i zimowe palta. Dni stały się krótsze i teraz wracałyśmy do domu już po

ciemku, przez mostek oświetlony tylko jedną żarówką na początku i drugą na końcu. Kiedy zaczął padać śnieg, musiałyśmy włożyć rajtuzy, grube pantalony, które naciągało się na spódnice, tworzące wtedy w kroku wielkie gruzły, i przytrzymywało elastycznymi szelkami. W tamtych czasach dziewczynkom nie wolno było chodzić do szkoły w spodniach.

Wspomnienie tych ciemności, tej zimy, rajtuzów i puszystego śniegu przyginającego gałązki wikliny, tak że tworzyły nad mostkiem błękitnawy łuk, biały krajobraz, który powinien być taki piękny – wszystko to kojarzyło mi się z rozpaczą, ponieważ do tej pory Elizabeth i jej świta zdążyły odkryć mój sekret: przekonały się, jak łatwo doprowadzić mnie do płaczu. W szkole dziewczynkom nie wolno było się bić, kłócić czy nacierać sobie nawzajem twarzy śniegiem, więc tego nie robiły. Przerwy spędzałyśmy na boisku dziewcząt, w królestwie szeptów i pełnej konspiracji. Słowa nie stanowiły wstępu do wojny, tylko samą wojnę, chytrą, podjazdową wojnę, walkę bez końca, ponieważ brakowało w niej zdecydowanych działań, ostatecznych ciosów, które by można zadawać, momentów, w których można powiedzieć „poddaję się". Klęskę ponosiła ta, która pierwsza się rozpłakała.

Elizabeth, Marlena i Lynne chodziły do różnych klas; gdyby nie to, znacznie wcześniej odkryłyby moją tajemnicę. Jako ośmiolatka ciągle jeszcze byłam mazgajem, którego każdy mógł łatwo urazić, mimo że matka już wtedy ostro mnie upominała, że mam się zachowywać jak przystało na dziewczynę w moim wieku. Sama miała oczy w suchym miejscu, była chłodna i zdecydowana; dopiero znacznie później nauczyłam się doprowadzać ją do

płaczu – co potraktowałam jako swój wielki tryumf, kiedy mi się to w końcu udało.

Elizabeth była zastępową Krasnali, a ja jedną z jej pięcioosobowej świty w te spowite w obłok kurzu wtorki, kiedy odprawiałyśmy swoje rytuały, zdobywając sprawności i przyszywając guziki. Moje kłopoty zaczęły się przy węzłach. Opanowałyśmy już węzeł płaski i Brunatna Sowa, która była specjalistką od węzłów, uznała, że jesteśmy gotowe do marynarskiego. Demonstrowała nam go więc na swoim sznurze, zapętlonym na oparciu krzesła i zakończonym wspaniałym srebrnym gwizdkiem, którego wszystkie jej zazdrościłyśmy. Dostawałam autentycznego zeza od wpatrywania się w to, co robiła Brunatna Sowa, tak że prawie nic nie widziałam, i kiedy przyszła moja kolej, żeby powtórzyć magiczny węzeł, linka wyśliznęła mi się z palców jak spaghetti i został na niej jedynie zwykły supeł. Brunatna Sowa specjalnie dla mnie powtórzyła całą demonstrację, ale z nie lepszym skutkiem.

– Nie uważałaś, Joan – powiedziała.

– Uważałam – odparłam z całą szczerością.

Brunatna Sowa się zezłościła. W przeciwieństwie do Szarej Sowy wiedziała doskonale, co działo się za jej plecami, i była podejrzliwa. Mój protest wzięła za zuchwałe pyskowanie.

– Jeżeli nie będziecie się przykładały, Krasnale, zostawię was i pójdę pracować z Chochlikami. Jestem przekonana, że one są znacznie pilniejsze. – I odmaszerowała, unosząc ze sobą swój gwizdek.

Oczywiście z miejsca zaczęłam się mazać. Nie cierpiałam, jak mnie niesłusznie oskarżano. Nie cierpiałam również, jak mnie

oskarżano słusznie, ale niesprawiedliwość była znacznie gorsza.

Elizabeth przymrużyła oczy. Już miała coś powiedzieć, kiedy Szara Sowa, czujna jak zwykle, przydreptała i rzekła dziarsko:

– My tu w zuchach, Joan, nie lubimy kwaśnych min; my lubimy buzie radosne. Pamiętaj: „Ponura mina smutku ściąga chmurę; uśmiech na skrzydłach unosi cię w górę".

Skutek był taki, że zaczęłam płakać jeszcze bardziej i trzeba mnie było zamknąć w szatni, żebym nie sprawiała kłopotu, dopóki, jak się wyraziła Szara Sowa, nie odzyskam swojego zuchowego uśmiechu.

– Musisz się nauczyć nad sobą panować – powiedziała łagodnie, poklepując mnie po berecie, podczas gdy ja pochlipywałam, wstrząsana drgawkami. Nie zdawała sobie sprawy, jak wrażliwych dotyka obszarów.

Tego błękitnoczarnego wieczoru, kiedy wracałyśmy do domu, brnąc w skrzypiącym śniegu, Elizabeth zatrzymała się pod ostatnią latarnią przed mostkiem i spojrzała na pozostałe dziewczynki, a następnie wszystkie trzy wśród wesołych chichotów puściły się bez uprzedzenia biegiem w dół i zniknęły w ciemnościach wąwozu, zanim się zorientowałam, co się dzieje. Krzyknęły jeszcze tylko w moją stronę: „Zaraz cię złapie zboczeniec!", i zostawiły mnie na górze, żebym samotnie brnęła przez wąwóz. Najpierw zaczęłam wołać, potem biec za nimi, ale były za daleko. Mazałam się, idąc przez mostek, i wierzchem rękawiczek wycierałam usmarkany nos, odwracając się bojaźliwie za siebie, chociaż żaden gwałciciel dzieci ani ekshibicjonista przy zdrowych zmysłach nie wystawiłby na dwór nosa przy temperaturze bliskiej zera. Czailiby się raczej na stacjach

kolejowych czy pod osłoną kościołów, ale ja tego nie wiedziałam. Wdrapałam się wreszcie na ostatni pagórek, gdzie dziewczęta czekały na mnie w ukryciu.

– Ale z ciebie mazgaj – powiedziała Elizabeth z pogardą zaprawioną satysfakcją i to wyznaczyło ich stosunek do mnie już do końca roku.

Ich zabawa polegała na wymyślaniu coraz to bardziej pomysłowych wariantów. Czasami po prostu uciekały, a czasami groziły, że uciekną. To znów oświadczały, że ich ucieczka stanowi karę za coś, co zrobiłam lub czego nie zrobiłam tego dnia: a to za ciężko skoczyłam w kółeczku, a to stałam nie dość prosto, a to miałam pognieciony krawat, brudne paznokcie, byłam gruba. Czasem mówiły, że mi nie uciekną albo że po mnie wrócą, jeśli wykonam pewne zadanie: na przykład miałam chodzić na czworakach po śniegu i szczekać jak pies, innym razem rzucić śnieżką w przechodzącą starszą panią, a kiedy spełniłam polecenie, wytykały mnie palcami, skarżąc: „To ona! To ona!". Albo pytały: „A gdyby tak złapał cię zboczeniec, to co by z tobą zrobił?". Nie wystarczała im jednak odpowiedź: „Nie wiem", uciekały wtedy, chichocząc i powtarzając: „Ona nie wie! Ona nie wie!". Pewnego wieczoru spędziłam pół godziny, stojąc na szczycie pagórka i powtarzając dokładnie sto razy łamiącym się głosem: „Główny cel zucha – nosić dumnie skroń, każdemu podać pomocną dłoń", zanim się zorientowałam, że nie mają zamiaru dotrzymać obietnicy i po mnie wrócić. Kiedyś kazały mi przytknąć język do metalowej siatki po drodze, ale mróz był za mały i język, ku ich rozczarowaniu, mi nie przymarzł.

Ciekawe, że chociaż warunki, polecenia i wymagania dyktowała Elizabeth, to wiedziałam, że wymyślają je tamte dwie. Szczególną inwencję wykazywała Lynne. Jej sytuacja była delikatna – jako osobie o słabym charakterze groziło jej, że stanie się kimś takim jak ja. Nie mogłam poskarżyć się matce, ponieważ czułam, że obojętne, co powie, w gruncie rzeczy będzie po ich stronie. „Musisz być twarda" – pouczyłaby mnie. Jakim cudem jej córka mogła się okazać taką ofiarą?

Czasami, kiedy zostawiały mnie samą w ciemnościach na zimnie, modliłam się niemal, żeby już wreszcie ten zboczeniec wyszedł z wąwozu i zrobił ze mną to, co miał zrobić. W ten sposób bowiem, gdyby mnie porwał czy zabił, poniosłyby karę i byłyby zmuszone żałować swoich postępków. Wyobrażałam go sobie jako wysokiego mężczyznę, bardzo wysokiego, w czarnym garniturze, jak się wyłania ze śniegów niby odwrotność lawiny, z siną twarzą, pokryty lodem, z czerwonymi oczami, kudłaty, z długimi, ostrymi zębami przypominającymi sople lodu. Byłoby to przerażające, ale przynajmniej położyłoby kres koszmarowi, który wydawał się nie mieć końca. Zabrałby mnie i wszelki ślad by po mnie zaginął. Nawet mojej matce byłoby żal. Kiedyś rzeczywiście na niego czekałam, licząc pod nosem – do stu, do dwustu – tak długo, aż spóźniłam się pół godziny na kolację i matka była wściekła.

– Co się z tobą działo? – spytała.

– Bawiłam się – odparłam i matka powiedziała, że jestem bezmyślną egoistką.

Śnieg w końcu przeszedł w chlapę, a chlapa w wodę, która spływała ze wzniesienia z mostkiem dwoma strumykami, po jednym z każdej strony ścieżki; sama ścieżka zamieniła się

w błocko. Mostek był nasiąknięty wodą, śmierdział zgnilizną, gałązki wikliny pożółkły i w ruch poszły skakanki. Popołudniami znów było widno i właśnie pewnego popołudnia, kiedy Elizabeth, zamiast uciec, dla odmiany jedynie rozważała z pozostałymi dziewczętami różne możliwości, zjawił się prawdziwy mężczyzna.

Stał po drugiej stronie mostka, nieco w bok od ścieżki, i trzymał przed sobą pęk żonkili. Był przystojny, ani młody, ani stary, w przyzwoitym tweedowym płaszczu, i w żadnym razie nie wydawał się obdarty czy podejrzany. Miał gołą głowę, a cofnięta linia jego włosów w kolorze toffi odsłaniała wysokie czoło, na którym igrało słońce. Szłam z przodu, jak mi kazały (lubiły mieć mnie na oku), a one tak były pogrążone w swoich planach, że zobaczyłam go pierwsza. Mężczyzna uśmiechnął się do mnie i kiedy odwzajemniłam mu się tym samym, uniósł żonkile, ukazując rozpięty rozporek, a w nim zwisający smętnie kawał mięsa.

– Popatrzcie – powiedziałam do dziewczyn, jakbym zrobiła interesujące odkrycie. Spojrzały i natychmiast z wrzaskiem rzuciły się do ucieczki. Byłam tak zaskoczona – ich zachowaniem, nie jego – że stałam dalej jak wryta. Mężczyzna robił wrażenie z lekka przestraszonego. Miły uśmiech znikł mu z twarzy, odwrócił się, zsunął poły płaszcza i ruszył w przeciwnym kierunku. Następnie zawrócił, skłonił się przede mną i wręczył mi żonkile.

Dziewczęta czekały na mnie na ulicy, zbite w gromadkę, w bezpiecznej odległości.

– Co on mówił? Co robił? – pytały. – Nie wiesz, że to zboczeniec?

– Nie miałaś pietra? – powiedziała zazdrośnie Elizabeth.

Raz przynajmniej zrobiłam na nich wrażenie, chociaż zupełnie nie wiedziałam dlaczego – w mężczyźnie nie było nic przerażającego, uśmiechał się. Poza tym lubiłam żonkile, chociaż po drodze do domu wyrzuciłam je do rowu. Byłam dostatecznie bystra, żeby wiedzieć, że nie wytłumaczę, skąd je wzięłam, w sposób, który by zadowolił moją matkę.

Kiedy wracałyśmy z następnej zbiórki, dziewczęta były dla mnie szczególnie miłe i pomyślałam, że teraz, po długim okresie próby, zostanę ich przyjaciółką. Chyba rzeczywiście tak miało być, bo Elizabeth zapytała:

– Czy chciałabyś należeć do naszego klubu? Bo my mamy taki klub. – Usłyszałam o tym po raz pierwszy, chociaż kluby były w szkole dosyć popularne, ale tak, jasne, że chciałam do niego należeć.

– Tylko najpierw musisz przejść wstępną ceremonię – dodała Marlena. – Nie jest specjalnie trudna.

Z ceremoniami byłyśmy obeznane, pełno ich było w organizacji zuchowej. Wydaje mi się, że niektóre jej szczegóły moje koleżanki wzięły z uroczystości przyjmowania do zuchów. Prowadzono wtedy nowo wstępującego członka po tekturowych kamieniach z napisami: POSŁUSZEŃSTWO, POGODA, DOBRE UCZYNKI I UŚMIECHY. Następnie zamykało się oczy i wtedy obracano cię trzykrotnie, podczas gdy reszta recytowała:

> Czary-mary, nimfą być miałam,
> W wodę zerknęłam...

Tu należało otworzyć oczy, spojrzeć w zaczarowane jezioro, którego rolę odgrywało ręczne lusterko z plastikowymi kwiatkami

i ceramicznymi zajączkami dokoła, i powiedzieć: „Siebie ujrzałam”. To były magiczne słowa.

Kiedy więc Elizabeth poleciła mi: „Zamknij oczy”, zamknęłam. Wtedy Marlena i Lynne wzięły mnie z obu stron za ręce i poczułam, że zawiązują mi czymś miękkim oczy. Następnie poprowadziły mnie w dół, ostrzegając przed każdą dziurą czy kamieniem. Poczułam pod nogami mostek, a potem obróciły mnie kilka razy dokoła w jedną i w drugą stronę, tak że przestałam wiedzieć, co się ze mną dzieje. Ogarnął mnie lęk.

– Ja już nie chcę należeć do klubu – powiedziałam. Ale Elizabeth odparła uspokajająco:

– Chcesz, chcesz, zobaczysz, będzie ci się podobało. – I poprowadziły mnie dalej. – Stań tutaj – rozkazała Elizabeth i o mój kark otarło się coś szorstkiego. – A teraz opuść ręce po bokach. – Poczułam, że coś oplata moje ramiona, potem całe ciało, a następnie mocno się na mnie zaciska. – A teraz – dodała Elizabeth tym samym kojącym głosem – zostawimy cię tutaj dla zboczeńca. – Tamte dwie zaczęły chichotać bez opamiętania i usłyszałam, jak uciekają. Już wszystko wiedziałam: przywiązały mnie skakanką do słupka na końcu mostka, dokładnie w tym samym miejscu, w którym zeszłego tygodnia widziałyśmy mężczyznę. Zaczęłam pochlipywać.

Ale po chwili przestałam. Uświadomiłam sobie, że najprawdopodobniej mnie obserwują, ciekawe, co zrobię, dlatego postanowiłam nie robić nic. Ukradkiem poruszyłam ramionami, żeby sprawdzić, czy zdołam się oswobodzić. Ale zawiązały skakankę na tyle mocno, że nie pozostawało mi nic innego, jak czekać, aż im się znudzi i przyjdą mnie rozwiązać. Wiedziałam, że

nie mogą mnie tak po prostu zostawić – tego byłoby już za wiele. Gdybym się nie pokazała w domu na czas, moja matka zadzwoniłaby do ich matek i rozpętałoby się piekło.

Początkowo słyszałam ich niewyraźne głosy, chichot dobiegający ze szczytu pagórka, raz nawet zawołały: „Jak ci się podoba nasz klub!?". Nie odpowiedziałam, miałam ich już serdecznie dość. Po chwili przestałam słyszeć cokolwiek poza dochodzącym z wąwozu śpiewem ptaków; robiło się coraz zimniej. Pewnie sobie poszły, zamierzając wrócić po mnie później, i widocznie zapomniały.

Pochlipywałam cicho i szamotałam się w więzach, usiłując w coraz większej rozpaczy sięgnąć jedną ręką do drugiej, tak żeby móc zsunąć linkę, kiedy usłyszałam na mostku zbliżające się w moją stronę kroki. Zamarłam: może to jeden z tych zboczeńców, może wreszcie stanie się coś straszliwego, chociaż tłusta, usmarkana ośmiolatka w zuchowym mundurku nie mogła stanowić obiektu seksualnie podniecającego.

– A to co takiego? – odezwał się jakiś głos i ktoś zdjął mi przepaskę z oczu (był to zuchowy krawat Marleny).

Mężczyzna nie był ani stary, ani młody, miał na sobie tweedowy płaszcz, a pod pachą gazetę. Uśmiechnął się do mnie, ale nie wiem, czy był to ten sam człowiek co w ubiegłym tygodniu, ponieważ nosił na głowie kapelusz. Szukałam przede wszystkim łysiny z przodu i żonkili. Ten mężczyzna, w odróżnieniu od tamtego, palił fajkę.

– Cała związana, co? – zapytał, kiedy spojrzałam na niego niepewnie zapuchniętymi oczyma. Ukląkł i porozwiązywał supły. – Solidne węzły – zauważył i zapytał, gdzie mieszkam. – Odprowadzę cię do domu – zaproponował.

Powiedziałam, że nie potrzeba, że trafię sama, ale on się uparł: jest ciemno, a małe dziewczynki nie powinny same chodzić po ciemku. Wziął mnie za rękę i ruszyliśmy razem pod górę.

Nagle zobaczyłam matkę, podążającą spiesznie w naszą stronę. Była rozczochrana i bez rękawiczek i od razu poznałam, że jest wściekła. Schowałam się za tweedowy płaszcz mężczyzny, ale wyciągnęła mnie stamtąd i dała mi w twarz. Nigdy przedtem tego nie zrobiła.

– Co ty wyprawiasz? – zapytała.

Nie odezwałam się słowem. Stałam, patrząc na nią spod oka i nawet nie płacząc: potraktowała to jako coś jeszcze bardziej nienaturalnego. Zdecydowałam już wprawdzie, że koniec z mazaniem się przy ludziach, ale oczywiście nie był to koniec.

W tym momencie włączył się mężczyzna. Wyjaśnił, jak to znalazł mnie związaną, jak mnie uwolnił i postanowił odprowadzić do domu. Matka natychmiast stała się przesadnie uprzejma, jak zwykle w stosunku do obcych. Uścisnęli sobie ręce i ruszyłyśmy w stronę domu. Pełna oburzenia, obdzwoniła tamte matki. Tak się skończyło z zuchami. A szkoda, bo ja to naprawdę lubiłam. Szarą Sowę uważałam za jedną z najsympatyczniejszych kobiet, z jakimi się zetknęłam do tej pory, nie licząc ciotki Lou, i było mi jej brak.

Matka uznała ten incydent za przykład mojego niedołęstwa i ogólnej głupoty.

– Byłaś głupia, że dałaś się tak nabrać tym dziewczynom – powiedziała.

– Myślałam, że są moimi przyjaciółkami – próbowałam się bronić.

– Przyjaciółki by cię tak nie związały, nie sądzisz? Na dodatek w tym wąwozie. Kto wie, co się mogło stać. Ktoś mógł cię nawet zabić. Miałaś po prostu bardzo dużo szczęścia, że akurat nadszedł ten uprzejmy pan.

– Mamo – powiedziałam uroczyście. Chciałam się jakoś zrehabilitować, ale nie bardzo wiedziałam jak: może przez wykazanie, że się myli? – Jestem pewna, że to był zboczeniec.

– Nie bądź idiotką – warknęła. – Ten uroczy człowiek?

– Myślę, że to był ten sam. Ten od żonkili.

– Od jakich znów żonkili? – spytała. – Co ty takiego zmalowałaś?

– Niczego nie zmalowałam. – Rozpaczliwie usiłowałam się wycofać, ale było za późno: pierwszy robak wypełzł już z puszki i reszta musiała pójść w jego ślady. Matka była wyraźnie niezadowolona. Na dodatek zostałam oskarżona o to, że się pętam nie wiadomo gdzie bez jej wiedzy – powinnam jej była natychmiast o wszystkim powiedzieć.

W dalszym ciągu nie miałam pewności, czy był to mężczyzna od żonkili, czy nie. Czy człowiek, który mnie rozwiązał, był wybawicielem, czy draniem. I jeszcze bardziej kłopotliwa myśl: czy można być jednocześnie i jednym, i drugim?

Łamałam sobie nad tą zagadką głowę, usiłując odtworzyć w pamięci rysy człowieka od żonkili. Ale mi się wymykał, topniał i zmieniał kształt jak ciągutka albo podgrzana guma, rozpływając się w tweedową mgłę, wyciągając złowrogie macki z ciała i zaplątanego sznura, to znów przybierając postać słonecznej eksplozji żółtych kwiatów.

7

Jeden z nieprzyjemnych snów, jakie miewałam na temat swojej matki, był taki: idę przez most, a ona stoi na drugim końcu i z kimś rozmawia, z jakimś mężczyzną, którego twarzy nie widzę. Kiedy jestem już w połowie drogi, most zaczyna się rozpadać, czego zawsze się obawiałam. Zbutwiałe deski wyginają się i pękają, a potem cały mostek przechyla się powoli na bok i wali do wąwozu. Próbuję biec, ale jest już za późno, padam więc plackiem i łapię za przeciwległą krawędź, która wznosi się, usiłując mnie zepchnąć. Wołam do matki – mogłaby mnie jeszcze uratować, mogłaby podbiec i podać mi rękę, wciągając mnie na stały grunt. Ale ona się nie kwapi. Nie przerywa rozmowy, nie zauważa, że dzieje się coś niezwykłego. Nawet mnie nie słyszy.

W innym śnie siedzę w rogu jej sypialni i patrzę, jak mama się maluje. Często tak robiłam w dzieciństwie, obie uważałyśmy to za nagrodę, przywilej, i odmawianie mi tej przyjemności było jedną z kar stosowanych przez matkę. Wiedziała, że jestem urzeczona jej kolekcją kosmetyków i przyborów: szminek, różów, perfum w pięknych flakonikach, które były przedmiotem moich marzeń, jaskrawych lakierów do paznokci (czasami, w drodze szczególnego wyjątku, maznęła mi pędzelkiem po paznokciach nóg, ale nigdy

rąk: „Jesteś jeszcze za mała” – mówiła), maleńkich pincetek, pilników do paznokci i papieru ściernego do ich wygładzania. Nie wolno mi było tych rzeczy dotykać. Robiłam to oczywiście, kiedy wyszła z domu, ale wszystko miała poukładane w równiutkich rządkach, i na toaletce, i w szufladach, tak że musiałam bardzo uważać, żeby każdą rzecz położyć dokładnie tam, skąd ją wzięłam. Matka miała w tych sprawach sokole oko. Później tak dalece nabrałam zwyczaju myszkowania po jej szufladach i szafach, że wiedziałam dokładnie, gdzie co jest; w końcu robiłam to nie z ciekawości – znałam już wszystko na pamięć – ale z przyjemności igrania z losem. Złapała mnie na tym tylko dwa razy, bardzo wcześnie: raz, kiedy najadłam się szminki (nawet wtedy, w wieku czterech lat, byłam dostatecznie mądra, żeby zamknąć szminkę, schować ją do szuflady i starannie umyć buzię; ciekawe, skąd wiedziała, że to ja?), i raz, kiedy nie mogłam się powstrzymać od wysmarowania sobie całej twarzy na niebiesko cieniem do powiek – byłam ciekawa, jak bym wyglądała z niebieską twarzą. Za to zostałam wygnana z jej sypialni na całe tygodnie. Mało brakowało, a byłabym się sypnęła pewnego dnia, kiedy znalazłam dziwny gumowy przedmiot, przypominający muszelkę i starannie schowany w pudełeczku. Umierałam z ciekawości, co to jest, ale nie śmiałam jej spytać.

– Siedź tu spokojnie, Joan – mówiła w dobre dni – i patrz, jak mama się maluje. – Potem osłaniała sobie dekolt ręcznikiem i przystępowała do pracy. Niektóre czynności musiały jej sprawiać ból: na przykład przerwę między brwiami pokrywała czymś, co wyglądało na brązowy klej, a co przedtem podgrzewała w maleńkim naczynku. Następnie zrywała to, pozostawiając

czerwoną plamę; to znów pacykowała się różowym błockiem, które zasychało i pękało. Często, patrząc na swoje odbicie, marszczyła czoło, potrząsając głową, jakby była niezadowolona, a czasem zaczynała mówić do siebie, jakby zapomniała o mojej obecności. Te posiedzenia, zamiast podnosić na duchu, wyraźnie ją przygnębiały, jak gdyby za lustrem albo gdzieś w jego głębi widziała jakiś ulotny obraz, którego nie potrafiła uchwycić czy też powtórzyć, i kiedy kończyła, była zawsze trochę zła.

Obserwowałam jej poczynania z niemą fascynacją. Uważałam, że moja matka jest piękna, a umalowana jeszcze piękniejsza. I tak właśnie zachowywałam się w moim śnie: siedziałam i gapiłam się na nią. Chociaż toaletki mamy stawały się coraz okazalsze, w miarę jak sytuacja finansowa ojca się poprawiała, to stałym ich elementem było potrójne lustro, tak żeby matka mogła się obejrzeć nie tylko *en face*, ale i z boków. Przyglądając jej się w tym śnie, dochodziłam nagle do wniosku, że zamiast trzech odbić matka ma trzy prawdziwe głowy, które wyrastają z jej okrytych ręcznikiem ramion na trzech oddzielnych szyjach. To mnie nie przerażało, stanowiło bowiem jedynie potwierdzenie dobrze mi znanego faktu; gorzej, że za drzwiami stał mężczyzna, który miał te drzwi otworzyć i wejść. Gdyby to zobaczył, gdyby się dowiedział prawdy o mojej matce, stałoby się coś straszliwego nie tylko z nią, lecz także ze mną. Miałam ochotę zerwać się z miejsca, pobiec do drzwi i go zatrzymać, ale nie mogłam się ruszyć, a one wolno otwierały się do środka...

W miarę jak byłam coraz starsza, sen się zmieniał. Zamiast powstrzymywać tajemniczego mężczyznę, chciałam, żeby wszedł.

Chciałam, żeby odkrył jej tajemnicę, którą znałam tylko ja – a mianowicie, że moja matka jest potworem.

Nie pamiętam, żebym ją kiedykolwiek nazywała inaczej niż matką, nie używałam żadnego z typowych dziecinnych zdrobnień; zapewne próbowałam, ale musiała mnie zniechęcić. Nasz wzajemny stosunek został bardzo wcześnie sprofesjonalizowany. Ona miała być szefem, twórcą, siłą sprawczą, ja – produktem. Przypuszczam, że jedną z głównych rzeczy, jakich się ode mnie domagała, była wdzięczność. Chciała, żeby mi się wiodło, ale miała to być jej zasługa.

Jej plany w stosunku do mnie nie były sprecyzowane. Były mgliste, lecz rozległe, nigdy więc nie trafiałam w to, o co chodziło. Ale nie pilnowała mnie bez przerwy, nieraz całymi dniami, czy nawet tygodniami jak gdyby o mnie zapominała; pochłaniały ją wtedy jakieś inne akcje, jak przemeblowywanie własnej sypialni czy urządzanie przyjęcia. Parę razy nawet podejmowała pracę: była na przykład agentem biura podróży, a kiedyś zatrudniła się u dekoratora wnętrz, dobierając lampy i dywany, tak żeby kolorem pasowały do projektów bawialni. Ale nigdy nie trwało to długo; te zajęcia szybko ją nudziły, a ponieważ nie zaspokajały jej ambicji, rzucała je.

Nie dlatego, żeby była agresywna i ambitna, jakkolwiek odznaczała się i jednym, i drugim. Gdyby się kiedykolwiek zdecydowała, co chce robić naprawdę, i zaczęła to robić, nie patrzyłaby na mnie jak na wyrzut sumienia, uosobienie własnych niepowodzeń i porażek, ogromną, bezkształtną chmurę ledwie poczętej materii, która nie dawała się urobić w nic, co by jej przynosiło satysfakcję.

Jej wizerunek, który nosiłam latami na szyi niczym żelazny medalion, przedstawiał matkę, jak siedzi przed toaletką, malując paznokcie na krwawoczerwony kolor, i wzdycha. Miała wąskie wargi, ale powiększała je, obrysowując dokoła szminką jak Bette Davis; zyskiwała w ten sposób dziwne podwójne usta, gdyż prawdziwe przebijały przez te sztuczne niby cień. Była przystojna, nawet koło czterdziestki zachowała dobrą figurę, w młodości miała powodzenie. W albumie były jej zdjęcia w wizytowych sukniach i w kostiumach kąpielowych, z różnymi młodymi mężczyznami, przy czym ona patrzyła w aparat, a oni na nią. Jeden z tych mężczyzn powtarzał się dość często – w białych flanelowych spodniach i z dużym samochodem. Powiedziała, że w pewnym sensie była z nim zaręczona.

Nie znalazłam jednak jej zdjęć jako dziewczynki, żadnych fotografii rodziców, dwóch braci ani siostry, którą, jak później odkryłam, miała. Prawie nigdy nie mówiła o swojej rodzinie ani o dzieciństwie, chociaż miałam o tym pewne wyobrażenie. Oboje jej rodzice byli bardzo surowi, bardzo religijni. Nie należeli do ludzi bogatych. Ojciec był zawiadowcą stacji na trasie kolei transkanadyjskiej. Mama musiała ich czymś w pewnym momencie obrazić – co to było, nigdy się nie dowiedziałam – w każdym razie w wieku szesnastu lat uciekła z domu i nigdy już nie wróciła. Imała się różnych zajęć – pracowała u Kresge'a, mając osiemnaście lat, pracowała jako kelnerka w miejscowości wypoczynkowej Muskoka, gdzie spotkała mojego ojca. Młodzi mężczyźni ze zdjęć byli wczasowiczami. Suknie wieczorowe i kostiumy kąpielowe mogła nosić tylko w wolne dni.

Ojciec nie przyjeżdżał tam na wypoczynek, to by nie było w jego stylu. Poznał matkę przypadkiem, kiedy wpadł odwiedzić przyjaciela. W albumie było parę zdjęć przedstawiających moich rodziców przed ślubem; ojciec robił wrażenie speszonego. Matka trzymała go za rękę, jakby to była smycz. A potem był portret ślubny. Po nim jeszcze zdjęcia samej matki, które musiał robić ojciec. I wreszcie już tylko ja – gaworząca, na kocykach, pakująca do buzi wypchane zwierzątka albo piąstki; ojciec poszedł na wojnę, zostawiając matkę w ciąży – nie miał jej kto robić zdjęć.

Wrócił dopiero wtedy, kiedy miałam pięć lat; do tej pory był jedynie imieniem, historią, którą opowiadała mi matka w rozmaitych, mocno rozbieżnych wersjach. Czasami był dobrym człowiekiem, który miał wkrótce wrócić do domu, przynosząc ze sobą wszelkie możliwe udogodnienia i cudowne niespodzianki: mieliśmy się przenieść do większego domu, lepiej jeść, mieć więcej ubrań, a gospodarzowi raz na zawsze pokazać, gdzie jego miejsce. To znów kiedy indziej, gdy byłam niegrzeczna, występował jako żywy postrach – sądny dzień, który miał mnie wreszcie dosięgnąć, albo (i to chyba najlepiej oddawało stan jej uczuć) był zimnym draniem, który ją opuścił, pozostawiając na pastwę trudności. W dniu kiedy się wreszcie pojawił, prawie wychodziłam ze skóry, rozdarta między nadzieją i lękiem: co też mi przyniesie, co mi zrobi? Czy to człowiek zły, czy dobry? (Matka dzieliła mężczyzn na dwie kategorie: dobrzy to tacy, co robią różne rzeczy dla ciebie, a źli to tacy, co robią różne rzeczy tobie). Ale kiedy nadeszła ta chwila, zjawił się obcy człowiek, pocałował najpierw matkę, a potem mnie i usiadł przy stole. Sprawiał wrażenie bardzo

zmęczonego i prawie się nie odzywał. Niczego nie przyniósł i nic nie zrobił, i tak już pozostało.

Najczęściej był po prostu nieobecnością. Od czasu do czasu jednak wkraczał w rzeczywistość stamtąd, gdzie przebywał, i nawet miewał momenty cichego bohaterstwa. Miałam trzynaście lat, musiał to być rok 1955, niedziela. Siedziałam w kuchni i pożerałam połowę tortu pomarańczowego, za co później miałam dostać burę. Ale zdążyłam zjeść już jeden kawałek i wiedziałam, że usłyszę tyle słów za niego, co za połowę tortu, więc nie przestawałam jeść, szybko, tak żeby zdążyć, zanim mnie nakryją.

Wtedy bowiem jadłam już wszystko – stale, nieustępliwie, uparcie – cokolwiek miałam pod ręką. Wojna między mną a matką rozgorzała na dobre; terenem rozgrywek było moje ciało. Nie wiedząc tego tak na pewno, mgliście jednak to wyczuwałam, w każdym razie reagowałam na broszurki o diecie, które mi zostawiała na poduszce, na próby przekupienia mnie za pomocą sukienek, które miałam dostać, jeśli schudnę – napuszone suknie składające się z wielu warstw tiulu, z usztywnionymi stanikami, małe awangardowe sukienki, wąskie w talii spódniczki i puszyste krynoliny – na jej zjadliwe przytyki do mojej tuszy, na zaklęcia dotyczące mego zdrowia (umrę na atak serca, będę miała za wysokie ciśnienie), na specjalistów, do których mnie posyłała, na pigułki, które mi zapisywali, otóż na to wszystko odpowiadałam dodatkowym batonikiem Mars albo podwójną dokładką frytek. Puchłam w sposób widoczny, nieubłaganie, na jej oczach, rosłam jak na drożdżach, moje ciało cal po calu zbliżało się do niej przez stół i przynajmniej w tym jednym byłam niepokonana. Miałam

już metr sześćdziesiąt dwa i jeszcze rosłam, a ważyłam osiemdziesiąt dwa kilo.

Ale do rzeczy: tkwiłam w kuchni i jadłam tę połówkę tortu pomarańczowego. Była niedziela, rok 1955. Ojciec, siedząc w salonie w fotelu, czytał kryminał – była to jego ulubiona forma wypoczynku. Matka siedziała na kanapie, udając, że czyta książkę na temat psychologii dziecka – sporo czasu poświęciła na tę demonstrację, Bóg świadkiem, że robiła, co mogła – a tak naprawdę czytała *Lisa,* powieść historyczną o Borgiach. Skończyłam ją właśnie po kryjomu. Na obu końcach kanapy leżały maleńkie poduszki z fioletowego atłasu i te dwie poduszki stanowiły świętość, przedmioty rytualne, których matka nie pozwalała ruszać. Sama kanapa była jasnoróżowa, pokryta gruzełkowatym materiałem poprzetykanym srebrną nitką. Miała pokrowiec z przezroczystego plastiku, zdejmowany od wielkiego dzwonu. Dywan, który podkreślał fiolet poduszek, też był przykryty arkuszem plastiku, nieco grubszym. Klosze lamp chronił celofan. Na nogach ojca pyszniły się brązowe skórzane kapcie. Stopy matki i moje były podobnie zabezpieczone, już wtedy bowiem stało się regułą, że buty nie mają wstępu do mieszkania. Był to nowy dom i matka zakończyła właśnie dzieło urządzania; teraz, kiedy już wszystko grało, nie wolno było niczego ruszać, wszystko miało być niezmienne, bez odrobiny kurzu, ostateczne, aż do momentu kiedy dostrzeże jakiś błąd i wezwie od nowa malarzy i specjalistów od przeprowadzek, którzy rozpoczną dzieło zniszczenia.

(Matka nie chciała, żeby jej pokoje różniły się od pokojów innych ludzi, czy nawet były o wiele lepsze. Miały być przyjemne, takie

same jak pokoje wszystkich innych, chociaż jej koncepcja „wszystkich innych” zmieniała się, w miarę jak rosły zarobki ojca. Może dlatego przypominały sale muzealne, czy raczej wystawy domów towarowych Eatona i Simpsona, tych cudownych śródmiejskich pałaców, które co roku w grudniu podziwiałam, jadąc tramwajem z ciotką Lou. Ale nas nie interesowały meble, nas bawiły wystawy, na których zwierzęta, dobre wróżki i krasnale o czerwonych buziach obracały się mechanicznie przy dźwięku dzwonków. Kiedy już dorosłam do świątecznych zakupów, zaczęła mnie na nie zabierać ciotka Lou. Któregoś roku oznajmiłam, że nie zamierzam kupować mamie prezentu gwiazdkowego.

– Ależ, kochanie – powiedziała ciotka. – Zranisz jej uczucia.

Nie sądziłam, żeby było co ranić, ale uległam i kupiłam pieniący się płyn kąpielowy w ślicznym różowym łabędziu z miękkiego plastiku. Nigdy nie używała tego płynu, co przewidziałam z góry. Skończyło się na tym, że sama zaczęłam go używać).

Zjadłam resztę tortu i wstałam, zawadzając brzuchem o stół. Moje kapcie były duże i kudłate, stopy w nich miałam dwa razy większe. Przeczłapałam ponuro przez jadalnię i wkroczyłam do salonu, mijając bez słowa zatopionych w lekturze rodziców. Nabrałam zwyczaju człapania cicho, ale w sposób bardzo widoczny, przez pokoje, w których akurat siedziała matka; było to coś w rodzaju pokazu mody *à rebours*, demonstracji. Chciałam, żeby widziała i żeby do niej dotarło, jak nikły efekt przynoszą jej napomnienia i prośby.

Zamierzałam iść do holu, następnie z niedźwiedzim wdziękiem schodami na górę, tak żeby ziemia drżała, a potem korytarzem do

siebie; tam nastawić płytę Elvisa Presleya i podkręcić tak głośno, żeby jej się odechciało narzekania. Zaczynała się właśnie martwić, że traci ze mną kontakt. Ja nie miałam żadnych określonych planów, działałam po prostu podświadomie, zgodnie ze swoim niemrawym instynktem. Miałam w tej chwili jedynie ochotę posłuchać *Heartbreak Hotel* możliwie głośno, nie traktując tego jako akcję odwetową.

Ale kiedy znalazłam się mniej więcej w połowie pokoju, usłyszałam nagłe łomotanie do drzwi. Ktoś walił w nie pięściami, następnie rozległ się głuchy łoskot atakującego ciała i ochrypły męski głos, a właściwie wrzask:

– Ja cię zabiję! Zabiję cię, ty ścierwo!

Zamarłam. Ojciec zerwał się z fotela i zgiął lekko wpół, przyjmując postawę zapaśnika. Matka założyła książkę zakładką i zamknęła, zdjęła okulary, które nosiła na szyi na srebrnym łańcuszku, i zirytowana spojrzała na ojca. Chodziło najwyraźniej o niego; kto by ją nazwał ścierwem? Ojciec wyprostował się i podszedł do drzwi.

– Ach, to pan, panie Currie – powiedział. – Cieszę się, że znów widzę pana w formie.

– Podam cię do sądu! – zawołał głos. – Podam cię do sądu, ani się obejrzysz. Poczekaj tylko. Dlaczego mnie nie zostawisz w spokoju?! Zawsze musisz wszystko zepsuć! – Głos załamał się, przechodząc w długie, ochrypłe łkanie.

– Jest pan trochę podenerwowany – usłyszałam głos ojca.

Mężczyzna szlochał.

– Wszystko zepsułeś! Tym razem wyszło mi dobrze, a ty musiałeś wszystko zepsuć. Ja nie chcę żyć... Mam dość życia...

– Życie to dar – powiedział ojciec z godnością lekko zaprawioną tonem wymówki, jak uprzejmy dentysta, który mówił o próchnicy i którego oglądaliśmy w kupionym dwa lata temu telewizorze. – Należy być za nie wdzięcznym. Trzeba je szanować.

– Co ty możesz na ten temat wiedzieć! – rozległ się ryk i szuranie i głos oddalił się, ciągnąc za sobą smugę słów jak sznur baniek pod wodą. Ojciec cicho zamknął drzwi i wrócił do pokoju.

– Zupełnie nie rozumiem, po co ty to robisz – powiedziała matka. – Oni nigdy nie są za to wdzięczni.

– Ale co robi? – spytałam, wytrzeszczając oczy i łamiąc przysięgę milczenia, zżerana przez ciekawość. Nigdy przedtem nie słyszałam, żeby mężczyzna płakał, a odkrycie, że to się czasami zdarza, było szokujące.

– Kiedy ludzie usiłują odebrać sobie życie – odparła matka – ojciec im to uniemożliwia.

– Nie zawsze, Frances – rzekł ojciec ze smutkiem.

– Ale wystarczająco często – rzuciła matka, otwierając książkę. – Dość mam obraźliwych telefonów w środku nocy. Bardzo cię proszę, żebyś dał temu spokój.

Mój ojciec był anestezjologiem w Szpitalu Głównym w Toronto. Zrobił tę specjalizację na życzenie matki, która uważała, że specjaliści mają przed sobą przyszłość, a poza tym panowała opinia, że zarabiają lepiej od lekarzy ogólnych. Była nawet skłonna do pewnych wyrzeczeń finansowych, w okresie kiedy robił specjalizację. Ale mnie się wydawało, że jedynym zadaniem mojego ojca było usypianie ludzi przed operacjami. Nic nie wiedziałam o drugim, „wskrzesicielskim” nurcie jego działalności.

– A dlaczego ludzie usiłują odebrać sobie życie? – zapytałam. – I jak ich potem wskrzeszasz?

Ojciec zignorował pierwszą część pytania, była dla niego zbyt trudna.

– Próbuję metod eksperymentalnych – odpowiedział. – Nie zawsze okazują się skuteczne. Ale do mnie przywożą tylko przypadki beznadziejne, kiedy już wszystko inne zawiodło. – I dodał, bardziej do matki niż do mnie: – Byłabyś zdziwiona, ilu z nich jest wdzięcznych. Za to, że... mogli wrócić, za to, że jeszcze mają szansę.

– Zgoda. Mnie chodzi jedynie o to, żeby ci, którzy nie są wdzięczni, zachowali to dla siebie. Dla mnie to strata czasu. Przecież oni na tym nie poprzestaną. Gdyby myśleli poważnie, wsadziliby sobie po prostu do ust lufę pistoletu i nacisnęli spust. W ten sposób nie ma ryzyka.

– Nie każdy – odparł ojciec – jest człowiekiem tak zdecydowanym jak ty.

Dwa lata później dowiedziałam się o moim ojcu czegoś więcej. Mieszkaliśmy wtedy w kolejnym domu, z większą, elegancką jadalnią, wykładaną boazerią. Matka zaprosiła na kolację dwie pary małżeńskie, których, jak się prywatnie przyznawała, nie lubiła. Uważała jednak, że należało tych ludzi zaprosić, byli to bowiem współpracownicy ojca, ludzie liczący się w szpitalu, a ona usiłowała mu pomóc w karierze. Puściła mimo uszu uwagę ojca, że z punktu widzenia jego kariery nie ma najmniejszego znaczenia, czy ich zaproszą, czy nie, i realizowała swój plan. Kiedy się zorientowała, że ojciec miał rację, przestała wydawać przyjęcia i zaczęła trochę więcej pić. Ten wieczór musiał być chyba

inauguracyjny, bo dokładnie pamiętam menu: piersi kurczęcia w sosie śmietanowym z ryżem i grzybami, porcjowane sałatki z żurawiną i selerem polane majonezem, pieczone kartofle, a na deser rozmaitości z mandarynkami i sosem imbirowym, i do tego sorbet.

Ja byłam w kuchni. Miałam wtedy piętnaście lat i osiągnęłam swoje szczytowe rozmiary. Przy wzroście metr siedemdziesiąt dwa ważyłam sto jedenaście kilo z dokładnością do paru kilogramów. W tamtych czasach nie uczestniczyłam już w przyjęciach wydawanych przez matkę, była zbyt zmęczona posiadaniem kilkunastoletniej córki, która przypominała kaszalota i jeśli w ogóle otwierała usta, to jedynie po to, żeby coś w nie włożyć. Psułam jej wizerunek uroczej gospodyni. A ja, chociaż chętnie stawiałam ją w trudnej sytuacji, to jednak zdawałam sobie sprawę, że obcy ludzie traktują moją otyłość jak kalectwo, garb czy szpotawą nogę, a nie akt protestu, zwycięstwo, którym w istocie była, i mój własny obraz widziany ich oczyma odbierał mi pewność siebie. Jedynie wobec matki czerpałam ponurą przyjemność ze swojej otyłości; wobec wszystkich innych, nie wyłączając ojca, czułam się nieszczęśliwa. Ale nie mogłam przestać.

A zatem byłam w kuchni i podsłuchiwałam przez korytarz, opychając się resztkami i nadwyżkami. Goście doszli już do deseru, więc pałaszowałam kurczaka, sałatkę z żurawiną i pieczone kartofle i niezbyt uważnie przysłuchiwałam się dochodzącej z pokoju rozmowie, jakby to była nudna audycja radiowa. Jeden z zaproszonych lekarzy brał udział w wojnie, głównie, jak się okazało, na terenie Włoch, drugi też poszedł do

wojska, ale nigdy nie wytknął nosa poza Anglię. I oczywiście był mój ojciec, który się przyznawał do udziału w wojnie, a poza tym mówił niewiele. Już wcześniej przysłuchiwałam się takim rozmowom, ale mnie specjalnie nie interesowały. Sądząc z filmów, niewiele było do roboty dla kobiet na wojnie, poza tym, co i tak zawsze robiły.

Mężczyzna, który służył we Włoszech, skończył opowieść o jednym ze swoich wyczynów i kiedy ucichł chór szeptów kwitujących jego wyższość, zapytał:

– A ty gdzie stacjonowałeś, Phil?

– Uhm – odparł ojciec.

– We Francji – wyjaśniła matka.

– Aha, to znaczy po inwazji? – zapytał drugi mężczyzna.

– Nie – zachichotała matka; niebezpieczny znak. Ostatnio nabrała zwyczaju chichotania podczas przyjęć. Chichot, nieszczery, niekontrolowany, którym władała świadomie jak kijem bejsbolowym, zastąpił zdrowy, swobodny śmiech.

– Och – rzekł uprzejmie włoski gość. – A co tam robiłeś?

– Zabijał ludzi – podpowiedziała usłużnie, delektując się swoim pomysłem niczym jakimś bardzo osobistym żartem.

– Fran – odezwał się ojciec. Było to ostrzeżenie, w którym jednak zabrzmiała nuta prośby, coś nowego i rzadkiego. Obgryzałam właśnie resztki kurczaka, ale przerwałam na chwilę, żeby się lepiej przysłuchać.

– No cóż, każdemu zdarzy się zabić paru ludzi na wojnie – wtrącił drugi mężczyzna.

– Z bliska? – zapytała matka. – Założę się, że nie zabiłeś nikogo z bliska.

Zaległa cisza, jaka zwykle zapada, kiedy wiadomo, że za chwilę nastąpi coś podniecającego, a zarazem najprawdopodobniej nieprzyjemnego. Wyobrażałam sobie matkę, która wodzi oczami po napiętych twarzach, unikając wzroku ojca.

– Służył w wywiadzie – wyjaśniła rzeczowo. – Nie powiedziałbyś, patrząc na niego, co? Zrzucili go na tyły, gdzie współpracował z francuskim podziemiem. Nigdy się do tego nie przyznaje, ale mówi po francusku jak rodowity Francuz; to sprawa jego nazwiska.

– Rany – powiedziała jedna z kobiet. – Zawsze marzyłam, żeby jechać do Paryża. Czy Paryż jest rzeczywiście taki piękny, jak mówią?

– Do niego należało likwidowanie tych, których uważali za wtyczki – ciągnęła matka. – Po prostu wyławiał ich i rozstrzeliwał. Z zimną krwią. Czasami nawet nie wiedział, czy załatwia właściwego człowieka. Dobre, co? – W jej głosie brzmiało podniecenie i podziw. – Ale najdziwniejsze, że nie lubi, jak o tym mówię... I powiedział mi kiedyś, że najbardziej przerażający w tym wszystkim jest fakt, że po jakimś czasie zaczęło mu to sprawiać przyjemność.

Jeden z mężczyzn zaśmiał się nerwowo. Wstałam i skierowałam swoje futrzane kroki z powrotem ku schodom (kiedy chciałam, potrafiłam chodzić cicho), a w połowie schodów przysiadłam na stopniu. Oczywiście za chwilę przez wahadłowe drzwi wkroczył do kuchni ojciec, a zaraz za nim matka. Musiała się zorientować, że posunęła się za daleko.

– Przecież nie ma w tym nic złego – powiedziała. – Służyłeś dobrej sprawie. Zawsze jesteś taki skromny.

– Prosiłem cię, żebyś o tym nie mówiła – odparł ojciec. Był zły, nawet wściekły. Po raz pierwszy zobaczyłam, że jest zdolny odczuwać złość, zawsze był taki spokojny. – Nie masz o tym zielonego pojęcia.

– To musiało być coś wspaniałego – odrzekła szczerze matka. – Do tego naprawdę trzeba odwagi. Nie rozumiem, co jest w tym...

– Zamknij się – uciął ojciec.

Ale to są historie z czasów późniejszych; wcześniej go nie było i prawdopodobnie dlatego zachowałam go w pamięci jako człowieka lepszego od matki. Potem zajął się studiami, był kimś, komu nie należało przeszkadzać. Jeszcze później bardzo dużo przebywał w szpitalu. Na dobrą sprawę nie wiedział, jak ma mnie traktować, choć nigdy nie czułam, żeby był wrogo do mnie nastawiony – raczej zdezorientowany.

Nieliczne spędzane razem chwile upływały nam w milczeniu. Ojciec uprawiał rośliny doniczkowe – bluszcze, trzykrotki, paprocie i begonie. Lubił przy nich dłubać, obcinać pędy, pikować i sadzić, na przykład w sobotnie popołudnia, kiedy miał wolne, słuchając przy tym sponsorowanych przez Texaco transmisji z Metropolitan Opera. Wtedy pozwalał mi pomagać sobie przy roślinach, a że w ogóle mówił niewiele, wyobrażałam sobie, że jego głos to głos Miltona Crossa, miły i inteligentny, opisujący kostiumy śpiewaków oraz miłosne przygody, tragiczne i błahe, które im się zdarzały. Oto więc ojciec – pyka fajkę, którą zaczął palić po rzuceniu papierosów, grzebie przy swoich roślinach i opowiada mi o kochankach zasztyletowanych albo porzuconych, albo zdradzonych, o zazdrości i szaleństwie, o niekończącej się miłości, która trwa aż po grób. Wtedy te przerażające głosy

wpadały do pokoju, podnosząc mi włosy na głowie, jakby to on je wywołał z nicości. Był magikiem, który przyzywał duchy, szamanem z głosem zasuszonego, obojętnego komentatora operowego w smokingu. A przynajmniej tak sobie wyobrażałam jego głos, kiedy zmyślałam rozmowy, jakie chciałabym z nim prowadzić, a jakich nigdy nie prowadziłam. Chciałam, żeby mi objawił prawdę o życiu, której nie chciała mi zdradzić matka, a o której on musiał co nieco wiedzieć jako lekarz i uczestnik wojny, jako ten, który zabijał i wskrzeszał. Nieustannie oczekiwałam od niego jakiejś rady, ostrzeżenia, wskazówki, ale nigdy się nie doczekałam. Może tak naprawdę nie uważał mnie za swoją córkę; po raz pierwszy zobaczył mnie pięć lat po moim urodzeniu i traktował bardziej jak kolegę czy wspólnika niż własne dziecko. Ale na czym miała polegać ta konspiracja? Dlaczego nigdy w ciągu tych pięciu lat nie przyjechał na urlop? Było to pytanie, które zadawała matka. Dlaczego oboje zachowywali się tak, jakby ojciec był jej coś winien?

A potem były te inne rozmowy, które udało mi się podsłuchać. Chodziłam do łazienki na górę, zamykałam drzwi i odkręcałam kran, aby myśleli, że myję zęby. Rozkładałam na podłodze dywanik, żeby mi nie zmarzły kolana, wkładałam głowę do muszli klozetowej i słuchałam przez rury. Było to niemal bezpośrednie połączenie z kuchnią, gdzie załatwiali, czy raczej matka załatwiała, większość kłótni. Ją było słychać znacznie lepiej niż jego.

– Dlaczego dla odmiany ty nie spróbujesz czegoś z nią zrobić? Ona jest tak samo twoją córką, jak i moją. Ja już jestem u kresu sił.

Ojciec: cisza.

– Nie zdajesz sobie nawet sprawy, co to było mieć ją bez przerwy na głowie, podczas kiedy ty się zabawiałeś.

Ojciec:

– Wcale się nie zabawiałem.

Kiedy indziej:

– Przecież ja nie napierałam, żeby ją mieć. Ani żeby wyjść za ciebie za mąż. Jeśli chcesz wiedzieć, to po prostu nie miałam wyboru.

Ojciec:

– Przykro mi, że ci się tak nie ułożyło.

A kiedyś, kiedy była bardzo zła:

– Jesteś w końcu lekarzem, nie mów mi, że nie mogłeś nic zrobić.

Ojciec: (niesłyszalny).

– Nie gadaj bzdur, nawykańczałeś masę ludzi, do jasnej cholery.

W pierwszej chwili przeżyłam szok, głównie przez tę „jasną cholerę". Zawsze za wszelką cenę starała się być damą przy ludziach, nawet przy mnie. Później usiłowałam dojść do tego, co miała na myśli. Nie wierzyłam jej, kiedy mawiała: „Gdyby nie ja, nie byłoby cię tutaj".

Jadłam matce na złość, ale również ze strachu, w panice. Czasami ogarniał mnie lęk, że tak naprawdę to mnie nie ma, że jestem wypadkiem; słyszałam przecież, jak mówiła o mnie „wypadek". Czy zależało mi na tym, żeby stać się czymś trwałym, trwałym jak głaz, tak by nie mogła się mnie pozbyć? Co ja takiego zrobiłam? Czy schwytałam ojca w pułapkę, o ile rzeczywiście był

moim ojcem, czy złamałam matce życie? Nie miałam odwagi zapytać.

Przez jakiś czas chciałam zostać śpiewaczką operową. Mimo że śpiewaczki były tłuste, mogły nosić ekstrawaganckie stroje i nikt się z nich nie śmiał, były wielbione i wychwalane. Niestety, nie miałam głosu. Ale zawsze mnie to nęciło: móc stanąć przed wszystkimi i drzeć się na całe gardło o nienawiści i miłości, o złości i rozpaczy, wrzeszczeć z całych sił i żeby wychodziła z tego muzyka. To by było coś.

8

– Chwilami wydaje mi się, że masz zupełną pustkę w głowie – mawiała matka, kiedy na przykład płakałam z jakiegoś błahego powodu. W jej pojęciu łzy były dowodem głupoty. – Tak cię urządzę, żebyś miała prawdziwy powód do płaczu. Bo to nie jest powód do łez. Nie warto płakać nad rozlanym mlekiem.

– Czuję się samotna – powiedziałam. – Nie mam się z kim bawić.

– Baw się lalkami – odparła, podkreślając usta szminką. Owszem, bawiłam się – tymi kędzierzawymi, pozbawionymi prawdziwych kroczy plastikowymi boginkami o infantylnych oczach i piersiach, które wyskakiwały i chowały się łagodnie jak kolana, nie robiąc najmniejszego wrażenia, pozbawione brodawek. Stroiłam je na różne towarzyskie okazje, w których nie uczestniczyły, a następnie rozbierałam, wpatrując się w nie i marząc, żeby ożyły – czyste, niekochane, owdowiałe; w tamtych czasach nie było lalek płci męskiej. Tańczyły samotne albo stały oparte o ścianę jak katatoniczki.

Kiedy miałam dziesięć lat, usiłowałam namówić matkę na psa. Wiedziałam, że go nie dostanę, ale próbowałam ją zmiękczyć przynajmniej na tyle, żeby się zgodziła na kociaka; jedna

z dziewcząt w szkole miała kotkę, która urodziła sześcioro małych, w tym jednego z siedmioma palcami u każdej z łap – na tego właśnie miałam ochotę. Tak naprawdę marzyła mi się mała siostrzyczka, ale siostrzyczka była wykluczona, z tego zdawałam sobie sprawę nawet ja. Słyszałam, jak matka mówiła przez telefon, że jedno dziecko to i tak za dużo. (Dlaczego nie była szczęśliwsza, dlaczego nigdy nie potrafiłam wywołać u niej uśmiechu?).

– Ciekawe, kto go będzie karmił – powiedziała matka. – Trzy razy dziennie.

– Ja – odparłam.

– Jakim cudem? Przecież nie przychodzisz do domu na drugie śniadanie. – Była to prawda, zabierałam je do szkoły w śniadaniówce.

Z kotem znowu wiązało się paskudzenie w domu i drapanie mebli. W następnej kolejności zaproponowałam żółwia; do żółwia trudno się było przyczepić, ale matka powiedziała, że będzie śmierdział.

– Nie, nie będzie – zapewniłam ją. – W szkole jest żółw i wcale nie śmierdzi.

– Wejdzie za jakiś mebel i zdechnie z głodu.

Nie chciała słyszeć o śwince morskiej, o chomiku ani o żadnym ptaku. Wreszcie, po blisko roku niepowodzeń, przyparłam ją do muru. Poprosiłam o rybkę. Rybka nie jest hałaśliwa ani śmierdząca, nie roznosi zarazków i będzie czysta, ostatecznie żyje w wodzie. Wymarzyłam sobie, że będzie pływała w kuli z kolorowymi kamykami i miniaturowym pałacem. Matka nie

mogła wymyślić żadnego powodu, dla którego miałabym nie kupować rybki, więc się poddała i kupiłam złotą rybkę u Kresge'a.

– Tylko tyle będziesz z niej miała, że zdechnie – powiedziała. – Te wszystkie tanie złote rybki mają jakieś choroby.

Ale po tygodniu zmiękła na tyle, że zapytała mnie o jej imię. Siedziałam z oczyma przy szklanej kuli i obserwowałam, jak moja rybka podpływa pod samą powierzchnię, a następnie nurkuje, wyrzucając z siebie drobinki karmy.

– Susan Hayward – odpowiedziałam.

Właśnie obejrzałam *Z pieśnią w sercu*, o tym, jak Susan Hayward wracała z wózka inwalidzkiego do normalnego życia. A ponieważ i moja rybka miała pod górkę, chciałam, żeby przynajmniej jej imię symbolizowało dzielność. Zdechła i tak; matka powiedziała, że to moja wina, że ją przekarmiłam. Spuściła rybkę w klozecie, zanim zdążyłam ją opłakać i właściwie pochować. Chciałam mieć następną, ale matka wyraziła nadzieję, że była to dla mnie wystarczająca nauczka. Zawsze coś miało być dla mnie taką czy inną nauczką.

Matka twierdziła, jakoby filmy były wulgarne, chociaż podejrzewałam, że kiedyś musiała sporo ich oglądać, inaczej skąd by znała Joan Crawford? Dlatego na Susan Hayward poszłam z ciotką Lou.

– Proszę bardzo, widzisz? – powiedziała mi ciotka po filmie. – Rude włosy mogą być naprawdę wspaniałe.

Ciotka Lou była wysoka, tęga i miała figurę jak na reklamie gorsetu z katalogu Eatona, wersja dla figury dojrzałej, ale się tym nie przejmowała. Siwożółtawe włosy upinała na czubku głowy i nasadzała na tę kopę ekstrawaganckie kapelusze z piórami,

kokardami i perłowymi szpilami, a do tego nosiła obfite futra albo ciężkie tweedowe płaszcze, w których wyglądała na jeszcze wyższą i tęższą. W jednym z moich najwcześniejszych wspomnień dotyczących ciotki Lou siedzę na jej obszernych, miękkich kolanach – były to, o ile pamiętam, jedyne kolana, na których siadywałam, a i tak matka z reguły mówiła: „Zejdź, Joan, nie męcz ciotki Louisy" – i głaszczę lisa, którego nosiła na szyi. Był to prawdziwy lis, rudy i wtedy jeszcze nie taki sfatygowany jak później, miał ogon i cztery łapy, czarne paciorki w miejsce oczu i chłodny plastikowy nos, a pod spodem, zamiast dolnej szczęki, klips, którym trzymał się za własny ogon. Ciotka Lou otwierała ten klips i zamykała, udając, że lis mówi. A lis zdradzał mi różne tajemnice, na przykład: gdzie ciotka schowała miętowe żelki, które dla mnie przyniosła, ale również zadawał różne pytania, w rodzaju: co bym chciała na Gwiazdkę. Kiedy dorosłam, poniechałyśmy tej zabawy, lecz ciotka w dalszym ciągu trzymała lisa w szafie, chociaż wyszedł z mody.

Ciotka Lou często zabierała mnie do kina. Uwielbiała filmy, zwłaszcza te, na których można było sobie popłakać; uważała, że jeśli film nie wyciska łez, to jest niewiele wart. Klasyfikowała filmy jako dwu-, trzy- lub czterochusteczkowe, jakby to była liczba gwiazdek określająca w przewodniku turystycznym kategorię restauracji. Płakałam i ja, a te seanse dozwolonego szlochania należały do najszczęśliwszych chwil mojego dzieciństwa.

Przede wszystkim towarzyszyło im cudowne uczucie, że w jakiś sposób wymykam się matce. Bo chociaż udawała, że mi pozwala, to w gruncie rzeczy wiedziałam, że tak naprawdę jest temu przeciwna. A zatem wsiadałyśmy z ciotką w tramwaj albo

autobus i jechałyśmy do kina. W holu zaopatrywałyśmy się w jednorazowe chusteczki, prażoną kukurydzę i batoniki, a potem w przytulnej, uspokajającej ciemności sadowiłyśmy się na kilka godzin obżarstwa i pochlipywania, podczas gdy przed naszymi oczyma przepływały nadęte heroiny, przepuszczane następnie przez wyżymaczkę.

Cierpiałam razem ze słodką, cierpliwą June Allyson, kiedy przeżywała śmierć Glenna Millera, pochłonęłam trzy opakowania prażonej kukurydzy, kiedy Judy Garland zmagała się ze swoim mężem alkoholikiem, i pięć batoników Mars, gdy Eleanor Parker, grająca kaleką śpiewaczkę operową, odbywała swoją ponurą drogę przez *Przerwaną melodię*. Ale moim ulubionym filmem były *Czerwone trzewiki* z Moirą Shearer w roli baleriny rozdartej między karierą zawodową a mężem. Ubóstwiałam ją: była nie tylko ruda i miała dobrane pod kolor, zachwycające płomiennoczerwone atłasowe poienty, lecz nosiła także wspaniałe stroje, no i cierpiała bardziej niż ktokolwiek inny. W miarę jak Moira coraz głębiej brnęła w swoje problemy, coraz szybciej pożerałam moje łakocie; pragnęłam tego samego co ona, chciałam jednocześnie tańczyć i wyjść za mąż za przystojnego dyrygenta orkiestry, i kiedy na koniec moja bohaterka rzuciła się pod pociąg, wydałam szloch tak potężny, że ludzie z wściekłością odwracali się trzy rzędy przed nami. Ciotka Lou zabrała mnie na ten film cztery razy.

Obejrzałam całkiem sporo filmów dla dorosłych na długo, zanim dorosłam, ale nigdy nie zakwestionowano mojego wieku. Już wtedy byłam dość gruba, a wszystkie grube kobiety wyglądają jednakowo: na jakieś czterdzieści dwa lata. Do tego jeszcze

grubaski nie rzucają się tak w oczy jak szczupłe; ludzie uważają je za godne współczucia i odwracają oczy. Dla portierów i kasjerów musiałam być po prostu wielką, bezkształtną bryłą. Gdybym kiedykolwiek obrabowała bank, żaden świadek nie byłby zdolny podać mojego rysopisu.

Wychodziłyśmy z kina z czerwonymi oczami, wstrząsane jeszcze szlochem, ale z ciepłym poczuciem spełnienia. Potem szłyśmy do ciotki Lou na wodę sodową albo coś „na ząb"; zwykle były to kanapki z krabem z rusztu i majonezem lub sałatka z kurczaka. Ciotka zawsze miała coś takiego w lodówce albo w puszkach w kredensie. Budynek, w którym mieszkała, był dość stary, wykończony ciemnym drewnem, z dużymi pokojami. Meble też były duże i ciemne, często zakurzone, zwykle zawalone różnymi rzeczami: na kanapie gazety, na podłodze afgańskie wełniane szale, pod krzesłami buty bez pary i pończochy, w zlewie brudne naczynia. Dla mnie ten nieporządek oznaczał, że można robić, co się chce. Próbowałam to naśladować w swoim pokoju, rozrzucając ubrania, książki i papierki od cukierków po tak starannie zaplanowanych przez matkę sprzętach: toaletce przystrojonej haftowanymi muślinowymi falbanami, dobranej do tego narzucie na łóżko i pasującym do wszystkiego dywanie. Była to jedyna forma dekoracji wnętrz, jaką uprawiałam, a jedyna jej wada polegała na tym, że prędzej czy później należało to posprzątać.

Po jedzeniu ciotka Lou nalewała sobie drinka, zsuwała pantofle, sadowiła się na jednym z przysadzistych foteli i grubym głosem zadawała mi pytania. Ciotka rzeczywiście interesowała się tym, co miałam do powiedzenia, i nie śmiała się, kiedy mówiłam, że chciałabym zostać śpiewaczką operową.

Jednym z przejawów lekceważenia ciotki Lou przez moją matkę była opinia, że ciotka jest zgorzkniała i sfrustrowana, ponieważ nie ma męża, ale jeśli nawet była to prawda, ciotka Lou potrafiła ją starannie ukryć. Dla mnie była znacznie mniej zgorzkniała i sfrustrowana od matki, która teraz, kiedy już zrealizowała swoje główne zamierzenie i urządziła swój „docelowy" dom, coraz więcej energii wkładała w dzieło odchudzania mnie. Prawdę powiedziawszy, próbowała wszystkiego. Kiedy odmówiłam przyjmowania pigułek i przestrzegania diet – starannie przez nią opracowanych, z jadłospisem na każdy dzień tygodnia i z wyliczonymi kaloriami – wysłała mnie do psychiatry.

– Lubię być gruba – oznajmiłam psychiatrze i wybuchnęłam płaczem. Spoglądał na mnie, zetknąwszy czubki palców, i uśmiechał się dobrotliwie, z pewnym jednak niesmakiem patrzył, jak szlocham i sapię.

– A nie chcesz wyjść za mąż? – spytał, kiedy się uspokoiłam. Ale to mnie rozżaliło i zaczęłam od nowa. Przy najbliższej okazji spytałam jednak ciotkę Lou:

– Czy nigdy nie chciałaś wyjść za mąż?

Wybuchnęła ochrypłym śmiechem. Siedziała w swoim nadmiernie wypchanym fotelu i popijała martini.

– Ależ ja byłam mężatką, kochanie – odparła. – Nigdy ci nie mówiłam?

Zawsze uważałam, że ciotka Lou jest starą panną, ponieważ nazywała się tak jak ojciec, Delacourt, wymawiane: Delakor.

– Niewątpliwie francuska szlachta – powiedziała ciotka. Jej pradziad był farmerem, zanim postanowił sięgnąć wyżej. Zainwestował w kolej, zaczynając od zera, ale w tym celu sprzedał

ziemię. I tak rodzina doszła do pieniędzy. – Naturalnie wszyscy byli oszustami – dodała ciotka, popijając drinka – chociaż nikt tego tak nie nazywał.

Jak się okazało, ciotka Lou wyszła za mąż w wieku dziewiętnastu lat, za człowieka o osiem lat starszego od siebie, z dobrą pozycją i zaakceptowanego przez rodzinę. Niestety, okazał się nałogowym graczem.

– Co jedną ręką włożył, to drugą wyjął – wysapała ciotka. – Ale skąd ja biedna mogłam wiedzieć? Zakochałam się bez pamięci, taki był wysoki, ciemny i przystojny.

Zaczęłam rozumieć, dlaczego ciotka lubi takie filmy: przypominały jej życie.

– Starałam się, kochanie, jak mogłam, ale na nic się to zdało. W końcu zaczął znikać na całe dnie, a ja przecież nie miałam zielonego pojęcia o prowadzeniu domu ani obchodzeniu się z pieniędzmi. Do tej pory nie robiłam nawet zakupów; po prostu brało się za słuchawkę, zamawiało co trzeba i przynosili w pudle do domu. W pierwszym tygodniu małżeństwa pozamawiałam wszystkiego po funcie: funt mąki, funt soli, funt pieprzu i funt cukru. Uważałam, że tak trzeba. Pieprzu wystarczyło na lata. – Śmiech ciotki Lou przypominał parskanie rozzłoszczonego morsa. Lubiła żartować sama z siebie, ale chwilami ją zatykało. – Za jakiś czas wracał; jeśli przegrał, mówił, jak bardzo mnie kocha, a jak wygrał, narzekał, że jest uwiązany. Było to naprawdę bardzo smutne. Aż pewnego razu po prostu nie wrócił. Może go zastrzelili za to, że nie płacił długów. Ciekawe, czy jeszcze żyje. Jeśli tak, to chyba w dalszym ciągu jestem jego żoną.

Nieco później zorientowałam się, że ciotka Lou ma kogoś w rodzaju chłopaka. Na imię miał Robert, był księgowym, miał żonę i dzieci i przychodził do ciotki w niedziele wieczorem na kolację.

– Tylko nie mów mamie, kochanie – poprosiła mnie ciotka. – Boję się, że ona by tego nie zrozumiała.

– A czy ty byś chciała wyjść za niego za mąż? – spytałam, kiedy mi o nim powiedziała.

– Kto się raz sparzył, na zimne dmucha – odparła. – Poza tym ja nie mam rozwodu, nie był mi potrzebny. Po prostu wróciłam do panieńskiego nazwiska i w ten sposób unikam różnych kłopotliwych pytań. Posłuchaj mojej rady i nie wychodź za mąż przed dwudziestym piątym rokiem życia.

Ciotka przyjęła, że wtedy wielbiciele będą mi deptali po piętach; miała absolutną pewność, że znajdą się chętni. Według matki osoba z moim wyglądem i tak nic w życiu nie osiągnie, ale ciotka Lou była za lekceważeniem wszelkich ułomności i traktowaniem ich jak normalne przeszkody do pokonania. Kalekie śpiewaczki operowe doskonale sobie radzą, jeśli tylko próbują. A ja, gruba, bo gruba, ale też rokowałam jakieś nadzieje. Nie byłam pewna, czy im sprostam.

Po złych doświadczeniach z hazardzistą ciotka Lou znalazła sobie pracę.

– Nie umiałam pisać na maszynie, dziecko – powiedziała. – Wychowano mnie tak, że właściwie nie umiałam nic. A były to czasy kryzysu, rozumiesz. Skończyły się pieniądze. Musiałam iść do pracy, musiałam radzić sobie sama.

Kiedy byłam młodsza, ojciec i matka dość niejasno mówili o pracy ciotki Lou, ona sama zresztą też. Dowiedziałam się tylko, że pracuje w jakimś biurze i że jest kierowniczką działu. Czym się naprawdę zajmowała, odkryłam dopiero, mając trzynaście lat.

– Proszę – powiedziała matka. – Czas, żebyś to przeczytała. – I wręczyła mi różową broszurkę z girlandą kwiatów na okładce, która głosiła: „Stajesz się kobietą". Po wewnętrznej stronie okładki znajdował się list zaczynający się od słów: „Dorastanie może być przyjemne. Ale wiąże się z nim wiele spraw, które mogą ci się wydać zaskakujące. Jedna z nich to menstruacja...". Pod spodem widniało oblicze ciotki Lou okraszone macierzyńskim, ale zarazem profesjonalnym uśmiechem; zdjęcie zrobiono, zanim jej twarz nabrała tak wielkich rozmiarów. Na szyi miała pojedynczy sznur pereł. W rzeczywistości ciotka nosiła perły, ale nigdy nie był to pojedynczy sznur. List podpisano: „Z poważaniem Louisa K. Delacourt". Studiowałam pilnie tabelki w różowej broszurce, etykietę obowiązującą przy grze w tenisa czy na balach szkolnych, rady w sprawach ubierania się i mycia włosów, ale największe wrażenie zrobiła na mnie fotografia ciotki Lou i jej podpis – jakby była gwiazdą filmową. Moja ciotka była na swój sposób sławna. Przy najbliższej okazji spytałam ją o to.

– Prowadzę dział listów, kochanie – wyjaśniła. – Na Kanadę. Ale to nie ja jestem autorką tej broszurki. Tym się zajmuje dział reklamy.

– Wobec tego co do ciebie należy?

– No cóż... Chodzę na spotkania i mam głos doradczy w sprawie ogłoszeń. No i odpowiadam na listy. Oczywiście pomaga mi w tym sekretarka.

– Na jakie listy?

– No wiesz, zażalenia w sprawie złej jakości produktów, prośby o rady, tego rodzaju rzeczy. Pewnie myślisz, że piszą tylko młode dziewczyny; rzeczywiście, wiele listów pochodzi od młodych dziewczyn, które chcą na przykład wiedzieć, gdzie jest pochwa i tym podobne. Na to mamy specjalne standardowe odpowiedzi. Ale niektóre z tych listów piszą ludzie, którzy naprawdę potrzebują pomocy, i na te właśnie odpowiadam osobiście. Jak się na przykład boją iść do lekarza, to piszą do mnie. Na połowę tych listów nie wiem, co odpowiedzieć. – Ciotka Lou dopiła martini i poszła po następne. – Na przykład niedawno dostałam list od kobiety, której się wydaje, że została zapłodniona przez inkuba.

– Przez inkuba? – spytałam. To słowo skojarzyło mi się z jakimś sprzętem medycznym. – Co to takiego?

– Sprawdziłam w słowniku. To taki rodzaj demona.

– No i co jej odpisałaś? – spytałam wstrząśnięta. – A jeśli rzeczywiście tak było?

– Poradziłam jej, żeby zrobiła test ciążowy. Jeżeli wynik będzie pozytywny, to znaczy, że to nie inkub – odpowiedziała ciotka z namysłem. – A jeśli negatywny, to nie ma problemu. Zgadzasz się ze mną?

– Louisa przekracza wszelkie granice przyzwoitości – powiedziała matka, wyjaśniając ojcu, dlaczego nie zaprasza ciotki częściej na kolacje. – Na pewno będą ją pytać, co robi, a ona odpowie bez żadnych oporów. Nie mogę dopuścić do tego, żeby używała przy stole takich słów. Wiem, że ma dobre serce, ale zupełnie nie dba o to, jakie wrażenie robi na ludziach.

– Zawsze trzeba patrzeć na dobre strony – powiedziała do mnie ciotka Lou z chichotem. – Przyzwoicie płacą i jest sympatyczna atmosfera. Nie mam powodu do narzekań.

Psychiatra machnął na mnie ręką po trzech sesjach wypełnionych na przemian płaczem i milczeniem. Czułam się urażona insynuacją, że może być ze mną nie w porządku coś jeszcze poza tym, że jestem gruba, a on czuł się urażony moją urazą. Powiedział matce, że to problem rodzinny i że leczenie mnie samej nic nie da, co ją rozzłościło.

– Bezczelny facet – powiedziała do ojca. – Chce ode mnie wyciągnąć więcej pieniędzy. To wszystko szarlatani.

Potem nastał etap środków przeczyszczających. W tym czasie działania mojej matki nabrały rozpaczliwego charakteru; miała wyraźną obsesję na punkcie mojej tuszy. Jak większość ludzi, z pewnością myślała obrazami. Musiała mnie sobie wyobrażać jako urządzenie z jednym otworem, coś w rodzaju rury, do której górą wpadają różne rzeczy, ale nie wypadają dołem; gdyby tylko mogła mnie w jakiś sposób odkorkować, z pewnością uszłoby ze mnie powietrze, natychmiast, w jednej chwili, jak z balonu. Zaczęła więc kupować gotowe leki, wymyślając różne historyjki, żeby mnie zachęcić do ich brania – w rodzaju „To ci dobrze zrobi na cerę” – lub od czasu do czasu przemycając mi je w jedzeniu. Kiedyś nawet polukrowała ciasto czekoladowe rozpuszczonym środkiem przeczyszczającym i specjalnie zostawiła w kuchni na stole, gdzie je dopadłam i pożarłam. Byłam potem bardzo nieszczęśliwa, ale ani trochę szczuplejsza.

W tym czasie chodziłam do szkoły średniej. Nie chciałam iść do prywatnej szkoły dla dziewcząt, gdzie obowiązywały plisowane

spódniczki i krawaty w kratkę i dokąd chciała mnie wysłać matka. Od czasu zuchów bałam się wszelkich zbiorowości składających się wyłącznie z kobiet, zwłaszcza umundurowanych. Poszłam więc do najbliższej szkoły średniej, drugiej kategorii w ocenie mojej matki, ale nie tak złej, jak by mogła być, ponieważ teraz mieszkaliśmy już w dobrej dzielnicy. Problem polegał na tym, że dzieci z rodzin, które matka uważała za równe nam czy lepsze, chodziły do takiej właśnie szkoły prywatnej, w jakiej chciała mnie widzieć, dzięki czemu moja szkoła skupiała same „odpady" – dzieci ze skromniejszych domów położonych na peryferiach dzielnicy, z nowobogackiej kamienicy czynszowej pogardzanej przez szacownych starych rezydentów, a co gorsza z mieszkań położonych nad sklepami centrum handlowego. Niektórzy z moich kolegów zupełnie nie odpowiadali wyobrażeniom matki, czego jej zresztą nie mówiłam, żeby mnie nie zmuszała do chodzenia w mundurku.

W tym okresie matka dawała mi pieniądze na ubranie, traktując to jako zachętę do odchudzania. Uważała, że powinnam kupować rzeczy nierzucające się w oczy, ciemne sukienki w groszki czy pionowe paski – wzór zarezerwowany przez projektantów mody dla grubasów. Zamiast tego poszukiwałam więc ubrań agresywnie ohydnych, w krzykliwych kolorach, w poprzeczne paski. Niektóre kupowałam w sklepach dla ciężarnych, inne z przeceny. Szczególną dumą napawała mnie czerwona filcowa spódnica, uszyta z koła, z aplikacją z przodu w postaci czarnego telefonu. Im jaskrawsze kolory, im okrąglejsza się w nich wydawałam, tym pewniejsza byłam zakupu. Nie

zamierzałam dać się pomniejszyć czy zneutralizować przez granatowy worek w groszki.

Pewnego razu, kiedy pojawiłam się w domu ubrana w nowy jaskrawozielony płaszcz zapinany na kołki, krzykliwy jak neonowy melon, matka po prostu się rozpłakała.

Płakała żałośnie, całkowicie bierna, wsparta o poręcz, zwiotczała, jakby nie miała kości. A że nigdy nie płakała przy mnie, przestraszyłam się trochę, ale jednocześnie tryumfowałam w poczuciu własnej siły, mojej jedynej siły. Pokonałam ją; nigdy nie zrobi ze mnie szczupłej i ładnej.

– Gdzie ty wynajdujesz te rzeczy? – szlochała. – Wiem, że robisz to specjalnie. Gdybym ja wyglądała tak jak ty, tobym nie wychodziła z piwnicy.

Długo czekałam na tę chwilę. Ta, która się pierwsza rozpłacze, jest przegrana.

– Piłaś – powiedziałam zgodnie z prawdą. Po raz pierwszy w życiu zaznałam w sposób świadomy rozkoszy słusznej zemsty.

– Co ja takiego zrobiłam, żeby sobie zasłużyć na takie zachowanie? – zapytała matka. Miała na sobie szlafrok i kapcie, mimo że było wpół do piątej po południu, i nieumyte włosy. Przeszłam obok niej i zadowolona z siebie pomaszerowałam do swego pokoju. Ale kiedy się zastanowiłam, dopadły mnie wątpliwości. Przecenia swoją rolę, nie jestem jej marionetką – zachowuję się tak nie dlatego, że ona coś zrobiła, tylko dlatego, że tak chcę. Zresztą co złego widzi w moim zachowaniu?

– Bo ja już taka jestem – powiedziała kiedyś ciotka Lou. – Jak się komuś nie podoba, to jego sprawa. Pamiętaj o tym, kochanie.

Nie zawsze możesz sobie wybrać życie, ale zawsze możesz się nauczyć je akceptować.

Przyzwyczaiłam się uważać ciotkę Lou za osobę mądrą, w każdym razie była z pewnością szlachetna. Problem polegał na tym, że mądrości, którymi dzieliła się z ludźmi, po dokładniejszym rozważeniu bywały wieloznaczne. Na przykład: czy to ja miałam zaakceptować matkę, czy ona mnie?

W jednym z moich snów na jawie udawałam, że ciotka Lou jest moją prawdziwą matką, która z jakichś niejasnych, ale wybaczalnych powodów oddała mnie rodzicom na wychowanie. Może byłam dzieckiem przystojnego hazardzisty, który pewnego dnia miał wrócić, a może nieślubnym dzieckiem ciotki Lou, urodzonym bardzo młodo. W takim wypadku mój ojciec nie był moim prawdziwym ojcem, a matka... Tu się całe rozumowanie załamywało, bo przecież kto by zmusił matkę, żeby mnie wzięła, nie mając żadnych zobowiązań? Kiedy ojciec podkreślał, jak bardzo ciotka Lou jest do mnie przywiązana, matka odpowiadała lodowato, że to nie sztuka, skoro nie ma mnie stale na głowie. „Na głowie", „na karku" – były to sformułowania, których chętnie używała w odniesieniu do mnie, chociaż rzadko kiedy mnie dotykała. Ręce miała delikatne, o długich palcach i czerwonych paznokciach, włosy starannie ułożone – nie było dla mnie ciepłego gniazdka wśród jej sztywnych, nienaruszonych loków. Zawsze wiedziałam, jak matka wygląda; nigdy jej nie czułam.

Ciotka Lou za to była miękka, puszysta i kosmata, nawet jej twarz, upudrowaną i uróżowaną, porastał meszek jak u pszczoły. Z głowy zwisały jej kosmyki włosów, z obrębków nitki, a z dekoltu, gdzie kładłam głowę, słuchając opowieści gadającego

lisa, wydobywał się słodkawy zapach. Latem, kiedy byłam mała i błądziłyśmy po terenach Wielkiej Wystawy Narodowej, ciotka trzymała mnie za rękę. Matka nie robiła tego nigdy, musiała uważać na swoje rękawiczki. Prowadziła mnie za ramię albo trzymała z tyłu za kołnierzyk. Ale przede wszystkim nie zabrałaby mnie na wystawę, uznałaby, że nie warto. A myśmy z ciotką nie tylko uważały, że warto, myśmy to wprost uwielbiały – wykrzykujących naganiaczy, zespoły grające na fujarkach, kłębki różowej waty cukrowej i ociekającą tłuszczem prażoną kukurydzę, którą się opychałyśmy, błądząc od pawilonu do pawilonu. Co roku zaczynałyśmy od stoiska poświęconego zdrowej żywności, żeby obejrzeć krowę zrobioną z prawdziwego masła; pamiętam rok, kiedy zamiast krowy zrobili królową.

Było jednak coś, czego nie mogłam sobie tak dobrze przypomnieć. Odwiedzałyśmy naturalnie wesołe miasteczko i fundowałyśmy sobie przejażdżki, te trochę wolniejsze – ciotka lubiła diabelski młyn – ale do dwóch namiotów broniła mi wstępu. W jednym z nich, ozdobionym malunkami ogromnych sterczących piersi, znajdowały się kobiety w strojach odalisek. Dwie czy trzy z nich pozowały, w pantalonach z tiulu, na małej scenie na zewnątrz, wyginając się i łyskając gołymi brzuchami, podczas gdy mężczyzna z głośnikiem nawoływał do kupowania biletów. W drugim namiocie, „Wybryki natury", występowali połykacz ognia i połykacz noży, gumowy człowiek i bliźnięta syjamskie „zrośnięte głowami, a mimo to żywe", jak zapewniał mężczyzna, oraz najgrubsza kobieta świata. Ciotka Lou nie wchodziła też do tego namiotu. „To niełądnie naśmiewać się z cudzych nieszczęść" – powiedziała bardziej stanowczo niż kiedykolwiek.

Odczułam to jako niesprawiedliwość: skoro inni naśmiewają się ze mnie, powinnam wreszcie i ja mieć okazję. Ale cóż, nikt nie uważał nadmiernej tuszy za nieszczęście, lecz jedynie za odrażający w skutkach brak silnej woli. Zresztą nie było w tym palca losu, elementu niezdrowej sensacji, właściwego, powiedzmy, bliźniętom syjamskim czy człowiekowi ze sztucznym płucem. W każdym razie Gruba Pani znajdowała się w tym samym namiocie i bardzo chciałam ją zobaczyć, ale nigdy mi się to nie udało.

Właściwie nie mogłam sobie przypomnieć, czy były to dwa namioty, czy tylko jeden. Człowiek z głośnikiem tak samo zachwalał wybryki natury, jak i tańczące dziewczyny. I jedno, i drugie było bardzo widowiskowe; i jedno, i drugie należało zobaczyć, żeby uwierzyć.

Ulubionym miejscem ciotki Lou był namiot z gigantycznymi ustami na zewnątrz, z których nieprzerwanym strumieniem wydobywał się zapuszkowany śmiech. „Śmiech w ciemności" – tak się to nazywało. Były tam fosforyzujące kościotrupy i krzywe lustra, które albo człowieka powiększały, albo zmniejszały. Te lustra mnie drażniły – nie chciałam być już grubsza, niż byłam, a szczuplejsza być nie mogłam.

Wyobrażałam sobie Grubą Panią, jak siedzi na krześle i robi na drutach, a przed nią przesuwają się niezliczone szeregi chudych, szarych twarzy, pożerając ją wzrokiem. Oczyma duszy widziałam ją w przezroczystych pantalonach, brązowym atłasowym staniku i czerwonych pantofelkach, jak tańczące dziewczyny. Zastanawiałam się, co ona czuje. Przyjdzie dzień, kiedy podniesie bunt i coś zrobi, a na razie żyje z ich ciekawości. Robiła na

drutach szalik dla kogoś z rodziny, kto znał ją od dziecka i nie widział w niej nic dziwacznego.

9

Miałam jedno zdjęcie ciotki Lou. Nosiłam się z nim wszędzie i stawiałam je na każdej komodzie, jaką miałam akurat do dyspozycji, ale uciekając do Terremoto, nie wzięłam go ze sobą – bałam się, że Artur zauważy jego brak. Zostało zrobione pewnego upalnego sierpniowego dnia na terenie Wielkiej Wystawy Narodowej, przed budynkiem Koloseum, przez jednego ze szwendających się tam fotografów, który najpierw pstryka, a potem wtyka świstek z numerkiem.

– Czy to twoja matka? – spytał kiedyś Artur, widząc, że wyjmuję zdjęcie.

– Nie – odparłam. – To moja ciotka Lou.

– A ta druga? Ta gruba?

Na moment się zawahałam. Byłam bliska powiedzenia mu prawdy.

– To moja druga ciotka – odparłam. – Ciotka Deirdre. Ciotka Lou była cudowna, a ciotka Deirdre okropna.

– Wygląda, jakby miała kłopoty z tarczycą – powiedział Artur.

– Nie, nie miała. Po prostu za dużo jadła. Pracowała jako telefonistka – odparłam. – To jej odpowiadało, ponieważ mogła

cały dzień siedzieć i miała donośny głos. Awansowała na taką, która dzwoni do ludzi i przypomina, że nie zapłacili rachunku.

Takie właśnie kłamstwa mu naopowiadałam, i to wcale nie w obronie własnej: wyssałam po prostu z palca całą przeszłość dla tego cienia na skrawku papieru, dla tej kobiety w nieokreślonym wieku, która mrużyła oczy do aparatu, stojąc z kłębkiem różowej waty cukrowej w ręku, z twarzą pucołowatą i pustą jak twarz mongoloidalnego kretyna, dla mego własnego ciała, które zrzuciłam jak skórę.

– Jest odrobinę podobna do ciebie – powiedział Artur.

– Odrobinę – przyznałam. – Nie lubiłam jej. Zawsze mi mówiła, co powinnam robić, a czego nie.

Trochę mi było przykro, że tak się sama siebie zaparłam. To zdjęcie stanowiło furtkę, z której należało skorzystać, mogłam jeszcze zaryzykować. Zamiast tego uciekłam w kamuflaż własnego wizerunku widzianego oczyma Artura. Bałam się chyba powierzyć mu całe to moje nieszczęście, obawiałam się, że nie da sobie z nim rady. Chciał mnie widzieć głupią i bezbronną, to prawda, ale tylko pozornie. Bo pod pozorami niezaradności krył się inny mit: mogę sobie pozwolić na głupotę i bezbronność tylko dlatego, że mam w sobie jakąś siłę, rezerwy życzliwości i ciepła, do których mogę się w razie potrzeby odwołać.

Każdy mit jest jakąś wersją prawdy, bo przecież życzliwości i ciepła z pewnością mi nie brakowało.

Wcześnie nauczyłam się współczuć innym – w okresie Bożego Narodzenia dawałam banknoty dolarowe członkom Armii Zbawienia, jak również beznogim kalekom sprzedającym długopisy na rogach ulic. Byłam tą, której dzieci zawsze wciskały

bzdury na temat zgubionych biletów autobusowych i która zawsze buliła. Kiedy szłam Yonge Street, na każdym czerwonym świetle dopadali mnie wyznawcy Kriszny, bezbłędnie wyławiając mnie z tłumu. Litowałam się nad każdym biednym stworzeniem: nad kotem potrąconym przez samochód, nad staruszką, która się przewróciła na oblodzonym chodniku, dodatkowo upokorzoną przez to, że widać jej było majtki, nad radnym miejskim, który płakał w telewizji po przegranych wyborach. Z tego powodu Artur nieraz mi wytykał, że moje poglądy polityczne są ckliwe. Nie byłam zwolenniczką plutonów egzekucyjnych, nie uważałam, żeby ludzie odsunięci od władzy zasługiwali na to, co z nimi robiono, niezależnie od tego, co robili sami. Artur nazywał to naiwnym humanizmem, popierał go jednak w odniesieniu do siebie samego.

Lecz oczywiście nie wiedział, że za moim pełnym współczucia uśmiechem kryje się garnitur mocno zaciśniętych zębów, a za nimi chór głosów: „A co ze mną? A mój ból? Kiedy wreszcie przyjdzie moja kolej?". Ale nauczyłam się tłumić te głosy, nauczyłam się spokoju i wrażliwości na sprawy innych.

Przez szkołę średnią przebrnęłam, podpierając się ciepłem i życzliwością. W księdze pamiątkowej Braeside, pod zdjęciami grupowymi, które przedstawiały dziewczęta z umalowanymi ustami i narysowanymi ołówkiem brwiami, uczesane na pazia albo w koński ogon i upozowane przed chłopcami ostrzyżonymi na jeża albo w kaczy kuper – wzrok wbity w przestrzeń, nogi skrzyżowane w kostkach – przeznaczony dla mnie epigram brzmiał z reguły: „Nasza śmieszka z bombowym usposobieniem" albo „Fajny kumpel!!!", albo „Joanie to beczka śmiechu!!!", albo „W porządku dziewczyna, nigdy się nie wkurza". O innych

dziewczętach wypisywali takie rzeczy, jak: „Ona lubi wysokich!”, „Ach, te prywatki na Don Mills!”, czy „Jej główna atrakcja to zła reputacja”, a nawet „Dobrego nigdy za dużo”. W domu chodziłam ponura albo obojętna, w kinie płakałam z ciotką Lou, za to w szkole byłam programowo koleżeńska i kontaktowa, żułam gumę, paliłam w klozecie i malowałam swoje małe usteczka kupidyna, zagubione w bezmiarze twarzy, szminkami w odcieniach Precious Pink czy Sultry Red. Byłam dobra w siatkówce, choć kiepska w koszykówce, która wymagała nieustannego biegania. Wybierano mnie do różnych komitetów, przeważnie na sekretarza, a poza tym wstąpiłam do Koła Przyjaciół ONZ, gdzie reprezentowałam Arabów. O ile sobie przypominam, kiedyś na zlocie wygłosiłam całkiem udane przemówienie w obronie uchodźców palestyńskich. Pomagałam w robieniu dekoracji na potańcówki, zawieszając wiotkie girlandy z ligninowych kwiatów wzdłuż ścian cuchnącej potem sali gimnastycznej – chociaż oczywiście sama na te potańcówki nie chodziłam. Stopnie miałam niezłe, ale nie aż tak dobre, żeby drażniły moje otoczenie. Co więcej, w stosunku do wypacykowanych, biuściastych, wtłoczonych w kaszmirowe swetry koleżanek z klasy grałam rolę dobrej cioci i powierniczki. Właśnie dlatego coroczna księga pamiątkowa mówiła o mnie takie miłe rzeczy.

Poza mną uczyły się w szkole jeszcze dwie grube dziewczyny. Jedna z nich, Monica była o rok wyżej ode mnie. Miała krótko ostrzyżone tłuste włosy, zaczesane do góry po męsku, i nosiła czarną skórzaną kurtkę ze srebrnymi napami. Południowe przerwy spędzała z co głupszymi i bardziej ordynarnymi

chłopakami na parkingu, gdzie popijali z małych piersiówek ukrytych w samochodowych schowkach i opowiadali sobie świńskie kawały. Została w pewnym sensie zaakceptowana – jako jeszcze jeden chłopak. Nie uważali jej w ogóle za kobietę. Ta druga, Theresa, moja rówieśnica, chodziła do równoległej klasy. Była blada i zamknięta w sobie, niewiele mówiła i miała niewielu przyjaciół. Snuła się samotnie po korytarzach, oczyma krótkowidza wpatrzona we własne stopy, przygarbiona, z książką przyciśniętą do biustu, żeby choć z przodu ukryć swoje cielsko. Nosiła kremowe bluzki ze sztucznego tworzywa z dyskretnym haftem, jak czterdziestopięcioletnia sekretarka. A jednak to właśnie ona cieszyła się złą sławą tłuściochy bardziej niż bezczelna Monica, to za Theresą chłopcy wołali przez ulicę: „Hej, Serdel, idziemy za halę sportową?" na użytek innych, nie tak śmiałych kolegów. Theresa odwracała się wtedy i rumieniła, nikt nie wiedział, czy ta plotka ma coś wspólnego z prawdą, czy nie, w każdym razie wszyscy wierzyli, że w sprzyjających warunkach Theresa „to robi".

Co do mnie, miałam bombowe usposobienie i pełno przyjaciółek, ładnych dziewczyn, które chłopcy zabierali na prywatki i do kina, gdzie je oglądano i podziwiano. Nikt na ulicy niczego za mną nie wykrzykiwał, w każdym razie nikt z naszej szkoły. A dziewczyny lubiły wracać w moim towarzystwie do domu – zwierzając mi się i zasięgając rad – z dwóch powodów: kiedy się zjawił niepożądany chłopak, zawsze byłam ja, tłusta przyzwoitka, idealna wymówka, własny, osobisty czołg, jeśli zaś trafił się ktoś milszy, stanowiłam korzystny kontrast. Poza tym byłam niezwykle domyślna, zawsze wiedziałam, w którym momencie powiedzieć: „No to do jutra"

i zniknąć w oddali jak sterowiec na wietrze, zostawiając ich wpatrzonych w siebie na tle schludnych domów i strzyżonych trawników Braeside. Dziewczyny dzwoniły do mnie potem zdyszane, żeby mi powiedzieć: „I wiesz, co było później?", a ja odpowiadałam: „Nie, co?", jakbym umierała z ciekawości i zachwytu i nie mogła się doczekać, kiedy się dowiem. Można było na mnie polegać, że nigdy nie okażę zazdrości, że nie będę flirtować z ich partnerami ani się dziwić, dlaczego te najbliższe przyjaciółki nie zapraszają mnie na damsko-męskie prywatki. I choć tak wiele miałam wspólnego z ciałem, uważano, że jestem wyższa ponad jego potrzeby, co oczywiście nie było zgodne z prawdą.

Dziewczyny mi ufały i żadna się mnie nie bała, chociaż powinny. Wiedziałam o moich przyjaciółkach wszystko – znałam ich nadzieje i upodobania, rodzaj weselnej zastawy i fason sukni ślubnej, jakie sobie wymarzyły już w wieku piętnastu lat, imiona chłopców, którym zamierzały rzucić te skarby do stóp. Wiedziałam, co naprawdę myślały o chłopcach, z którymi chodziły, o tych ofermach i gnojkach, i o tamtych, z którymi chodziłyby znacznie chętniej, gdyby mogły, o tych żywych kukłach. Wiedziałam, jakiego są zdania i co wygadują o sobie nawzajem za plecami. One natomiast nie wiedziały o mnie nic; byłam jak gąbka: chłonęłam, niczego nie oddając, pomimo pokusy, żeby to wszystko z siebie wyrzucić, wypluć nareszcie całą nienawiść i zazdrość, żeby im się objawić jako dwulicowy potwór, którym – wiedziałam o tym – byłam. Znosiłam to z największym trudem.

Jedyną chyba korzyść z tego pełnego napięć życia stanowiła dość solidna wiedza na temat moich późniejszych czytelniczek:

tych, które za wcześnie wyszły za mąż i za wcześnie urodziły dzieci, które marząc o książętach i pałacach, kończyły w ciasnych mieszkankach ze skąpymi mężami. Ale wtedy nie mogłam tego przewidzieć.

Monica rzuciła szkołę, najszybciej jak tylko mogła. Tak samo Theresa – po to, żeby wyjść za mąż za mechanika samochodowego, człowieka starszego od siebie, który nie chodził ani do naszej szkoły, ani do żadnej innej. Podobno była w ciąży, chociaż – jak zauważyła jedna z moich przyjaciółek – po niej to trudno poznać. Ja ponuro brnęłam dalej. Chciałam skończyć szkołę i mieć to wreszcie z głowy, ale zupełnie nie wiedziałam, co dalej. Matka chciała, żebym poszła do Trinity College na uniwersytecie w Toronto, który cieszył się dobrą opinią, a i ja właściwie miałam na to ochotę; chciałam studiować archeologię albo może historię, ale nie mogłam znieść myśli o dalszych czterech latach dojmującej, skrytej męki – potworności kółek studenckich, zaręczyn, rozgrywek futbolowych i jeszcze na dodatek wiosennych ślubów koleżanek. Zaczęłam brać dorywcze prace, otworzyłam konto bankowe. Powiedziałam ciotce Lou, i tylko jej, że gdy tylko odłożę dość pieniędzy, wyniosę się z domu.

– Czy uważasz, że to będzie mądre, kochanie? – spytała.

– A czy uważasz, że zostanie w domu byłoby mądrzejsze? – odpowiedziałam pytaniem. Znała moją matkę i powinna była mnie rozumieć. Może bała się o mnie – jak sobie dam radę sama w świecie? Ja też się tego obawiałam. Z jednej strony, chciałam się wynieść z domu, z drugiej, ogarniał mnie lęk.

Czułam się winna wobec ciotki; nie chodziłam z nią już tak często do kina jak dawniej. A prawda była taka: bałam się, że

jedna z moich koleżanek, Barbara albo Carole-Ann (która była etatowym prowodyrem), albo Valerie, wystrojona w kaszmirowy sweter, z małymi cycuszkami upchniętymi w staniku i sterczącymi agresywnie jak nastawione kciuki, z końskim ogonem ściągniętym gumką i wianuszkiem sztucznych kwiatków, ciągnąc za sobą chłopaka w kurtce z literą B, pojawi się nagle na tym samym filmie i zobaczy mnie, jak pochlipuję u boku mojej zwalistej, otulonej w futra ciotki.

– W każdym razie nie rób tego, dopóki nie będziesz gotowa – powiedziała ciotka mądrze, co jak zwykle mogło znaczyć wszystko.

Prace, które mogłam podjąć, nie wymagały żadnych kwalifikacji i były niezbyt atrakcyjne. Pracodawcy zwykle nie chcieli zatrudniać osoby tak tłustej, ale niektórzy krępowali się odprawić mnie w sposób stanowczy, zwłaszcza jeśli odpowiadałam na ich ogłoszenie. Patrzyłam na nich oskarżycielsko spod nabrzmiałych powiek, mówiłam: „O, proszę, tu jest ogłoszenie", i wtedy przyjmowali mnie na parę tygodni, zmyślając jakiś pretekst, na przykład że ktoś ze stałych pracowników jest właśnie na urlopie. W ten sposób przepracowałam trzy tygodnie w sklepie typu mydło-powidło, dwa jako portierka w kinie, trzy na posadzie kasjerki w restauracji i tak dalej. Przez niektórych pracodawców byłam mile widziana: stanowiłam tanią siłę roboczą jako kobieta, a przy tym nie powodowałam zamieszania wśród personelu męskiego czy klientów, co zdarzało się innym paniom. Ale dawali mi zwykle pracę ciężką, nieprzyjemną, jak zmywanie, którą szybko porzucałam.

Matka wydawała się speszona moimi zajęciami.

– Po co ty właściwie pracujesz? – zadawała mi nieraz pytanie. – Dostajesz od nas tyle pieniędzy, ile ci potrzeba. – Uważała te zajęcia za poniżające dla siebie osobiście, co z mojego punktu widzenia stanowiło ich dodatkowy plus. Musiały także przypominać matce jej własne początki.

Kiedy zapanowała moda na szczerość w sprawach seksualnych, czytałam wiele o pierwszych tego typu doświadczeniach innych ludzi: o masturbacji za pomocą gałki do drzwi, kranu czy uchwytu elektrycznej golarki, o obmacywankach na tylnym siedzeniu samochodu w kinie pod gołym niebem, o szamotaninie w krzakach i tak dalej. Ale żadne z tych doświadczeń nie przypominało moich. Bo i ja miałam dwa wczesne przeżycia natury seksualnej, chociaż starałam się hamować swoje zainteresowania w tej dziedzinie tak dokładnie jak zainteresowanie dla filmów wojennych. Nie widziałam się w tej roli, wobec czego ignorowałam całą sprawę na tyle, na ile to było możliwe. I chociaż udawałam, że jest inaczej, to jednak nie podzielałam zbiorowego szaleństwa moich koleżanek na punkcie piosenkarzy. Pozwalałam sobie co najwyżej na wyidealizowaną namiętność do Merkurego, w skrzydlatej czapce i sandałach, ze wspaniałymi mięśniami i kablem telefonicznym owiniętym dyskretnie wokół bioder, który zdobił kiedyś okładkę książki telefonicznej Toronto. I którego od lat już nie było. Widocznie towarzystwo telefoniczne dokonało odkrycia, że Merkury był także bogiem złodziei i oszustów, nie tylko szybkości.

Miałam jednak pośredni dostęp do przeżyć seksualnych dzięki owym Barbarom i Valeriom, z którymi jadałam lunch i wracałam do domu, chociaż one wolały roztrząsać takie sprawy między sobą

niż ze mną. Wykluczały mnie z tych rozmów przez szacunek, jak się wyklucza zakonnicę czy świętą. W sprawach seksu były bardzo pruderyjne, wydzielały swoje wdzięki według przyjętych reguł – pierwszy pocałunek po trzeciej randce, poważniejsze całowanie zarezerwowane tylko dla stałego partnera, z zastrzeżeniem partii poniżej szyi. Były to czasy sprzed pigułki i zarówno od matek, jak i z plotek znały dostatecznie dużo ponurych przykładów z życia dziewcząt – które musiały wychodzić za mąż albo, co gorsza, które musiały, ale nie mogły – i to był powód, dla którego owe Barbary i Valerie były takie sztywne. Stąd też jeżeli posuwały się dalej, niż można było przypuszczać, nie opowiadały o tym.

Moje pierwsze doświadczenie seksualne było takie: wracałam do domu w towarzystwie Valerie, która kilkakrotnie gościła na kartach moich historycznych powieści grozy – raz ubrana w krynolinę, raz w pseudogrecką suknię z okresu regencji, z głębokim dekoltem. Tego dnia jednak miała na sobie czerwony sweter ze szpilką w kształcie pudla, dobraną do tego czerwoną plisowaną spódnicę, płaskie czółenka i granatowy trencz. Opowiadała mi właśnie o pewnym ważnym telefonie, który odebrała poprzedniego wieczoru, akurat kiedy myła włosy. Kilka przecznic przed ulicą, gdzie zwykle skręcałam, zaczepił nas chłopak, który od tygodni usiłował namówić Valerie na randkę. Nie miała na to ochoty, uważała go, o ile wiedziałam, za nudziarza, ale kodeks towarzyski nie pozwalał na zbyt obcesową odprawę – mogłaby sobie wystawić opinię zadzierającej nosa. Chłopak szedł więc obok nas, nerwowo usiłując nawiązać rozmowę z Valerie i całkowicie ignorując moją obecność.

Valerie posłała mi znaczące spojrzenie, żebym nie skręcała tam gdzie zwykle. Odprowadziłam ją więc pod sam dom, pewna, że zadzwoni później, chcąc mi podziękować za bystrość. Przy podjeździe rzuciła „do jutra", po czym odwróciła się i kołysząc końskim ogonem, pomaszerowała w górę. Drzwi kuchenne zamknęły się za nią, a ja stałam na chodniku, ze stopami wylewającymi się z czółenek. Bolały mnie nogi w kostkach – poszłam o trzy przecznice za daleko i teraz musiałam wracać – poza tym był najwyższy czas, aby zrobić sobie potrójną kanapkę z serem i masłem orzechowym i szykować się do roboty.

Pracowałam wtedy jako portierka w kinie Starlite, gdzie Natalie Wood grała w *Wiosennej bujności traw.* Chłopak, który nawet dla mnie był nie do przyjęcia, powinien teraz powiedzieć „cześć" i oddalić się jak najszybciej. Zamiast tego zrobił coś zupełnie niespodziewanego. Ukląkł mianowicie przede mną w samym środku błotnistej kałuży – był kwiecień i właśnie padało – i schował twarz w moim ogromnym brzuchu.

A ja – co na to ja? Otóż ja zupełnie zgłupiałam i zdjęta współczuciem, zaczęłam go głaskać po włosach. Przez wiele następnych dni ręka śmierdziała mi brylantyną.

Po kilku minutach tego przedstawienia chłopak podniósł się z kolan i odszedł z nogawkami ociekającymi wodą. Było to moje pierwsze przeżycie seksualne. Poszłam do domu i zjadłam kanapkę.

Dlaczego ten właśnie chłopak, którego nazwisko zupełnie wyleciało mi z głowy, ale którego twarz, pełną napięcia, a nawet udręki, do dziś mam przed oczami, dopuścił się tego groteskowego, choć niemal rytualnego aktu? I to na zabłoconym

chodniku przedmieścia Braeside Park, przed najzwyklejszym domem z czerwonej cegły z białym wykończeniem i dwoma przystrzyżonymi cedrami – po jednym z każdej strony drzwi frontowych? Nie mam zielonego pojęcia. Może był to wybuch żalu z powodu tłumionej miłości i potrzeba ukojenia. A może instynktowny wyraz kultu brzucha, albo – sądząc z tego, jak mnie obejmował – widział mnie jako jedną wielką pierś. Ale to już moje późniejsze spekulacje. Wtedy nowa sytuacja, dotknięcie mnie przez chłopaka, podziałała na mnie jak wstrząs i zapomniałam o całej sprawie najszybciej, jak tylko mogłam. Nie sprawiło mi to najmniejszej przyjemności. Nie wykorzystałam tego nawet do naigrawania się z niego, co pewnie bym zrobiła, gdybym była szczuplejsza. On ze swojej strony od tamtej pory mnie unikał, a nawet już nie próbował umówić się na randkę z Valerie.

Moje drugie seksualne przeżycie wiązało się z jedną z moich niepełnoetatowych prac. Zatrudniłam się wtedy jako kasjerka w restauracji, małym, skromnym lokalu o nazwie Przysmak. Mieliśmy hot dogi, hamburgery, koktajle mleczne, kawę, ciasto z owocami, a na życzenie klienta pełny posiłek: pieczone kurczę z krewetkami, minutowe steki, kotlety wieprzowe z rusztu i pieczeń wołową. Pracowałam od wpół do piątej aż do zamknięcia o wpół do dziesiątej i część mojego wynagrodzenia stanowił darmowy posiłek, z tych tańszych. Siedziałam na wysokim stołku za kasą i przyjmowałam pieniądze. Obsługiwałam także klientów, którzy jedli przy barze, w pobliżu mnie. W tym celu miałam telefoniczne połączenie z kuchnią, co umożliwiało mi składanie zamówień.

Pomieszczenie kuchenne znajdowało się na zapleczu i wiódł do niego korytarz udekorowany tapetą imitującą mur i kilkoma miedzianymi rondlami, nigdy nieużywanymi. Było dwóch kucharzy: niemrawy, nadęty Kanadyjczyk i żwawy cudzoziemiec o bystrych oczach, Włoch czy Grek, nie byłam pewna. Ta sytuacja powtarzała się w moich kolejnych pracach. Kanadyjczycy imający się tego rodzaju zajęć nie mieli ambicji dalej awansować; mimo przewagi, jaką dawała im znajomość języka i środowiska, na nic więcej nie potrafili się zdobyć. Natomiast cudzoziemcy pięli się w górę, oszczędzali pieniądze, uczyli się, nie poprzestając na poziomie służby. Kucharz cudzoziemiec pracował dwa razy szybciej i był dwa razy uprzejmiejszy. Z uśmiechem wręczał kelnerkom zamówienia, uwijał się po swoim przypominającym piec pomieszczeniu jak wiewiórka, nucąc urywki jakiejś egzotycznej piosenki; widać było, że tamten drugi najchętniej by go zabił.

Nasza znajomość nawiązała się telefonicznie – to on zaczął sięgać po słuchawkę, gdy zamierzałam złożyć zamówienie. Widział mnie bardzo dobrze przez korytarz.

– Alllou – śpiewał słodko.

– Hamburger z serem i z frytkami – mówiłam.

– Dla ciebie będzie ekstra specjal.

Uważałam, że się ze mną przekomarza, więc go ignorowałam, ale pewnego dnia zapytał mnie przez telefon:

– Napijesz się ze mną kawy? Po pracy?

Byłam zbyt zaskoczona, żeby odmówić. Jeszcze nigdy nikt nie zaprosił mnie na kawę.

Podał mi płaszcz i otworzył uprzejmie drzwi, uwijając się wokół mnie jak holownik wokół Queen Elizabeth; był o ponad dwanaście centymetrów niższy i prawdopodobnie o trzydzieści parę kilo lżejszy. Gdy już usiedliśmy naprzeciwko siebie w pobliskiej kawiarni, od razu przeszedł do rzeczy.

– Ja chcę, żebyś wyszła za mnie za mąż.

– Co? – spytałam.

Nachylił się w moją stronę, patrząc na mnie przez stolik bystrymi czarnymi oczyma.

– Mówię poważnie. Chcę rozmawiać z twoim ojcem, mogę pokazać nawet konto bankowe. – Ku mojemu zmieszaniu popchnął w moją stronę małą niebieską książeczkę czekową.

– Z ojcem? – wyjąkałam. – Konto bankowe...

– Zrozum – powiedział. – Ja w uczciwych zamiarach. Chcę niedługo otworzyć własną restaurację, dosyć już oszczędziłem. Jesteś poważna dziewczyna, nie taka jak inne dziewczyny w tym kraju, jesteś dobra dziewczyna, ja cię obserwowałem, tylko że ja nie umiem mówić. Ty byś tylko siedziała w kasie i witała gości. A ja bym gotował, dużo lepsze rzeczy niż tutaj. – Wskazał Przysmak po drugiej stronie ulicy. – Będę podawał wino, bo tylko świnia potrafi jeść bez wina.

– Ale... – zaczęłam. Przez chwilę nie byłam zdolna wymyślić żadnego powodu, dla którego miałabym mu odmówić. A potem wyobraziłam sobie minę matki, która patrzy, jak sunę wzdłuż nawy kościelnej, w białych atłasach, z tym maleńkim cudzoziemcem uwieszonym u mego ramienia, jak z torebką.

– Dam ci dzieci – powiedział. – Dużo dzieci. Widzę, że lubisz dzieci. Jesteś dobra dziewczyna. A potem, jak już będziemy mieli

dużo pieniędzy, pojedziemy do mojego kraju, spodoba ci się, zobaczysz.

– Ale – zaprotestowałam – nie jesteśmy tego samego wyznania.

Machnął ręką.

– Zmienisz wyznanie.

Kiedy po raz pierwszy przyjechałam do Terremoto, pojęłam, co we mnie widział: już wtedy wyglądałam jak żona – miałam figurę, jaką większość kobiet osiąga dopiero po wielu latach. A ja dojrzałam wcześniej, i to wszystko. Wtedy jednak nie mogłam się wyzbyć podejrzenia, że on sobie ze mnie kpi; albo ze mnie kpił, albo była to zwykła propozycja handlowa. Jakie wszystko byłoby proste; pomimo swoich skromnych rozmiarów wydawał się człowiekiem nawykłym do podejmowania decyzji – już nigdy nie musiałabym decydować sama. Ale nie uśmiechała mi się praca kasjerki na dłużej. Byłam kiepska w dodawaniu.

– Dziękuję bardzo – powiedziałam. – Ale boję się, że to jest niemożliwe.

To go jednak nie zraziło. Przez następne kilka tygodni zachowywał się tak, jakby się spodziewał tej odmowy – jakby tego wymagały formy. Dać kosza za pierwszym razem to słuszne i skromne z mojej strony i teraz jest to już tylko kwestia jego daru przekonywania: po odpowiedniej porcji namów bez wątpienia się poddam. Flirtował ze mną przez okienko, kiedy szłam odebrać zamówienia, puszczał do mnie oczko i ruszał swoimi małymi, ciemnymi wąsikami, dzwonił przez telefon wewnętrzny, wzdychając i prosząc, i przez cały czas obserwował mnie ze swojego stanowiska przy kuchni. W przerwie obiadowej przygotowywał dla mnie drogie zakazane potrawy, posypując je

obficie krewetkami, które – wiedział o tym – lubiłam, i całą tę piramidę ozdabiając siekaną natką pietruszki. Mój apetyt, zwykle gargantuiczny, zaczynał maleć, częściowo z powodu wielogodzinnego kontaktu z jedzeniem dla innych ludzi, a częściowo dlatego, że czułam się przekupywana każdym posiłkiem.

Cała ta historia miała posmak ceremoniału, przedstawienia, przez które musieliśmy przejść, zanim ulegnę i zrobię to, czego on sobie życzy. Ale podobnie jak wszelkie ceremoniały, w które się wierzy, i ten był szczery i dziwnie wzruszający. Lubiłam nawet mojego kucharza, chociaż mnie niepokoił. Wiedziałam, że nie zasługuję na takie zabiegi, poza tym było w nich coś absurdalnego, jakby starał się o mnie Charlie Chaplin. Odczułam ulgę, kiedy wrócił stały kasjer i mogłam odejść.

Przez jakiś czas w szkole śniłam na jawie o tym mężczyźnie (nigdy nie poznałam jego prawdziwego imienia; w swojej determinacji, by zostać Kanadyjczykiem, upierał się, że brzmi ono John). Przeważnie był dla mnie po prostu krajobrazem, połacią błękitnego nieba i balsamicznym powietrzem, białymi piaszczystymi plażami i dostojną klasyczną ruiną z rzędem kolumn na szczycie skały, miejscem, które stanowiło uderzający kontrast dla ponurego Toronto z jego dokuczliwymi zimowymi wiatrami, ze słoną chlapą niszczącą obuwie czy wilgotnym, męczącym latem, miejscem, do którego bym nareszcie pasowała i gdzie moja tusza by nie raziła. Czasem myślałam, że byłoby przyjemnie wyjść za niego za mąż, że to tyle, co mieć psa albo kota, że z tymi czarnymi oczami i miękkim wąsikiem byłby jak obłaskawione zwierzątko, wiewiórka czy wydra, uwijające się po

moim ciele, ogromnym dla niego jak półwysep. Stopniowo jednak te obrazy blakły i w miarę jak głuchłam na monotonne brzęczenie nauczyciela historii, mówiącego jednostajnie o bogactwach naturalnych i innych rzeczach, które mnie nie interesowały, powróciły wcześniejsze fantazje.

W tych snach na jawie siedziałam w namiocie cyrkowym. Było ciemno, coś się miało za chwilę wydarzyć i wszyscy zastygli w napięciu oczekiwania. Jadłam prażoną kukurydzę. Nagle ciemność przebił promień reflektora, zatrzymując się na małej platformie pod sufitem namiotu. Na tej platformie stała Gruba Pani, „wybryk natury" z Wielkiej Wystawy Narodowej. Była grubsza, niż ją sobie wyobrażałam, grubsza, niż ją przedstawiał prymitywny wizerunek wymalowany na drewnianym ogrodzeniu, a nawet znacznie grubsza niż ja. Miała na sobie różowe rajstopy z cekinami, krótką, zwiewną różową spódniczkę, atłasowe baletki, a na głowie migotliwy diadem. Miała też maleńką różową parasoleczkę – zamiast skrzydeł, w które tak koniecznie chciałam ją wyposażyć. Nawet w swoich fantazjach przestrzegałam kilku podstawowych zasad realizmu.

Tłum wybuchnął śmiechem. Ludzie wyli, pokazywali palcami, szydzili, śpiewali obraźliwe piosenki. Ale Gruba Pani, nic sobie z tego nie robiąc, zaczęła ostrożnie iść po przeciągniętym wysoko drucie, podczas gdy orkiestra grała jakąś podniosłą melodię. W tym momencie tłum zamarł i zaszemrał pomrukiem trwogi. Nie ulegało wątpliwości, że to bardzo niebezpieczna sztuka, że z taką tuszą Gruba Pani nie utrzyma równowagi, zachwieje się i runie. „Zabije się" – szeptano dokoła, nie było bowiem siatki zabezpieczającej.

Cal po calu Gruba Pani posuwała się po drucie, od czasu do czasu zatrzymując się dla złapania równowagi, z różową parasolką wyzywająco uniesioną nad głową. Krok za krokiem prowadziłam ją koło składów drewna Zachodniego Wybrzeża, ponad pszenicznymi łanami prerii, wysoko ponad kopalniami i kominami Ontario. Spowita w chmury, niby różowa zjawa, ukazywała się biednym farmerom St. Lawrence Valley i rybakom łowiącym makrele w Maritimes. „Chryste, a to co?" – szeptali, zastygając z odwieczną siecią w pół ruchu. Kilka razy Gruba Pani zachwiała się i wtedy tłum wstrzymywał oddech, drut zaczynał wibrować, a ona całą uwagę skupiała na swoim niebezpiecznym przedsięwzięciu, wiedząc, że upadek oznacza śmierć. Potem, tuż przed dzwonkiem na koniec lekcji – był to stały trik – lądowała bezpiecznie po drugiej stronie, a ludzie zrywali się z miejsc, wrzeszcząc w uznaniu jej sukcesu. Na koniec pojawiał się potężny dźwig i sadzał ją na ziemi.

Myślicie pewnie, że wyposażyłam Grubą Panią we własną twarz, ale nie było to takie proste. Miała twarz Theresy, mojej pogardzanej współcierpiętnicy, której wprawdzie w szkole unikałam, ale której, nie będąc przecież bezdusznym potworem, chciałam to jakoś wynagrodzić; miałam jednak dobre intencje.

Wiedziałam, jak zinterpretowałby te rojenia Artur. Co za wstyd, powiedziałby, jak zgubny mają na mnie wpływ konwenanse wtłaczające mnie w model kobiecości, do którego zupełnie nie pasuję, w te groteskowe różowe rajstopy z cekinami, w te przestarzałe, ciasne, krępujące nogi baletki. O ileż lepiej byłoby dla mnie, gdyby mnie zaakceptowano taką, jaka byłam, i gdybym sama nauczyła się akceptować siebie. Jakie to prawdziwe, słuszne

i bogobojne. Ale mimo wszystko nie takie proste. Bo ja tych rzeczy pożądałam – tej zwiewnej spódniczki, tego połyskliwego diademu. One mi się podobały.

Co zaś do Grubej Pani, wiedziałam doskonale, że po tym odważnym wyczynie wróci jako jeden z „wybryków natury” do namiotu na swoje za duże krzesło, żeby tam robić na drutach i żeby posiadacze biletów mogli się na nią gapić. Bo takie było jej prawdziwe życie.

10

Byłam w trzeciej klasie liceum w Braeside, kiedy pewnej niedzieli ciotka Lou zaprosiła mnie na kolację. Zdziwiło mnie to, ponieważ wiedziałam, że niedzielne wieczory są zarezerwowane dla Roberta, księgowego z przedsiębiorstwa, w którym pracowała. Ale kiedy mi powiedziała: „Tylko ubierz się ładnie, kochanie", zrozumiałam, że chce mnie przedstawić Robertowi. Nie miałam nic specjalnie ładnego, lecz ciotka nie przyjmowała takich rzeczy do wiadomości. Włożyłam więc filcową spódnicę z telefonem.

Nastawiłam się na to, że będę zazdrosna o Roberta. Wyobrażałam go sobie jako wysokiego, wyniosłego i trochę złowrogiego mężczyznę, wykorzystującego uczucia ciotki Lou. Tymczasem okazał się małym, eleganckim, najschludniej ubranym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek widziałam. Ciotka Lou posprzątała nawet na jego cześć mieszkanie – trochę po łebkach, bo jednak spod najlepszego fotela, na którym siedział, popijając martini, wystawał kawałek nylonowej pończochy.

Ciotka Lou była wystrojona od stóp do głów: zwieszały się z niej różne rzeczy, podzwaniała bransoletkami na przegubach rąk, a jej ciało otaczał obłok aromatów Mórz Południowych. Kiedy tak się krzątała, nadając przygotowanej przez siebie uczcie ostateczny

szlif, cała promieniała, jak gdyby rosnąc i wypełniając sobą pokój. Robert obserwował ją niczym wspaniały zachód słońca. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek jakiś mężczyzna będzie tak na mnie patrzył.

– Nie wiem, co twoja ciotka widzi w takim starym, suchym wiechciu jak ja – odezwał się pozornie do mnie, a tak naprawdę do niej.

Ciotka Lou wrzasnęła:

– Nie daj się wziąć na plewy, to w gruncie rzeczy szatan.

Kiedy skończyliśmy mus czekoladowy, ciotka zapytała:

– Joan, kochanie, czy nie zechciałabyś pójść z nami do kościoła?

To mnie zdziwiło jeszcze bardziej. Matka chodziła do kościoła wyłącznie ze względów towarzyskich: skazała mnie na kilka lat szkółki niedzielnej, co oznaczało białe rękawiczki, okrągłe granatowe kapelusiki podtrzymywane gumką pod brodą i lakierki. Ciotka Lou współczuła mi, kiedy jej powiedziałam, że to wszystko jest okropnie nudne. Sama od czasu do czasu zabierała mnie do małego anglikańskiego kościółka, ale tylko w niedziele wielkanocne, ze względu na pieśni, jak utrzymywała, i na tym się kończyło. Teraz jednak nasadziła sobie na czubek głowy jeden ze swoich dziwacznych kapelutków, przypudrowała nos i zdecydowanym ruchem wzięła białe rękawiczki.

– Tak naprawdę to nie jest kościół, ale Robert chodzi tam co niedziela.

Pojechaliśmy jego samochodem i zaparkowaliśmy w małej bocznej uliczce na północ od Queen. Zabudowę tworzyły tu stare dwupiętrowe bliźniaki z czerwonej cegły, z gankami od frontu. Dzielnica robiła wrażenie obskurnej i nędznej: wokół trawników

leżały hałdy brudnego śniegu. Jeden z budynków wyróżniał się spośród innych jaskrawoczerwonymi zasłonami w oknach, które podświetlone od środka zdawały się płonąć; do tego właśnie domu weszliśmy.

W przedpokoju stał stół, a na nim duża mosiężna taca ze stertą małych karteczek i kilkoma ołówkami. Pod stołem na porozkładanych gazetach suszyły się kalosze i gumowce. Ciotka Lou i Robert napisali jakieś numery na tych karteczkach i zwinięte położyli na tacy.

– Ty też napisz numer, może dostaniesz przesłanie – poleciła mi ciotka Lou.

– Przesłanie? – zdziwiłam się. – A od kogo?

– Nigdy nie wiadomo. Ale nie zaszkodzi spróbować.

Pomyślałam, że poczekam i zobaczę. Po przejściu za purpurową zasłonę znaleźliśmy się w kaplicy, jak potem nauczyłam się to pomieszczenie nazywać. Dawniej był to salon – teraz zawierał pięć czy sześć rzędów składanych krzeseł z pulpitami, każdy ze śpiewnikiem. Tam, gdzie kiedyś była jadalnia, znajdowały się teraz podium, pulpit przykryty czerwonym aksamitem i małe elektryczne organy. Jedynie trzecia część krzeseł była zajęta; przed rozpoczęciem nabożeństwa przybyło jeszcze trochę ludzi, ale nigdy, w czasie moich późniejszych wizyt, nie widziałam, żeby sala się zapełniła. Większość członków kongregacji byli to ludzie starzy, często z chronicznym kaszlem. Ciotka Lou i Robert należeli do najmłodszych.

Usadowiliśmy się w jednym z pierwszych rzędów, ciotka kokosiła się jak kwoka, Robert siedział sztywno wyprostowany. Przez jakiś czas nic się nie działo, z tyłu dochodziło chrząkanie

i szuranie. Otworzyłam śpiewnik, cienki, niepodobny do anglikańskich. *Śpiewnik spirytystów,* pod tytułem widniała na nim pieczątka: „Własność Kaplicy Jordanu". Przeczytałam dwie pieśni na chybił trafił. Jedna mówiła o radosnej wyprawie łodzią na drugą stronę rzeki, gdzie oczekują nasi bliscy. Inna opowiadała o błogosławionych duchach tych, którzy odeszli przed nami i którzy czuwają, byśmy bezpiecznie dotarli na tamtą stronę. Poczułam się nieswojo. Już samo słuchanie w szkółce niedzielnej, jak to Pan Bóg nie spuszcza nas z oka ani na chwilę przez całe życie, było wystarczająco przykre, a teraz doszła do tego jeszcze świadomość istnienia tych wszystkich innych, których nawet nie znałam i którzy mnie podglądają.

– Co to za kościół? – spytałam szeptem.

– Szszsz, kochanie, zaczyna się – odparła ciotka uspokajająco.

Rzeczywiście światła przygasły, a wzdłuż podium przeszła niska kobieta w brązowej sukni ze sztucznego tworzywa, w złotych kolczykach i dobranej do nich broszce. Zaczęła grać na organach elektrycznych. Wokół mnie odezwał się chór drżących głosów, ostrych i ochrypłych, przypominających świerszcze.

W połowie pieśni przez drzwi wiodące do kuchni weszły dwie osoby i stanęły za pulpitem. Jedną z nich była, jak się później dowiedziałam, przewodniczka duchowa kongregacji, wielebna Leda Sprott, dostojna starsza kobieta o niebieskich oczach, niebieskich włosach i rzymskim nosie, ubrana w długą białą atłasową suknię i z czerwoną haftowaną szarfą na szyi, przypominającą zakładkę do książki. Drugą był chudy, siwy staruszek, o którym mówiono „pan Stewart, nasze medium na gościnnych występach". Zastanawiałam się później, na czym

polegała gościnność tych występów, skoro pan Stewart zawsze był na miejscu.

Kiedy pieśń zbliżyła się do swego chwiejnego końca, Leda Sprott uniosła ręce nad głową.

– A teraz oddamy się medytacji – powiedziała głębokim, dźwięcznym głosem. Zaległa cisza, przerwana jedynie odgłosem niepewnych kroków, które przebiwszy się przez zasłonę, udawały się wolno schodami na górę. Leda Sprott rozpoczęła krótką modlitwę. Prosiła w niej naszych drogich nieobecnych, którzy ujrzeli światło, by czuwali nad nami, błąkającymi się jeszcze we mgle po tej stronie. Z oddali doszedł nas odgłos spuszczanej wody i kroki powróciły.

– A teraz usłyszymy ważne przesłanie od naszego medium na gościnnych występach, pana Stewarta – oznajmiła wielebna Leda, usuwając się na bok. Pod koniec moich związków ze spirytystami znałam przesłanie pana Stewarta na pamięć, ponieważ co tydzień brzmiało ono tak samo. Mówił nam, żebyśmy nie upadali na duchu, że zawsze jest jakaś nadzieja, że kiedy wszystko wygląda najczarniej, wtedy nadchodzi świt. A potem cytował kilka wersów z *Nie mów, że walka na nic się nie zda* Hugh Clougha:

> Nie tylko jednak wschodnim oknem,
> Gdy świta, wschodzi nowy dzień –
> Na wprost wstępuje w niebo słońce,
> A spójrz na zachód, ileż tam lśnień[*].

I jeszcze jedną linijkę z tego samego wiersza: „Gdyby nadzieja była matką głupich, lęk byłby kłamcą”.

– Lęk istotnie byłby kłamcą, drodzy przyjaciele, co mi przypomina pewną historię, którą słyszałem niedawno i która może nam wszystkim się przydać w tych chwilach depresji, kiedy nam się wydaje, że wszystko straciło sens i że nie ma po co walczyć. Otóż szły kiedyś drogą dwie gąsienice. Gąsienica pesymistka powiedziała, że słyszała, jakoby wkrótce miały się dostać w ciemne miejsce, gdzie będą spędzać czas w bezruchu i w milczeniu. „I to już oznacza nasz koniec", dodała. A na to gąsienica optymistka: „To ciemne miejsce jest tylko kokonem; będziemy w nim przez jakiś czas odpoczywać, by go na koniec opuścić z pięknymi skrzydłami, jako motyle, które wzlecą ku słońcu". Otóż, moi przyjaciele, ta droga to droga życia i od nas samych zależy, czy będziemy, jak gąsienica pesymistka, pełni ponurych myśli, skierowanych jedynie ku śmierci, czy, jak gąsienica optymistka, z wiarą i nadzieją podążymy ku lepszemu życiu.

Wiernym najwyraźniej nie przeszkadzało, że przesłanie jest zawsze identycznie. W gruncie rzeczy czuliby się pewnie oszukani, gdyby się zmieniło.

Po przesłaniu nadeszła pora na zbiórkę pieniędzy, którą zajmowała się kobieta w brązowym nylonie, a dopiero potem na sprawę najważniejszą. Na coś, po co tak naprawdę ludzie tu przyszli – ich osobiste przesłania. Kobieta w brązowym nylonie wniosła mosiężną tacę. Leda Sprott brała z niej jeden po drugim kawałki papieru. Każdy trzymała złożony w ręku i z zamkniętymi oczyma wygłaszała przesłanie. Następnie rozwijała papier i odczytywała numer. Przesłania dotyczyły głównie zdrowia.

– Widzę starą, siwą kobietę ze świetlistym kręgiem nad głową, ta kobieta mówi: „Uważaj, schodząc ze schodów, szczególnie w czwartki". I jeszcze wypowiada słowo „siarka". Ona ostrzega, przesyła wyrazy miłości i pozdrowienia. Widzę mężczyznę w spódniczce, ma przy sobie komplet piszczałek; to musi być Szkot, jest rudy. Przesyła ci wyrazy wielkiej miłości i mówi: „Skończ ze słodyczami, one nie są dla ciebie wskazane". I jeszcze coś mówi... nie bardzo mogę zrozumieć to słowo... jak gdyby „bzy". „Strzeż się bzów", o, coś takiego.

Po odczytaniu numerów ze wszystkich karteczek inicjatywę przejął pan Stewart, podając przesłania w luźnej formie: wskazywał na poszczególnych wiernych i opisywał duchy stojące za ich krzesłami. Ta forma wydała mi się znacznie bardziej krępująca niż liczby. Przesłania Ledy Sprott pochodziły jak gdyby z wnętrza jej głowy, pan Stewart przekazywał zaś swoje z otwartymi oczyma, jakby rzeczywiście widział zmarłych znajdujących się w pokoju. Skuliłam się na krześle w nadziei, że mnie to ominie.

Potem znów były pieśni, a następnie Leda Sprott przypomniała nam o sesji uzdrowicielskich rąk we wtorek, automatycznego pisma w środę i o indywidualnych sesjach w czwartek, i to już było wszystko. W przedpokoju zrobił się ścisk i rozległo szuranie, ponieważ kilka starszych osób jednocześnie usiłowało włożyć kalosze. Przy wyjściu ludzie gorąco dziękowali Ledzie Sprott. Znała większość z nich i pytała: „Czy jest pani zadowolona, pani Hearst?" albo „No i jak było, pani Dean?". „Z miejsca wyrzucam to lekarstwo" – odpowiadali. Albo: „To był z pewnością wuj Herbert, wujek nosił właśnie taki płaszcz".

– Och, Robercie – powiedziała ciotka Lou w samochodzie. – Przykro mi, że się dziś nie zjawiła.

Robert wyglądał na mocno zawiedzionego.

– Może była zajęta – powiedział. – Nie wiem, kto to jest ta druga kobieta, ta w wieczorowej sukni.

– Duża kobieta – skomentowała ciotka Lou. – Hmm. Zupełnie jakbym to była ja.

Ciotka zaprosiła Roberta na drinka, ale powiedział, że nie jest w nastroju i że powinien wracać do domu, wobec tego ja poszłam do ciotki. Napiłam się gorącej czekolady i zjadłam trochę ptifurek i kanapkę z krewetkami. Ciotka Lou wypiła podwójną szkocką.

– Chodzi o jego matkę – wyjaśniła. – Już trzeci tydzień z rzędu się nie pokazuje. Zawsze była trochę lekkomyślna. Żona Roberta jej nie znosiła i w ogóle nie chce z nim chodzić do kościoła. „Jeśliby kiedykolwiek rzeczywiście doszło do rozmowy z tym starym potworem – powiedziała – to ja nie chcę przy tym być". Nie uważasz, że to dość okrutne?

– Ciociu – zapytałam – ty naprawdę w to wszystko wierzysz?

– Nigdy nie wiadomo, moje dziecko – odparła ciotka. – Byłam nieraz świadkiem bardzo trafnych przesłań. Niektóre nie mają większego znaczenia, ale inne bywają bardzo pomocne.

– To coś w rodzaju czytania w myślach – powiedziałam.

– Nie mam pojęcia, na czym to polega – odparła ciotka – ale wielu osobom przynosi pociechę. Na przykład Robertowi wielką. I zależy mu, żebym i ja brała w tym udział. Trzeba mieć otwarty umysł.

– Ciarki mnie od tego przechodzą – powiedziałam.

– Ja odbieram przesłania od tego Szkota – rzekła ciotka Lou z namysłem. – Od tego z piszczałkami, tego rudego. Zastanawiam się, co miał na myśli, mówiąc o bzach. Może nie bzy, tylko psy, może zostanę pogryziona przez psy.

– A kto to jest? – spytałam.

– Nie mam zielonego pojęcia. Żaden z moich znajomych nie grał na dudach. To w każdym razie nikt z rodziny.

– Och – westchnęłam z ulgą. – Powiedziałaś im to?

– Nigdy w życiu bym tego nie zrobiła. Po co miałabym ranić ich uczucia?

W niedzielne wieczory zaczęłam regularnie chodzić do Kaplicy Jordanu. Była to forma spotkań z ciotką Lou, co obecnie wolałam od kina, ponieważ miałam absolutną pewność, że nikt ze szkoły mnie tam nie zobaczy. Sporo też zastanawiałam się nad pewnymi doktrynami spirytystów: jeżeli „druga strona" jest taka wspaniała, to dlaczego większość przesłań ma formę ostrzeżeń? Zamiast mówić swoim bliskim, żeby unikali śliskich schodów, niepewnych samochodów i tuczących pokarmów, duchy powinny ich raczej wabić na wysokie szczyty, mosty i w jeziora, zachęcać do jeszcze większej lekkomyślności i obżarstwa, aby przyspieszyć ich przejście na lepszą stronę. Część spirytystów wierzyła także w reinkarnację, inni w Atlantydę. Większość stanowili zwykli chrześcijanie. Ledzie Sprott było w zasadzie wszystko jedno, w co się wierzyło, pod warunkiem że się wierzyło w jej zdolności.

Chciałam w tym wszystkim uczestniczyć, powściągając niedowiarstwo, tak jakbym oglądała film – z jednym wszakże zastrzeżeniem: nie miałam zamiaru zostawić na tacy numeru. Nie znałam żadnych zmarłych i nie chciałam znać. Pewnego wieczoru

jednak odebrałam przesłanie, które przeszło swoją osobliwością moje najgorsze obawy. Było to podczas seansu Ledy Sprott z numerami, w momencie kiedy miała właśnie rozwinąć ostatni z leżących na mosiężnej tacy papierków. Jak zwykle zamknęła oczy, ale tym razem otworzyła je gwałtownie.

– Mam bardzo pilne przesłanie – powiedziała. – Dla kogoś bez numeru. – Patrzyła prosto na mnie. – Za twoim krzesłem stoi jakaś kobieta. Ma około trzydziestki, ciemne włosy, granatowy kostium z białym kołnierzykiem i białe rękawiczki. Przekazuje ci... Zaraz... Co ona ci takiego przekazuje? Jest z jakiegoś powodu bardzo nieszczęśliwa... Słyszę imię Joan. Niestety, przestałam ją słyszeć... – Leda Sprott przez chwilę nasłuchiwała, po czym oznajmiła: – Nie może się połączyć, są zbyt duże zakłócenia.

– To matka – powiedziałam do ciotki Lou scenicznym szeptem. – Ale przecież ona jeszcze nie umarła!

Byłam przerażona, a jednocześnie wściekła – naruszyła zasady gry. Chyba że Leda Sprott jest oszustką. Ale skąd może wiedzieć, jak wygląda moja matka? Chyba nie popełniłaby takiego błędu, żeby posłużyć się osobą żyjącą...

– Później, kochanie – odrzekła ciotka Lou.

Po nabożeństwie podeszłam do Ledy Sprott.

– To była moja matka – powiedziałam.

– Cieszę się w twoim imieniu – odparła Leda. – Już od jakiegoś czasu czuję, że ona chce nawiązać z tobą kontakt. Musi być o ciebie bardzo niespokojna.

– Ale przecież ona żyje! – wybuchnęłam. – Ona jeszcze nie umarła!

W niebieskich oczach odmalowała się niepewność, ale tylko przez chwilę.

– Wobec tego musiało to być jej ciało astralne – powiedziała Leda Sprott łagodnie. – To się czasem zdarza, chociaż my ich nie zachęcamy; powstaje tylko zamieszanie i nie zawsze jest dobry odbiór.

– Jej ciało astralne? – Nigdy o czymś podobnym nie słyszałam.

Leda Sprott wyjaśniła, że każdy człowiek oprócz ciała materialnego ma ciało astralne, które może się wokół niego poruszać przyczepione doń czymś w rodzaju długiej gumki.

– Musiała wejść przez okno w łazience – wyjaśniła. – Zawsze zostawiamy to okno trochę uchylone, kaloryfer w łazience nadmiernie grzeje. Z tą gumką trzeba bardzo uważać – dodała – bo gdyby pękła, ciało astralne mogłoby się oddzielić od reszty i co wtedy zostanie z człowieka? Warzywo. Jak te beznadziejne przypadki w szpitalach, o których się nieraz czyta. Stale powtarzamy lekarzom, że niektóre operacje mózgu przynoszą więcej szkody niż pożytku. Powinni zawsze zostawiać okno uchylone, żeby ciało astralne mogło wrócić.

Ta teoria wcale mi się nie podobała. Szczególnie nie podobała mi się myśl, że moja matka, pod postacią jakiejś duchowej galarety, wlecze się za mną z miejsca na miejsce, ubrana (najwyraźniej) w swój granatowy kostium z 1949 roku. Nie chciałam też słyszeć, że się mną martwi; jej zmartwienie oznaczało dla mnie z reguły przykrości – wolałam w to nie wierzyć.

– To bzdura – powiedziałam tak brutalnie, jak tylko mogłam.

Ku mojemu zdumieniu Leda Sprott się roześmiała.

– Och, jesteśmy przyzwyczajeni do wysłuchiwania takich rzeczy – oświadczyła. – Jakoś to przeżyjemy. – Następnie, ku mojemu zdumieniu, wzięła mnie za rękę. – Masz wielki dar – powiedziała, patrząc mi w oczy. – Potężną siłę. Powinnaś ją rozwijać. Powinnaś w środy próbować automatycznego pisma. Trudno mi orzec, czy jesteś nadawcą, czy odbiorcą... Myślę, że raczej odbiorcą. Chętnie pomogłabym ci w doskonaleniu tych talentów, mogłabyś nas wszystkich przerosnąć, ale wymagałoby to od ciebie ciężkiej pracy, no i muszę cię ostrzec: gdybyś próbowała bez nadzoru, mogłoby się to okazać niebezpieczne. Nie wszystkie duchy są przyjazne, rozumiesz. Niektóre są bardzo nieszczęśliwe. Gdy zaczynają mi za bardzo dokuczać, robię przemeblowanie. To je zbija z tropu. – Poklepała mnie po ręce, którą następnie puściła. – Przyjdź za tydzień, to porozmawiamy.

Więcej się tam nie pokazałam. Wstrząsnęło mną pojawienie się matki (jak stwierdziłam po powrocie do domu, zupełnie nie robiła wrażenia osoby, która właśnie odbyła podróż w swojej astralnej postaci; była taka sama jak zwykle i nawet lekko wstawiona). Opinia Ledy Sprott na temat moich zdolności przeraziła mnie jeszcze bardziej, zwłaszcza że ta idea dosyć mi się spodobała. Nikt mi przedtem nie powiedział, że mam jakiekolwiek zdolności. Oczyma wyobraźni ujrzałam na moment ponętną wizję mojej osoby w białej, zwiewnej sukni z czerwoną szarfą – wyglądałam wspaniale i promieniowałam duchową energią. Leda Sprott była dość tęga... Może tak wygląda moja przyszłość? Ale nie byłam pewna, czy rzeczywiście zależy mi na jakichś wielkich zdolnościach. A jeśli coś się nie uda? Jeśli zawiodę na całej linii, ośmieszę się publicznie? Jeśli nie nadejdą żadne przesłania? Już

lepiej wcale nie próbować. Byłoby straszne zawieść jakiekolwiek zgromadzenie, a w szczególności wiernych z Kaplicy Jordanu, tak ufnych, tak łagodnych, z tym ich pokasływaniem i piskliwymi głosami. Nie mogłam wziąć na siebie takiej odpowiedzialności.

Kilka miesięcy później zwierzyłam się z tego ciotce Lou. Widziała wtedy, jaka jestem poruszona, i nie ciągnęła mnie za język.

– Leda Sprott powiedziała, że mam wielkie zdolności – oświadczyłam.

– Tak ci powiedziała? Mnie mówiła to samo. Może obydwie mamy ten dar.

– Powiedziała, że powinnam spróbować automatycznego pisma.

– A wiesz – rzekła ciotka Lou w zadumie – że ja próbowałam? Pewnie pomyślisz, że jestem głupia.

– Ależ skąd – odparłam.

– Widzisz, zawsze chciałam wiedzieć, czy mój mąż jeszcze żyje, czy nie. Uważałam, że jeśli nie, to mógłby przynajmniej być na tyle grzeczny, żeby mnie o tym zawiadomić.

– No i jak to było? – spytałam.

– Wyobraź sobie – zaczęła powoli ciotka Lou – że było to coś bardzo dziwnego. Leda Sprott dała mi długopis, po prostu zwykły długopis. Nie umiem powiedzieć, czego się spodziewałam, pióra gęsiego czy czegoś w tym rodzaju. Potem zapaliła świeczkę i ustawiła ją przed lustrem, a ja miałam w nie patrzeć, ale nie na tę prawdziwą świeczkę, tylko na odbicie. Patrzyłam przez chwilę, ale nic się nie działo, poza tym, że słyszałam buczenie. Wydaje mi się, że na jakąś minutkę zasnęłam czy się zdrzemnęłam. A potem trzeba było już iść.

– Ale napisałaś coś? – spytałam zaciekawiona.

– No, niezupełnie – odparła ciotka. – Jakieś bazgroły i kilka liter.

– To może on jeszcze żyje...

– Nigdy nie wiadomo – odrzekła ciotka. – Jeśli nie żyje, w jego stylu byłoby nie odezwać się słowem. Zawsze lubił trzymać mnie w niepewności. Ale Leda Sprott powiedziała, że to był dobry początek i że powinnam próbować dalej. Twierdzi, że musi potrwać, zanim się złapie kontakt.

– I co, próbowałaś jeszcze?

Ciotka Lou zmarszczyła czoło.

– Robert mnie namawiał, ale ja nie jestem pewna, czy to dobry pomysł. Przyjrzałam się później tej kartce papieru. To, co na niej widniało, wcale nie przypominało mojego pisma. Ani trochę. Nie podobało mi się, że ktoś mną manipuluje. Pomyślałam, że powinnam dać temu spokój, i na twoim miejscu, kochanie, zrobiłabym to samo. Nie pofruniesz o jednym skrzydle, takie jest moje zdanie.

Mimo rad ciotki Lou czułam bardzo silną pokusę, żeby spróbować automatycznego pisma u siebie, we własnej sypialni, i pewnego wieczoru, kiedy rodzice wyszli z domu, spróbowałam. Z jadalni przyniosłam świecę, wzięłam czerwony długopis i notes matki leżący na stoliku przy telefonie. Zapaliłam świecę, zgasiłam światło i usiadłam przed lustrem toaletki, wpatrując się w odbicie małego płomyka i czekając, aż coś się zacznie dziać. Za wszelką cenę usiłowałam się powstrzymać przed świadomym poruszaniem ręką: to by było oszustwo, a ja chciałam grać uczciwie. Ale nic się nie działo, poza tym że płomień jakby strzelił wyżej.

Następne moje odkrycie nie było miłe: płonęły mi włosy – musiałam nieostrożnie zbliżyć głowę do świecy. Nosiłam wtedy grzywkę, która zaczęła się przypalać i skwierczeć. Chwyciłam się ręką za czoło i pobiegłam do łazienki – włosy z przodu miałam paskudnie przypalone. Trzeba było je obciąć, co nazajutrz wywołało awanturę z matką, która właśnie wydała pięć dolarów na mojego fryzjera. Zdecydowałam, że lepiej dać sobie spokój z automatycznym pismem.

W notesie jednak został ślad: pojedyncza czerwona linia, która wiła się jak strzępek włóczki, pełzła do przodu i zawracała jak robak. Nie pamiętam, żebym tę linię rysowała, ale jeśli to było wszystko, co tamta strona miała mi do zakomunikowania, to po co mi całe to zawracanie głowy?

Przez jakiś czas wplatałam zalecenia Ledy Sprott w moje szkolne sny na jawie (przecież jak chcę, to mogę; skromne początki w nieznanej kaplicy; cudowne objawienia; rosnąca sława; pełna widownia; pomoc dla tysięcy; szeptane komentarze; nabożny lęk i podziw: „Może i jest gruba, ale jaka w niej siła!”). Po upływie kilku miesięcy wszystko to jednak poszło w niepamięć, pozostała mi jedynie opowieść pana Stewarta, wyryta po wsze czasy w mojej świadomości, powracająca w najbardziej nieoczekiwanych momentach: gąsienica pesymistka z gąsienicą optymistką pełzną drogą życia pogrążone w niekończącym się dialogu. Najczęściej utożsamiałam się z gąsienicą optymistką, ale w momentach najbardziej ponurych myślałam sobie: „I co z tego, że się zamienisz w motyla? Motyle też umierają”.

---

[*] Wszystkie wiersze w przekładzie Mariana Hanasza (przyp. tłum.).

11

Następna moja praca po restauracji Przysmak to była Wystawa Sportowa. Odbywała się ona co roku w marcu na terenie Wielkiej Wystawy, w Koloseum. Przypominała salon samochodowy czy targi jesienne: wystawcy ślizgaczy, łodzi z włókna szklanego i kajaków – wszyscy mieli swoje stoiska, tak samo jak producenci sprzętu wędkarskiego i broni myśliwskiej. Skauci robili pokazy rozstawiania namiotów i rozpalania ognisk, a drużyny chłopców w zielonych mundurach, z czerwonymi kolanami wystającymi spod krótkich spodenek, odbywały ćwiczenia przeciwpożarowe. Obok ich podium wisiał plakat przeciwpożarowy Ministerstwa Rolnictwa i Leśnictwa. O określonych porach odbywały się tańce indiańskie w wykonaniu grupy dość cynicznych Indian, w strojach zbyt nowych, by mogły wyglądać na autentyczne. Wiem, że byli cyniczni, ponieważ jedli hot dogi w tym samym stoisku co ja, więc słyszałam, co mówią. Jeden z nich nazwał mnie tłuściochą.

Był też pokaz na trybunach głównych, zawody w spychaniu się z bali i w zarzucaniu wędki oraz wybory Miss Sportu. Foka imieniem Sharky grała na piszczałkach *Boże, chroń Królową*.

Z tej pracy byłam bardziej zadowolona niż z jakiejkolwiek innej. Panowały tam bałagan i bezguście i w tłumie nie raziłam tak

bardzo jak gdzie indziej. Wiedzieli o mnie tylko tyle, że jestem specjalistką od wędkowania na muchę czy też spychania z bali. Pracowałam tam w dni powszednie po szkole, całe soboty i niedziele. W przerwie obiadowej zjadałam pięć do sześciu hot dogów i wypijałam kilka Miodowych Ros, a potem snułam się po terenie wystawy, przystając, żeby obejrzeć pokaz damskiej mody sportowej, nowości w dziedzinie kurtek nazywanych parkami, kapoków i kamizelek ratunkowych, które miała lansować Miss Sportu, demonstrując swoją technikę wędkowania „na kołek", albo szłam do jednej z głównych trybun i przyglądałam się, jak ktoś przebijał balon strzałą, balansując na burcie kanoe, czy też jak jeden mężczyzna spychał drugiego z wirującego bala do plastikowego basenu.

Moje obowiązki były dość proste. Stałam z tyłu, na zapleczu strzelnicy, w czerwonym skórzanym fartuchu i wypożyczałam strzały. Kiedy pojemniki ze strzałami były już prawie puste, szłam do słomianych tarcz, zostawiając za barierką z liny klientów: kilkoro dzieci, młodych, rozmiłowanych w sporcie mężczyzn z żonami czy dziewczynami, zwykle też niemałą grupkę wyrostków w czarnych skórzanych kurtkach, którzy zwykle sterczeli wokół strzelnicy. Wyciągałam strzały, wrzucałam do pojemników i zaczynałam od nowa. Oprócz mnie było jeszcze dwóch pracowników. Do Roba należało gadanie; pracował już wcześniej jako sprzedawca i wodzirej i latem zatrudniał się na wystawie, obsługując sprzęt jeżdżący, stoiska z watą cukrową, konkursy i loterie. Stał na brzegu beczki i wołał: „Trzy za dziesiątkę, dziewięć za ćwiartkę, chodź i pokaż, co potrafisz, przekłuj balon, to go dostaniesz za darmo, a może panienka by

chciała spróbować?”. Bert, nieśmiały student pierwszego roku uniwersytetu, w okularach i półgolfie, pomagał mi w wydawaniu strzał i grabieniu terenu.

Problem polegał na tym, że idąc opróżnić tarcze, nie wiedzieliśmy, czy wszystkie strzały zostały użyte. Rob wołał wtedy: „Łuki w dół, strzały z cięciw!”. Ale od czasu do czasu znalazł się ktoś, kto przypadkowo lub też naumyślnie wypuszczał strzałę. W ten sposób zostałam ranna. Wyciągnęliśmy właśnie strzały i mężczyźni nieśli pojemniki z powrotem na linię, ja wymieniałam tarczę i stałam pochylona, wbijając ostatnią szpilę, kiedy poczułam, że coś mnie uderzyło w lewy pośladek. Usłyszałam za sobą wrzaskliwy śmiech i krzyk Roba: „Kto to zrobił?”, zanim zdążyłam poczuć ból. Facet się tłumaczył, że to niechcący, ale mu nie wierzyłam. Pewnie stracił głowę na widok mojego przypominającego księżyc w pełni tyłka.

Musiałam iść do punktu sanitarnego, gdzie wyjęli mi strzałę, a następnie unieść spódnicę, żeby zdezynfekowali i opatrzyli ranę. Na szczęście była to tylko lekka strzała sportowa i nie weszła zbyt głęboko. „Tylko w mięsień” – powiedziała pielęgniarka. Rob nalegał, żebym poszła do domu, ale ja się uparłam i zostałam do zamknięcia. Potem odwiózł mnie swoim antycznym volkswagenem. Był bardzo miły. W innych sprawach całkowicie cyniczny, potrafił współczuć komuś, kto doznał krzywdy na skutek ryzyka zawodowego. Sam kiedyś o mało nie zginął, gdy samochód Wielkiej Myszy wypadł z szyn. Kiedy stanęliśmy na czerwonym świetle, zdjął prawą rękę z kierownicy i poklepał mnie po kolanie.

– Szkoda, że nie sikasz na stojąco – zażartował. Było to moje trzecie doświadczenie seksualne.

Kiedy weszłam przez frontowe drzwi, z salonu dobiegł mnie głos ojca, co było niezwykłe. W tym czasie rodzice pozwalali mi wychodzić i wracać, kiedy chciałam. Siedzieli na swoich zwykłych miejscach. Ojciec robił wrażenie zatroskanego i zmęczonego, matka była wściekła.

– Mamy dla ciebie przykrą wiadomość, Joan – powiedział ojciec łagodnie.

– Ciotka Lou umarła – oznajmiła matka. – Na atak serca. Zawsze wiedziałam, że tak skończy. – Jeśli chodziło o nieszczęścia, przepowiednie matki bywały deprymująco wiarygodne.

W pierwszej chwili nie uwierzyłam. Odruchowo usiadłam. Wrzasnęłam z bólu.

– Co, do licha?! – ostro spytała matka.

– Ktoś mnie postrzelił z łuku – wyjaśniłam. – W siedzenie.

Matka spojrzała na mnie jak na nienormalną.

– To do ciebie bardzo podobne – powiedziała, jakby to była moja wina. – Zostawiła ci trochę pieniędzy – podjęła wojowniczo. – To najgłupsza rzecz pod słońcem. Kompletna i całkowita strata, jeśli chcesz wiedzieć, co o tym myślę.

Matka nie zasypiała gruszek w popiele – poszła do mieszkania ciotki, gdy tylko się dowiedziała, co się stało, od administratora budynku, który znalazł biedną ciotkę Lou leżącą w łazience na podłodze; miała na sobie kimono. Pośliznęła się na macie łazienkowej albo przed atakiem, albo po nim. Oryginał testamentu był u adwokata ciotki, ale matka znalazła kopię wśród jej papierów.

– Co za nieład – powiedziała. – W całym mieszkaniu panuje nieopisany bałagan. Musisz tam ze mną iść i mi pomóc. – Byliśmy jedyną rodziną ciotki Lou.

Ciotka rzeczywiście zostawiła mi pieniądze. Dwa tysiące dolarów, które w tym czasie stanowiły znaczną sumę dla kogoś w moim wieku. Ale postawiła jeden warunek: pieniądze będą moje, jeśli schudnę; określiła nawet wymaganą wagę. Miałam stracić około czterdziestu kilo.

I to właśnie tak rozwścieczyło matkę. Uważała, że nie będę do tego zdolna. W jej pojęciu równało się to wyrzuceniu pieniędzy w błoto. Jedyną osobą poza mną, która miała coś dostać, był mąż ciotki, hazardzista – jeśli się znajdzie.

Spędziłam noc, opłakując ciotkę Lou, spazmatycznie i hałaśliwie, chociaż właściwie nie czułam jeszcze prawdziwego bólu, ponieważ w gruncie rzeczy nie wierzyłam w jej śmierć. Ostateczność jej zniknięcia pojęłam dopiero nazajutrz rano, kiedy półprzytomna z niewyspania powlokłam się z matką do pustego już mieszkania ciotki. Było z grubsza takie, jakim je zapamiętałam ze swojej ostatniej wizyty, ale teraz, bez pogody i energii ciotki, wydało mi się zaniedbane, niechlujne, a nawet nędzne. Ciotka Lou zawsze potrafiła stworzyć wrażenie, że jej bałagan jest zamierzony czy wręcz zaplanowany. Teraz wydawał się skutkiem zwykłego niedbalstwa, a nawet gorzej: jakby ktoś splądrował to mieszkanie w poszukiwaniu czegoś, czego nie mógł znaleźć, rzucając gdzie popadło ubrania i różne inne rzeczy i nie licząc się w ogóle z właścicielem. Bez wątpienia ciotka Lou nie brała pod uwagę, że może umrzeć, w przeciwnym razie byłaby

porządniejsza. A jednak chyba brała – inaczej nie zostawiłaby tego dziwnego testamentu.

– Popatrz no na to – powiedziała matka, wyciągając najlepszą wieczorową suknię ciotki, naszywaną złotymi cekinami. – Co za tandeta.

Widziałam, jak ciotka, sztuka po sztuce, znika w brązowej papierowej torbie, która połykała bez końca ją samą, jej wesołe ciuszki, jaskrawe szaliki, jej drobne szaleństwa i żarty na własny temat, które matka odbierała tak śmiertelnie poważnie (na przykład ta karmazynowa bluzka), czego nie mogłam znieść. Zdołałam ocalić jedynie lisa – wepchnęłam go ukradkiem do swojej torby, kiedy matka była odwrócona tyłem. Potem weszłam do kuchni, żeby po raz ostatni połączyć się z ciotką Lou za pośrednictwem jej lodówki. Matka nie komentowała tego ani nie narzekała, że jej nie pomagam. W niejasny sposób zdawałam sobie sprawę, o co jej chodziło: wcale nie zostałam tu przyprowadzona do pomocy – miała to być pokrętnie obmyślona kara za to, że kochałam ciotkę Lou.

Znalazłam w kredensie puszkę langusty i zrobiłam sobie kanapkę. Znalazłam tam również torebkę ciotki i otworzyłam ją. Czułam się jak szpieg, ale wiedziałam, że matka i tak dobrałaby się do niej później i wyrzuciła zawartość. Wyjęłam portfel, puderniczkę i obszytą koronką chusteczkę do nosa, która zachowała jeszcze charakterystyczny zapach ciotki, i przełożyłam do swojej torebki. To nie była kradzież, ja te rzeczy ratowałam. Chciałam uratować z niej, ile się da, ponieważ matka była zdecydowana na jej całkowite unicestwienie.

Ostatnio matka wyraźnie oklapła, ale śmierć ciotki Lou postawiła ją na nogi; znów miała przed sobą jakiś cel. Załatwiła wszelkie formalności pogrzebowe sprawnie i z pewną ponurą radością. Powysyłała zawiadomienia, odpowiedziała na kartki i telefony (wszystkie z biura ciotki Lou) i zamieściła nekrolog w gazecie. Ojciec się do tego nie nadawał. Wziął w szpitalu kilka dni wolnego i snuł się po domu w swoich brązowych skórzanych kapciach, wchodząc krzątającej się matce w drogę i powtarzając w kółko „biedna Lou", niby jakiś smętny ptak. Prócz tego powiedział do mnie jeszcze tylko: „Ona mnie praktycznie wychowała" i „Podczas wojny zrobiła mi na drutach skarpetki, które na mnie nie pasowały". Kochał ją bardziej i była mu bliższa, niż sądziłam, a mimo to nie umiałam sobie wyobrazić, jakim cudem ktoś wychowany przez ciotkę Lou mógł się okazać tak nieciekawy jak mój ojciec. Ciotka mawiała: „Cicha woda brzegi rwie" i „Jeśli nie masz do powiedzenia niczego miłego, to lepiej nie mów nic". Może w tym należało upatrywać wyjaśnienia. Ale żadnych pieniędzy mu nie zostawiła. Jemu nie były potrzebne, potrzebne były hazardziście – tak prawdopodobnie rozumowała.

Wystawioną w Domu Pogrzebowym O'Dacre'a ciotkę Lou, obstawioną koszami zamówionych przez matkę białych chryzantem, odwiedzały jej rówieśnice, panie w średnim wieku, koleżanki z pracy, które głośno pochlipywały i ściskając matce rękę, mówiły, jakim wspaniałym człowiekiem była Louisa. Ja się skompromitowałam na pogrzebie, płacząc za dużo i za głośno.

Był też Robert, księgowy, z czerwonymi, zapuchniętymi oczyma. Po nabożeństwie wziął mnie za rękę i powiedział:

– Będzie z nami w kontakcie. Możemy na nią liczyć. – Ale ja w to nie uwierzyłam.

Kiedy już znalazłyśmy się w domu, matka powiedziała:

– No, mamy to z głowy.

Następną rzeczą, jaką zapamiętałam, był sufit salonu, w który się gapiłam. Zemdlałam, przewracając stolik (zarysowany), nowoczesną szwedzką lampę (stłuczona) i miedzianą emaliowaną popielniczkę (bez szwanku).

Okazało się, że dostałam zakażenia. Pielęgniarka w punkcie pierwszej pomocy niedokładnie zdezynfekowała mi ranę po strzale. Zdaniem lekarza już od kilku dni musiałam mieć gorączkę. To prawda, że kręciło mi się w głowie, dzwoniło w uszach i przedmioty dokoła to się kurczyły, to znów rosły, ale wszystko kładłam na karb żalu po ciotce. Położono mnie do łóżka i dostawałam zastrzyki penicyliny. Doktor powiedział, że to dobrze dla mnie, że jestem taka tłusta („nabita" – jak się wyraził); wyznawał szczególną „bibułową" teorię, jeśli chodziło o tłuszcz i zarazki. Matka przyniosła mi bulion z drobiu, zrobiony z kostek rozpuszczonych w gorącej wodzie.

Dostałam wysokiej gorączki z majaczeniem. Ubzdurało mi się, że zostałam ugodzona strzałą dokładnie w momencie śmierci ciotki Lou i że ta strzała była sterowana przez jej ulatującego ducha. Zawiadamiała mnie, żegnała się ze mną w ten dość ekscentryczny, co prawda – oczywiście nie chciała dla mnie tej infekcji – ale zarazem tak bardzo dla siebie charakterystyczny sposób. Nigdy na dobrą sprawę tej koncepcji nie odrzuciłam, chociaż wiedziałam, że jest naciągana. W owym czasie byłam tym bardzo zaniepokojona; prawdę powiedziawszy, miałam wyrzuty

sumienia, że nie rozpoznałam przesłania od osoby zmarłej, a może nawet wołania o pomoc. Powinnam była rzucić wszystko i lecieć do jej mieszkania, nie tracąc czasu na usuwanie strzały. Może bym jeszcze zdążyła. Wydawało mi się nawet, że z wielkiej odległości słyszę jej słowa: „Kto szybko daje, dwa razy daje" czy „Wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły", chociaż wiedziałam, że żadne z tych porzekadeł nie miało tu zastosowania.

W momentach przytomności i podczas rekonwalescencji myślałam o innym skierowanym do mnie przesłaniu, o życzeniu zawartym w jej testamencie. Jak należało je interpretować? Czy to znaczy, że mimo wszystko nie zaakceptowała mnie takiej, jaka byłam – odwrotnie niż ja to sobie wyobrażałam – że i ona uważała mnie za kogoś groteskowo śmiesznego, kto się do niczego nie nadaje? Czy może był to z jej strony przejaw zmysłu praktycznego, może po prostu doszła do wniosku, że jako osoba szczuplejsza będę miała lżejsze życie? Ofiarowała mi pieniądze, żebym mogła wyjechać, uciec od matki, co, jak wiedziała, miałam w planie, ale na warunkach, które zmuszały mnie do kapitulacji – a przynajmniej tak to wyglądało.

Pewnego dnia, kiedy siedząc w łóżku, kartkowałam jedną z ulubionych powieści kryminalnych ojca, spojrzałam przypadkiem na swoje ciało. Było gorąco, więc odrzuciłam kołdrę, a koszula nocna podjechała mi do góry. Nigdy nie oglądałam swojego ciała – ani w lustrze, ani w żaden inny sposób; zdarzało się, że od czasu do czasu rzuciłam okiem na tę czy inną jego część, ale całość wydawała mi się przytłaczająca. A teraz stanęłam twarzą w twarz z własnym udem. Było ogromne, opasłe, przypominało zniekształcone chorobą członki, jakie się czasem

widuje na fotografiach tubylców z dżungli; rozciągało się, bezkresne niczym zdjęcie prerii zrobione z lotu ptaka, tyle że nie zielone, ale blade i poznaczone niebieskobiałymi, wijącymi się niby rzeki żyłkami. Było rozmiarów trzech normalnych ud. Najpierw pomyślałam: „Tak naprawdę wygląda moje udo”. A potem: „Tak dalej być nie może”.

Kiedy wstałam z łóżka i zaczęłam normalnie chodzić, powiedziałam matce, że zamierzam schudnąć. Nie uwierzyła mi, ale poszłam na Richmond Street i zważyłam się, tak jak to przewidywał testament ciotki Lou, w obecności jej adwokata, pana Morriseya, który nieustannie powtarzał: „To był człowiek, ta twoja ciotka”. Podczas choroby już i tak trochę schudłam, ale zostało mi jeszcze do zrzucenia około trzydziestu kilogramów.

Nie wiedzieć czemu oczekiwałam, że kiedy wreszcie podejmę decyzję o odchudzaniu, po prostu uleci ze mnie powietrze, jak z materaca turystycznego. Chciałam, żeby to się stało nagle, bez wysiłku z mojej strony, a kiedy te oczekiwania się nie spełniły, byłam zaniepokojona i zirytowana. Zaczęłam stosować cudowne sposoby mojej matki wszystkie naraz: dwie tabletki na otyłość rano, porcję środków przeczyszczających, pół opakowania chrupek, trochę sucharów z czarną kawą i przebieżka wokół domu. Oczywiście doczekałam się pewnych spektakularnych skutków ubocznych, jak: potworne bóle głowy, kurcze żołądka, palpitacje serca od tabletek odchudzających i niepokojąca ostrość widzenia. Świat, który do tej pory widziałam jako zamazany obraz z ogromną, ale nieokreśloną postacią matki przesłaniającą całkowicie plan pierwszy, nagle stał się ostry. Słońce i jaskrawe kolory raziły mnie w oczy. Miewałam ataki osłabienia

i przerażające, silniejsze ode mnie nawroty obżarstwa, kiedy jadłam nieustannie, jak w transie, wszystko, co się znalazło w zasięgu mojego wzroku – ze zgrozą wspominam, jak zjadłam dziewięć porcji pieczonego kurczaka jedną po drugiej, dopóki mój pogwałcony skurczony żołądek nie zbuntował się i nie zwymiotowałam.

W szkole z powodu choroby narobiłam sobie zaległości, których nie byłam w stanie uzupełnić; miałam kłopoty z koncentracją. Ranki spędzałam, odsuwając od siebie myśl o lunchu, a popołudnia, żałując tego. Stałam się opryskliwa i apatyczna, ograniczyłam przyjaciółki, zapowiedziałam im, że nie mam dłużej zamiaru słuchać o ich głupich chłopakach, odmawiałam, kiedy mnie proszono o pomoc przy dekorowaniu sali na bal maturalny, który miał się nazywać „Kwietniowe igraszki". Miałam dość kwiatków z ligninowych chusteczek. Opuściłam się w nauce; luźne fałdy skóry, jak u człowieka starzejącego się albo chronicznie chorego, zwisały na mnie jak workowaty dres. Mniej więcej w maju odbyłam surrealistyczną rozmowę w poradni zdrowia psychicznego, podczas której, ogłupiała z powodu morderczej diety, z głową pełną myśli wirujących jak nakręcana zabawka, wpatrywałam się cielęcym wzrokiem w niewiarygodnego siwego mężczyznę, który powtarzał:

– My wiemy, Joan, że jesteś zdolną dziewczyną. Czy masz jakieś kłopoty domowe?

– Umarła moja ciotka – odpowiedziałam i zaczęłam tak bardzo chichotać, że aż się zachłysnęłam.

Resztę naszego spotkania psycholog poświęcił na uderzanie mnie w plecy. I chyba zadzwonił do matki.

W domu spędzałam całe godziny przed lustrem, obserwując, jak moje brwi, a potem usta zajmują coraz więcej miejsca na twarzy. Kurczyłam się stopniowo. Na ulicy widok otyłej osoby, który dawniej budził we mnie poczucie braterstwa, teraz wydawał mi się odrażający. Wielki obszar ciała, ciągnący się jak piaszczysta wydma od mojego podbródka do kostek, zaczął się cofać, wyłoniły się z niego, jak wyspy, piersi i biodra. Mężczyźni, których wzrok przemykał dawniej nade mną czy gdzieś obok, jakby mnie nie było, zaczęli mnie dostrzegać z szoferek ciężarówek i placów budowy, ogarniać niepewnym spojrzeniem psa patrzącego na hydrant przeciwpożarowy.

Co do matki, początkowo była zadowolona, chociaż wyrażała to we właściwy sobie sposób: „No, najwyższy czas, chociaż pewnie i tak już jest za późno". Kiedy trwałam w swoim postanowieniu, mówiła rzeczy w rodzaju: „Rujnujesz sobie zdrowie" albo „Dlaczego zawsze we wszystkim wpadasz z jednej skrajności w drugą?", a nawet „Powinnaś trochę więcej jeść, zagłodzisz się na śmierć". Dalej piekła ciasta i zostawiała w kuchni na wierzchu, tam gdzie mogły stanowić dla mnie pokusę; uświadomiłam sobie, że robiła to zawsze, choć w mniejszym stopniu. W miarę jak szczuplałam, stawała się coraz bardziej roztargniona i niepewna. Piła już teraz dużo, zaczęła zapominać, gdzie co położyła, czy oddała sukienkę do pralni, co mówiła, a czego nie. Chwilami niemal błagała, żebym przestała brać pigułki, żebym bardziej myślała o sobie, to znów dostawała napadów furii, chaotycznych i bezsensownych, a nie, jak poprzednio, celowych i logicznych.

– Jesteś dnem – mówiła wtedy z pogardą. – Wynoś się stąd, rzygać mi się chce na twój widok.

Przychodziło mi do głowy tylko jedno wyjaśnienie jej zachowania, a mianowicie, że odchudzenie mnie było ostatnim przedsięwzięciem, jakie jej jeszcze zostało. Skończyła z domami, nie miała już nic więcej do roboty i liczyła na mnie – że jej wystarczę do końca życia. Powinna mnie cieszyć jej rozpacz, ale byłam zbyt zdezorientowana. Naprawdę wierzyłam, że jak schudnę, to matka będzie ze mnie zadowolona, nareszcie odczuje swoją kołtuńską, apodyktyczną, ale przecież satysfakcję – że postawiła na swoim. A ona zamiast tego szalała.

Pewnego popołudnia, kiedy słaba z głodu przywlokłam się ze szkoły i poszłam do kuchni po żytniego suchara, który miał być całym moim posiłkiem, przyżeglowała z salonu ze szklanką whisky w ręce, w swoim niezmiennie różowym szlafroku i obszytych futrem klapkach.

– Proszę bardzo – powiedziała. – A ta by tylko jadła i jadła. Obrzydzenie bierze, jak się na ciebie patrzy. Ja na twoim miejscu nosa bym z domu nie wytknęła. – Takie rzeczy mówiła mi w okresie, kiedy byłam gruba i chciała mnie zmusić do odchudzania, ale czułam, że to już nie jest potrzebne.

– Mamo – odparłam – jestem na diecie, nie pamiętasz? Chyba ci nie przeszkadza, że jem sucharki. Straciłam już ponad czterdzieści kilo. Jak stracę jeszcze kilka, od razu idę do pana Morriseya podjąć pieniądze ciotki Lou i wynoszę się z domu.

Nie powinnam była zdradzać moich planów. Spojrzała na mnie z wściekłością, która szybko ustąpiła lękowi, i powiedziała:

– Bóg ci tego nie wybaczy! Bóg ci tego nigdy nie wybaczy!

Potem złapała nóż kuchenny, którym smarowałam suchara twarożkiem, i wbiła mi go w rękę powyżej łokcia. Nóż przeszedł

przez sweter, skaleczył ciało, a następnie odbił się i spadł na podłogę. Żadna z nas nie mogła uwierzyć, że ona to zrobiła. Obie patrzyłyśmy w osłupieniu, po czym podniosłam nóż, położyłam go na stole kuchennym i drugą ręką od niechcenia zasłoniłam dziurę w swetrze, jakbym to ja sama zadała sobie ranę i chciała ją ukryć.

– Zrobię herbatę – powiedziałam tonem najzwyklejszym w świecie. – Napijesz się?

– Chętnie. Filiżanka herbaty dobrze mi zrobi. – Usiadła niepewnie na jednym z kuchennych krzeseł. – W piątek wybieram się na zakupy – podjęła, kiedy nalewałam wody do czajnika. – Może byś ze mną poszła?

– Chętnie – odparłam.

Wieczorem, kiedy z sypialni matki nie dochodziły już żadne odgłosy – poszła spać wcześnie, a ojciec nie wrócił jeszcze ze szpitala – spakowałam walizkę i opuściłam dom. Przestraszyłam się nie na żarty, nie tyle z powodu noża – ostatecznie draśnięcie nie było głębokie i porządnie je zdezynfekowałam, żeby uniknąć zakażenia – ile z powodu zapatrywań religijnych mojej matki. Po tym, jak się powołała na Boga, uznałam, że jest szalona. Zmuszając mnie, żebym chodziła do szkółki niedzielnej, sama nie była religijna.

CZĘŚĆ TRZECIA

12

Ranek wstał słoneczny. Promienie słońca wpadały przez okna biblioteki, gdzie siedziała schludnie ubrana Charlotte, w skromnej szarej sukience z białym kołnierzykiem spiętym z przodu kameą po matce. Broszka przywoływała smutne wspomnienia: matka, po której Charlotte odziedziczyła delikatne rysy i bladą cerę, wcisnęła jej ten klejnot do ręki na chwilę przed śmiercią. Uśmiechnęła się do Charlotte, uroniwszy jedną łzę, i kazała córce przysiąc, że zawsze będzie prawdomówna, czysta, roztropna i posłuszna.

– Kiedy zjawi się właściwy mężczyzna, kochanie – powiedziała – poznasz go z pewnością. Serce ci powie. Wraz z mym ostatnim tchnieniem proszę Boga, żeby nad tobą czuwał. – Charlotte pieściła w pamięci obraz matczynej twarzy w aureoli delikatnych blond loków, cienkich jak nić pajęcza, opromienionej smutnym, ale pełnym nadziei uśmiechem.

Otrząsnęła się z tych ponurych myśli i znów pochyliła nad swoją jubilerską lupą; naprawiała właśnie maleńkie, precyzyjne zapięcie szmaragdowej bransolety. Na jeden ulotny moment wyobraziła sobie, jak by te szmaragdy wyglądały na tle białej skóry Felicii, jak ich barwa podkreślałaby zieleń jej oczu i współgrała z płomiennie rudymi włosami. Ale i tę myśl

odsunęła jako niegodną i skoncentrowała się na wykonywanej pracy.

Rozległ się delikatny śmiech, niby senne kwilenie tropikalnego ptaka; Charlotte uniosła głowę. Przez muślinową biel firanek dostrzegła nieopodal okna parę przechadzającą się pod rękę i pogrążoną głęboko w rozmowie, która robiła wrażenie poufnej. Po rudych włosach poznała Felicię, ubraną w kosztowny poranny kostium z granatowego aksamitu, obszyty przy szyi i rękawach białymi strusimi piórami, i do tego wytworny kapelusz. Dłonie ukryła w gronostajowej mufce, a kiedy odrzuciła do tyłu głowę, żeby znów się roześmiać, na jej mlecznobiałej szyi i drobnych zębach zalśniło słońce.

Towarzyszący jej mężczyzna, który się właśnie ku niej nachylił, by coś jej szepnąć do ucha, miał na sobie krótką pelerynę, w lewej dłoni w rękawiczce trzymał zakończoną złotą gałką szpicrutę, wymachując nią nonszalancko. Charlotte pomyślała, że to musi być Redmond, i przeszyła ją błyskawica bólu. Ale kiedy mężczyzna się wyprostował i odwrócił do niej profilem, stwierdziła, że mimo znacznego podobieństwa nie jest to Redmond. Nos Redmonda był bardziej orli.

Charlotte nie zamierzała podsłuchiwać, ale mimo woli pochwyciła część rozmowy. Mężczyzna rzekł coś ściszonym głosem, na co Felicia odpowiedziała pogardliwym odchyleniem głowy i kolejnym wybuchem śmiechu.

– Ależ skąd, mylisz się... Redmond niczego nie podejrzewa. Ostatnio jego uwagę zaprząta bez reszty ta wymoczkowata dzierlatka, którą wynajął do reperacji moich szmaragdów, i nic poza nią nie widzi.

Co ona mogła mieć na myśli? Charlotte w dalszym ciągu patrzyła przez okno na oddalającą się parę, kiedy nagle jej uwagę przykuł cichy odgłos. W drzwiach stał Redmond, nie spuszczając z niej wzroku; jego oczy płonęły niczym węgle.

– Jak się pani podoba nowy strój do konnej jazdy mojej żony? – zapytał z ironią w głosie, po której poznała, że widział, jak patrzyła przez okno. Policzki Charlotte oblał gorący rumieniec: czyżby oskarżał ją o to, że wsadza nos w nie swoje sprawy, że szpieguje, że się narzuca?

– Bardzo jej w tym stroju do twarzy – odparła z rezerwą. – Trudno go było nie zauważyć, skoro przechodziła tak blisko okna.

Redmond roześmiał się i podszedł bliżej. Podniosła się z krzesła i stała oparta plecami o półki wypełnione książkami oprawnymi w cienką skórę, ze złotym herbem rodzinnym Redmonda wytłoczonym na grzbietach. Serce waliło jej jak młotem. Redmond miał twarz zaczerwienioną od alkoholu, chociaż było jeszcze wcześnie, i Charlotte przypomniała sobie dziwne historie na jego temat, które usłyszała od miłej pani Ryerson, gospodyni. Pani Redmond też miała skandaliczną reputację. Im, ludziom z taką pozycją, uchodziło wszystko, ale Charlotte wiedziała, że gdyby to ona zeszła z drogi cnoty, byłaby zgubiona, skazana na wieczną tułaczkę po brudnych nocnych ulicach Londynu albo na dom hańby.

– Mnie nie zachwyca takie piękne upierzenie – powiedział. – Ta pani suknia... już bardziej przystałaby... żonie. Ale i pani uczesanie wydaje się zbyt surowe. – Podszedł do niej i wyciągnął pojedynczy kosmyk włosów z jej gładkiej fryzury, a potem jego ręka powędrowała ku jej szyi, usta zaczęły szukać

jej ust, twarz zaś odmienił wyraz dzikiej namiętności. Charlotte rzuciła się do tyłu, rozpaczliwie poszukując jakiegoś przedmiotu, którego mogłaby użyć jako broni. Porwała opasły tom Żywota doktora Samuela Johnsona Boswella. Jeśli jeszcze raz ośmieli się ją w ten sposób upokorzyć, bez najmniejszych skrupułów uderzy go foliałem. Nie pierwszy raz musi się bronić przed dobrze urodzonym natrętem. Czyż to zresztą jej wina, że jest młoda i ładna?

– Zechce pan pamiętać, sir – wykrzyknęła – że jestem pod pańskim dachem, sama i bezbronna. Proszę się nie zapominać! – Redmond spojrzał na nią z nowym szacunkiem, ale zanim zdążył jej odpowiedzieć, rozległ się cichy śmiech. W drzwiach stała Felicia w całym swoim olśniewającym przepychu, wymachując drobną rączką, w której trzymała przystrojony piórami kapelusz. Towarzystwa dotrzymywał jej nieznajomy w pelerynie.

– Ładnie powiedziane – odezwał się mężczyzna, posyłając Charlotte uśmiech. – Mam nadzieję, Redmond, że weźmiesz to sobie do serca.

Felicia zignorowała ją, zwracając się bezpośrednio do męża.

– Wydaje mi się, Redmond, że twoja mała jubilerka coś się za bardzo guzdrze z moimi szmaragdami. Naprawdę aż tyle czasu potrzeba, żeby zreperować kilka zepsutych zapięć i oprawić parę kamieni? Kiedy ona zamierza to skończyć?

Ten sposób wyrażania się o niej, w trzeciej osobie, dotknął Charlotte do żywego, ale Redmond złożył przed żoną ironiczny ukłon.

– Musisz ją o to sama spytać, kochanie – odparł. – Fachowiec jest jak kobieta: nieodgadniony. – Podszedł do drzwi. – Dobrze,

że przyjechałeś, Otterly – powiedział, ściskając dłoń wysokiemu mężczyźnie. – Jesteś zawsze mile widzianym gościem na lunchu, nawet niezapowiedziany.

– Trochę ruchu rano dobrze mi robi – odparł Otterly i mężczyźni odeszli. Felicia została jeszcze przez chwilę, mierząc Charlotte taksującym spojrzeniem, jak mebel.

– Na pani miejscu nie siedziałabym tu zbyt długo – powiedziała. – Kanalizacja w tym domu działa nie najlepiej i na osobę o wrażliwej naturze, jak pani, może mieć zgubny wpływ... zarówno na ciało, jak i na ducha. Gdyby zaś potrzebowała pani nieco ruchu, polecam spacer po naszym labiryncie. Podobno jest interesujący.

Z tymi słowy zniknęła w wirze aksamitów, pozostawiając Charlotte na pastwę burzy miotających nią uczuć. Jak ci ludzie śmieli ją w ten sposób traktować! Co do Redmonda jednak, chociaż potrafił być tak nieprzyjemny, żałowała przecież, że jego dłoń nie spoczywała chwilę dłużej na jej szyi... Ten zaś nieznajomy w pelerynie musiał być przyrodnim bratem Redmonda, hrabią Otterly. To, co słyszała o nim od pani Ryerson, nie należało do rzeczy przyjemnych.

Zbyt zdenerwowana, żeby móc dalej pracować, zamknęła szmaragdy w szkatułce, szkatułkę zaś w pokoju, jak jej polecił Redmond, a sama poszła do siebie, by nieco ochłonąć.

Ale kiedy otworzyła drzwi swojej sypialni, z trudem powstrzymała się od krzyku. Oto rozpostarta na łóżku leżała jej najlepsza czarna jedwabna suknia, pocięta złośliwie na drobne kawałki. Spódnicę znaczyły potężne cięcia, zmasakrowany stanik nie nadawał się w ogóle do reperacji, rękawy były

w strzępach. Wyglądało na to, że dzieła zniszczenia dokonano za pomocą jakiegoś ostrego narzędzia – noża albo nożyczek.

Charlotte weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Czuła słabość w kolanach, a w głowie zamęt. Kto mógł to zrobić? Była pewna, że idąc na dół, do pracy, zostawiła sukienkę w szafie. Otworzyła szafę... Całą jej pozostałą garderobę potraktowano w podobny sposób: płaszcz, drugą sukienkę, szlafrok, halki, pelerynę. Nie zostało jej nic poza tym, co miała na sobie.

Dlaczego? – zadała sobie pytanie, opadając jednocześnie na małe, twarde łóżko. Przyszło jej do głowy, że ktoś chce ją wystraszyć, zmusić do opuszczenia dworu Redmonda... A może było to ostrzeżenie, znak pozostawiony przez kogoś życzliwego. Rozejrzała się za jakimś listem, ale niczego takiego nie znalazła. Tylko te złowrogie cięcia.

Wyszła z pokoju o dziewiątej, zjadła śniadanie, a potem pracowała do wpół do dwunastej, kiedy to usłyszała rozmowę między Felicią a Otterlym. W tym czasie każdy spośród domowników – lub nawet ktoś z zewnątrz! – mógł niepostrzeżenie wejść do jej pokoju i popełnić ten czyn. Redmond, Felicia, Otterly, sympatyczna pani Ryerson... któraś z pokojówek, kucharka, ogrodnik William, stangret Tom ze swoim szczurzym uśmiechem. Ktokolwiek z nich.

Z lękiem przypomniała sobie to, co Felicia powiedziała na temat kanalizacji. Czyżby to była groźba? A gdyby tak zlekceważyła ostrzeżenie, ciekawe, jak daleko posunąłby się wróg w swoich próbach uwolnienia od niej dworu Redmondów... na zawsze.

Napisałam ten fragment w Terremoto pisakiem w kolorze zielonego jabłuszka. Zajęło mi to cztery dni, czyli o wiele za długo. Zwykle pisałam moje powieści grozy na maszynie, z zamkniętymi oczami. Fakt, że musiałam patrzeć na to, co piszę, wpływał na mnie hamująco, a w zieleni moja proza wypadła znacznie bladziej, niż się spodziewałam.

Postanowiłam wybrać się do Rzymu po maszynę do pisania i farbę do włosów. W tym tempie nigdy nie skończę z Charlotte, a moja przyszłość finansowa pozostawała w ścisłej zależności od jej losów. Im prędzej się jakoś bezpiecznie urządzi, tym dla mnie lepiej.

Na razie była w niebezpieczeństwie – moja wiecznie uciekająca dziewica, moja bogini szybkich pieniędzy. Dybał na nią dom, dybał na nią pan tego domu, a być może dybała i pani. Wszystko się przeciwko niej sprzysięgło, choć jak dotychczas była rozsądna. Dzielna dziewczyna, która nie dawała się upokorzyć.
W przeciwnym razie najbliższym dyliżansem opuściłaby siedzibę Redmondów.

Sama nie miałam najmniejszego pojęcia, kto jej pociął garderobę. Redmond oczywiście kupi jej nowe stroje, pasujące na nią jak ulał, niepodobne do dawnych łachmanów. Będzie się wahała, czy może je przyjąć, ale ostatecznie co innego jej pozostanie? Była goła jak święty turecki. Ubrania moich bohaterek zawsze miały jakieś okropne przygody: wylewano na nie całe kałamarze atramentu, wypalano w nich dziury, wyrzucano je przez okna, podarte, w strzępach. W *Wieżach Tantripp* ktoś wypchał suknię sianem jak straszydło na wróble czy

kukłę szamańską i puścił na wodę. Ktoś inny kiedyś zakopał ubranie w piwnicy.

Oczywiście nowe stroje Charlotte nie spodobają się Felicii. „Jeśli masz zamiar zrobić z tej dziewczyny kochankę, Redmond – powie tak, żeby Charlotte słyszała – to bardzo cię proszę, nie tutaj". Tak właśnie powie, jak przystało na kobietę cyniczną i przyzwyczajoną do jego przygód.

Schowałam rękopis do szuflady z bielizną, przebrałam się i wyruszyłam do Rzymu, starannie zamykając za sobą drzwi.

Jeżdżenie samochodem we Włoszech było dla mnie zawsze bardzo denerwujące. Ludzie prowadzą tu samochody, jakby to były konie. Nie myślą kategoriami dróg, tylko celu, do którego chcą się dostać. Droga to utarty szlak, po którym ktoś inny nakazuje ci jechać; droga to obelga. Podziwiałam ten ich stosunek do dróg, pod warunkiem że sama nie musiałam prowadzić. Ale kiedy byłam do tego zmuszona, bardzo się denerwowałam. Droga z miasta składała się z samych zygzaków, bez żadnych płotków czy słupków po zewnętrznej stronie zakrętów. Przez cały czas używałam klaksonu, płosząc dzieci i kury.

Do Tivoli dostałam się bez problemu, a następnie długim zboczem zjechałam na równinę. W oddali majaczył Rzym. Im bardziej się do niego zbliżałam, tym więcej było gołej ziemi, ogromnych rur i czerwonych, niebieskich i pomarańczowych części maszyn, walających się przy autostradzie niby kości dinozaura. Ludzie kopali, ryli, zwalali i porzucali; pejzaż zaczynał przypominać Amerykę Północną, jakieś wielkie miasto – złomowisko. Droga była teraz zatłoczona ciężarówkami, dużymi i małymi, z przyczepami pełnymi nowych rur i maszyn,

podążającymi w jedną i w drugą stronę, nie potrafiłabym jednak powiedzieć, czy stanowiły one świadectwo rozwoju, czy rozkładu. Dla mnie ten kraj balansował na krawędzi totalnego chaosu i był w przededniu klęski głodu i rewolucji, której wybuch groził już w przyszłym tygodniu. Ale włoskich gazet nie umiałam czytać i kataklizmy tego kraju były dla mnie niewidoczne pomimo rur i walającego się sprzętu, płynęłam więc pogodnie przed siebie, jak na przezroczach, pod błękitnym niebem, w złocistym blasku słońca. Po obu stronach drogi wiodącej do Rzymu widziałam wielkie, niezgrabne bloki mieszkalne, z balkonami obwieszonymi praniem, ale nie miałam pojęcia o życiu, jakie wewnątrz nich tętniło. U siebie w kraju wiedziałabym dokładnie; tutaj byłam ślepa i głucha.

Przebiłam się jakoś przez gąszcz ruchu ulicznego i znalazłam miejsce do zaparkowania. W biurze American Express panował tłok. Przed okienkami stały długie kolejki kobiet w okularach przeciwsłonecznych jak moje i mężczyzn w wymiętych letnich garniturach. Sytuacja dolara amerykańskiego była niestabilna i banki nie chciały wymieniać czeków podróżnych. Powinnam była wziąć kanadyjskie, pomyślałam. Wreszcie dostałam pieniądze i ruszyłam na poszukiwanie maszyny do pisania.

Znalazłam używaną olivetti portable, którą kupiłam, posługując się swoim skromnym zasobem słów, a trochę dogadując się na migi. Wyszłam ze sklepu obciążona maszyną, ale jednocześnie lekka jak tancerka, anonimowa, niezauważona w tłumie ciągnących chodnikiem ludzi, których nigdy nie będę musiała poznać.

Nagle przypomniałam sobie Artura. Był tu ze mną, szliśmy razem tą samą ulicą, czułam go przy sobie, realnego jak sam dotyk. Trzymaliśmy się za ręce. Przystanęliśmy, żeby spojrzeć na plan miasta, dokładnie tu, przed tym sklepem, nawet pachniało tak samo. Czy to wszystko było naprawdę, czy ja to zmyśliłam? Czy rzeczywiście wędrowaliśmy wspólnie przez labirynt ulic Rzymu, czy po nich kluczyliśmy w wynajętym fiacie, jechali via Appia, z jej grobami i osławionymi duchami, czy schodziliśmy do katakumb, wypełnionych wysuszonymi szczątkami chrześcijan, czy byliśmy oprowadzani przez niskiego bułgarskiego duchownego, czy zmartwychwstaliśmy znów po półgodzinie? Czy krążyliśmy bez końca wokół Koloseum, nie mogąc znaleźć wyjścia, podczas gdy ciężarówki z łomotem przemykały po obu stronach ulicy, wyładowane metalem i cementem, kolumnami, lwami na igrzyska, łupem, niewolnikami? Nogi mnie bolały, ale czułam się szczęśliwa. Był ze mną wtedy Artur, dziś go nie było; szliśmy ulicą taką jak ta, a potem przewaliła się nad nami przyszłość, która nas rozdzieliła. Był teraz z dala ode mnie, za oceanem, na plaży, wiatr targał mu włosy, a ja ledwie mogłam sobie przypomnieć jego twarz. Oddalał się ode mnie z coraz większą szybkością, odchodząc do kraju zmarłych, zmarłej przeszłości, przeszłości bezpowrotnej.

13

Po raz pierwszy spotkałam Artura w Hyde Parku. Był to wypadek: zderzyliśmy się pomiędzy przeciwnikiem wiwisekcji a człowiekiem, który głosił przepowiednie o końcu świata. W tym czasie mieszkałam w Londynie z polskim hrabią – i do dziś właściwie nie wiem, jak to się stało.

Kiedy dwa lata wcześniej zamykałam za sobą drzwi domu mojej matki, ostrożnie, żeby jej nie obudzić, nie miałam takich planów. Prawdę powiedziawszy, nie miałam żadnych planów. W jednej ręce trzymałam walizkę, a w drugiej torebkę. Walizka zawierała nieliczne pasujące jeszcze na mnie rzeczy – spódnice z paskami, które można było zapiąć ciaśniej, i bluzki, które można było zebrać i wetknąć w spódnice; przez rok odchudzania musiałam się pozbyć prawie całej garderoby. Był koniec czerwca, zbliżały się moje dziewiętnaste urodziny. Napisałam końcowe egzaminy, z czego przynajmniej cztery prace skopałam, ale i tak na wyniki trzeba było czekać do sierpnia. Zresztą było mi wszystko jedno.

Lis ciotki Lou siedział u mnie w walizce, do torebki schowałam jej metrykę urodzenia i nasze wspólne zdjęcie z Wielkiej Wystawy Narodowej. Miałam około trzydziestu dolarów, z tego siedemnaście własnych, a trzynaście wyjętych z puszki, która

stała w kuchni i w której matka trzymała drobne. Zamierzałam jej to później oddać. Nie mogłam jeszcze skorzystać ze spadku po ciotce Lou, bo w dalszym ciągu za dużo ważyłam, ale miałam w banku trochę oszczędności i mogłam je podjąć rano.

Pojechałam autobusem do śródmieścia i zatrzymałam się w hotelu Royal York. Byłam zdenerwowana, jeszcze nigdy w życiu nie mieszkałam w hotelu. Zameldowałam się pod nazwiskiem ciotki Lou, obawiając się, że inaczej matka może mnie wytropić. Była to naiwność z mojej strony; matka natychmiast poznałaby nazwisko ciotki, lecz wtedy o tym nie pomyślałam. Byłam raczej nastawiona na to, że w recepcji zakwestionują mój wiek, a wtedy zamierzałam wyciągnąć metrykę ciotki Lou i udowodnić, że mam czterdzieści dziewięć lat.

Ale jedyne pytanie, jakie padło pod moim adresem, brzmiało:

– Czy pani jest z kimś?

– Nie – odparłam.

Recepcjonista spojrzał ponad moim ramieniem po kapiącym od złota hotelowym holu, żeby sprawdzić, czy mówię prawdę. W tym czasie nie przyszło mi jeszcze do głowy, że mógł mnie wziąć za prostytutkę. Swojego sukcesu nie kładłam na karb tego, że hol był pusty, tylko na fakt białych rękawiczek, które nosiłam, traktując je jako symbol dorosłości i statusu społecznego. „Dama nigdy nie wychodzi z domu bez rękawiczek” – mawiała matka. Ciotka Lou nieustannie je gubiła.

(Być może to właśnie hotelowi Royal York, temu bajecznemu światu dziewiętnastowiecznych rekwizytów, czerwonych dywanów i kandelabrów, karniszy, gzymsów, wielkich luster od podłogi do sufitu, zniszczonych pluszowych kanap i zdobnych w mosiężne

okucia wind, zawdzięczam pierwsze drgnienie twórczego impulsu. Według mnie takie budynki były przeznaczone dla kogoś zupełnie innego niż grubi biznesmeni i ich nieciekawe żony, których tam w rzeczywistości można było spotkać. Te wnętrza domagały się balowych sukien, wytwornych manier i wachlarzy, toalet z gołymi ramionami, takich, jakie zdobiły bombonierki z czekoladkami Laury Second wersja letnia, krynolin i eleganckich panów. Byłam zła, gdy przebudowali Royal York).

Kiedy boy hotelowy wreszcie sobie poszedł – dłuższy czas snuł się, zapalając i gasząc światła, podnosząc i spuszczając żaluzje, dopóki sobie nie skojarzyłam, co czytałam na temat napiwków – pootwierałam wszystkie szuflady w komodzie. Marzyłam o tym, żeby napisać elegancki bilecik na arystokratycznej papeterii, ale nie miałam nikogo, do kogo mogłabym go wysłać. Wzięłam kąpiel, używając wszystkich naraz ręczników z monogramami. Następnie umyłam włosy i pozakręcałam je na plastikowe, pokryte siatką wałki. Przez cały czas, kiedy byłam gruba, nosiłam włosy krótko przystrzyżone, co jeszcze dodatkowo podkreślało pucołowatość mojej twarzy. Matka stale proponowała mi jakieś ulepszenia – a to fryzurę na pazia, a to na pudla – lecz odrzucałam wszystkie po kolei. Teraz zapuszczałam włosy już od roku i miałam długie do ramion, ciemnorude, proste. Ale nie nosiłam ich luźno puszczonych, tylko spinałam je za uszami. Kiedy już były porządnie zakręcone, stanęłam przed dużym lustrem umieszczonym po wewnętrznej stronie drzwi łazienki i przyjrzałam się sobie tak, jak agent nieruchomości mógłby patrzeć na bagna, mając na uwadze ich przyszłe zagospodarowanie. W dalszym ciągu byłam za gruba, ale już teraz

skóra wisiała na mnie w luźnych fałdach. Na udach porobiły mi się rozstępy, a z twarzy przypominałam trzydziestopięcioletnią gospodynię domową, zdradzaną przez męża matkę czworga dzieci; sprawiałam wrażenie zniszczonej. Ale miałam zielone oczy i drobne, białe zęby, a cerę szczęśliwie bez pryszczy. No i zostało mi już tylko jakieś osiem, może dziewięć kilo do zrzucenia.

Rano kupiłam gazetę i przestudiowałam kolumnę ogłoszeń z myślą o wynajęciu pokoju. Znalazłam pokój na Isabella Street, zadzwoniłam i przedstawiłam się jako dwudziestopięcioletnia urzędniczka, niepijąca i niepaląca. Spięłam włosy z tyłu, włożyłam białe rękawiczki i poszłam obejrzeć pokój. Podałam się za pannę L. Delacourt i pod tymże nazwiskiem otworzyłam jeszcze tego samego dnia nowe konto bankowe. Poprzednie konto, po podjęciu wszystkich pieniędzy, zlikwidowałam; nie chciałam, żeby matka trafiła po nim do mnie. Była to formalna inauguracja mojej drugiej osobowości. Zdumiewające, jak łatwo mi wszyscy wierzyli, ale właściwie dlaczego mieliby mnie podejrzewać?

Po południu poszłam do szpitala zobaczyć się z ojcem, ponieważ jednak nigdy tam wcześniej nie byłam, nie bardzo umiałam go znaleźć. Pytałam portierów, a oni pytali siebie nawzajem, zanim ustalili, że jest na sali operacyjnej. Nalegali, żebym się albo zapisała na wizytę, albo czekała w izbie przyjęć – nie zdradziłam się z tym, że jestem jego córką – na co przystałam. Zapamiętałam jednak numer piętra i korzystając z pierwszej okazji, wstałam cicho i poszłam do windy.

Czekałam jakiś czas pod drzwiami, aż wreszcie wyszedł. Nigdy go nie widziałam w szpitalnym uniformie: miał na sobie białą czapkę, fartuch, a dolną część twarzy przysłoniętą maską, którą

właśnie ściągał. Wyglądał znacznie bardziej interesująco niż w domu, robił wrażenie kogoś obdarzonego władzą. Rozmawiał z dwoma innymi lekarzami. Musiałam go zawołać, żeby mnie zauważył.

– Matka się zamartwia – powiedział beznamiętnie.

– Matka się zamartwia przez całe moje życie – odparłam. – Chciałam po prostu powiedzieć, że u mnie wszystko w porządku. Że nie wracam, mam pokój i dosyć pieniędzy.

Posłał mi spojrzenie, które trudno mi było wtedy ocenić, ponieważ rzadko kiedy kierował je w moją stronę. W jego wzroku błysnął podziw, a może nawet zazdrość: zrobiłam coś, na co jego nie było stać – uciekłam.

– Czy rzeczywiście wszystko u ciebie w porządku? – zapytał. A kiedy skinęłam głową, dodał: – Nie dasz się pewnie namówić na wizytę w domu i zobaczenie się z matką?

– Ona usiłowała mnie zabić – odparłam. – Przyznała ci się do tego? – Przesadziłam oczywiście, bo przecież nóż nie wszedł głęboko, ale chciałam, żeby do ojca dotarło, że to nie moja wina. – Wbiła mi nóż w rękę. – Podwinęłam rękaw, chcąc mu pokazać ranę.

– Nie powinna była tego robić – powiedział takim tonem, jakby matka zamiast skręcić w prawo, skręciła w lewo. – Jestem pewien, że zrobiła to niechcący.

Zgodziłam się pozostać z nim w kontakcie – i w mniejszym czy większym stopniu dotrzymałam tej obietnicy – ale nie chciałam mieć absolutnie nic wspólnego z matką. Zrozumiał moje stanowisko. I dokładnie w ten sposób to wyraził – jak człowiek, który poświęcił w życiu wiele czasu na próby zrozumienia

stanowiska innych. Zapamiętałam to zdanie i – już znacznie później – uświadomiłam sobie, że nikt nigdy nie rozumiał jego stanowiska – ani ja, ani matka, ani ciotka Lou; nikt. Nie dlatego, że ojciec żadnego stanowiska nie miał. Tyle że było to stanowisko człowieka, który zabijał i przywracał do życia ludzi, chociaż wcale nie tych samych, a te tajemnice są trudne do zrozumienia dla innych. Lecz jednocześnie było to stanowisko człowieka, który nosi brązowe skórzane kapcie, a w weekendy zajmuje się roślinami doniczkowymi i z tego powodu żona uważa go za nieszkodliwego idiotę. Był, jak większość mężczyzn, człowiekiem w klatce. Ale istniało coś, co go odróżniało od innych: to jego zmaganie się z życiem i śmiercią.

Przez dwa miesiące mieszkałam w pokoju na Isabella Street, płacąc czternaście dolarów tygodniowo. W tym zawarte już były zmiana bielizny pościelowej i ręczników i korzystanie z maszynki elektrycznej, na której gotowałam sobie wodę na herbatę i niskokaloryczne posiłki. Sam dom był wiktoriańskim budynkiem z czerwonej cegły – zdążyli go już do tej pory rozebrać i na jego miejscu postawić wieżowiec – z ciemnymi korytarzami, o skrzypiących podłogach z desek, ze schodami, które parę razy mi się przydały (*Czmychnęła po schodach w górę, jedną ręką trzymając się poręczy…*), i zapachem politury. Przez politurę przebijał się inny odór – prawdopodobnie wymiotów. Zarówno bowiem dom, jak i cała dzielnica schodziły na psy, ale gospodyni była surową Szkotką, więc ktokolwiek wymiotował, robił to za zamkniętymi drzwiami.

Mieszkali tu inni ludzie, ale widywałam ich rzadko, po części dlatego, że dużo wychodziłam. Co rano zbiegałam żwawo po

schodach, jakbym się spieszyła do pracy, ale tak naprawdę głodziłam się, by jak najprędzej dorwać się do pieniędzy ciotki Lou. Wieczorami wracałam do siebie, żeby na maszynce elektrycznej ugotować groszek czy zagrzać wołowinę z puszki. Jedząc, opłakiwałam ciotkę Lou. Teraz, kiedy jej zabrakło, nie miałam do kogo otworzyć ust; wyciągałam jej lisa, pachnącego gałkami przeciwmolowymi, i gapiłam się na niego w nadziei, że przemówi do mnie głosem ciotki, tak jak w dzieciństwie. Próbowałam chodzić sama do kina, ale to mnie tylko bardziej przygnębiało, bo musiałam znosić zaczepki mężczyzn, które przeszkadzały w oglądaniu filmu. W sierpniu odbyłam smętną pielgrzymkę na Wielką Wystawę Narodową. Od trzech lat już nie chodziłam tam z ciotką – widocznie uznała, że jestem na to za stara – i wszystko wydało mi się teraz inne, bardziej szmirowate; wymuszony, prymitywny humor.

Sporo chodziłam do muzeum i do galerii sztuki, w miejsca, gdzie mogłam spacerować, udając, że robię coś konkretnego, i gdzie jedzenie nie stanowiło pokusy. Fundowałam sobie przejażdżki autobusem: do St. Catharines, do London w Ontario, do Windsoru, do Buffalo, Syracuse i Albany. Szukałam miasta, w którym mogłabym się osiedlić, gdzie swobodnie mogłabym nie być sobą. Nie chodziło mi o nic szczególnie odmiennego czy szokującego, po prostu potrzebne mi było miejsce, w którym czułabym się dobrze, nieznana.

To właśnie podczas tych przejażdżek autobusowych stwierdziłam, że mam pewne deficyty. Te braki wzięły się z mojej otyłości. Nie byłam zdolna do odczuwania bólu, a ból i strach mają działanie ochronne, do pewnego stopnia. Nieznane mi były zwykłe

kobiece lęki: lęk przed obcymi, przed ciemnością, przed podejrzanymi westchnieniami w słuchawce, przed przystankami autobusowymi i zwalniającymi samochodami, lęk przed czymkolwiek, co się znajduje poza zaklętym kręgiem bezpieczeństwa. Nikt na mnie nigdy nie gwizdał ani nie podszczypywał mnie w windach, nikt mnie nie gonił w pustej uliczce. Mężczyzn znałam nie jako agresywnych lubieżników, tylko wstydliwe, nieuchwytne stwory, które w mojej obecności zapominały języka w gębie i uciekały. I chociaż matka ostrzegała mnie przed złymi mężczyznami w wąwozie, to do czasu, kiedy osiągnęłam dojrzałość, jej przestrogi były jedynie pustym dźwiękiem. Najwyraźniej nie wierzyła, żeby ktokolwiek mógł mnie zaczepić; nie wierzyłam w to zresztą ja sama. Przypominałoby to zaczepianie gigantycznej piłki futbolowej i chociaż w skrytości ducha pieściłam własny wizerunek tchnący łagodną, uległą kobiecością, to jednocześnie wiedziałam, że każdego potencjalnego agresora samym swoim tchnieniem rozgniotłabym o ścianę. Kiedy więc skurczyłam się do normalnych rozmiarów, nie znałam tych lęków i musiałam je w sobie sztucznie rozbudzać, stale sobie przypominając: nie chodź tam sama. Nie wychodź z domu wieczorem. Patrz przed siebie. Nie oglądaj się, nawet jeżeli jesteś ciekawa. Nie zatrzymuj się. Nie wysiadaj z samochodu. Idź dalej.

Siadałam na przykład gdzieś pośrodku autobusu. Za mną był mężczyzna z cygarem, obok mnie jakiś nieznajomy. Co dwie godziny zatrzymywaliśmy się przed przydrożną restauracją, gdzie odbywałam lunatyczne wyprawy do damskiej toalety, która z reguły pachniała środkami dezynfekcyjnymi i mydłem w płynie.

Tam zwilżonym papierowym ręcznikiem ścierałam z twarzy autobusowe opary, tłuste i brunatne. Później, kiedy zaczynałam walić głową w zimną metalową ramę okna, a całe ciało łaknęło snu, na moim udzie pojawiała się ukradkiem ręka, nieruchoma, zwiadowcza ręka, napięta świadomością swojej samotnej misji.

Kiedy pojawiały się te ręce, nie potrafiłam sobie z nimi poradzić. Brały mnie przez zaskoczenie. Mężczyźni nie zaczepiają tłustych dziewcząt, nie miałam więc w tej dziedzinie żadnego doświadczenia i byłam bardzo skrępowana. Te ręce nie budziły we mnie strachu ani mnie nie podniecały, po prostu uświadamiały mi moją bezradność. Udawałam więc, że ich nie zauważam, podziwiałam przez okno nocny krajobraz, podczas gdy zręczne palce sunęły wzdłuż mego uda. Na najbliższym przystanku przepraszałam grzecznie i wysiadałam z autobusu, nie bardzo wiedząc, co ze sobą począć.

Czasami rozglądałam się za jakimś motelem, ale najczęściej szłam do restauracji na dworcu autobusowym i zjadałam wszystkie czerstwe pączki i porcje pieroga o konsystencji rybiego kleju, na jakie mogłam sobie pozwolić. W takich chwilach czułam się bardzo samotna, marzyłam też, żeby znów być gruba. Stworzyłoby to jakąś izolację, rodzaj kokonu. A także przebranie. Byłabym znów jedynie widzem, po którym niewiele się oczekuje. Bez czapki niewidki mojej otyłości czułam się naga, odarta z jakiejś bardzo istotnej powłoki.

Pomimo tych załamań chudłam. Nagle okazało się, że zeszłam do wymaganej wagi, że stanęłam twarzą w twarz z resztą mojego życia. Byłam teraz kimś zupełnie innym, jakbym nagle, w wieku dziewiętnastu lat urodziła się całkowicie dorosłą osobą. Do

właściwej mi teraz postaci miałam niewłaściwą przeszłość. Należało się jej pozbyć i stworzyć sobie zupełnie inną, przyjemniejszą. Co do miejsc, które odwiedzałam, nie zdecydowałam się na żadne z nich. Ostatecznie mieszkanie w wynajętym pokoju w Albany nie różniłoby się niczym od mieszkania w wynajętym pokoju w Toronto, poza tym, że szansa spotkania matki na ulicy byłaby mniejsza. Matki czy kogokolwiek, kto mógłby mnie rozpoznać.

Na myśl o tym, że już zawsze miałabym żyć tak samo jak teraz, ogarniała mnie rozpacz. Chciałam mieć więcej niż jedno życie i kiedy wreszcie z tryumfem zeszłam z wagi u pana Morriseya i podjęłam pieniądze, udałam się prosto do biura podróży i kupiłam bilet na samolot do Anglii.

14

– Masz ciało bogini – zwykł mawiać polski hrabia w chwilach kontemplacyjnej namiętności. (Czyżby powtarzał rolę?).

– Czy i głowę mam bogini? – spytałam kiedyś filuternie.

– Nie rób sobie takich żartów – odparł. – Musisz mi ufać. Dlaczego nie chcesz uwierzyć we własne piękno?

Ciekawe, o jakiej też bogini myślał. Wiedziałam, że jest więcej niż jedna. Czy na przykład o tej, która zdobiła opakowanie ołówków Wenus, nie miała rąk i była cała popękana? Niektóre boginie w ogóle nie miały ciał. W muzeum widziałam taką jedną z trzema głowami na kolumnie; wyglądała jak hydrant przeciwpożarowy. Niektóre kształty przypominały wazy, inne kamienie. Uznałam ten komplement za wątpliwy.

Polski hrabia to był wypadek. Poznałam go, kiedy w pobliżu Trafalgar Square wypadłam z piętrowego autobusu. Szczęśliwie nie z góry. Już, już sięgałam nogą chodnika, ale nie byłam przyzwyczajona do tego, żeby kierowca ruszał, zanim wszyscy bezpiecznie wysiądą, więc kiedy autobus spode mnie wyskoczył, poleciałam na ziemię. Przechodzący akurat tamtędy polski hrabia pomógł mi się pozbierać.

W tym czasie mieszkałam w wilgotnym jednopokojowym mieszkaniu w Willesden Green. Znalazłam to mieszkanie przez Dom Kanadyjski; było to pierwsze miejsce, do którego się udałam po przyjeździe do Londynu. Już wtedy odczuwałam tęsknotę. Nie znałam nikogo, nie miałam się gdzie zatrzymać i byłam rozczarowana Anglią, jeśli mogłam ją ocenić przez okno autobusu w drodze z lotniska. Na razie to, co widziałam, za bardzo przypominało mi to, co opuściłam, z tą różnicą, że każda rzecz wyglądała jakby ściśnięta przez dwie gigantyczne dłonie, które następnie wszystko pozsuwały bliżej. Samochody były mniejsze, domy stłoczone, ludzie niżsi, jedynie drzewa wydawały się większe. No i nic nie było takie stare, jak się spodziewałam. Domagałam się zamków i księżniczek. Pani z Shalott dryfującej w łódce po krętej rzece, jak w *Wierszach narracyjnych dla młodzieży,* które czytałam w dziewiątej klasie. Spojrzałam do słownika, szukając słowa „shalott". Znalazłam „shallot" – rodzaj drobnej cebuli. Mała różnica w pisowni, stanowczo za mała.

> Złudy zwierciadła nudzą mnie –
> rzekła Pani z Małej Cebuli.

A potem szła linijka, która wywoływała falę chichotów wśród chłopców i skrępowanie u dziewcząt.

> Przekleństwo spadło na mnie –
> łkała Pani z Shalott[*].

Dlaczego chłopcy uważali, że strumyk krwi cieknący dziewczynie po nogach jest śmieszny? A może śmiali się ze strachu? Nie zrażało mnie to jednak, wbrew sobie byłam

romantyczką i rzeczywiście marzyłam – wówczas – żeby znaleźć kogoś, kogokolwiek, kto by mi powiedział, że mam piękną twarz, nawet gdyby przyszło mi zasnąć na wieki na dnie łodzi.

Zamiast jednak oczekiwanych zamków i dam zastałam wielki ruch uliczny i tłumy krępych ludzi z zepsutymi zębami.

Dom Kanadyjski, kiedy do niego dotarłam, okazał się marmurowym mauzoleum, imponującym, ale cichym. Kobieta siedząca za ciemnym drewnianym kontuarem, w przypominającym pieczarę, skąpo oświetlonym pomieszczeniu, w którym kilku ponurych Kanadyjczyków czytało prasę Toronto sprzed tygodnia i odbierało pocztę, wręczyła mi spis pokojów do wynajęcia. Ponieważ nie znałam Londynu, wybrałam pierwszy z brzegu. Niestety, był położony godzinę drogi od centrum. Metro przypominało podróżujący salon obity czerwonym pluszem, brakowało tylko podnóżków i palm w doniczkach. Nowe metro Toronto z kolei, ze swoją pastelową glazurą i zapachem środka odkażającego, bardziej przypominało jeżdżącą łazienkę. Zdążyłam się już poczuć, jakbym była z prowincji.

Po wyjściu z metra ruszyłam ulicą, wzdłuż której ciągnęły się małe sklepiki; bardzo niezdrowy procent stanowiły sklepy ze słodyczami. Kobieta z Domu Kanadyjskiego naszkicowała mi plan, poradziła też, żebym kupiła sobie mały liść klonu i nosiła go w klapie, to nie będą mnie brali za Amerykankę.

Dom, w którym miałam mieszkać, willa w stylu Tudorów, był – jak wszystkie pozostałe na tej ulicy – pseudowillą w stylu pseudotudorowskim, z ogródkiem otoczonym murem od frontu. Gospodarz, gburowaty mężczyzna w samej koszuli i szelkach, najwyraźniej obawiał się, że będę urządzała orgiastyczne

przyjęcia, a na koniec ucieknę, nie płacąc komornego. Mój pokój znajdował się na parterze i śmierdziało w nim butwiejącym drewnem; panowała tu taka wilgoć, że meble gniły, chociaż powoli. Kiedy pierwszej nocy leżałam w lepkim łóżku, zastanawiając się, czy nie na próżno tak bardzo się odchudziłam i tak daleko wyjechałam, nagle przez frontowe okno wlazł jakiś Murzyn. Ale powiedział jedynie: „Nie to okno, przepraszam" – i zniknął. Rzeczywiście słychać było przytłumione odgłosy jakiegoś przyjęcia gdzieś dalej na tej samej ulicy. Czułam się obrzydliwie samotna. Myślałam, żeby się gdzieś przenieść, mieszkanie byłoby lepsze, miałabym więcej przestrzeni, ale ten pokój mało kosztował, a zależało mi, żeby pieniądze ciotki Lou wystarczyły na jak najdłużej. Kiedy się skończą, będę musiała się zastanowić, co dalej: czy iść do pracy (potrafiłam pisać na maszynie), czy wrócić do szkoły (może mimo wszystko mogłabym zostać archeologiem), ale nie byłam jeszcze gotowa, nie zdążyłam się przystosować. Przez całe życie uczyłam się, jak zostać jakąś określoną osobą, a teraz stałam się kimś zupełnie innym. Stanowiłam kiedyś wyjątek z możliwościami, które imponowały, obecnie zostałam kimś przeciętnym i byłam daleka od przyzwyczajenia się do tego stanu.

Gospodarz zabronił przyrządzania posiłków w pokoju – uważał, że wszyscy lokatorzy się sprzysięgli, żeby spalić mu dom, co byłoby trudne ze względu na jego wilgotność – ale pozwalał mi gotować wodę na herbatę na pojedynczym palniku gazowym. Nabrałam zwyczaju popijania herbaty i zajadania herbatników Peek Frean w łóżku, obłożona kocami. Był koniec października i panowało przejmujące zimno, a ogrzewanie zależało od liczby

szylingów, którymi musiałam karmić piecyk; to samo dotyczyło gorącej wody we wspólnej łazience, rzadko się więc kąpałam. Zrozumiałam, dlaczego w metrze tak cuchnie – ludzie byli nie tyle brudni, ile zaniedbani. Poza herbatą i herbatnikami spożywanymi w domu jadałam w tanich restauracjach. Szybko nauczyłam się unikać potraw, które normalnie bym jadła. Hot dog na przykład to była, jak się zorientowałam, czerwona cienka rzecz usmażona w tłuszczu jagnięcym, hamburger – kwadratowy trocinowobeżowy przedmiot wetknięty pomiędzy połówki czerstwej bułki, koktajl mleczny zaś smakował jak kreda. Jadałam więc rybę z frytkami albo jajka i groszek z frytkami, albo kiełbaski z tłuczonymi ziemniakami. Kupiłam podkoszulek.

Uznałam, że zamiast patrzeć, jak stosik moich czeków podróżnych maleje, powinnam się czymś zająć. Podróże jakoby kształcą – dlaczego ja się cofam? Kupiłam mapę Anglii i wyszukiwałam na niej nazwy, które zapamiętałam ze szkoły średniej, jak York, czy te, które mnie w jakiś sposób intrygowały, jak Ripon. Jeździłam w te miejsca pociągiem, nocowałam w drugorzędnych gospodach czy hotelikach i wracałam następnego dnia. Oglądałam budynki o znaczeniu historycznym. Zwiedzałam kościoły i zbierałam prospekty leżące na półkach ze szparką na sześciopensówkę, którą nie zawsze wrzucałam. Dowiedziałam się, co to jest clerestorium, i kupowałam pocztówki, które dawały mi poczucie, że gdzieś byłam. Te pocztówki wysyłałam do ojca, adresując je na szpital i opatrując zaszyfrowanymi tekstami w rodzaju: „Duży Ben wcale nie jest taki duży” albo „Skąd nazwa Wielkie Jeziora? Powinny się nazywać Wielkie Kałuże, cha, cha”. Czułam, że Anglia to

przesłanie wyrażone za pomocą kodu, którego nie potrafiłam złamać, i że muszę przeczytać bardzo dużo książek, żeby ją zrozumieć.

Przebywałam już w Anglii od sześciu tygodni, kiedy wypadłam z autobusu. Polski hrabia pomógł mi wstać, za co mu podziękowałam. Początek okazał się całkiem łatwy.

Był nieznacznie niższy ode mnie i wąski w ramionach, z rzadkimi ciemnoblond włosami i tak zwanym wysokim czołem. Nosił niemodne już wówczas okulary bez oprawy, granatowy płaszcz, trochę wytarty i wyświechtany, i chodził z teczką. Żeby mi pomóc wstać, położył teczkę, wsadził mi ręce pod pachy i delikatnie mnie uniósł. Mało nie pociągnęłam go na ziemię, ale jakoś odzyskaliśmy równowagę, a on zdołał podnieść teczkę.

– Czy nic się pani nie stało? – zapytał z niezbyt czystym angielskim akcentem. Gdybym była Angielką, poznałabym w nim polskiego hrabiego, ale tak, jak było, oczywiście nie mogłam.

– Dziękuję panu bardzo – powiedziałam. Miałam rozdartą pończochę, obtarte kolano i paskudnie skręconą nogę w kostce.

– Musi pani usiąść – oświadczył.

Zaprowadził mnie na drugą stronę ulicy, do restauracji pod nazwą, jak pamiętam, Złote Jajo, i przyniósł mi herbatę oraz porcję tortu z czarnymi porzeczkami, lekko zgniecioną. Traktował mnie ciepło, ale protekcjonalnie, jakbym była wyjątkowo niezdarnym dzieckiem.

– Ależ proszę bardzo – powiedział z uśmiechem. Zauważyłam, że ma orli nos, który jednak nie osiągał swej właściwej wymowy z uwagi na wzrost hrabiego. – Herbata to tutaj lekarstwo na wszystko. Dziwni ludzie ci Anglicy.

– A pan nie jest Anglikiem? – zapytałam.

Jego oczy, zielonoszare, a może szarozielone, zaszły chmurą za okularami, jakbym zadała mu bardzo niedelikatne pytanie natury osobistej.

– Nie – odrzekł. – Ale w dzisiejszych czasach trzeba się przystosować. Pani jest oczywiście Amerykanką?

Oświadczyłam, że nie jestem. Wydawał się zawiedziony. Spytał, czy lubię jeździć na nartach. Powiedziałam, że nie umiem.

– Ja zawdzięczam nartom życie – rzekł enigmatycznie. – Wszyscy Kanadyjczycy jeżdżą na nartach. Jak inaczej poruszać się po tym całym śniegu?

– Niektórzy z nas używają toboganów – odparłam.

Zdziwiło go to słowo, więc mu je wyjaśniłam.

Skończyłam herbatę. Czułam, że w tym właśnie momencie powinnam podziękować mu grzecznie za uprzejmość i wyjść. W przeciwnym razie musielibyśmy opowiedzieć sobie nawzajem historie swego życia, a moja była zbyt ponura, żebym miała na to ochotę. Podziękowałam mu więc i wstałam. Ale zaraz usiadłam z powrotem. Noga w kostce spuchła mi tak, że ledwie mogłam chodzić.

Uparł się, że odprowadzi mnie aż do Willesden Green, i cały czas mnie podtrzymywał, gdy kuśtykałam najpierw do stacji metra, a potem uliczką wzdłuż sklepów ze słodyczami.

– Ależ to straszne – powiedział, kiedy zobaczył mój dom. – Pani nie może tu mieszkać. Kto tu w ogóle mieszka?

Następnie zadeklarował gotowość zrobienia mi okładu z ręcznika zwilżonego w zimnej wodzie. Siedziałam właśnie na łóżku, a on klęczał, kładąc mi kompres na nogę, kiedy wkroczył

gospodarz, żeby wręczyć mi tygodniowe wymówienie. Polski hrabia poinformował go, że pani zwichnęła nogę. Gospodarz odpowiedział, że nie obchodzi go, co ja zwichnęłam i że mam się wynosić w najbliższy czwartek, ponieważ nie zamierza tolerować podobnego zachowania w swoim domu. To chyba widok mojej gołej, obrzękłej stopy tak go uraził.

Kiedy wyszedł, polski hrabia wzruszył ramionami.

– To strasznie ograniczeni ludzie, ci Anglicy. Naród sklepikarzy. – Nie wiedziałam, że to cytat[**], i pomyślałam, że to bardzo błyskotliwe stwierdzenie. Wstrząsnął mną widok Stonehenge otoczonego płotem z furtką w celu pobierania opłat za bilety.

– Czy pani widziała Tower of London? – zapytał.

Nie widziałam.

– Jutro się tam wybierzemy.

– Ale ja nie mogę chodzić!

– Pojedziemy taksówką, a potem popłyniemy łódką.

Nie pytał mnie, po prostu mi to zakomunikował. Nie przyszło mi do głowy, że mogłabym się sprzeciwić. Poza tym wydał mi się stary. W rzeczywistości miał czterdzieści jeden lat, ale ja go zaszeregowałam do kategorii mężczyzn starych, a tym samym niegroźnych.

Podczas tej wycieczki opowiedział mi historię swego życia. Najpierw jednak, jak nakazywała grzeczność, zażądał mojej. Powiedziałam mu, że przyjechałam do Londynu studiować sztukę na tutejszej akademii sztuk pięknych, ale doszłam do wniosku, że nie mam talentu. Westchnął.

– Jest pani rozsądną dziewczyną – rzekł – skoro dokonała pani tego odkrycia tak wcześnie. Przynajmniej oszczędzi sobie pani złudnych nadziei. Sam kiedyś zamierzałem zostać pisarzem, chciałem być jak Tołstoj, rozumie pani, ale zostałem wygnany z własnego języka, a ten się nadaje tylko do robienia oszczędności. Nie ma w nim żadnej melodii, ten język nie śpiewa, on zawsze usiłuje coś sprzedać.

Nie wiedziałam, kto to był Tołstoj, skinęłam więc głową i uśmiechnęłam się. Hrabia podjął opowieść. Jego rodzina należała przed wojną do klas wyższych; nie był hrabią w całym tego słowa znaczeniu, ale był kimś tam i pokazał mi sygnet, który nosił na małym palcu. Herb przedstawiał mitycznego ptaka, gryfa czy feniksa, już nie pamiętam. Rodzina jakoś sobie radziła za okupacji niemieckiej, ale kiedy wkroczyły wojska sowieckie, hrabia wiedział, że musi uciekać, inaczej zostanie rozstrzelany.

– Dlaczego? – spytałam. – Przecież pan nie zrobił nic złego.

Spojrzał na mnie z politowaniem.

– Nie ma znaczenia, co się zrobiło, tylko kim się jest.

Tak więc hrabia wraz z sześcioma innymi mężczyznami pojechał na nartach do granicy, gdzie miał na nich czekać przewodnik i przeprowadzić ich na drugą stronę. Ale hrabia był chory. Wymógł na towarzyszach, żeby go zostawili, sam zaś wczołgał się do groty, pewien, że to już koniec. Towarzyszy hrabiego złapano i rozstrzelano, on zaś wyzdrowiał i na własną rękę przekradł się przez granicę, idąc nocami i orientując się według gwiazd. Gdy przybył do Anglii, zarabiał na życie zmywaniem naczyń w restauracjach w Soho i dopiero kiedy

nauczył się porządnie języka, dostał posadę urzędnika w banku, w dziale wymiany walut obcych.

– Jestem ostatnim przedstawicielem ginącej rasy – powiedział. – Ostatnim Mohikaninem. – Miał w Polsce córkę i matkę, ale nie miał syna i ta świadomość bardzo mu ciążyła.

Moim pierwszym wrażeniem po usłyszeniu tej historii było przekonanie, że spotkałam łgarza tak niepoprawnego i romantycznego jak ja sama. Zawsze odruchowo wierzyłam we wszystko, co mi mówiono, tak jak sama chciałam, żeby wierzono mnie. W tym wypadku mój impuls okazał się słuszny – historia hrabiego była w zasadzie prawdziwa. Zrobiła na mnie wielkie wrażenie. Najwyraźniej należał do minionej, lepszej epoki, w której odwaga była możliwa. Przekuśtykałam przez Tower of London wsparta na jego kościstym ramieniu, z mieszaniną zupełnie nowych dla mnie uczuć: było mi go żal z powodu tego, co przeszedł, podziwiałam jego odwagę, pochlebiały mi względy, jakie mi okazywał, i byłam mu za nie wdzięczna, szczególnie zaś było mi miło, że uważa mnie za mądrą. Później dopiero odkryłam, że wystarczy przyznać się do braku talentu, by człowieka uznano za mądrego.

To było w niedzielę. W poniedziałek hrabia musiał iść do pracy, ale wieczorem zabrał mnie na kolację do Polskiego Klubu Oficerskiego, który był pełen jednookich generałów i innych polskich hrabiów.

– Jesteśmy niedobitkami, które jeszcze zostały – oznajmił. – Resztę wytłukli Rosjanie.

– Ale czyż nie walczyliście wspólnie przeciwko Niemcom? – zapytałam.

Zaśmiał się łagodnie i wyjaśnił mi sprawę dość obszernie.

Przeraziła mnie własna ignorancja. Za moimi plecami działy się najróżniejsze rzeczy: zdrady i klęski głodu, ciche zamachy, morderstwa ideologiczne i desperackie czyny bohaterskie. Dlaczego nikt mi nic nie mówił? Być może mówili, ale nie słuchałam, zajęta swoją tuszą.

We wtorek poszliśmy na koncert muzyki kameralnej; dochód z koncertu był przeznaczony na jakąś polską organizację polityczną, o której nigdy nie słyszałam. Wspomniałam, że jeszcze nie znalazłam innego pokoju.

– Więc będziesz mieszkała u mnie! – wykrzyknął. – Mam bardzo ładne mieszkanie, naprawdę ładne, urocze, jest dużo miejsca. Tak będzie, nie ma o czym mówić.

Zajmował całe piętro domu w Kensington, należącego do dziewięćdziesięcioletniego angielskiego lorda, który najczęściej przebywał w domu starców. Na drugim piętrze mieszkały trzy dziewczyny, ale z wyższych sfer, jak mnie zapewnił: pracowały w biurze.

Pomyślałam, że to bardzo miło z jego strony, że mi zaproponował swoje mieszkanie. Ale ponieważ nigdy mnie nawet nie dotknął, poza przeprowadzaniem mnie przez ulicę z powodu zwichniętej nogi, i ponieważ nigdy nie robił żadnych aluzji, byłam bardzo zdziwiona, kiedy po umyciu zębów, kładąc się spać (w grubej, workowatej koszuli nocnej z flaneli, kupionej tydzień wcześniej u Marksa i Spencera), usłyszałam dyskretne pukanie do drzwi, a następnie zobaczyłam w nich mężczyznę, którego imienia nawet nie znałam, w piżamie w biało-niebieskie paski.

Było dla niego jasne, że idzie ze mną do łóżka, i że dla mnie jest to równie jasne.

Historia, którą później opowiedziałam Arturowi, o tym, jak to w wieku szesnastu lat zostałam uwiedziona pod sosną przez instruktora żeglarskiego z Montrealu, była kłamstwem. Nikt mnie nigdy nie uwiódł. Padłam ofiarą syndromu panny Flegg: jeśli znajdziesz się w sytuacji, z której nie możesz wyjść z godnością, udawaj, że znalazłaś się w niej z własnego wyboru. W przeciwnym razie wyjdziesz na idiotkę. Niewinność niesie ze sobą pewne niebezpieczeństwa. Jeśli o mnie chodziło, polski hrabia nie mógł sobie wyobrazić podobnej naiwności. Jeżeli poprosisz kobietę, żeby z tobą mieszkała, i ona się zgodzi, zgadza się naturalnie tym samym zostać twoją przyjaciółką. To zabawny termin „przyjaciółka", ale za kogoś takiego mnie właśnie uważał. W tych kategoriach pojmował życie seksualne: żony i przyjaciółki. Nie byłam jego pierwszą przyjaciółką. Ktoś taki jak kochanka dla niego nie istniał.

Opisując Arturowi epizod z instruktorem żeglarskim z Montrealu, zadbałam o to, żeby zawrzeć w nim pewne pieprzne szczegóły. Dodałam także kilka przekonujących drobiazgów, jak szpilki sosnowe, które mi powłaziły w tyłek, gatki Jockey, zapach brylantyny; w tego rodzaju rzeczach byłam dobra. Oczywiście nigdy w życiu nie byłam na obozie letnim. Matka chciała mnie wysłać, ale to by oznaczało, że na dwa miesiące uwięznę wśród bandy przerośniętych, sadystycznych zuchów, bez możliwości ucieczki. Lato spędzałam więc zwykle w domu: wylegiwałam się, jadłam i czytałam szmirowate książki obfitujące w pikantne detale. To właśnie tymi szczegółami ubarwiałam historię mego

życia; musiałam je zapożyczyć, ponieważ moje pierwsze doświadczenia z polskim hrabią zupełnie nie miały charakteru erotycznego. Bolała mnie noga, piżama działała zniechęcająco, a poza tym bez okularów hrabia wyglądał nieciekawie. Zresztą wszystko to było bolesne i chociaż mój partner okazał się później cierpliwy i pouczający, acz z pewną skłonnością do demonstracji – czułam się niemal jak na lekcji stepowania – to jednak nie za tym pierwszym razem.

Kiedy się zorientował, że nie jestem potulną niedoszłą studentką sztuki, za jaką mnie miał, kiedy się przekonał, że pozbawił mnie dziewictwa – dopadły go wyrzuty sumienia.

– Co ja najlepszego zrobiłem? – rzekł ponuro. – Moje biedne dziecko. Dlaczego mi nic nie powiedziałaś? – Ale cokolwiek bym powiedziała, zabrzmiałoby nieprawdopodobnie. Dlatego właśnie tworzyłam swój życiorys po trochu: prawda była nieprzekonywająca.

Nie odezwałam się więc słowem, a on, zaniepokojony, poklepał mnie po ramieniu. Uważał, że zmniejszył moje szanse na dobre zamążpójście. Chciał mi to jakoś wynagrodzić i nie mógł zrozumieć, dlaczego nie jestem na niego zła. Siedziałam na łóżku, naciągając z powrotem flanelową koszulę (w jego mieszkaniu było dokładnie tak samo zimno i wilgotno jak w moim), i wpatrywałam się w jego pociągłą, melancholijną twarz o zielonoszarych oczach, lekko zezowatych. Byłam zadowolona, że to się stało. Wreszcie się przekonałam, że jestem normalna, pozbyłam się aureoli nadmiaru ciała i przestałam być trędowata.

[*] Przekleństwo (Ewy) – eufemistyczny termin na określenie miesiączki, często używany w żartobliwym nawiązaniu do powyższego wersu z poematu Alfreda Tennysona *Pani z Shalott* (przyp. tłum.).

[**] A. Smith (1723–1790), *Bogactwo narodów,* t. II, rozdz. 7 (przyp. tłum.).

15

Zastanawiałam się często, co by było, gdybym zamiast przeprowadzić się do Artura, została z polskim hrabią. Może byłabym gruba i zadowolona, w dzień siedziałabym w domu w podomce w kwiatki – trochę haftując, trochę cerując – czytałabym szmirowate książki i jadła czekoladki, wieczorami chodzilibyśmy na kolację do Polskiego Klubu Oficerskiego, gdzie traktowano by mnie, w mniejszym czy większym stopniu, z szacunkiem – jako osobę z ustaloną pozycją „przyjaciółki Pawła". To by jednak nie zdało egzaminu, był dla mnie zbyt metodyczny. Na pierwsze imię miał Tadeusz, ale wolał, żeby go nazywano trzecim imieniem, Paweł, od świętego Pawła, który był człowiekiem systematycznym, wykluczającym wszelką przypadkowość. Hrabia uważał, że życie dobre to życie uporządkowane.

Nawet jego ucieczka przez polską granicę była uporządkowana. („Ale przecież to przypadek uratował ci życie!" – wykrzyknęłam. „Nie – odparł. – Gdybym nie miał głowy na karku, tobym nie żył"). Obliczył swoją trasę bardzo precyzyjnie i wynurzył się z lasu dokładnie w zaplanowanym miejscu. Żeby nie zasnąć i odpędzić halucynacje, które zaczęły go nękać, brnąc przez śnieg

w ciemnościach, powtarzał sobie tabliczkę mnożenia (brnąc, ponieważ narty oddał jednemu z towarzyszy, którzy zginęli). Nie wpadał w panikę, co niewątpliwie by mnie spotkało, nie zwracał uwagi na ożywione kształty geometryczne i później na groźne twarze, które pojawiały się przed nim w powietrzu. Ja także widziałam kształty i twarze, kiedy miałam zakażenie, i doskonale wiedziałam, że gdyby to mnie przyszło błądzić w głębi tego polskiego lasu, gęstego jak włosy i zimnego jak sama rozpacz, usiadłabym po prostu w śniegu i poddała się nieszczęściu.
W każdym labiryncie drobiazgi – ogarki świec i kości moich poprzedników – działałyby na mnie rozpraszająco i zawsze wypuściłabym z ręki nić, żeby gonić za zwodniczym światełkiem, ulotnym głosem. W bajce byłabym jedną z dwóch głupich sióstr, które otwierają zakazane drzwi i przeżywają szok na widok zamordowanych żon, a nie tą trzecią mądrą, która ceni to, co najważniejsze: przytomność umysłu, zdrowy rozsądek i konsekwentne kłamstwo. Ja też kłamałam, ale moje kłamstwa nie były konsekwentne. Miałam umysł niezdyscyplinowany, jak mi to czasem wytykał Artur.

Podobnie zresztą twierdził Paweł, który był bardzo punktualny: wychodził z domu dokładnie piętnaście po ósmej, a przedtem dziesięć minut z zegarkiem w ręku spędzał na pucowaniu butów i czyszczeniu ubrania. Moje niechlujstwo wydawało mu się urocze, ale nie na długo, wkrótce zaczął wygłaszać przemówienia o tym, że znacznie praktyczniej powiesić ubrania od razu w szafie, niż rzucać je na podłogę, żeby leżały w stertach aż do następnego dnia. Nie oczekiwał ode mnie wiele – ostatecznie byłam przecież tylko przyjaciółką – ale tych niewielu rzeczy wymagał w sposób

bezwzględny. Myślę, że przyuczanie mnie do życia ze sobą uważał za uciążliwy obowiązek z rodzaju tych pomniejszych, jak tresura psa: chodziło o to, żebym dobrze opanowała pewną określoną liczbę sztuczek.

Poza tą pierwszą zaskakującą nocą ograniczył seks do weekendów, a że jego zdaniem każdy powinien mieć swój pokój, sypiałam na wersalce w tak zwanej bibliotece. Nie był z natury ani skąpcem, ani tyranem, był człowiekiem z posłannictwem. Sypiając w bibliotece, wkrótce je poznałam.

Pierwszego dnia, kiedy wyszedł do banku, spałam do jedenastej. Potem myszkowałam po domu, otwierając szafki kuchenne w poszukiwaniu czegoś do jedzenia, ale również starając się poznać osobowość człowieka, który tej nocy, jak to się mówi, pozbawił mnie czci. Byłam go ciekawa, a szafki kuchenne potrafią wiele powiedzieć o człowieku. Panował tu nienaganny porządek – przeważały puszki, oprócz których znalazłam trochę zup w proszku i paczkę sucharów. Paweł trzymał produkty dwojakiego rodzaju – podstawowe i egzotyczne: kalmary, o ile pamiętam, i focze mięso (jedliśmy je później – było śmierdzące i oleiste). Następnie zajrzałam do lodówki, która była nieskazitelnie czysta i prawie pusta. Zjadłam kilka sucharów z sardynkami z puszki, zrobiłam sobie filiżankę herbaty i poszłam do pokoju Pawła zapoznać się z zawartością jego szafy i komody. Uważałam, żeby niczego nie poprzekładać. Na komodzie stało kilka podkolorowanych fotografii – usta sinoczerwone, włosy żółtawoszare. Bielizna, wszystkie piżamy w paski, z wyjątkiem jednej jedwabnej. Pod szortami leżał rewolwer, którego nie tknęłam.

Wróciłam do biblioteki, żeby się ubrać, ale pomyślałam, że najpierw przejrzę sobie książki. Były w większości stare, oprawne w płótno albo w skórę, z wyklejkami z marmurkowego papieru, takie jakie się spotyka na antykwarycznych stoiskach. Większość stanowiły polskie, ale były i angielskie: całkiem sporo sir Waltera Scotta, Dickens, Harrison Ainsworth i Wilkie Collins; pamiętam autorów, gdyż później niemal wszystkie przeczytałam. Ale jedna półka mnie zaskoczyła. Zawierała książki „z pielęgniarkami". Okładki tych ckliwych czytadeł przedstawiały z reguły pielęgniarkę i stojącego gdzieś w tle doktora, który zamiast pożerać ją pożądliwym wzrokiem, spogląda na nią z zainteresowaniem i podziwem. Tytuły brzmiały: *Janet Holmes, studentka pielęgniarstwa, Helen Curtis, starsza pielęgniarka* i *Anna Armstrong, młodsza pielęgniarka;* niektóre zachęcały śmielszymi tytułami w rodzaju *Romans w raju* i *Lucy Gallant, pielęgniarka wojskowa.* Wszystkie zostały napisane przez tę samą autorkę o nieprawdopodobnym nazwisku Mavis Quilp. Przekartkowałam ze dwie, ponieważ dobrze znałam takie powieści. W swoich tłustych latach czytałam ich na kopy. Dostarczały standardowej strawy – na końcu każdej z nich pielęgniarka i doktor rzucali się sobie w objęcia, był to uścisk równie mocny i antyseptyczny jak elastyczny bandaż. Uderzało mnie coś szczególnego w języku tej literatury – wyświechtane frazesy trafiały jak gdyby obok, były lekko zniekształcone. Na przykład zamiast powiedzieć „firanki rzęs", ktoś mówił „frędzle rzęs", a znów ktoś inny zamiast „rączki w małdrzyk, buzia w ciup" – „rączki w ciup, buzia w małdrzyk", Anna Armstrong zaś „drgała", a nie „drżała", kiedy się o nią otarł doktor, chociaż to

akurat mógł być błąd drukarski. Poza tym książki te nie odznaczały się niczym specjalnym, ale w bibliotece Pawła wydawały się tak nie na miejscu, że wieczorem spytałam go o nie.

– Paweł – powiedziałam, kiedy siedzieliśmy naprzeciwko siebie przy kuchennym stole, jedząc focze mięso z puszki i zapijając je szampanem, który przyniósł w akcie zadośćuczynienia. Dlaczego czytujesz te szmirowate książki Mavis Quilp?

Odpowiedział mi z dziwnym krzywym uśmieszkiem:

– Nigdy nie czytuję tych szmirowatych książek Mavis Quilp.

– To po co masz ich aż czternaście w swojej bibliotece? – Może Paweł był tajnym agentem? To by wyjaśniało obecność rewolweru, a te książki Quilp stanowiły jakieś zaszyfrowane informacje.

Nie przestawał się uśmiechać.

– Bo jestem autorem tych szmirowatych książek Mavis Quilp.

Upuściłam widelec.

– Chcesz powiedzieć... że to ty jesteś Mavis Quilp? – Zaczęłam się śmiać, ale powstrzymała mnie jego urażona mina.

– Mam za granicą matkę i córkę – rzekł sztywno.

Historia, którą mi opowiedział, była mniej więcej taka. Zaraz po przybyciu do Anglii w dalszym ciągu uważał, że może zostać pisarzem. Stworzył trzytomowe dzieło epickie poświęcone losom pewnej rodziny (swojej własnej), wywodzącej się z drobnej arystokracji, przed wojną, podczas wojny i po wojnie, brnąc przez nie z pomocą słownika w przerwach między dziesięciogodzinnymi zmianami pomywacza. Wolałby oczywiście pisać po polsku, ale zdawał sobie sprawę, że nic mu z tego nie przyjdzie. W jego powieści występowało trzynaścioro głównych bohaterów, powiązanych ze sobą rodzinnie, a każdy z nich w otoczeniu

kochanek, przyjaciół, dzieci i wujków. Kiedy wreszcie skończył tę książkę i przepisał na maszynie, z wielkim trudem, sam, poszedł z nią do wydawcy. Nie miał żadnych doświadczeń z wydawcami, przez przypadek trafił do takiego, który zajmował się tylko westernami, powieściami o pielęgniarkach i romansami historycznymi. Ten naturalnie odrzucił dzieło, ale zrobiła na nim wrażenie jakość prozy, a szczególnie jej obszerność.

– Ciąg do pisania to pan masz – powiedział mu. – Masz pan tutaj fabułę, ubierz ją pan w słowa, tylko żeby to nie było za mądre. Płacę sto funtów. Chyba uczciwie, nie?

Paweł potrzebował tych pieniędzy.

Podczas kiedy jego trzytomowe epickie dzieło odbywało rundę po przyzwoitszych wydawcach – z których żaden go zresztą nie przyjął – Paweł dalej fabrykował szmirowate powieści, zrazu posługując się podsuwanymi mu fabułami, a następnie wymyślając własne. Dostawał teraz dwieście lub trzysta funtów od książki, bez procentu od sprzedaży. Na swojej nowej posadzie w banku zarabiał tyle, że wystarczało mu akurat na utrzymanie, dochody z pisania zaś, jako ekstrapieniądze, wysyłał swojej matce i córce do Polski. Miał w Polsce również żonę, która jednak się z nim rozwiodła.

Wydawca namawiał go na westerny i powieści historyczne, ale Paweł trzymał się swojej specjalności. W westernach należy używać takich słów jak „mustang", które mu nie odpowiadały, a powieści historyczne działały na niego przygnębiająco, przypominając mu jego dawne, lepsze życie. (Literatura eskapistyczna, oświadczył, powinna spełniać swoje zadanie zarówno wobec czytelnika, jak i samego autora). Co do powieści

pielęgniarskich, to nie musiał się niczego specjalnie uczyć ani używać żadnych nieznanych słów, poza kilkoma terminami medycznymi, łatwo dostępnymi w pierwszym lepszym podręczniku. Pseudonim wybrał sobie w przekonaniu, że Mavis jest typowo angielskim imieniem. A co do Quilp...

– Ach, Quilp – westchnął. – To postać z Dickensa, pokraczny, złośliwy karzeł. Tak właśnie widzę siebie w tym kraju. Pozbawiony swojego statutu, zgorzkniały i rozgoryczony.

„Statusu" – pomyślałam, ale nie powiedziałam. Uczyłam się go nie poprawiać.

– A może byś pisał coś bardziej w twoim stylu – zaproponowałam. – Na przykład historie szpiegowskie, z jakąś intrygą i międzynarodowymi przestępcami...

– To by za bardzo przypominało życie – westchnął.

– Pielęgniarkom powieści pielęgniarskie mogą aż nadto przypominać życie.

– Pielęgniarki nie czytają powieści pielęgniarskich. Czytują je tylko kobiety, które niesłusznie wybrały ten zawód. W każdym razie jeśli pielęgniarki chcą uniknąć swoich problemów, muszą się zająć pisaniem powieści szpiegowskich, to wszystko. Co dla jednego jest przysmakiem, dla drugiego może być trucizną. Takie już jest przeznaczenie. – Paweł wierzył w przeznaczenie.

Tak więc to jemu zawdzięczałam wybór kariery. Pieniądze ciotki Lou topniały szybciej, niż się spodziewałem, mimo że starałam się być oszczędna, a ja nie myślałam o posadzie. Nikt nie myśli, kto nie ma noża na gardle. Umiałam pisać na maszynie, ale uznałam, że szybciej zarobię, przepisując własne rzeczy, zwłaszcza że listy urzędowe innych ludzi wydawały mi się

bardzo nudne. Wieczorami, kiedy Paweł pracował nad swoją najnowszą książką *Judith Morris, pielęgniarka ekspedycji arktycznej,* trzymając w zaciśniętych zębach krótką złotą fifkę, w którą co chwila wtykał nowego gauloise'a, i popijając brunatne porto w ilości jedna szklanka na wieczór, nie miałam co robić. W takich chwilach jego pogarda dla czytelników i dla siebie samego unosiła się w pokoju jak chmura dymu, a jego humor był jak smog – zgniły, ale zimny.

Poprosiłam Pawła, żeby mi przyniósł z Columbine Books, od swojego wydawcy, kilka powieści historycznych, i zabrałam się do pracy. Zapisałam się do miejscowej biblioteki i wypożyczyłam książkę – rys historyczny na temat projektowania kostiumów. Sporządziłam listy słów w rodzaju „fichu", „paletot"[*] i „pelisa". Całe popołudnia spędzałam w Muzeum Wiktorii i Alberta, w sali poświęconej strojom; wdychając zapach wieków i politury oraz suchy, natrętny odór dozorców, studiowałam szklane gabloty i kolekcje rysunków. Uważałam, że jeśli zyskam wiedzę na temat kostiumów, wszystko inne przyjdzie samo. I rzeczywiście przyszło. Bohater, dobrze wychowany, przystojny, lekko łysiejący mężczyzna, ubrany w nienagannie uszyty tweedowy płaszcz, w stylu Sherlocka Holmesa, zalecał się w kabriolecie do bohaterki, miażdżąc jej w pocałunku usta i mnąc pelisę. Czarny charakter, równie dobrze wychowany i podobnie ubrany, robił prawie dokładnie to samo, z tą różnicą, że jeszcze wkładał jej rękę pod „fichu". Rywalka heroiny miała pod wytwornym gorsetem gibkie ciało dzikiego zwierzęcia i jak wszystkie tego rodzaju kobiety kończyła źle. Wtedy jeszcze nie byłam taka dobra w nieszczęśliwych zakończeniach jak później: wymyśliłam, że

schodząc ze schodów, potknęła się po prostu o połę swojego „paletota". Ale na nic lepszego nie zasłużyła, ponieważ chciała skazać bohaterkę na hańbę, wtrącając ją do burdelu, gdzie miała ona wieść życie w poniżeniu pod kuratelą bajzelmamy, którą wyposażyłam w twarz panny Flegg.

Mierzyłam jednak za wysoko. Moje pierwsze próby wróciły do mnie z uwagą, że nie powinnam używać słów w rodzaju „fichu", „paletot" czy „pelisa", nie wyjaśniając ich znaczenia. Dokonałam niezbędnych zmian i otrzymałam swoje pierwsze sto funtów oraz zamówienie na więcej materiału. Nazwali to materiałem, jakby literaturę mierzyło się na metry.

Byłam ogromnie podniecona, kiedy nadeszły dwa pierwsze egzemplarze *Pana na Chesney Chase,* zapakowane w szary papier. Na okładce widniały ciemnowłosa kobieta w śliwkowym płaszczu i wypisany białymi literami mój pseudonim literacki: Louisa K. Delacourt. No bo oczywiście w hołdzie ciotce Lou posłużyłam się jej nazwiskiem. Kilka lat później, kiedy przeniosłam się do amerykańskiego wydawcy, poproszono mnie o fotografię. Do ewentualnego wykorzystania w celach reklamowych. Posłałam im zdjęcie z wystawy, przedstawiające ciotkę i mnie stojące obok siebie. Nigdy tego zdjęcia nie wykorzystano. Kobiety pisujące takie książki jak moje powinny wyglądać schludnie i zdrowo i mieć nobliwie posiwiałe włosy. Odwrotnie niż czytelniczki, mają się trzymać prosto i być w życiu szczęśliwe, nie mrużyć oczu pod słońce, pokazując przy tym wszystkie zęby i trzymając watę cukrową w ręku. Czytelniczki wolały sobie nie wyobrażać swoich dobrych wróżek, sprawczyń ich subtelnych nocnych metamorfoz,

pod postacią otyłych i dość niechlujnych pań, którym wyłażą dekoltem ramiączka od koszuli, jak ciotce Lou czy mnie.

Początkowo Paweł zachęcał mnie do pisania, głównie ze względów finansowych. Sama idea posiadania przyjaciółki mu się podobała, ale tak naprawdę nie było go na to stać. Po pierwszych pięciu czy sześciu miesiącach, kiedy zaczęłam dostawać wyższe honoraria niż on, zażądał, żebym partycypowała w komornym, chociaż z faktu, że sypiałam w bibliotece, nie wynikały dla niego żadne dodatkowe koszty. Byłam mu wdzięczna za jego wiarę – nie w mój talent, nie wierzył, żeby tego typu pisarstwo wymagało jakiegokolwiek talentu ale w moją wytrwałość, potrafiłam bowiem wymyślać intrygi niemal równie szybko jak on, a do tego byłam lepszą maszynistką, więc kiedy się trafiała dobra noc, szliśmy strona w stronę.

Początkowo był ojcowski i pobłażliwy. Pod pewnymi względami przypominał mi mężczyznę z bukietem żonkili, który w tak rycerski i wzruszający sposób obnażał się na drewnianym mostku, kiedy byłam małym zuchem. Paweł odznaczał się podobnie życzliwą, ale chybioną galanterią. Obaj, pomyślałam, są łagodni i niegroźni pod pozorami swoich dziwactw, domagają się jedynie drobnych gratyfikacji, niestanowiących zbyt wielkiego obciążenia dla ich partnerek czy obserwatorek. No i obaj w jakiś sposób mnie uratowali, chociaż osobowość człowieka z żonkilami nadal nie była mi znana.

O osobowości Pawła też wiedziałam niewiele, ponieważ z biegiem czasu zaczął się zmieniać. A może po prostu lepiej go poznałam. Otóż na przykład uważał, że wyłącznie on ponosi winę za to, że utraciłam dziewictwo – czuł się za mnie odpowiedzialny.

Jednocześnie utrata czci panieńskiej dyskwalifikowała mnie jako potencjalną żonę, a przynajmniej jego żonę. Mój brak poczucia winy uznawał za przejaw barbarzyństwa. Każdego, kto pochodził zza Atlantyku, uważał za kogoś w rodzaju dzikusa, a nawet Anglicy byli wątpliwi, jako zbyt wysunięci na zachód. Koniec końców był na mnie zły o to, że nie płakałam, chociaż tłumaczyłam mu bez przerwy, że ja z takiego powodu nie płaczę.

No i te jego poglądy na wojnę. Jego zdaniem, w jakiś metafizyczny, niejasny sposób wszystkiemu są winni Żydzi, którzy tym samym odpowiadają za utratę jego dóbr rodzinnych.

– Ależ to śmieszne – powiedziałam, wściekła; niemożliwe, żeby tak myślał naprawdę. – To tak, jakbyś uważał, że ofiara gwałtu odpowiada za to, że została zgwałcona, czy że ofiara morderstwa...

Zupełnie nieporuszony zaciągnął się gauloise'em.

– Tak właśnie jest – odparł. – Sami to na siebie ściągnęli.

Przyszedł mi na myśl rewolwer. Ale nie mogłam Pawła o nic pytać, nie zdradzając się przy tym, że myszkowałam w jego pokoju, a już wtedy nie miałam wątpliwości, że uznałby to za niewybaczalne. Zaczynałam się czuć po trosze jak Ewa Braun w bunkrze; co ja tu robię z tym szaleńcem, jak się dostałam do tego więzienia i w jaki sposób się z niego wydostać? Bo Pawła cechował fatalizm naznaczony obsesją końca świata: dla niego cywilizacja albo już upadła, albo właśnie waliła się w gruzy. Uważał, że wybuchnie kolejna wojna, a ściślej, miał na to nadzieję. Nie dlatego nawet, żeby liczył na jakieś zmiany czy poprawę, po prostu chciał walczyć i odznaczyć się odważnymi czynami. Czuł bowiem, że w ostatniej wojnie jego udział w ruchu oporu był niedostateczny; jako człowiek bardzo młody nie wiedział

jeszcze, że wtedy w lesie powinien był zginąć wraz z resztą wymordowanej armii. Żyć, przeżyć, uciec – wszystko to oznaczało niesławę. Ale dla niego wojna to nie były czołgi, pociski i bomby, wojna to był on na koniu i z szablą prowadzący straceńczą szarżę.

– Kobiety nie rozumieją tych spraw – mawiał, przygryzając koniec cygarniczki. – Dla kobiet życie to igła i dzieci.

– Ja nie umiem szyć – oponowałam, ale i na to miał odpowiedź:

– Później będziesz szyła. Jesteś jeszcze bardzo młoda. – I dalej snuł swoje czarne prognozy.

Na próżno wygłaszałam optymistyczne slogany; uśmiechał się tylko po swojemu krzywo i mówił:

– Wy, Amerykanie, jesteście tacy naiwni, wy nie macie żadnej historii.

Przestałam go przekonywać, że nie jestem Amerykanką.

– Co za różnica – mówił. – Brak historii jednych niczym się nie różni od braku historii innych.

Ostatecznie różnice między nami sprowadzały się do tego, że ja wierzyłam w prawdziwą miłość, on w żony i przyjaciółki, ja w szczęśliwe zakończenia, on w kataklizmy, mnie się wydawało, że jestem w nim zakochana, on był dostatecznie stary i cyniczny, by wiedzieć, że to nieprawda. Moje złudzenie, że jestem w nim zakochana, wynikało zresztą z innego złudzenia – dotyczącego pojęcia prawdziwej miłości. Jakże bowiem mogłabym sypiać z tym właśnie mężczyzną, który nie był Merkurym z telefonu Bella, nie będąc w nim zakochana? Wszak jedynie prawdziwa miłość mogła usprawiedliwić taki brak gustu.

Ponieważ Paweł wiedział, że go nie kocham, i ponieważ uważał mnie za „przyjaciółkę”, a „przyjaciółki” za osoby z natury

niewierne, miewał ataki zazdrości. Wszystko było w porządku, dopóki siedziałam w domu, czytając i pisząc na maszynie swoje historyczne powieści grozy, i nie wychodziłam nigdzie, chyba że z nim. Nie przeszkadzały mu nawet moje wyprawy do Muzeum Wiktorii i Alberta; na ogół ich po prostu nie zauważał, ponieważ z reguły byłam w domu przed nim, a w weekendy w ogóle tam nie chodziłam. Poszło nam dopiero o pchli targ na Portobello Road. Sam mi go pokazał i wkrótce stał się on moją obsesją. Godzinami potrafiłam sterczeć przy kramach pełnych starych naszyjników, kompletów pozłacanych łyżek, szczypców do cukru w kształcie kurzych łap czy dłoni karła, zatrzymanych zegarów, porcelany w kwiatki, piegowatych luster i ciężkich mebli, jednym zdaniem: osadu pozostawionego przez owe ustępujące stulecia, w których coraz bardziej byłam zadomowiona. Nigdy przedtem nie widziałam takich rzeczy, a oto miałam przed sobą wiek, fale czasu, które przepływały mi między palcami, w których się pławiłam, zatrzymując je w pamięci: tu jaspisowa tabakiera, tam emaliowany flakonik do perfum, sztuka w sztukę wypracowane, precyzyjne – a to wszystko, by zbliżyć i uwiarygodnić mgliste przeżycia moich kostiumowych heroin, niby diamenty w morzu forsy.

W największe zdumienie wprawiał mnie jednak zalew tych dóbr, śladów ludzkiego życia, i sposób, w jaki krążyły. Ludzie umierali, ale należące do nich przedmioty żyły dalej, kręciły się w kółko jak w powolnym wirze. Wszystkie te rzeczy, które widziałam i których pragnęłam, były już wcześniej widziane i pożądane, przewinęły się już przez ludzkie życia i jeszcze się miały przewinąć, coraz bardziej zniszczone, a zarazem coraz

wartościowsze, zyskując twardość i połysk, jakby chłonęły cierpienia swoich właścicieli i jakby się nimi karmiły. Nad wyraz trudno się ich pozbyć, myślałam; czyhają biernie, na podobieństwo owcy wampira, czekając, aż je ktoś kupi. Niestety, nie mogłam sobie pozwolić prawie na nic.

Z tych wypraw wracałam do domu wyczerpana, wypruta z sił, podczas gdy tam, na straganach, broszki z różą z korala, szpilki z górskim kryształem, kamee z profilami z kości słoniowej jarzyły się w mroku jak syte krwi pchły. Nic dziwnego, że Paweł zaczął mnie podejrzewać o posiadanie kochanka, do którego się wymykam. Kiedyś nawet za mną poszedł; myślał, że go nie widzę, kiedy robił uniki, to się kryjąc, to znów wyłaniając zza półek z używanymi sukniami wieczorowymi i boa z piór – niby prywatny detektyw z komiksu. Oskarżenie mnie wprost o cokolwiek byłoby oczywiście poniżej jego godności. Zamiast tego robił mi awantury, gdy chciałam się wybrać na Portobello Road w sobotę – taki przyjemny dzień powinnam poświęcić jemu. Zaczął się też czepiać moich powieści, nazywając je tanimi i frywolnymi, a kiedy uprzejmie się z nim zgadzałam, doprowadzało go to do szału. Oczywiście, że są tanie i frywolne, mówiłam, ale też nigdy nie udawałam poważnej pisarki. Potraktował to jako przytyk do swoich wcześniejszych ambicji. Prawdopodobnie wolałby odkrycie, że mam kochanka, niż że go nie mam. Kochanek byłby mniej upokarzający. Zaczęłam się bać Pawła. Czekał na mnie na podeście schodów, gdy wracałam z moich orgii na Portobello Road – stał jak filar, bez słowa, a kiedy weszłam na górę, przygważdżał mnie pełnym wyrzutu, potępiającym spojrzeniem.

– Widziałam dziś cudownego wiktoriańskiego diablika w pudełku... – zaczynałam, ale moje słowa brzmiały fałszywie, nawet dla mnie samej. Rzeczywistość widziana oczyma innych ludzi wydawała mi się zawsze bardzo przekonywająca i wobec tego zaczęłam po trosze wierzyć, że może on ma rację, może ja naprawdę mam kochanka. W każdym razie chciałam mieć, ponieważ seks z Pawłem przypominał teraz walkę z rekinem – przestał być delikatny, szczypał i gryzł, i przychodził do mnie do biblioteki również w zwykłe dni tygodnia. Wszystko byłoby jednak w porządku, gdyby nie te jego nieszczęsne spojrzenia, trudne do wytrzymania „ciche dni" i rewolwer, który bardzo mnie niepokoił.

Do tego jeszcze oznajmił, że polskie władze wyraziły zgodę na wyjazd jego matki z Polski. Oszczędzał na ten cel pieniądze i wreszcie miał się doczekać; starym ludziom łatwiej się wyrwać niż młodym, powiedział. Tylko, że mnie się nie uśmiechało mieszkać pod jednym dachem z polską hrabiną – niby gdzie miałaby spać? – która by jeszcze na dodatek obgadywała mnie po polsku przed synem, spiskowała z nim przeciwko mnie i prasowała mu gatki, czego ja odmawiałam. Był bardzo przywiązany do matki, co mogłam znosić jedynie na odległość. Ale kiedy wspomniałam, że się wyprowadzę, żeby zrobić dla niej miejsce, nie chciał o tym słyszeć.

---

[*] *Fichu* (ang. z fr.) – muślinowa lub koronkowa chusta na ramiona; *paletot* (ang.) – narzutka, paltocik kobiecy, noszony w XIX w. (przyp. red.).

16

Nigdy nie powiedziałam Arturowi o Pawle, co być może było błędem. Nie dlatego nawet, żeby mu przeszkadzało, że przed nim żyłam z innym mężczyzną, nie, Artura napełniłyby zgrozą tytuł Pawła i jego poglądy polityczne. Kobieta, która by z kimś takim żyła, natychmiast otrzymałaby etykietę „nie do przyjęcia”; stało się to dla mnie jasne już piętnaście minut po zawarciu z nim znajomości.

Spacerowałam po Hyde Parku, był lipiec 1963 roku. Ze wszystkich stron dochodziły mnie odgłosy apokaliptycznych oracji w stylu Starego Testamentu, ale słuchałam ich tylko jednym uchem. Zbliżały się moje dwudzieste pierwsze urodziny, lecz i o tym nie myślałam. Szłam drogą, na którą właśnie miała wkroczyć Samantha Deane, bohaterka *Ucieczki od miłości,* ratując się przed zdrożnymi awansami sir Edmunda De Vere. Pod nieobecność domowników, którzy poszli do Crystal Palace, usiłował ją wykorzystać w dziecinnym pokoju do nauki.

Kiedy Samantha zbiegała po schodach, jej policzki płonęły na samo wspomnienie tego, co się właśnie wydarzyło. Siedziała samotnie w pokoju do nauki, zabawiając się haftem, który

wypełniał jej nieliczne wolne chwile. Nie słyszała, gdy otwarły się drzwi, a sir Edmunda zobaczyła dopiero, kiedy był dwa kroki od jej krzesła. Z okrzykiem zdumienia zerwała się na nogi. Sir Edmund był zarumieniony, garderobę miał w nieładzie, a jego kamienny zwykle spokój prysł. Kiedy na nią patrzył, oczy płonęły mu jak ślepia drapieżnika, który zwietrzył ofiarę.

– Sir Edmundzie. – Samantha starała się panować nad głosem. – Jak mam rozumieć pańskie nagłe wtargnięcie? Dlaczego nie jest pan wraz z innymi w Crystal Palace? – Mimo wysiłków czuła słabość w kolanach: czy to ze strachu, czy może reagując na jego bliskość, co na próżno usiłowała przed sobą ukryć.

– Wiedziałem, że jesteś sama – powiedział, zbliżając się do niej. – I dlatego wymknąłem się ukradkiem. Zlituj się nade mną, wiesz przecież, że moje życie to piekło.

A jednak nie prosił, lecz żądał. Złapał ją za przegub ręki i przyciągnął do siebie, wpijając się twardymi wargami w jej usta. Na próżno starała się mu wyrwać, walcząc zarówno z nim, jak i z własnymi nieoczekiwanymi żądzami. Jego chciwe dłonie były już przy jej szyi, zaczął zrywać jej fichu...

– Proszę się nie zapominać! – zdołała jeszcze wykrzyknąć. – Pan jest człowiekiem żonatym!

Jedyną odpowiedzią był jego rubaszny śmiech. W desperacji przypomniała sobie o krótkiej, grubej igle, którą w dalszym ciągu trzymała w prawej ręce. Uniosła igłę i rozorała mu policzek. Puścił ją bardziej ze zdziwienia niż z bólu; wykorzystała ten moment, by rzucić się do drzwi, zatrzasnąć je

za sobą i przekręcić w zamku ciężki klucz. Była zbyt przerażona, by wziąć płaszcz czy choćby szal.

Biegła przez park, nie wiedząc sama, jak się tam znalazła. Jej cienka czarna suknia stanowiła nikłą ochronę przed wieczornym chłodem. Gdzie się podzieje, co ma robić? Ciekawe, jak sir Edmund wytłumaczy się przed innymi, a w szczególności przed lady Leticią, kiedy wrócą i zastaną go zamkniętego na klucz w pokoju do nauki, a guwernantkę nieobecną. Cokolwiek zresztą powie, obciąży ją, tego była pewna. Nie ma więc po co wracać; ale on i tak będzie jej szukał, ścigał ją... W woreczku miała zaledwie kilka pensów. Gdzie spędzi noc?

Z obu stron migały jej jakieś ciemne kształty, a od czasu do czasu słyszała niski, szyderczy śmiech... Córy grzechu, nędzne, opuszczone stworzenia, jakim i ona mogłaby się stać, gdyby nie walczyła... Ale może teraz znalazła się w jeszcze większym niebezpieczeństwie. Samotna, słaba, pozbawiona jakiejkolwiek opieki, mogła paść ofiarą pierwszego lepszego zdrożnego rozpustnika. Miała jeszcze świeżo w pamięci lubieżne awanse hrabiego Darcy, wuja sir Edmunda. Wtedy uciekła z jego rezydencji pod opiekuńcze skrzydła siostrzeńca. Cóż z tego, kiedy i sir Edmund ją zawiódł...

Usłyszała za sobą kroki. Schowała się w cień drzewa, w nadziei, że nie zostanie dostrzeżona, ale na tle zachodzącego słońca zobaczyła cień, a na ramieniu poczuła dłoń. Ochrypły z żądzy głos wydyszał jej imię.

W tym punkcie mojego spektaklu poczułam coś na ramieniu. Spojrzałam – czyjaś ręka. Krzyknęłam, i to całkiem głośno,

a następnie uświadomiłam sobie, że leżę na jakimś zmieszanym, młodym chudzielcu. Byliśmy przysypani kawałkami papieru niby wielkim konfetti. Kilka osób z tłumu, który się natychmiast zebrał, usiłowało mnie podnieść.

– Zaczepiał cię, co, złotko? – zagadnął mnie krzepki, śmierdzący piwem facet. – Cholerni agitatorzy.

– Wręczałem jej właśnie ulotkę – wyjaśnił mój napastnik. Ku swojemu przerażeniu stwierdziłam, że ma nieznacznie rozcięty policzek. Poczułam się jak idiotka.

– Wezwać policjanta, złotko? Takich trzeba wsadzać do ciupy. Będą tu zaczepiali dziewczyny!

– Nie, dziękuję – odparłam. Przeciwnik wiwisekcji i głosiciel zagłady, zeskoczywszy ze swoich skrzynek po mydle, pospieszyli mi na pomoc. Byli niemal identyczni – uduchowieni starzy mężczyźni o spłowiałych oczach Starego Żeglarza[*]. Kiedy się przekonali, że nic mi nie jest, wręczyli mi po ulotce.

– To była wyłącznie moja wina – zapewniałam wokół. – Pomyliłam się i wzięłam go za kogoś innego. Wpadłam w panikę i to wszystko. Zaraz dam panu chusteczkę – zwróciłam się do młodego człowieka. – Bardzo mi przykro, że pana zadrapałam. – Zaczęłam grzebać w torebce w poszukiwaniu jednorazowej chusteczki, ale jej nie znalazłam.

– Nic nie szkodzi – odparł ze stoickim spokojem. A że zbierał na klęczkach swoje ulotki, więc i ja uklękłam, żeby mu pomóc. Na ulotkach był czarno-biały rysunek przedstawiający wybuch bomby atomowej i tekst „Nie dajmy puścić świata z dymem”.

– Przeciwko bombie? – spytałam.

– Tak – odparł ponuro. – Efekty nie są wielkie, ale nie można się poddawać.

Przyjrzałam mu się uważniej. Miał na sobie czarny sweter pod szyję, który uznałam za bardzo twarzowy. Melancholijny bojownik o sprawy niemal przegrane, idealista i straceniec, ktoś w rodzaju lorda Byrona, którego biografię właśnie ostatnio przeglądałam. Skończyliśmy zbierać ulotki, ja się zakochałam i wpadliśmy na drinka do pobliskiego pubu. Poszło mi to całkiem łatwo: wystarczyło, że wyraziłam zainteresowanie dla sprawy. Wolałabym oczywiście, żeby miał akcent brytyjski, ale niestety, okazał się tylko Kanadyjczykiem, jak ja, wybaczyłam mu jednak ten defekt.

Podczas gdy Artur stał w kolejce przy barze po moją podwójną szkocką i swojego guinnessa – jeśli w ogóle pił, starał się, żeby to były napoje zawierające korzystne dla zdrowia sole mineralne – gorączkowo szukałam w pamięci jakichś strzępów wiedzy politycznej, które mogłyby tam przypadkiem zalegać, niby resztki szpinaku między zębami. Zrobiłam na nim wrażenie kogoś przynajmniej z grubsza otrzaskanego, teraz nadszedł czas konfrontacji. Sięgnęłam nawet do ulotek, które mi wręczono, gorączkowo poszukując w nich wskazówek i tematu. Jedna ulotka, bardziej ortodoksyjna, głosiła, że Armagedon jest blisko i jeśli chcesz go uniknąć, musisz żyć w czystości.

Kiedy Artur wrócił z drinkami, byłam gotowa. Gdy tylko rozmowa stawała się zbyt konkretna, przechodziłam na problem uchodźców palestyńskich. Miałam go w małym palcu od czasów mojej działalności w Kole Przyjaciół ONZ w Braeside. Był jeszcze

na tyle mało znany, że wzbudził zainteresowanie Artura, i jak ze wstydem stwierdziłam, zrobiło to na nim nawet pewne wrażenie.

Pozwoliłam mu odprowadzić się aż do stacji metra Marble Arch. Wyjaśniłam, że nie mogę go zaprosić do siebie, ponieważ mieszkam z pewną maszynistką, bardzo grubą i brzydką, która popada w depresję, ilekroć przyprowadzę jakiegoś mężczyznę, obojętne w jakim charakterze. Niech też raczej nie dzwoni, powiedziałam, gdyby mógł mi natomiast podać swój numer... Nie miał telefonu, ale – jeszcze lepiej – zaprosił mnie na wiec następnego dnia. Omdlewająca z pożądania poszłam do biblioteki publicznej – tej samej, z której brałam książki z zakresu kostiumologii – i wyciągnęłam wszystkie dzieła Bertranda Russella, jakie tylko mogłam znaleźć, co postawiło mnie w dość trudnej sytuacji wobec Pawła.

– Komunistyczne barachło – wściekał się. – Nie życzę sobie czegoś podobnego w moim domu.

– Dokształcam się – wyjaśniłam. – Pomyślałam sobie, że tym razem napiszę coś bardziej nowoczesnego, coś osadzonego, powiedzmy, w latach dwudziestych.

– To się nie będzie cieszyło powodzeniem – rzekł Paweł. – Jeśli skrócisz swoim bohaterkom spódnice i obetniesz im włosy, to książka będzie leżała. Czytelnik woli, żeby kobieta zachowała coś ze swojej tajemniczości. Tak jak ja – dodał, całując mnie w obojczyk.

Dawniej podobne uwagi uznałabym za bardzo europejskie i czarujące, ale ostatnio zaczęły mnie one irytować.

– Ładna mi tajemniczość – powiedziałam – która sprowadza się do paru metrów materiału i peruki. Mężczyźni też są tajemniczy,

a nie zauważyłam, żeby nosili loki czy długie balowe suknie.

– Och, bo tajemnica mężczyzny dotyczy ducha – rzekł Paweł żartobliwie – a kobiety ciała. Czymże jest bowiem tajemnica, jak nie tym, co ukryte? Łatwiej obnażyć ciało niż ducha. Z tego powodu łysego mężczyzny nikt nie uważa za wynaturzoną potworność, a łysą kobietę tak.

– A mnie się wydaje, że kobieta debilka jest z punktu widzenia społecznego bardziej do przyjęcia niż mężczyzna idiota – powiedziałam, siląc się na ironię.

– Istotnie – odparł Paweł. – W moim kraju takie kobiety odgrywały rolę prostytutek najniższej kategorii, podczas gdy dla bezmózgich mężczyzn nie ma żadnego zastosowania. – Uśmiechnął się, uważając, że dowiódł swojej racji.

– Na miłość boską – powiedziałam i poszłam do kuchni zrobić sobie herbaty. Paweł był zaskoczony, ale i podejrzliwy – w dalszym ciągu nie mógł zrozumieć mojego nagłego zainteresowania Bertrandem Russellem.

Miałam niemało kłopotu z tymi książkami, ale również, jak stwierdziłam, z teoriami i polityką w ogóle. Nie chciałam naturalnie wylecieć w powietrze za pomocą bomby atomowej, ale z drugiej strony, nie wierzyłam w skuteczność działań zapobiegawczych. Równie dobrze mogłabym zwalczać samochody: jeśli zostanę przejechana, będę tak samo martwa – rozumowałam. Uznałam jednak, że lord Russell miał bardzo interesującą twarz, i natychmiast przydzieliłam mu niewielką rolę w *Ucieczce od miłości,* gdzie wystąpił jako dobrotliwy stary ekscentryk, który ratuje Samanthę Deane z opresji w Hyde Parku, bijąc jej napastnika parasolem po głowie.

(„Proszę to zabrać! Czy nic ci się nie stało, moje dziecko?" – „Jakże zdołam wyrazić swoją wdzięczność?" – „Widzę, że jesteś panną z dobrego domu, wierzę w twoje wyjaśnienia. Pozwól, że zaoferuję ci schronienie na noc... Moja gospodyni pożyczy ci nocną koszulę. Pani Jenkins, proszę przygotować filiżankę herbaty dla tej młodej damy").

Wyposażyłam go nawet w hobby – hodował rybki – co usposobiło mnie przyjaźnie wobec wystroju graficznego jego dzieł i umożliwiło tolerowanie jego poglądów politycznych i nabożnej czci, z jaką traktował go Artur.

Gdyby Artur wiedział o moim małym udramatyzowaniu lorda Russella, byłby przerażony. Nazwałby to trywializowaniem i nawet nazywał w późniejszym okresie, kiedy już nie potrafiłam tak skutecznie ukrywać tego swojego zwyczaju. I gdy już nie miałam takiej ochoty na udawanie zachwytów nad aktualnymi bohaterami Artura, Artur był niestały, często zmieniał alianse, więc kilka razy dałam się nabrać, a potem zrobiłam się czujna. „A co z panią Marks?" – pytałam na przykład, albo: „Założę się, że żona Marksa chciała, żeby on był lekarzem". W odpowiedzi spoglądał tylko na mnie z niesmakiem – szłam wtedy do kuchni i fantazjowałam na temat życia rodzinnego Marksa. „Nie dzisiaj, kochanie, boli mnie głowa, wy, intelektualiści, wszyscy jesteście jednakowi, tylko byście błądzili w chmurach, zamiast lecieć na Księżyc – stać cię na to, z twoimi uzdolnieniami".

O Castro myślałam jednak, że musi to być tygrys w łóżku – z tymi cygarami i z tą brodą – co by wyjaśniało jego popularność w Ameryce Północnej. Ale moim ulubieńcem był Mao – ten to lubił jeść. Wyobrażałam sobie, jak pożera całe sterty chińskich

potraw, z rozkoszą i bez najmniejszego poczucia winy, a trzódka radosnych dzieciaków wdrapuje mu się na kolana. Przypominał żółty nadmuchany balon, pisał wiersze i potrafił się bawić. Był tłusty, ale zadowolony z siebie i nie zawracał sobie głowy żadnymi bzdurami na ten temat. Życie prywatne Stalina było nudne, za dużo się o nim wiedziało, a poza tym to straszny purytanin. Ale Mao – co za ogród rozkoszy – popierał żonglerów i widowiska, lubił kolor czerwony i żeby było dużo flag i defilad, i tenisa stołowego, wiedział, że ludzie muszą mieć jedzenie i rozrywkę, a nie tylko same przemówienia. Lubiłam go sobie wyobrażać w wannie, całego w pianie, jako ogromnego cherubina, z uśmiechem rozkoszy na twarzy, któremu jakaś wielbicielka – ja! – myje plecy.

Jeśli o mnie chodziło, nie byłam zdolna pokochać abstrakcji. I nie kochałam Artura dla jego teorii, chociaż muszę przyznać, że przydawały mu one jakiejś bezosobowej wielkości, niby podbita szkarłatem peleryna. Kochałam go za jego nieznacznie odstające uszy i za to, jak wymawiał pewne słowa – na przykład „ghabie" i „thawa", typowe dla Maritimes – podczas kiedy ja, pochodząca z Ontario, wymawiałam je jako „grabie" i „trawa". Wydawało mi się to bardzo egzotyczne. Zachwycały mnie jego świadoma abnegacja, szczery idealizm, śmieszna (przynajmniej dla mnie) oszczędność – herbatę ekspresową parzył dwukrotnie – sposób, w jaki wsadzał palec do ucha, jego dalekowzroczność i zdezelowane okulary, których używał do czytania. Kiedyś mu powiedziałam: „Pewnie dlatego ci się podobam, że nie widzisz z bliska, jak wyglądam". „Trochę za wcześnie na takie żarty – odparł. – Nie, nie dlatego". A potem nastała długa, niezręczna

cisza, jakby się naprawdę zastanawiał nad powodem, dla którego mu się podobam.

Na tym właśnie polegał problem. Że nie wiedziałam, co Artur do mnie czuje, o ile w ogóle cokolwiek czuł. Wyglądało na to, że lubił ze mną rozmawiać na temat różnych społecznych niepokojów, czy też były to raczej jego wykłady, ponieważ – za cwana na to, żeby się zdradzać ze swoją ignorancją – głównie kiwałam głową. Zabierał mnie na akcje wręczania ulotek i z apetytem zjadał kanapki, które mu przynosiłam. Opowiedział mi o swojej rodzinie – o ojcu sędzim i matce, która miała świra na punkcie religijnym. Ojciec chciał, żeby Artur został prawnikiem; matka widziała go co najmniej jako lekarza misji. Zawiódł oboje, idąc na filozofię, ale nie wytrzymał tych wszystkich sylogizmów („Łysy człowiek jest po prostu łysy – mówił. – Co to ma wspólnego z ludzką kondycją?" Przynajmniej raz mogłam się z nim zgodzić bez żadnej hipokryzji, dopóki nie zaczęłam się nad tym zastanawiać: a co by było, gdybyś to ty był łysy?). Rzucił studia po trzecim roku, zrobił sobie przerwę, żeby się zastanowić nad wyborem właściwej drogi. (Na tym polegała różnica między nami: dla Artura istniały właściwe drogi, być może nawet kilka, ale nie więcej niż jedna naraz. Dla mnie w ogóle nie było dróg. Gąszcze, rowy, sadzawki, labirynty, grzęzawiska – nigdy drogi).

Następnie porwał go na dwa lata ruch przeciwko bombie. Artur poświęcił mu wiele czasu i energii, ale pozostał jak gdyby na peryferiach tego ruchu, był facetem od ulotek. Może dlatego, że był Kanadyjczykiem.

Promieniowałam współczuciem i zrozumieniem. Siedzieliśmy w taniej restauracji, gdzie cuchnęło tłuszczem jagnięcym,

i jedliśmy smażone jajka z frytkami i groszkiem – była to główna strawa Artura. Kończyły mu się pieniądze, zbliżała się chwila, kiedy będzie musiał podjąć jakąś dorywczą pracę – zamiatanie podłóg, składanie serwetek albo, co gorsza, zmywanie. Alternatywą było przyjęcie od rodziców tego, co nazywał łapówką, i powrót na uniwersytet w Toronto, którego nienawidził z chłodną, abstrakcyjną namiętnością.

W jego mieszkaniu na Earlscourt była mała kuchenka, ale Artur nie lubił gotować, a zresztą kuchnia przypominała chlew. Dzielił mieszkanie z dwoma mężczyznami: Nowozelandczykiem, który studiował w London School of Economics i odżywiał się fasolą z puszki na zimno, obficie polaną keczupem, zostawiając wszędzie niezmyte talerze, jak ślady małych morderstw, i radykałem z Indii, facetem o oczach gazeli, który gotował sobie brunatny ryż i curry i też zostawiał wszędzie talerze. Artur był czysty i nie lubił brudu. Był jednak zbyt czysty, żeby sprzątać, więc jadaliśmy poza domem. Raz czy dwa zrobiłam porządek w kuchni, ale zamiast dobrych, miało to złe skutki. Artur jeszcze w jednym się co do mnie pomylił: w głębi duszy nie byłam wcale czyściochą i kiedy później dokonał tego odkrycia, poczuł się zawiedziony. Nowozelandczyk, nazwiskiem Slocum, gonił mnie po kuchni, zaklinając na wszystko: „Bądź dobrą dziewczyną, nie dały mi nawet na lekarstwo, odkąd przyjechałem do tego zimnokrwistego kraju, nawet na lekarstwo", a hinduski radykał stracił cały respekt, jaki początkowo miał dla mnie jako dla swego rodzaju działaczki politycznej, i zaczął robić cielęce oczy i rozdymać nozdrza. Najwyraźniej nie można być jednocześnie szacowną sawantką i pomywaczką.

Tymczasem sprawy z Arturem nie wykroczyły poza trzymanie się za ręce, a życie z Pawłem stawało się coraz bardziej nieznośne. A co będzie, jeśli zacznie mnie śledzić, nakryje na rozdawaniu ulotek z Arturem i wyzwie go na pojedynek albo zrobi coś równie okropnego? Kocham jednak Artura, a nie Pawła – zdecydowałam. Podjęłam drastyczne kroki.

Odczekałam, aż Paweł wyjdzie do banku. Następnie spakowałam cały swój dobytek, łącznie z maszyną do pisania i niedokończonym maszynopisem *Ucieczki od miłości,* i nabazgrałam do niego list. Chciałam powiedzieć: „Kochanie, tak będzie lepiej", ale uznałam to za mało dramatyczne i zamiast tego napisałam: „Wiem, że nie jesteś ze mną szczęśliwy, tak dalej być nie może. Widocznie nie było nam sądzone". Nie przypuszczałam, żeby mógł mnie wytropić, ani nawet że będzie próbował. W każdym razie wiedziałam, że jest bardzo wrażliwy na punkcie honoru. A może pewnego wieczoru wyrośnie jak spod ziemi w bramie tamtego domu z jakąś groteskową bronią – nożem do papieru albo brzytwą? Nie widziałam go z rewolwerem: rewolwer był za nowoczesny. Bojąc się, że mnie opuści odwaga, wsadziłam cały bagaż do taksówki i wyładowałam u Artura na progu. Wiedziałam, że go zastanę; sprawdziłam to poprzedniego dnia.

– Wyrzucili mnie – poinformowałam go.

Zamrugał.

– Tak po prostu? – zapytał. – Ależ to bezprawie.

– Ale to fakt – powiedziałam. – Z powodu moich poglądów politycznych. Gospodarz znalazł kilka tych ulotek... A to facet o skrajnie prawicowych poglądach, rozumiesz. Wybuchła straszna awantura.

(Przedstawiłam jedną z możliwych wersji prawdy, jak ją sobie wyobrażałam. Paweł był w pewnym sensie gospodarzem i miał prawicowe poglądy. Ja zaś byłam oszustką i tak też się czułam).

– No cóż – powiedział Artur. – W tej sytuacji... – Byłam uchodźcą politycznym. Zaprosił mnie do środka, żebyśmy się mogli zastanowić, co mam dalej robić, i nawet pomógł mi wnieść bagaż na górę.

– Jestem bez pieniędzy – oznajmiłam nad filiżanką herbaty, którą sobie zrobiłam w brudnej kuchni. Artur też nie miał pieniędzy. Ani żaden z jego współlokatorów, to nie ulegało wątpliwości. – I nikogo nie znam w Londynie.

– Możesz spać na tej kanapie, dopóki nie znajdziesz sobie pracy – zaproponował. Bo i cóż miał zrobić? Oboje spojrzeliśmy na kanapę, która była stara, cała w góry i doły, a z jej zmaltretowanego boku wyłaziła trawa morska.

Na kanapie spałam dwie noce, potem zaczęłam sypiać z Arturem. Kochaliśmy się nawet. Znając jego temperament polityczny, oczekiwałam z jego strony namiętnej gry miłosnej, ale pierwsze parę razy odbyło się znacznie szybciej, niż byłam przyzwyczajona.

– Artur – spytałam nietaktownie. – Czy kiedykolwiek przedtem spałeś z kobietą?

Zaległa cisza. Czułam, jak tężeją mu mięśnie szyi.

– No jasne, że spałem – odpowiedział chłodno. Był to jedyny przypadek, kiedy mi w sposób bezpośredni i świadomy skłamał.

Gdy już się zainstalowałam u niego w domu i miał mnie pod ręką, zaczął zwracać na mnie większą uwagę. Stał się nawet na swój sposób czuły – na przykład czesał mi włosy, niezręcznie, ale

bardzo starannie, to znów podchodził do mnie od tyłu i ni z tego, ni z owego ściskał mnie jak pluszowego misia. Byłam w siódmym niebie i miałam na oczach różowe okulary: wreszcie zjawił się właściwy mężczyzna, do tego jeszcze oddany sprawie, której sama mogłabym się poświęcić. Moje życie nabrało znaczenia.

Ta sytuacja miała jednak pewne niedogodności – wszędzie było pełno zarówno Hindusa, jak i Nowozelandczyka. Rano na przykład otwierali nasze drzwi, żeby pożyczyć od Artura pieniądze, przy czym Nowozelandczyk pożądliwie łypał okiem, a Hindus, gdy tylko odkrył, że ze sobą sypiamy, spoglądał na nas z dezaprobatą ascety. To znów Nowozelandczyk siadywał na kanapie, słuchając swego tranzystora i mrucząc pod nosem jakieś obliczenia, podczas gdy Hindus kąpał się, rozrzucając po podłodze mokre ręczniki; mawiał, że nikt, kto nie został wychowany w systemie klasowym tak jak on, nie zrozumie jego zła – a jednocześnie osobę, która te ręczniki podnosiła, traktował jak służbę. Obu ich drażniła moja obecność, czy może raczej coś, co uważali za szczęście Artura. Sam Artur nie był świadom ani ich rozdrażnienia, ani swojego szczęścia.

Inna niedogodność polegała na tym, że nie miałam ani czasu, ani miejsca, żeby popracować nad *Ucieczką od miłości.* Kiedy Artur wychodził, chciał, żebym szła razem z nim, a jeśli przypadkiem udało mi się tego uniknąć, to był na miejscu któryś z tamtych dwóch. Maszynopis trzymałam w zamkniętej walizce, ponieważ podejrzewałam Nowozelandczyka o to, że podczas naszej nieobecności myszkuje w naszym pokoju. Pewnego razu po powrocie do domu stwierdziłam, że Hindus zastawił moją maszynę do pisania. Obiecał zwrócić mi później pieniądze, ale od

tej pory żałowałam mu każdego ziarnka brunatnego ryżu. Nie miałam tyle pieniędzy, żeby samej wykupić maszynę z lombardu, a liczyłam na co najmniej dwieście funtów za skończoną powieść. Z każdym dniem ogarniała mnie coraz większa, choć starannie skrywana rozpacz. Artur nie zdawał sobie sprawy z mojego problemu – zastanawiał się, dlaczego do tej pory nie podjęłam pracy jako kelnerka. W fikcyjną przeszłość bowiem, którą wymyśliłam na jego użytek, wplotłam kilka prawdziwych faktów i powiedziałam, że kiedyś byłam kelnerką. Powiedziałam mu też, że występowałam jako klakierka, i śmialiśmy się razem z mojej chybionej politycznie przeszłości.

Po trzech tygodniach mieszkania z nimi byłam bliska załamania. Mimo to pewnego dnia poświęciłam kilka bezcennych szylingów na jakąś resztkę materiału w czerwono-pomarańczowe kwiatki, z którego postanowiłam zrobić zasłonki do łazienki. Pomyślałam sobie, że z tymi zasłonkami łazienka przestanie być taka lodowata i przepastna. Zamierzałam uszyć je sama, ręcznie. Jeszcze nigdy w życiu niczego nie uszyłam. Nucąc, weszłam na schody i otworzyłam drzwi.

Na środku saloniku stała moja matka.

---

[*] Bohater poematu angielskiego poety S.T. Coleridge'a (1772–1834) *Pieśń o Starym Żeglarzu* (przyp. tłum.).

17

W jaki sposób mnie znalazła?

Stała wyprostowana na dywaniku koloru gliny, w swoim granatowym kostiumie z białym kołnierzykiem, a jej białe rękawiczki, kapelusz i pantofle były nieskazitelne; pod pachą ściskała torebkę. Miała makijaż, ale poprzez narysowane szminką większe usta przebijał kształt jej własnych. Nagle zobaczyłam, że płacze, bezdźwięcznie, przeraźliwie, i że tusz spływa jej po twarzy czarnymi strugami.

Przez jej plecy prześwitywała rozwalająca się kanapa – miałam wrażenie, że to z matki wyłazi trawa morska. Włos mi się zjeżył na karku, rzuciłam się z powrotem do drzwi, zamknęłam je za sobą i przywarłam do nich. Przypomniały mi się słowa Ledy Sprott – to z pewnością ciało astralne matki. Dlaczego nie trzyma go w domu, tam gdzie jego miejsce? Wyobraziłam sobie matkę lecącą nad Oceanem Atlantyckim i tę jej gumkę, która robi się coraz cieńsza, w miarę jak matka się oddala; niech lepiej uważa, bo gumka może pęknąć i wtedy matka na zawsze zostanie ze mną, czając się po kątach w saloniku, ulotna jak koty z kurzu czy jej własny przezroczysty slajd zrobiony w 1949 roku. Czego ona ode mnie chce? Dlaczego nie zostawi mnie w spokoju?

Znów otworzyłam drzwi, żeby spojrzeć jej w oczy i ostatecznie wyjaśnić sprawę, lecz zdążyła już zniknąć.

Natychmiast przemeblowałam mieszkanie, co nie przyszło mi łatwo, ponieważ sprzęty były stare i ciężkie. A potem szłam od pokoju do pokoju, poszukując otwartych okien, ale żadnego nie znalazłam. Jak ona mogła się tu dostać?

Nie powiedziałam moim współlokatorom o tej wizycie. Byli trochę niezadowoleni z przemeblowania – choć nie dlatego, żeby im zależało, po prostu uważali, że powinnam się była z nimi porozumieć.

– Chciałam wam oszczędzić kłopotu – powiedziałam. – Uważam, że tak jest lepiej. – Położyli to na karb moich gospodarskich instynktów i zapomnieli o incydencie.

Ale ja nie zapomniałam: jeżeli moja matka raz zdołała przerzucić swoje ciało astralne przez Atlantyk, to gotowa to powtórzyć, a ja nie miałam ochoty na jej następną wizytę. Nie byłam przekonana, że przemeblowanie okaże się skuteczne jako sposób na jej odstraszenie. Leda Sprott stosowała tę metodę w przypadku duchów nieprzyjaznych, ale moja matka nie była duchem.

Pięć dni później dostałam telegram. Czekał na mnie w Domu Kanadyjskim od czterech dni. Moja poczta w dalszym ciągu przychodziła na ten adres, używałam go także jako adresu zwrotnego, wysyłając nieliczne kartki do ojca – na wypadek gdyby matce kiedykolwiek przyszło do głowy mnie tropić. Pojawiałam się tam niezbyt często, ponieważ całą moją korespondencję przychodzącą stanowiły sporadyczne pocztówki od ojca, przedstawiające niezmiennie Toronto w nocy, widok z Centre

Island – musiał kupić od razu kilka tuzinów – i opatrzone tekstem: „Wszystko tu u nas w porządku", jakby to był raport.

Telegram brzmiał: „Matka zmarła wczoraj. Wracaj. Ojciec".

Przeczytałam go trzy razy. Najpierw pomyślałam, że to pułapka: matka sama wysłała telegram, biorąc adres z jednej z moich pocztówek, którą ojciec przez zapomnienie zostawił na wierzchu; chce mnie zwabić, żebym była w zasięgu jej ciosu. Ale w takim razie napisałaby: „Ojciec zmarł wczoraj". A może pomyślała, że nie będę chciała wracać, póki ona żyje, i wysłała fałszywy sygnał „droga wolna".

A jeśli rzeczywiście umarła? I pojawiła się wtedy w saloniku, aby mnie o tym zawiadomić? Bynajmniej nie chciałam, żeby to była prawda, ale czułam, że jest. Będę musiała wracać.

Kiedy weszłam do mieszkania, hinduski radykał siedział właśnie po turecku na podłodze i tłumaczył rozpartemu na kanapie Arturowi, że zbyt częste stosunki seksualne osłabiają jego ducha, a co za tym idzie i umysł, i że stanie się politycznie bezużyteczny. Należy wciągać – powiedział – nasienie stosem pacierzowym do przysadki mózgowej. Posłużył się przykładem Gandhiego. Słuchałam tej rozmowy jakiś czas przez uchylone drzwi (do dziś zachowałam zwyczaj podsłuchiwania pod drzwiami), ale ponieważ nie słyszałam, co odpowiadał Artur, o ile w ogóle cokolwiek odpowiadał, weszłam.

– Artur – powiedziałam. – Muszę wracać do Kanady. Umarła moja matka.

– Skoro już nie żyje – spytał – to po co masz wracać? Już nic nie poradzisz.

Miał rację, ale musiałam się przekonać, czy ona rzeczywiście nie żyje. Nawet gdybym zamówiła rozmowę telefoniczną z ojcem, to i tak bym nie miała pewności. Musiałam ją zobaczyć.

– Nie umiem tego wyjaśnić – odparłam. – To sprawa rodzinna. Po prostu muszę wracać.

Wtedy uświadomiliśmy sobie oboje, że nie mam pieniędzy. Dlaczego ojciec mi nic nie przysłał? Widocznie uznał, że jestem samodzielna i finansowo niezależna; zawsze uważał mnie za rozsądną dziewczynę, której niczego nie brakuje. Ale matka wiedziałaby swoje.

– Muszę coś wymyślić – powiedziałam. Usiadłam na kanapie, gryząc palce. Moja maszyna do pisania była w lombardzie. *Ucieczka od miłości* leżała w walizce nietknięta, odkąd wprowadziłam się do Artura, gotowa tylko w połowie. Nie miałam nawet pieniędzy na papier, żeby ją skończyć. Mogłam poprosić ojca, ale byłaby to ostateczność, a poza tym miałam tutaj konto na nazwisko Louisa K. Delacourt. Byłoby trudno to ojcu wytłumaczyć, zwłaszcza w telegramie. Mogłabym urazić jego uczucia.

Wrzuciłam rękopis do torby.

– Idę do biblioteki – oznajmiłam. Przed wyjściem zwinęłam jeszcze Nowozelandczykowi jeden z jego tanich żółtych notatników i długopis. Nie ma co pożyczać – byłoby całe śledztwo.

Następne dwa dni przesiedziałam w czytelni, pracowicie zapisując kartki drukowanymi literami i udając, że nie słyszę szelestów, skrzypienia, westchnień i kaszlu innych. Samantha Deane zostaje nagle porwana ze swojej sypialni w domu poczciwego miłośnika rybek, zagrożona gwałtem ze strony

cieszącego się złą sławą hrabiego Darcy, wuja bohatera, ocalona przez samego bohatera, ponownie uprowadzona przez agentów urodziwej, złej hrabiny Piemontu, zazdrosnej i pięknej pół-Włoszki, która niegdyś była kochanką bohatera. Biedna Samantha, którą miotają po całym Londynie jak workiem kartofli, ląduje na koniec w ramionach bohatera, podczas gdy jego żona, słaba na umyśle lady Leticia, umiera na żółtą febrę, hrabina, obecnie już zupełnie niepoczytalna, spada z parapetu podczas burzy, zabijając się na miejscu, a hrabia Darcy zostaje całkowicie zrujnowany finansowo przez krach na giełdzie. Była to jedna z najkrótszych książek, jakie kiedykolwiek napisałam. W wartko toczącej się akcji zdarzenie, jak głosiła obwoluta, goniło zdarzenie aż do zaskakującej pointy. Egzemplarz książki wpadł mi w ręce w Toronto – okładka przedstawiała Samanthę, uroczą w błękitach, z włosami falującymi niby wodorosty na tle ogromnej chmury, a w głębi wznosił złowrogo swoje wieże zamek De Vere.

Za tę książkę zapłacono mi mniej niż zwykle – częściowo z powodu skromnej objętości („Columbine" płaciło od słowa), a częściowo dlatego, że łobuzy wiedziały, iż potrzebuję pieniędzy. „Zakończeniu brak jak gdyby rozwiązania" – napisali mi w liście. W każdym razie wystarczyło na bilet lotniczy w jedną stronę.

Matka rzeczywiście nie żyła. Do tego spóźniłam się na pogrzeb. Nie pomyślałam, żeby zadzwonić z lotniska, więc wchodząc na stopnie domu w Toronto, nie wiedziałam, czy kogokolwiek zastanę.

Był wieczór i w mieszkaniu paliły się światła. Zapukałam, a ponieważ nikt mi nie odpowiedział, nacisnęłam klamkę. Drzwi ustąpiły i weszłam. Natychmiast poznałam, że nie żyje, ponieważ jedne meble były w plastikowych pokrowcach, inne nie. Matka nigdy by czegoś podobnego nie tolerowała. Dla niej albo wszystkie były w pokrowcach, albo bez: salon miał dwa odrębne oblicza zależnie od tego, czy przyjmowała gości, czy nie. W odkrytych fotelach było coś nieprzyzwoitego, jak w rozpiętym rozporku.

Ojciec siedział w fotelu, w butach. Była to następna poszlaka. Czytał jakąś książkę w broszurowym wydaniu, ale nieuważnie, jakby już nie musiał pogrążać się w lekturze. Dostrzegłam to na moment przedtem, nim mnie zauważył.

– Matka nie żyje – powiedział. – Siadaj. Musisz być zmęczona po podróży.

Twarz miał bardziej pobrużdżoną, ale również jakby bardziej wyrazistą. Dawniej ta twarz wydawała mi się płaska niczym moneta, a nawet moneta przejechana przez pociąg, jakby rysy zostały z niej wymazane, choć niezupełnie, po prostu zatarte, niewyraźne, jak gdyby oglądane przez kilka warstw gazy. Teraz twarz ojca zaczęła się wyłaniać, oczy stały się jasnoniebieskie, mądre – nigdy nie myślałam o nim jako o człowieku mądrym – usta wąskie, trochę lekkomyślne, usta hazardzisty. Dlaczego nigdy przedtem tego nie zauważyłam?

Powiedział, że pewnego dnia po powrocie ze szpitala znalazł matkę leżącą u stóp schodów do piwnicy. Na skroni miała siniaka i dziwnie wykręconą szyję – skręcony kark, jak poznał niemal natychmiast. Wyłącznie dla formalności wezwał karetkę pogotowia, chociaż wiedział, że matka nie żyje. Miała na sobie

szlafrok i różowe klapki. Musiała się potknąć, uznał, i spaść ze schodów. Spadając, uderzała głową o stopnie, a na koniec skręciła sobie kark. Wspomniał, że ostatnio sporo popijała. Wynik dochodzenia brzmiał: śmierć na skutek wypadku. I nie mogło być inaczej, skoro nie stwierdzono niczyjej obecności w domu, jak również żeby cokolwiek zginęło. Była to najdłuższa rozmowa, jaką kiedykolwiek odbyłam z ojcem.

Ogarnęło mnie poczucie winy z wielu względów. Opuściłam ją, porzuciłam – wiedząc przecież, że jest nieszczęśliwa. Nie uwierzyłam w autentyczność telegramu, podejrzewając zasadzkę, i nie zdążyłam nawet na pogrzeb. Zatrzasnęłam między nami drzwi dokładnie w chwili jej śmierci, chwili trudnej do ustalenia, ponieważ kiedy ojciec wrócił do domu, musiała już nie żyć co najmniej od pięciu czy sześciu godzin. Czułam się tak, jakbym to ja ją zabiła, chociaż było to niemożliwe.

Tego wieczoru poszłam do lodówki, jej lodówki, i obżarłam się tym, co tam znalazłam. We frenetycznym pośpiechu i zupełnie bez przyjemności zjadłam pół kurczaka, ćwierć funta masła, kupną struclę z kremem bananowym, dwa bochenki chleba i słoik dżemu z szafki. Cały czas czekałam, że zjawi się w drzwiach, z tą swoją pełną niesmaku, ale w gruncie rzeczy zadowoloną miną, którą tak dobrze pamiętałam – lubiła mnie złapać na gorącym uczynku – lecz pomimo całego tego rytuału, który tak wiele razy okazał się skuteczny, nie zjawiła się. W nocy wymiotowałam dwa razy i uznałam, że na tym koniec.

Moje podejrzenia obudziły się nazajutrz, przy śniadaniu, kiedy ojciec, patrząc na mnie swoim nowym, sprytnym wzrokiem, powiedział, jakby to wcześniej przećwiczył:

– Może mi nie uwierzysz, ale ja naprawdę kochałem twoją matkę.

Istotnie trudno mi było w to uwierzyć. Wiedziałam o pojedynczych łóżkach, o wzajemnych oskarżeniach, wiedziałam, że w pojęciu matki ani ja, ani ojciec nie daliśmy jej satysfakcji, na którą zasługiwała. Mawiała, że nikt jej nie docenia, a to nie był przejaw paranoi. Bo rzeczywiście nikt jej nie doceniał, mimo że robiła to, co do niej należało, poświęciła nam całe swoje życie, na ołtarzu rodziny złożyła swoją karierę, tak jak jej mówiono, że należy postąpić, i co otrzymała w zamian? Nas: córkę – ponurą, tłustą niezgułę, i mrukliwego męża, który nie chciał wracać do Rosedale, kolebki przyzwoitych anglosaskich pieniędzy, skąd pochodziła jego rodzina – czyżby się matki wstydził? Odpowiedź najprawdopodobniej brzmiała: tak, chociaż podczas tych rozmów ojciec albo się nie odzywał, albo twierdził, że nie lubi Rosedale. Matka zarzucała mu wtedy, że jej nie kocha, a ja jej wierzyłam.

Jeszcze dziwniejsza wydała mi się jego potrzeba zapewnienia mnie, jakoby kochał matkę. Chciał mnie przekonać, to jasne, ale jasne było również, że wcale nie pragnął mego powrotu z Anglii. Zdążył już oddać ubrania matki Niepełnosprawnym Cywilom, zadeptać cały dywan i spiętrzyć w zlewozmywaku brudne naczynia co najmniej z trzech dni – systematycznie gwałcił wszystkie reguły. Następnego dnia powiedział coś jeszcze bardziej podejrzanego: „Bez niej to już nie to samo” – wzdychając i spoglądając przy tym na mnie. Jego oczy błagały, żebym uwierzyła, weszła z nim w zmowę, trzymała buzię na kłódkę. Nagle stanął mi przed oczami mój ojciec, jak wymyka się ze szpitala, w swojej białej masce, tak żeby nikt go nie poznał, jedzie

do domu, otwiera kluczem drzwi, zdejmuje buty, wkłada kapcie i podkrada się do niej z tyłu. Jest lekarzem, był w ruchu oporu, zabijał już ludzi, wiedział, jak jej skręcić kark, żeby to wyglądało na wypadek. Mimo zmarszczek na twarzy i westchnień był rad z siebie jak człowiek, któremu się udało.

Na próżno powtarzałam sobie, że on by nigdy czegoś takiego nie zrobił. Każdy jest zdolny do wszystkiego – to tylko sprawa okoliczności. Zaczęłam się doszukiwać motywu: inna kobieta, inny mężczyzna, polisa ubezpieczeniowa, jakiś jednorazowy ogromny wybuch urazy. Obejrzałam kołnierzyki koszul ojca w poszukiwaniu śladów szminki, przerzuciłam papiery o wyglądzie oficjalnych dokumentów w szufladach komody, przyczajona na schodach podsłuchiwałam nieliczne telefony, jakie odbierał. Ale nic nie znalazłam, więc zarzuciłam dalsze dochodzenie znacznie szybciej, niżbym to zrobiła, gdybym była od początku przekonana o jego winie. Zresztą, jak miałabym się zachować, gdybym stwierdziła, że mój ojciec jest mordercą?

Przestawiłam się na rozmyślania o matce; mogłam sobie na to pozwolić teraz, kiedy jej nie było. Jaką krzywdę jej wyrządzono, co sprawiło, że mnie w ten sposób traktowała? Bardziej niż kiedykolwiek miałam ochotę zapytać ojca, czy była w ciąży, zanim się pobrali. I kto to był ten młody człowiek w jej albumie z fotografiami – w białych flanelowych spodniach i z luksusowym samochodem, ten, o którym mówiła, że byli właściwie zaręczeni? Właściwie. Wyczuwałam w tym jakąś tragedię. Czy ją rzucił dlatego, że jej ojciec był zawiadowcą stacji? Czy mój ojciec to był ten drugi w kolejności, ten gorszy, mimo że małżeństwo z nim stanowiło dla niej awans?

Wyjęłam album z fotografiami, żeby odświeżyć sobie obraz w pamięci. Może w wyrazie twarzy tych ludzi znajdę jakąś wskazówkę? Ale na wszystkich zdjęciach twarz mężczyzny w białych spodniach była wycięta dokładnie, jakby żyletką. Ojciec też nie miał twarzy. Była tylko matka, młoda i ładna, roześmiana wesoło do obiektywu i trzymająca pod ręce swoich bezgłowych mężczyzn. Siedziałam jakąś godzinę z albumem rozłożonym przed sobą na stole, oniemiała wobec dowodów jej straszliwego gniewu. Widziałam niemal, jak to robi, jak swoimi długimi palcami operuje z pełną precyzji furią, wymazując przeszłość, która zamieniła się w teraźniejszość i zdradziła ją, osadzając w tym domu, grobowcu w plastikowej osłonie, z którego nie było wyjścia. Tak się musiała czuć. Przyszło mi nawet do głowy, że może to było samobójstwo, chociaż nigdy nie słyszałam, żeby ktoś odbierał sobie życie, rzucając się ze schodów do piwnicy. Ale to by tłumaczyło niepewność ojca, tę jego potrzebę uwiarygodnienia siebie, skwapliwość, z jaką pozbywał się jej rzeczy, które by mu przypominały o jego winie. Po raz pierwszy w życiu odczułam jako niesprawiedliwość to, że wszyscy lubili ciotkę Lou, a nikt tak naprawdę nie lubił mojej matki. Miała zbyt silną osobowość na to, żeby być lubianą.

Częściowo ja sama ją zawiodłam. Czyżbym popełniła błąd, ujmując własne życie w swoje ręce i wynosząc się z domu? A przedtem byłam tłustą, mongoloidalną kretynką, nieudanym gniotem, który ją kompromitował, kulą u nogi: matka nie była kimś, za kogo uchodziła. Miała córkę troglodytkę, chodzące zaprzeczenie jej aspiracji do statusu towarzyskiego, do elegancji. Ale mimo wszystko była moją matką i kiedyś musiała mnie

traktować jak dziecko, chociaż zachowałam w pamięci tylko nikłe przebłyski takich sytuacji – jak mnie na przykład podsadza do potrójnego lustra, czesząc mi włosy, albo przytula publicznie w towarzystwie innych matek.

Rozmyślałam o niej całymi dniami. Chciałam się dowiedzieć czegoś o jej życiu, ale również o jej śmierci. Co się tak naprawdę stało? Skoro umarła w szlafroku i różowych klapkach, to dlaczego pojawiła się u mnie w saloniku w granatowym kostiumie z 1949 roku? Postanowiłam odszukać Ledę Sprott i poprosić ją o indywidualną sesję.

Zajrzałam do książki telefonicznej, ale jej tam nie było. Ani Kaplicy Jordanu. Wsiadłam w tramwaj i pojechałam do tamtej dzielnicy. Chodząc po ulicach, znalazłam wreszcie ten dom – bez wątpienia, zapamiętałam stację benzynową na rogu. Ale mieszkała tam teraz portugalska rodzina, która nie umiała mi nic powiedzieć. Leda Sprott i garstka jej spirytystów zniknęli jak kamfora.

Zostałam z ojcem przez dziewięć dni, patrząc, jak dom matki się rozpada. Jej szafy i komody były puste, jej pojedyncze łóżko zasłane, lecz nieużywane. Na trawniku pojawiły się mlecze, w wannie brudny osad, na podłodze okruchy. Ojca może nawet nie złościła moja obecność, ale nie zachęcał mnie do zostania. Całe życie byliśmy w milczącej zmowie i teraz, kiedy znikła potrzeba konspiracji, nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. Myślałam zawsze, że to matka nas dzieliła i że gdyby nie ona, żylibyśmy sobie szczęśliwie jak Nancy Drew i jej wyrozumiały tata prawnik, ale się myliłam. W gruncie rzeczy matka jednoczyła nas jak publiczne zagrożenie, jak atak lotniczy.

Wreszcie wynajęłam pokój na Charles Street. Nie było mnie właściwie na to stać, ale ojciec powiedział, że zamierza sprzedać dom i przenieść się do mieszkania z jedną sypialnią przy Avenue Road. (W końcu ożenił się po raz drugi, z sympatyczną sekretarką, którą poznał po śmierci matki. Przeprowadzili się do domku w Don Mills).

Przez jakiś czas nie mogłam pisać. Stare wątki przestały mnie interesować, a nowy byłby niewystarczający. Owszem, próbowałam – zaczęłam nawet powieść pod tytułem *Burza nad Castleford* – ale bohater przez cały czas grał w bilard, a bohaterka siedziała nocami samotna na brzegu łóżka, niczego nie robiąc. Nigdy chyba nie byłam bliższa realizmu społecznego.

Myśl o Arturze pogłębiała tylko moją depresję. Nie powinnam była wyjeżdżać, pomyślałam. Wymieniliśmy wprawdzie pożegnalne pocałunki na lotnisku – prawdę mówiąc, niezupełnie na lotnisku, Artur odprowadził mnie na terminal BOAC – i zapewniłam go, że wrócę najprędzej, jak tylko będę mogła. Pisałam do niego regularnie co tydzień, wyjaśniając, że jeszcze nie mogę wrócić, ponieważ nie mam pieniędzy. Początkowo mi odpisywał – dziwne listy, pełne wieści na temat jego działalności ulotkowej, podpisane „szczerze oddany". (Ja swoje podpisywałam: „Kocham, tysiąc całusów"). Ale potem zaległa cisza. Bałam się pomyśleć, co się stało. Może pojawiła się inna kobieta, jakiś ulotkowy wamp? A może po prostu o mnie zapomniał? Ale jak mógł, skoro zostawiłam u niego większość swego dobytku?

Znalazłam pracę w dziale kosmetycznym u Eatona, robiąc pokazy makijażu i sprzedając tusz. Ponieważ jednak płakałam po nocach i miałam zapuchnięte oczy, przenieśli mnie do peruk. I to nawet nie do tych prawdziwych, tylko do sztucznych. Nie była to szczególnie interesująca praca, a nieustanną pogoń klientek za młodością i urodą uznałam za przygnębiającą. Od czasu do czasu, kiedy nikt nie patrzył, sama mierzyłam peruki, głównie siwe. Chciałam zobaczyć, jak będę wyglądała w starszym wieku.
A stara będę wkrótce, uznałam, i nic mnie już nie czeka, ponieważ nie interesuje mnie nic i nikt. Zostałam porzucona, co do tego nie miałam już wątpliwości. Czułam się nieszczęśliwa.

18

Byłam na wygnaniu, siedziałam na krawężniku w Rzymie na własnej maszynie do pisania Olivetti i płakałam. Przechodnie zatrzymywali się, czasem ktoś do mnie zagadał. Chciałam, żeby Artur do mnie wrócił, chciałam, żeby był tutaj ze mną. Jeśli mu wszystko wyjaśnię, to jak może się na mnie złościć? Fatalnie rozegrałam swoje sprawy...

Wstałam, otarłam twarz rogiem chustki i rozejrzałam się za kioskiem z gazetami. Kupiłam pierwszą lepszą kartę pocztową i napisałam na odwrocie: „Nie umarłam, po prostu musiałam wyjechać. Przyjeżdżaj zaraz". Nie podpisałam się imieniem ani nie podałam adresu: już on będzie wiedział, od kogo karta i gdzie mnie szukać.

Po wysłaniu kartki poczułam się znacznie lepiej. Jakoś to będzie; zaraz po otrzymaniu wiadomości Artur przyleci przez ocean, ucałujemy się, ja mu wszystko powiem, on mi przebaczy, ja mu przebaczę i zaczniemy od nowa. Zrozumie, że nie mogę wrócić na tamtą stronę, więc zmieni nazwisko. Razem zakopiemy jego ubranie i kupimy nowe, gdy tylko sprzedam *Podchody miłosne*. Zapuści brodę albo wąsy – wytworne, spiczaste, a nie

bezkształtny kołtun podobny do zaniedbanego zarostu pod pachą, może nawet ufarbuje włosy.

Przypomniałam sobie o farbie do włosów. Znalazłam odpowiednik drogerii i zaczęłam przebierać w płukankach, szamponach koloryzujących i farbach. W końcu zdecydowałam się na Carissimę Lady Janine – miękki, lśniący kasztan, dojrzały, opromieniony blaskiem słońca i mieniący się błyskami. Lubiłam, żeby na opakowaniu kosmetyków, które kupowałam, było dużo przymiotników, inaczej czułam się oszukana.

Dla uczczenia narodzin mojej nowej osobowości (dziewczyny rozsądnej, dyskretnej, ciepłej, uczciwej, pewnej siebie i ustatkowanej, o łagodnych zielonych oczach i lśniących kasztanowatych włosach) kupiłam sobie *fotoromanzo* i usiadłam w kawiarni na świeżym powietrzu, żeby poczytać i zjeść *gelato*.

Gdyby tu był Artur, pomagałby mi w czytaniu *fotoromanzo*. W ten sposób ćwiczyliśmy się we włoskim: głośno czytaliśmy sobie nawzajem teksty z kwadratowych dymków w komiksach, sprawdzając trudne słowa w kieszonkowym słowniku i domyślając się znaczeń z czarno-białych fotografii. Artur uważał to za lekko poniżające, ja za fascynujące. Historyjki pełne były żarliwej namiętności, ale mężczyźni i kobiety nigdy nie występowali w nich z otwartymi ustami, byli sztywni jak manekiny, a głowy siedziały im na karkach równo jak kapelusze. Rozumiałam tę konwencję, ten sztafaż. Włochy bardziej przypominały Kanadę, niż mi się na początku wydawało. Z całym tym wrzaskiem przy zamkniętych ustach.

W historyjce, którą właśnie czytałam, matka po kryjomu żyła z narzeczonym córki, *fidanzato*. „Kocham cię – mówiła z gipsową

twarzą. – *Ti amo”.* Była w negliżu. „Nie rozpaczaj” – odpowiadał kochanek, łapiąc ją za ramiona. Nigdy nie mówili nic takiego, co mogłoby mi się przydać, w rodzaju: „Po ile są pomidory?”.
W następnym kwadraciku negliż zsuwał się kobiecie z ramienia.

Nagle wyrósł nade mną jakiś cień. Drgnęłam i spojrzałam w górę. Ale był to tylko nieznajomy – białe zęby, garnitur jak spod igły, nylonowy różowo-zielony krawat. Wiedziałam, że samotne kobiety nie powinny przesiadywać w barach, ale ja nie siedziałam w barze, tylko w kawiarni, a poza tym był biały dzień. Może to *fotoromanzo* zwróciło uwagę mężczyzny. Zamknęłam komiks, lecz on już zdążył usiąść przy moim stoliku.

– *Scusi, signora.* – Zadał mi jakieś pytanie; nie miałam pojęcia, o co mu chodzi. Uśmiechnęłam się słabo i odpowiedziałam:

– *Inglese, no parlo italiano* – co tylko pogłębiło jego uśmiech.

W jego oczach widziałam, jak spada z nas ubranie, a my sami osuwamy się na podłogę, biały stolik ze szklanym blatem się przewraca – dokoła pełno potłuczonego szkła. Proszę się nie ruszać, *signora,* proszę nie ruszać nawet paluszkiem ze ślubną obrączką. Gdzie pani mąż? Bo się pani skaleczy i będzie dużo krwi. Proszę pozostać tu ze mną, na podłodze, i pozwolić, że przejadę językiem po pani brzuszku.

Wstałam, wzięłam torbę i dźwignęłam maszynę do pisania. Mężczyzna za barem szczerzył zęby w uśmiechu, kiedy płaciłam rachunek. Jak mogłam na to pozwolić – człowiekowi w takich spiczastych butach i różowo-zielonym nylonowym krawacie? Przypominał mi handlarza zieleniną na rynku, faceta z oczyma koloru winogron, który pieścił kosmate brzoskwinie i podrzucał lubieżnie grejpfruty, jakby to były piersi. Wsunęłam mu palce

w kręconą jak u barana czuprynę i popłynęliśmy razem na fali śliwek i mandarynek, opleceni winną latoroślą...

Artur, pomyślałam, obyś jak najprędzej dostał moją kartkę – zanim stanie się coś, czego wszyscy będziemy żałować.

Kiedy wróciłam do Terremoto, było wczesne popołudnie. Poszłam na pocztę, jak co dzień, mając nadzieję na jakieś wieści od Sama. Do tej pory nie było nic.

– Louisa Delacourt – powiedziałam jak zwykle, ale tym razem kobieta za kontuarem obróciła się całym ciałem, niczym woskowa wróżka na Wielkiej Wystawie Narodowej, która wyciągała za ciebie kartę, jeśli jej dałaś dziesięć centów. Przez otwór w okienku wystawiła rękę z niebieską kopertą lotniczą.

Na zewnątrz, poza zasięgiem wzroku snujących się policjantów, rozdarłam kopertę i przeczytałam jedyne słowo: *BETHUNE*. Była to zaszyfrowana wiadomość oznaczająca powodzenie.
W przypadku fiaska byłoby: *TRUDEAU*. Sam wierzył święcie, że policja czyta jego korespondencję – nie tylko przychodzącą, ale i wychodzącą. „W ten sposób załatwię kapusiów – powiedział. – Niech sobie łamią głowę, co to ma znaczyć".

Zgniotłam cienki niebieski list i wsadziłam go do torebki. Odczułam ulgę, teraz byłam naprawdę wolna; dochodzenie poszło dobrze, uwierzono w historyjki Sama i Marleny, miałam wypadek na łódce. Zostałam oficjalnie uznana za zmarłą, chociaż ciała nie znaleziono.

Charlotte piła herbatę z panią Ryerson, pulchną, sympatyczną gospodynią. Jak do tej pory była to w całym domu jedyna osoba, której Charlotte mogła zaufać. Na kominku

płonął ogień, promieniując ciepłem i rzucając różowe refleksy. Mimo to Charlotte nie czuła się zupełnie bezpieczna. Zastanawiała się, czy powinna powiedzieć pani Ryerson o swojej zniszczonej garderobie, ale zdecydowała, że nie, jeszcze nie teraz...

– Pani Ryerson – zagadnęła, smarując bułkę masłem. – Co to jest labirynt?

Przez twarz pani Ryerson przemknął cień.

– Jaki labirynt, panienko?

– Stangret Tom ostrzegał mnie, żebym się trzymała z daleka od labiryntu.

– I ja bym go na panienki miejscu posłuchała – powiedziała znacząco pani Ryerson. – To nie jest dobre miejsce, ten labirynt, szczególnie dla młodych dziewcząt.

– Ale co to takiego? – spytała Charlotte, zaintrygowana.

– To jeden z tych labiryntów, panienko, które zbudowali tutaj setki lat temu przodkowie naszego pana; za panowania dobrej królowej Bess to było, a przynajmniej tak powiadają. Pan nie chce o tym mówić, od czasu kiedy zaginęła tam pierwsza pani Redmond, a i druga też, i to w biały dzień. Niektórzy twierdzą, że to tańcuje tam ludek zaczarowany, a oni nie lubią intruzów, ale to tylko przesąd. Pierwsza pani Redmond też tak mówiła i weszła tam, żeby udowodnić, że to nic groźnego. Nigdy już stamtąd nie wyszła. Przeszukali później ten labirynt, ale nic nie znaleźli, jeśli nie liczyć jej rękawiczki, takiej białej, z koźlęcej skóry.

Charlotte nie posiadała się ze zdumienia.

– To znaczy... że była więcej niż jedna pani Redmond? – spytała.

Pani Ryerson skinęła głową.

– Ta jest trzecia – odparła. – Ta druga... Ach, jakie to było słodkie dziecko, tak ją dręczyła ciekawość, co się stało z tą pierwszą, że i ona tam poszła. Tym razem słyszeliśmy jej krzyki, ale kiedy tam weszli – stangret Tom i dwóch stajennych – już jej nie było. Wyparowała, że tak powiem. Ale tam wszystko zarosło ze szczętem, wie panienka.

Mimo woli Charlotte się wzdrygnęła.

– Ależ... Ależ to jest niezwykłe – wyszeptała. Z całej siły zapragnęła pójść do labiryntu, zobaczyć go choćby tylko od zewnątrz. Nie wierzyła w siły nadnaturalne.

– A co na to... obecna pani Redmond? – spytała.

– O ile wiem, nawet się do tego miejsca nie zbliża – odparła pani Ryerson. – Powiadają, że dlatego ludzie tam błądzą, bo labirynt nie ma środka; wchodzą, ale wyjść już nie mogą. Mówią też, że i pierwsza pani Redmond, i druga są tam do tej pory, że krążą po labiryncie. – Pani Ryerson obejrzała się przez ramię; mimo że w pokoju było ciepło, szczelniej otuliła się szalem.

Charlotte skończyła bułkę i starannie oblizała palce.

– To śmieszne – powiedziała. – Kto słyszał o labiryncie bez środka? – Ale z niepokojem pomyślała o wypadkach poprzedniej nocy. Będąc w sypialni, usłyszała odgłos... który dochodził z zewnątrz, z dołu, z tarasu... odgłos kroków... A następnie – nie, z pewnością się nie myliła: ktoś zawołał ją po imieniu. Przeszył ją lodowaty dreszcz strachu. Wstała i podeszła do okna. W dole, wyraźnie widoczna w niesamowitym blasku księżyca, który wyjrzał właśnie zza

delikatnego strzępka chmury, stała postać... owinięta ciemnym płaszczem, z niewidoczną twarzą.

Kiedy Charlotte tak patrzyła, postać odwróciła się i odeszła ukradkiem. Kto usiłuje wprowadzić ją w błąd? Złość i ciekawość zajęły miejsce strachu: ona to zgłębi. Szybko zbiegła tylnymi schodami, które, jak wiedziała, kończyły się bocznym wyjściem na taras.

Zdążyła jeszcze zobaczyć, jak postać niknie w ziejącej czeluści portalu na końcu wiodącej na taras ścieżki. Charlotte skwapliwie podążyła za nieznajomym. Zbiegła z kamiennych schodków. Przed nią roztaczał się trawnik z elżbietańskimi rabatami, a za nim... wejście do labiryntu. Owinięta płaszczem postać zanurkowała do wewnątrz i zniknęła: nie wiadomo skąd doszedł Charlotte tubalny śmiech. Znieruchomiała... Nagle zdjęła ją trwoga. Coś ją ciągnęło do labiryntu, nieodparcie, wbrew jej woli, a jednak wiedziała, że gdyby tam weszła, stałoby się z nią coś strasznego.

Poczuła na ramieniu czyjąś rękę; drgnęła i krzyknęła – patrzyła w ciemną, zagadkową twarz Redmonda.

– Czy nie za późno na spacer? – zapytał ironicznie. – Chyba że wybierała się pani na schadzkę... Pani strój nawet by na to wskazywał.

Charlotte oblała się rumieńcem. Uświadomiła sobie, że jest tylko w nocnej koszuli; pod śnieżnym okryciem jej pierś niespokojnie falowała.

– Ja... Ja widocznie chodziłam we śnie – bąknęła zmieszana. – Nie pamiętam, żeby mi się to kiedykolwiek przedtem zdarzyło.

– Niebezpieczny zwyczaj – zauważył Redmond i wzmocnił uścisk na jej ramieniu, czując, że usiłuje mu się wyrwać – a za niebezpieczne zwyczaje się płaci. – Zbliżył twarz do jej twarzy, jego oczy zamigotały w blasku księżyca. – A teraz...

Siedziałam przy stole i pisałam na maszynie. Kiedy przerwałam, żeby się zastanowić, jak tym razem poradzi sobie Charlotte (nie miała pod ręką książek, kandelabrów czy pogrzebaczy, którymi mogłaby zadać cios; a może by tak błyskawicznie kolanem w krocze? Ale takie rzeczy nie mieściły się w konwencji moich książek, musi im ktoś przeszkodzić), dobiegł mnie jakiś odgłos.

Ktoś szedł ścieżką. Słyszałam, jak skrada się w moją stronę. But pośliznął się na żwirze, kroki ucichły.

– Artur? – powiedziałam cicho. Ale to nie był Artur. Nie mógł przyjechać tak szybko. Miałam ochotę krzyknąć, rzucić się do łazienki i zamknąć za sobą drzwi. Mogłabym się przecisnąć przez małe okienko i pobiec w górę do samochodu – co zrobiłam z kluczykami? W mojej głowie tworzyły się i rozpadały wizerunki twarzy... Czego ode mnie chcą?

Uświadomiłam sobie, jak wyraźnie muszę być widoczna, oświetlona od tyłu, za tym dużym oknem. Zamarłam, nasłuchując, a następnie zgasiłam światło i przycupnęłam za stołem. Czyżby to pan Vitroni z jakichś niejasnych powodów wracał w środku nocy? A może to ktoś nieznajomy, jakiś mężczyzna, który słyszał, że mieszkam sama. Nie mogłam sobie przypomnieć, czy zamknęłam drzwi.

Przez dłuższy czas kuliłam się za stołem, nasłuchując odgłosu kroków – zbliżających się lub oddalających. Słyszałam owady, odległe brzęczenie, samochód podjeżdżający pod górę w stronę placu... ale nic poza tym.

Po jakimś czasie wstałam i wyjrzałam przez frontowe okno na balkon, potem przez okno kuchenne, wreszcie przez okno w łazience. Nic i nikogo.

To nerw, pomyślałam. Muszę się pilnować. Weszłam do łóżka, biorąc ze sobą na uspokojenie *fotoromanzo*. Mogłam je czytać prawie bez pomocy słownika, tyle tam było słów i zdań, które znałam: „Ja się ciebie nie boję. Nie ufam ci. Wiesz, że cię kocham. Musisz mi powiedzieć prawdę. Wyglądał tak dziwnie. Czy coś się stało? Nasza miłość nie może się spełnić. Będę twoja na zawsze. Boję się".

CZĘŚĆ
CZWARTA

19

– Ach, to tak! – wykrzyknęła Felicia, wpadając niespodziewanie. – To tak się zabawiasz za moimi plecami. Bardzo ładnie, Redmond. Myślałam, że masz więcej przyzwoitości.

Była w ciemnym płaszczu, zarzuconym niedbale na wytworny kostium z ogniście pomarańczowego jedwabiu, wykończony granatowym aksamitem. Ta jedna chwila upewniła Charlotte, że to Felicia wołała ją wtedy po imieniu, że to ona, błąkając się wśród nocy, usiłowała wywabić ją z domu. To wreszcie Felicia napisała krwią „Strzeż się" na jej pożółkłym, poszczerbionym ze starości lustrze w sypialni... Może to nawet była zmowa tych dwojga. Ale słowa Felicii dźwięczały szczerością, a jej zaskoczenie wydawało się autentyczne. Charlotte ogarnęły wątpliwości, kiedy tak na nich patrzyła.

– Najpierw była ta pokojówka z góry – szalała Felicia. – Potem dziewczyna, którą wynająłeś do reperacji oprawnych w skórę książek w bibliotece. Jeśli już koniecznie musisz się tak zachowywać, to przynajmniej mógłbyś mieć lepszy gust. Może chociaż przez wzgląd na mnie następnym razem wybrałbyś sobie kogoś z naszej sfery.

– O co mnie, pani, oskarżasz? – burknął Redmond.

Wbrew sobie samej Charlotte poczuła falę współczucia dla Redmonda. Naturalnie dlatego tak się zachowuje, bo jest nieszczęśliwy w małżeństwie. To jasne, że gdyby kochano go prawdziwie, miłością czystą i nieegoistyczną, bez zazdrosnej zaborczości Felicii, byłby innym człowiekiem. Ale natychmiast odsunęła od siebie tę myśl.

– O bezwstydne zachowanie wobec tej... tej...

– A czy mógłbym spytać, co ty tu robisz o tej porze, w nocy? – zapytał Redmond, którego głos zabrzmiał jak złowrogi pomruk.

Zanim Felicia zdążyła odpowiedzieć, Charlotte poczuła, że wzbiera w niej sprawiedliwy gniew.

– Nie zamierzam tu tkwić ani chwili dłużej. Możecie mi wierzyć albo nie, to już pozostawiam do waszego uznania.

Z tymi słowy odwróciła się na pięcie i pobiegła w stronę domu, powstrzymując łzy, które – wiedziała – i tak popłyną nieproszone, gdy tylko znajdzie się w zaciszu własnego pokoju. Czuła się upokorzona i poniżona. Za sobą słyszała śmiech Felicii, a być może i Redmonda. Nienawidziła obojga.

Kiedy biegła przez taras, jedna z kamiennych waz zdobiących balkon powyżej spadła i roztrzaskała się w drobny mak o balustradę, o włos od niej. Charlotte stłumiła krzyk, spojrzała w górę, w ciemność. Nie miała już teraz wątpliwości, że widzi umykającą postać w ciemnym płaszczu. Ktoś usiłował ją zabić...

Ustawiłam na stole maszynę do pisania. Owszem, praca szła mi nawet nie najgorzej, ale we włoskim alfabecie nie ma litery k, zastąpiłam ją iksem. Poza tym układ czcionek był inny, co

znaczyło, że muszę pisać z otwartymi oczami. Wszystko razem było uciążliwe i przypominało rozszyfrowywanie jakiegoś dziwnego marsjańskiego kodu. Zaczęłam ręcznie wpisywać k, zastanawiając się, co znaczy na przykład „xolia". Przyjrzałam się bliżej: jakieś azteckie słowo czy też pierwszy przypadek liczby mnogiej łacińskiego rzeczownika o końcówce „-um" w rodzaju nijakim.

Artur z pewnością by wiedział. Był dobry w rozwiązywaniu krzyżówek. Ale Artura nie było.

Artur, pomyślałam ze łzami w oczach, gdzie jesteś? Dlaczego mnie nie szukasz? W każdej chwili mógł się zjawić nieoczekiwanie. Już kiedyś tak się zdarzyło.

Przyszedł wieczorem, w ulewny deszcz. Gospodyni zastukała do moich drzwi.

– Panno Delacourt – powiedziała. – Jest dziesiąta. A pani wie, że po siódmej już gości nie przyjmujemy. – Leżałam na łóżku, gapiąc się w sufit.

– Ależ ja nie mam żadnych gości. – Otworzyłam szerzej drzwi na potwierdzenie swoich słów. Nigdy nie miałam.

– Na dole jest ktoś do pani – oznajmiła. – Powiedziałam mu, żeby nie wchodził na górę. Mówi, że nazywa się Artur jakiś tam. – Z tymi słowy odwróciła się i poczłapała korytarzem, w swoim kimonie i kapciach.

Zbiegłam frontowymi schodami, trzymając się poręczy. Niemożliwe, żeby to był Artur, spisałam go na straty. Jego ostatni list nosił datę ósmego września, teraz był listopad. A jeśli to jakimś cudem rzeczywiście Artur i gospodyni go odesłała...

Otworzyłam na oścież frontowe drzwi, gotowa gonić go po ulicy. Właśnie odwracał się, żeby zejść ze schodów.

– Artur! – wrzasnęłam, obejmując go od tyłu. Miał na sobie żółty plastikowy płaszcz od deszczu, z podniesionym kołnierzem, głowę zimną, ociekającą wodą. Przez chwilę szamotaliśmy się na krawędzi najwyższego stopnia, zanim go puściłam i mógł się wreszcie do mnie odwrócić.

– Gdzieś ty się, do diabła, podziewała? – zapytał.

Nie mogłam go zaprosić do środka, ponieważ gospodyni cały czas podglądała nas zza rogu korytarza na górze, wzięłam więc parasolkę i wyszłam z nim w noc. Wypiliśmy kawę rozpuszczalną w jakimś nocnym barze i zaczęliśmy rozsupływać naszą przeszłość.

– Dlaczego nie pisałeś? – spytałam.

– Pisałem, ale listy wracały. – Wysyłał listy na adres mojego ojca, który już tam oczywiście nie mieszkał.

– Przecież wysłałam ci swój nowy adres – powiedziałam – gdy tylko się przeprowadziłam. Nie dostałeś go?

– Ja tu jestem od połowy września – odparł. – Slocum miał mi przesyłać moją pocztę, ale do dziś nic nie przyszło.

Jakże niesprawiedliwie zwątpiłam w Artura. Byłam szczęśliwa. Uznałam, że powinniśmy jak najprędzej dokądś pójść i uczcić tę okazję, a zaraz potem – hop do łóżka.

– Cudownie, że jesteś – powiedziałam.

Artur nie widział w tym nic cudownego. Był wyraźnie przygnębiony, wszystko mu opadło: kąciki ust, ramiona.

– Co się stało? – spytałam.

Wyjaśnił mi po jakimś czasie. Ruch właściwie przestał istnieć. Z jego niejasnych aluzji nie mogłam się zorientować, czy został zniszczony przez siły zewnętrzne, czy na skutek infiltracji rozsadzony od wewnątrz, czy też po prostu rozpadł się z powodu ogólnie złego morale i niesnasek we własnym łonie. Obojętne, jakie były tego przyczyny, coś, w co Artur wierzył i czemu się poświęcał, załamało się, wprowadzając go w stan egzystencjalnego smutku. Jakiś czas trwał w odrętwieniu, a następnie w przystępie rozpaczy przyjął pieniądze od rodziców – musiało być z nim bardzo źle – i zgodził się wrócić na uniwersytet w Toronto. Miał pisać pracę o Kancie.

A zatem to nie tylko tęsknota przywiodła go do mnie przez ocean. Raczej bezwład i brak celu. Ale co tam, grunt, że był, zresztą i tak zadał sobie niemały trud, żeby mnie znaleźć. Przeszedł co najmniej trzy przecznice w deszczu, a to znaczyło, że jest mi w jakiś sposób oddany.

Resztę wieczoru i wiele następnych spędziliśmy na roztrząsaniu problemu, czy przyjęcie przez Artura pieniędzy, które uważał za nieczyste, i powrót do Toronto na uniwersytet są z jego strony posunięciami etycznymi, czy nie.

– Jeśli cel jest godziwy... – próbowałam argumentować. Było mi wszystko jedno, czy Artur postępuje etycznie, czy nie. Chciałam, żeby został ze mną. Alternatywą, którą on proponował, był wyjazd do północnej Kolumbii Brytyjskiej i praca w kopalni azbestu.

– Właśnie że cel nie jest godziwy... – tłumaczył mi ponuro. – Na co komu Kant? Abstrakcyjne bzdury. – Brakowało mu jednak silnej woli, żeby to rzucić.

Całą zimę spędziłam na pocieszaniu Artura. Zabierałam go do kina, wysłuchiwałam jego narzekań na uniwersytet, przepisywałam mu na maszynie prace, w całości, łącznie z przypisami. Jadaliśmy hamburgery u Harveya, chodziliśmy na spacery do Queen's Park, robiliśmy wypady do Riverdale do zoo – były to niemal jedyne rozrywki, poza kinem, na jakie mogliśmy sobie pozwolić. Sypialiśmy razem, kiedy się dało. Artur miał stały meldunek i u niego przymykano oczy na takie rzeczy, pod warunkiem że się je robiło ukradkiem; moja gospodyni nie tolerowała niczego podobnego pod żadnym pozorem.

Czasami budziłam się w nocy i stwierdzałam, że Artur śpi wtulony we mnie, jakby łóżko było oceanem pełnym rekinów, a ja wielką nadmuchiwaną łodzią ratunkową. We śnie szalał – rozmawiał z nieobecnymi ludźmi, zgrzytał zębami. Na jawie był apatyczny, zamknięty w sobie albo chłodno dialektyczny. Bez swoich politycznych motywacji zachowywał się zupełnie inaczej niż w Anglii. Pozwalał mi robić za siebie różne rzeczy, w ogóle się nie angażując.

Nie przejmowałam się specjalnie tym wszystkim. Jego powściągliwość wydawała mi się czymś intrygującym, jak tajemnicze przebranie. Bohaterowie powinni być powściągliwi. Ta obojętność to poza, tłumaczyłam sobie. Lada chwila jego ukryta głębia wyjdzie na jaw, Artur wybuchnie namiętnością i wyzna od dawna żywione uczucie. Wtedy ja wyznam swoje i będziemy bardzo szczęśliwi. (Później doszłam do wniosku, że ta jego obojętność w owym czasie nie była żadną pozą. Zrozumiałam też, że należy unikać namiętnych wyznań i że ukryte głębie powinny pozostać ukryte; pozory są co najmniej równie wiarygodne).

Wiosną Artur mi się oświadczył. Siedzieliśmy na ławce w Queen's Park, jedliśmy hamburgery kupione na wynos i popijaliśmy koktajle mleczne.

– Posłuchaj – powiedział. – Dlaczego, na przykład, nie mielibyśmy się pobrać?

Nie odpowiedziałam. Nie widziałam powodów, dla których mielibyśmy się nie pobierać. Artur widział i zaczął je roztrząsać: żadne z nas nie ma pieniędzy, prawdopodobnie jesteśmy za młodzi i za mało ustatkowani, żeby brać na siebie takie poważne zobowiązania, za mało się znamy. Ale na wszystkie te zastrzeżenia miał zarazem odpowiedzi. Wiele nad tym myślał, oznajmił. Ustatkujemy się przez sam fakt zawarcia małżeństwa, dzięki któremu również lepiej się poznamy. Jeśli nam się małżeństwo nie uda, to przynajmniej będzie dla nas nauką na przyszłość. A co najważniejsze, wspólne życie wypadnie nam taniej. On się wymelduje i wynajmiemy razem pokój większy od mojego, a może nawet małe mieszkanie. Ja oczywiście zatrzymam swoją pracę, w ten sposób on nie będzie musiał brać tyle od rodziców. Myślał o tym, żeby się przenieść na politologię, co oznaczałoby jeszcze kilka lat nauki, ale nie był pewien, czy rodzice zechcą tak długo łożyć na jego utrzymanie. Bez pośpiechu dojadłam hamburgera, a następnie wypiłam do końca koktajl. Nadeszła pora na chwilę odwagi, pomyślałam. Teraz albo nigdy. Marzyłam o tym, żeby wyjść za Artura, ale nie mogłam tego zrobić, dopóki Artur nie pozna prawdy o mnie i nie zaakceptuje mnie takiej, jaką jestem, z całą moją przeszłością i teraźniejszością. Muszę mu wyznać, że go okłamywałam, że

nigdy nie byłam duszą towarzystwa, że ta tłuściocha z fotografii to ja. Muszę mu także powiedzieć, że kilka miesięcy temu rzuciłam pracę w dziale sprzedaży peruk i właśnie kończę *Miłość odrzuconą*, z której mam nadzieję żyć co najmniej przez najbliższe pół roku.

– Artur – zaczęłam – małżeństwo to poważna sprawa. Uważam, że jest parę rzeczy, które powinieneś o mnie wiedzieć, zanim się pobierzemy. – Głos mi drżał: z pewnością będzie oburzony, uzna, że postępuję nieetycznie, i pełen niesmaku odejdzie...

– Jeśli masz na myśli to, że żyłaś z innym mężczyzną, kiedyśmy się poznali – powiedział – to przecież o tym wiem. Ale to mi zupełnie nie przeszkadza.

– Jak się dowiedziałeś? – spytałam. Zdawało mi się, że jestem bardzo ostrożna.

– Chyba nie sądzisz, że uwierzyłem w tę historyjkę o grubej koleżance – rzekł z satysfakcją. Uśmiechnął się i objął mnie ramieniem. – Slocum poszedł za tobą do domu – wyjaśnił. – Na moją prośbę.

– Artur – powiedziałam. – Ty podstępny szpiclu. – Byłam uszczęśliwiona, że jest na tyle zazdrosny czy ciekawy, żeby się do czegoś takiego posunąć; on sam musi odczuwać zadowolenie, przejrzawszy moje sztuczki. Ale z pewnością nie będzie zachwycony, kiedy się przekona, że dotarł jedynie do pierwszej warstwy kłamstw.

Zdecydowałam się poczekać ze swoimi rewelacjami na lepsze czasy.

Jedynym problemem, jeśli chodziło o ceremonię ślubną, było to, że Artur nie chciał ślubu kościelnego, ponieważ był niewierzący.

Nie chciał także brać ślubu w ratuszu, ponieważ nie podobał mu się obecny rząd. Kiedy się upierałam, że to są jedyne możliwości, powiedział, że musi być inne wyjście. Przejrzałam książkę telefoniczną, ale pod „Narzeczeni" i „Śluby" znalazłam tylko usługi w zakresie sukien i tortów ślubnych. Potem zaczęłam szukać pod „Kościoły". Tu znalazłam dział zatytułowany „Międzywyznaniowi".

– Może być to? – spytałam. – Jeżeli mogą ożenić każdego z każdym, to pewno nie mają żadnych szczególnie silnych przekonań religijnych. – Namówiłam Artura i zadzwonił pod pierwszy numer, jaki tam znalazł. Czyli do wielebnego E.P. Revele'a.

– Wszystko załatwione – oznajmił po powrocie z budki telefonicznej. – Twierdzi, że możemy wziąć ślub u niego w domu, on też dostarczy świadków i ceremonia nie potrwa dłużej niż dziesięć minut. Będzie nawet mała uroczystość, ale nie o charakterze religijnym.

Nie miałam nic przeciwko temu. Nie chciałam tak zupełnie wyrzekać się wszelkich uroczystości. Nie czułabym, że wyszłam za mąż.

– No i co powiedziałeś?

– Dobrze, pod warunkiem że będzie krótko.

Wszystko razem miało kosztować piętnaście dolarów, co mnie ucieszyło, jako że z pieniędzmi było krucho. Walczyły we mnie dwa uczucia: z jednej strony, chciałam odłożyć ślub – znalazłabym jakieś wytłumaczenie, ale w gruncie rzeczy chodziło mi o to, żeby skończyć *Miłość odrzuconą* i kupić sobie jakąś ładną sukienkę – z drugiej, chciałam natychmiast zawlec Artura do

międzywyznaniowców, zanim pozna prawdę. Strach okazał się jednak silniejszy od próżności i kupiłam u Eatona w „Promocji" białą kretonową sukienkę ozdobioną nylonowymi stokrotkami. Będę oczywiście trochę zawiedziona, ale wolałam rozczarowanie wynikające z wystąpienia w taniej ślubnej sukience niż z braku ślubu w ogóle. Bałam się, że w ostatniej chwili zostanę zdemaskowana jako oszustka, naciągaczka i kłamczucha. Ze zdenerwowania zaczęłam jeść więcej niż zwykle bułek z masłem, całe bochenki chleba z miodem, lody bananowe, pączki i przeterminowane ciastka od Kresge'a. Artur nie był wprawdzie świadom tego, że tak sobie folguję, ale ja wyraźnie przybierałam na wadze; jedynie data ślubu ratowała mnie przed upodobnieniem się do obrzękłego topielca, chociaż i tak przybyło mi około siedmiu kilo. Ledwie dopięłam suwak w sukience.

Nikt ze znajomych nie przyszedł na nasz ślub, a to dlatego, że po prostu żadnych znajomych nie mieliśmy. Rodzice Artura nie wchodzili w rachubę. Artur napisał do nich agresywnie szczery list, zawiadamiając ich, że już od roku ze sobą sypiamy i niech im się nie zdaje, że nasz ślub jest ustępstwem na rzecz konwenansów. W odpowiedzi wyrzekli się nas obojga i przestali przysyłać pieniądze. Myślałam o zaproszeniu mojego ojca, ale bałam się, że zdradzi Arturowi więcej z mojej przeszłości, niżbym chciała. Zawiadomiłam go więc kartką pocztową po fakcie, a on mi przysłał w prezencie formę do pieczenia wafli. Artur nie lubił swoich kolegów z filozofii, a i ja nie zaprzyjaźniłam się z żadną z dziewczyn, które sprzedawały ze mną peruki, nie mogliśmy więc liczyć na jakiekolwiek prezenty ślubne. Wobec tego, żeby się bardziej poczuć jak panna młoda, sama kupiłam sobie garnek na

zupę, rękawice kuchenne i – coś mi strzeliło do głowy – przyrząd do drylowania wiśni i wyjmowania pestek z oliwek.

W dniu ślubu Artur przyszedł do mnie pod dom, a potem już razem pojechaliśmy metrem, linią północną. Siedzieliśmy na czarnych, pokrytych dermą siedzeniach, patrzyliśmy na migające nam przed oczyma pastelowe kafelki i trzymaliśmy się za ręce. Artur robił wrażenie człowieka przestraszonego. Schudł i wyglądał jak kij od szczotki. Nasze odbicia w oknie wagonu miały głębokie doły pod oczami. Nie wyobrażałam sobie, jak Artur zdoła mnie przenieść przez próg. Nie mieliśmy nawet progu; do tej pory nie wynajęliśmy mieszkania, ponieważ mój pokój był opłacony z góry na jeszcze dwa tygodnie i Artur powiedział, że nie ma sensu wyrzucać pieniędzy w błoto.

Z metra przesiedliśmy się w autobus. Ale dopiero kiedy ruszyliśmy, dotarło do mnie, w jakim kierunku jedziemy.

– Mówiłeś, że gdzie ten człowiek mieszka? – spytałam.

Artur wręczył mi świstek papieru z zapisanym adresem i powiedział: – Braeside Park.

Zaczęłam się pocić. Autobus mijał właśnie przystanek, na którym zwykle wysiadałam. W głębi przecznicy mignął mi dom matki. Musiałam się zrobić blada, bo kiedy Artur spojrzał na mnie, ściskając mi rękę dla dodania animuszu albo dla podniesienia siebie na duchu, spytał:

– Źle się czujesz?

– Jestem po prostu trochę zdenerwowana – powiedziałam i zaśmiałam się piskliwie.

Wysiedliśmy z autobusu i poszliśmy chodnikiem w głąb podmokłego Braeside Park, mijając szacowne, schludne,

nawiedzone pseudotudorowskie domostwa mojej otyłej młodości. Ogarniało mnie coraz większe przerażenie. Z całą pewnością ten duchowny to ktoś, kogo znam, może nawet chodziłam z jego córką do szkoły, ktoś, kto mnie rozpozna mimo zmienionej figury. Nie opanuje się i krzyknie na widok takiej metamorfozy, zacznie opowiadać zabawne historyjki na temat mojej poprzedniej tuszy i wagi i Artur dowie się – w dniu naszego ślubu! – jak bardzo został oszukany. Dowie się, że nie miałam chłopaka koszykarza i że w konkursie na królową balu maturalnego wcale nie byłam trzecia. Klony uginały się, ciężkie od liści, powietrze było gęste jak zupa od wilgoci i spalin pobliskiej arterii przelotowej. Pod nosem mieliśmy perlisty pot, czułam, jak pod pachami robią mi się mokre plamy, kalając biel sukienki.

– Chyba dostałam porażenia słonecznego – powiedziałam, wspierając się na Arturze.

– Przecież nie byłaś na słońcu – odparł rzeczowo. – To już ten dom na wprost przed nami, zaraz wejdziemy i będziesz się mogła napić wody. – W pewnym sensie był zadowolony, że tak to przeżywam; odwracałam w ten sposób uwagę od jego udręki.

Artur wprowadził mnie na cementowe stopnie numeru 52 i zadzwonił. Na drzwiach wisiała mała tabliczka, na której ozdobnymi literami napisano „Przybytek Szczęścia”; przeczytałam to, nic nie rozumiejąc. Byłam w trakcie podejmowania decyzji, czy zemdleć, czy nie. Bo gdybym mimo wszystko została zdemaskowana, to zawsze jeszcze mogłam opuścić lokal z godnością – w karetce pogotowia. Drzwi z aluminiowej siatki zdobiła sylwetka flaminga.

Otworzyła nam drobna staruszka w różowych rękawiczkach, różowych pantoflach na wysokich obcasach, różowej jedwabnej sukience i różowym kapeluszu przybranym niebieskimi goździkami i niezapominajkami z materiału. Na policzkach miała idealnie okrągłe plamki różu, a zamiast brwi dwa cieniutkie, zdziwione łuki namalowane ołówkiem.

– Szukamy wielebnego E.P. Revele'a – powiedział Artur.

– Ach, co za urocza suknia! – zaszczebiotała staruszka. – Uwielbiam śluby; jestem świadkiem, nazywam się Symons. Zawsze występuję jako świadek. Jest panna młoda! – rzuciła gromko w głąb domu.

Weszliśmy. Powoli wracałam do siebie; z pewnością nie ma tu nikogo, kto by mnie znał. Pełna wdzięczności wciągnęłam zapach mebli tapicerskich i ciepłej pasty do polerowania.

– Ceremonię odprawia się w salonie – oznajmiła pani Symons. – To taka słodka uroczystość, jestem przekonana, że wam się spodoba. – Poszliśmy za nią i znaleźliśmy się w grocie.

Był to standardowy salon Braeside, tej biedniejszej części dzielnicy, z którego wchodziło się do jadalni, a ta z kolei łączyła się z kuchnią. Jednak ściany – zamiast tradycyjnych sielskich widoczków (Brook zimą, Country Lane jesienią) – zdobiło kilka wachlarzy z pawich piór, kilka oprawionych w ramki haftów, fotografia tancerki podświetlona od tyłu i przybrana suchymi liśćmi, obrazek przedstawiający uśmiechniętą Indiankę z Ameryki Północnej, kompozycja z muszelek – kwiaty w wazonie, z płatkami z różnych rodzajów muszelek – i wiele wyblakłych fotografii, również w ramkach i z podpisami na dole. Umeblowanie stanowiły kanapa i fotele do kompletu kryte

śliwkowym aksamitem; wszystkie fotele miały jednakowe podnóżki. Sprzęty były upstrzone wielobarwnymi serwetkami wydzierganymi z wełny, a kominek zastawiony najróżniejszymi bibelotami, jak: figurki Buddy, indiańscy bożkowie, porcelanowy piesek, kilka mosiężnych papierośnic i wypchana sowa pod szklanym kloszem.

– Wasza wielebność, prosimy – powiedziała scenicznym szeptem podniecona pani Symons. Za nami rozległo się szuranie. Odwróciłam się, a następnie padłam na jeden ze śliwkowych foteli – w drzwiach, odziana w długą białą szatę z purpurową szarfą, wsparta teraz na lasce ze srebrną gałką i spowita w obłok zapachu whisky, stała Leda Sprott.

Spojrzała mi prosto w twarz i nie miałam wątpliwości, że mnie poznaje. Jęknęłam i zamknęłam oczy.

– Normalne w takiej sytuacji zdenerwowanie – zaskrzeczała pani Symons. Złapała mnie za rękę i zaczęła mi rozcierać nadgarstek. – Ja, biorąc ślub, zemdlałam trzy razy. Sole trzeźwiące!

– Nic mi nie jest – powiedziałam, otwierając oczy. Leda Sprott nie odezwała się słowem. Może dochowa tajemnicy.

– Dobrze się czujesz? – zapytał mnie Artur. Skinęłam głową. – Szukamy wielebnego E.P. Revele'a – zwrócił się do Ledy Sprott.

– To ja jestem E.P. Revele – odparła. – Eunice P. Revele. – Uśmiechnęła się, jakby była przyzwyczajona do tego, że jej nie wierzą.

– A czy ma pani uprawnienia? – zapytał Artur.

– Naturalnie. – Wskazała ręką na jakiś oprawiony w ramkę dokument wiszący na ścianie. – Nie wolno by mi było udzielać

ślubów, gdybym nie miała uprawnień. Czym mogę służyć? Moja specjalność to małżeństwa mieszane. Może być religia żydowska i hindu, wyznanie katolickie, pięć rodzajów protestanckiego, buddyzm, chrześcijaństwo naukowe, agnostycyzm, kult Najwyższej Istoty – mogą być dowolne kombinacje tych wszystkich wyznań albo moja własna specjalność.

– Może weźmy tę specjalność – zwróciłam się do Artura. Chciałam jak najszybciej mieć to z głowy, żeby się stamtąd wynieść.

– To ceremonia, którą preferuję – oznajmiła Leda. – Ale najpierw zdjęcie. – Wyszła na korytarz i zawołała: „Harry!".

Skorzystałam z okazji, żeby dokładnie obejrzeć licencję. Rzeczywiście, „E.P. Revele" – przeczytałam. Byłam zdenerwowana: albo ona naprawdę nazywa się Leda Sprott i w tym wypadku nasz ślub będzie nieważny, albo Eunice P. Revele. Ale jeśli tak, to dlaczego na użytek Kaplicy Jordanu występowała jako Leda Sprott? Mężczyźni, którzy zmieniają nazwiska, to najczęściej oszuści, przestępcy, tajni agenci albo magicy; u kobiet przeważnie oznacza to po prostu zamążpójście. Obok licencji wisiało zdjęcie znacznie młodszej Ledy, ściskającej dłoń Mackenziego Kinga. Było, jak zauważyłam, podpisane. Pani Symons bezskutecznie usiłowała namówić Artura, żeby włożył na szyję plastikowy wieniec. W podobny zdołała jednak ustroić mnie i wtedy wszedł mężczyzna w szarym garniturze i z polaroidem. Był to pan Stewart, medium na gościnnych występach.

– Proszę się uśmiechnąć – polecił nam, mrużąc oczy do wizjera. Sam uśmiechał się bardzo szeroko.

– Wiesz co... – zaczął Artur. – To nie jest... – W tym momencie błysnęło i pani Symons zerwała mi z szyi wieniec.

– Kiedy usłyszycie gong, stańcie na baczność – zarządziła. Była bardzo podniecona. – Wyglądasz uroczo, kochanie.

– Przez telefon wszystko zapowiadało się normalnie – szepnął Artur.

– A z kim rozmawiałeś? Mówiłeś, że z mężczyzną.

– Bo tak mi się wydawało.

Odezwał się gong i wkroczyła Leda, w innej szacie, fioletowej, wykończonej czerwonym aksamitem. Poznałam resztki zasłon i pulpitu z Kaplicy Jordanu: cóż, czasy były ciężkie. Z pomocą pana Stewarta wdrapała się na stołek, który stał przed kominkiem.

– Arturze Edwardzie Foster – wezwała nas – i Joan Elizabeth Delacourt. Zbliżcie się. – Kiedy podchodziliśmy do niej, trzymając się za ręce, dostała gwałtownego ataku kaszlu. – Uklęknijcie – poleciła, wyciągając przed siebie ramiona, jakby zamierzała dać nurka ze stołka. Uklękliśmy. – Nie, nie tak – strofowała nas, poirytowana. – Po dwóch stronach. Jak mam was połączyć, skoro już jesteście połączeni? – Wstaliśmy, uklękliśmy z powrotem, a Leda położyła nam na głowach lekko drżące dłonie.

– By dostąpić prawdziwego szczęścia – zaczęła – musicie podchodzić do życia z szacunkiem. Z szacunkiem dla samego życia, dla tych bliskich, którzy są jeszcze wśród nas, jak również dla tych, którzy już odeszli. Pamiętajcie, że wszystkie wasze czyny i to, co macie w sercach, jest widziane i zapisywane i że kiedyś ujrzy światło dzienne. Unikajcie kłamstwa i fałszu, traktujcie swoje życie jak dziennik, który piszecie i który kiedyś zostanie

przeczytany przez waszych bliskich, jeśli nie tu, po tej stronie, to po tamtej, gdzie zapanuje ogólne przebaczenie. A nade wszystko powinniście się kochać nawzajem takimi, jacy jesteście, i wybaczać sobie swoje niedostatki. Opromienia was aura szczęścia, moje dzieci, i musicie dołożyć wszelkich starań, aby ją jak najdłużej zachować. – Głos Ledy przeszedł w mamrotanie; przypuszczam, że się modliła. Nagle zachwiała się niebezpiecznie i przestraszyłam się, że spadnie ze stołka.

– Amen – powiedziała pani Symons.

– Możecie wstać – zwróciła się do nas Leda. Poprosiła o obrączki. Uparłam się, żeby kupić parę; dostaliśmy je w lombardzie. Trzykrotnie zakreśliła nimi koło pod posążkiem Buddy, chociaż równie dobrze mogła to być wypchana sowa – nie widziałam ze swojego miejsca.

– Na mądrość, na miłosierdzie, na spokój – powiedziała. Arturowi dała moją obrączkę, a mnie jego. – A teraz – rzekła – trzymając obrączki w lewych dłoniach, prawe połóżcie sobie nawzajem na sercach. Kiedy policzę do trzech, przyciśnijcie.

– Trzy to liczba mistyczna – powiedziała pani Symons.

– Cztery też, ale... – Dopiero teraz ją poznałam. Była to jedna ze stałych bywalczyń Kaplicy Jordanu. – Moje imię wychodzi przy piątce – ciągnęła. – Na tym polega numerologia.

– Słyszałem ostatnio pewną historię, która będzie bardzo stosowna na tę okazję – odezwał się pan Stewart. – Były sobie dwie gąsienice, które szły drogą życia: gąsienica optymistka i gąsienica pesymistka...

– Nie teraz – przerwała mu ostro Leda Sprott. Uroczystość zaczęła wymykać jej się z rąk. Poleciła nam włożyć sobie

nawzajem obrączki na palce, pospiesznie ogłosiła nas mężem i żoną i zeszła ze stołka.

– Pora na prezenty – wykrzyknęła pani Symons i drobnymi kroczkami wybiegła z pokoju. Leda wyjęła akt ślubu, który wszyscy mieliśmy podpisać.

– Ktoś za tobą stoi – powiedział pan Stewart. Miał oczy zamglone i mówił jak gdyby do siebie. – Jakaś młoda kobieta, jest nieszczęśliwa, ma białe rękawiczki... Wyciąga do ciebie rękę...

– Harry – przywołała go do porządku Leda – idź i pomóż Muriel przy prezentach.

– Ależ nie potrzebujemy żadnych prezentów, naprawdę – powiedziałam i Artur się ze mną zgodził, ale Leda Sprott zaprotestowała:

– Ślub bez prezentów to żaden ślub. – Różowa pani Symons już spieszyła z kilkoma paczkami w białej bibułce. Podziękowaliśmy im speszeni, bo przecież ci życzliwi, choć trochę pretensjonalni starzy ludzie zadali sobie dla nas tyle trudu, a my byliśmy tacy niewdzięczni. Pan Stewart wręczył nam zdjęcie, na którym nasze twarze wyszły trupio sine, a kanapa rudobrązowa jak zakrzepła krew.

– A teraz mam coś do powiedzenia osobno pannie młodej i panu młodemu – oznajmiła Leda Sprott. Poszłam za nią do kuchni. Zamknęła drzwi i usiadłyśmy przy stole, zwykłym, nakrytym ceratą w kratkę. Nalała sobie drinka z na pół opróżnionej butelki, a następnie spojrzała na mnie, szczerząc zęby. Jedno jej oko, jak miałam okazję zauważyć, było mętne; może ślepła.

– Miło mi – zaczęła – znów cię widzieć. Zmieniłaś się, ale ja nigdy nie zapominam twarzy. Co u twojej ciotki?

– Umarła – odparłam. – Nie wiedziała pani?

– Tak, tak. – Zamachała niecierpliwie ręką. – Oczywiście. Ale z pewnością dalej jest przy tobie.

– Nie sądzę – odrzekłam.

Leda Sprott była zawiedziona.

– Widzę, że nie posłuchałaś mojej rady. A szkoda. Bo masz duże zdolności, mówiłam ci to wtedy, ale bałaś się je rozwinąć. – Wzięła moją dłoń, przez chwilę się w nią wpatrywała, po czym ją puściła. – Mogłabym ci naopowiadać Bóg wie czego, co prawdopodobnie znaczyłoby dla ciebie równie mało jak prawda. Ale lubiłam twoją ciotkę, więc ci nie powiem. Daru, który posiadasz, nie wybrałaś sobie sama, to on cię wybrał. Jeśli go odrzucisz, wykorzysta cię i tak, choć może w sposób niepożądany. Ja używałam swego daru, dopóki go miałam. Pewnie myślisz, że masz do czynienia z głupią starą babą albo jakąś szarlatanką – jestem do tego przyzwyczajona. Ale czasem rzeczywiście mówiłam prawdę, co do tego nie sposób się pomylić. A kiedy nie mogłam powiedzieć prawdy, mówiłam im to, co chcieli usłyszeć. Nie powinnam była tego robić. Można by pomyśleć, że to jest nieszkodliwe. Ale nie jest. – Przerwała, patrząc na swoje powykręcane przez artretyzm palce. Nagle poczułam, że jej wierzę. Miałam ochotę zadać te wszystkie pytania, które wtedy cisnęły mi się na usta. Może mogłaby mi coś powiedzieć o mojej matce... Ale moja wiara uleciała szybko. Czyż nie dała mi do zrozumienia, że Kaplica Jordanu to było oszustwo, a jej objawienia to zgadywanka i teatr?

– Ludzie ci wierzą – powiedziała Leda. – Mają do ciebie zaufanie. To może być niebezpieczne, zwłaszcza jeżeli zechcesz to

wykorzystać. W życiu od niczego nie uciekniesz. Przestań się tak nad sobą rozczulać. – Patrzyła na mnie teraz surowo swoim jedynym zdrowym okiem, z głową przekrzywioną na bok jak ptak. Wyraźnie oczekiwała jakiejś odpowiedzi.

– Dziękuję – powiedziałam niezręcznie.

– Nie mów tego, czego nie myślisz – rzekła poirytowanym tonem. – Już dostatecznie często tak postępowałaś. To chyba wszystko, co ci chciałam powiedzieć, z wyjątkiem może... Tak, tak, z pewnością powinnaś spróbować pisma automatycznego. A teraz przyślij mi tu swojego nowego męża.

Nie chciałam, żeby Artur został z nią sam na sam. Jeżeli była tak bezceremonialna w stosunku do mnie, to co powie jemu?

– Ale niech mu pani nie mówi, dobrze? – poprosiłam.

– Nie mówić mu o czym? – zapytała ostro Leda.

Trudno to było ująć w słowa.

– Jaka byłam – odparłam. Tak naprawdę miałam na myśli „jak wyglądałam".

– O co ci chodzi? – dopytywała się zdziwiona. – Dla mnie byłaś zupełnie miłą młodą dziewczyną.

– Nie... Chodzi mi o moją figurę. Ja byłam... Pani rozumie... – Słowo „gruba" nie mogło mi przejść przez gardło, używałam go w stosunku do siebie jedynie w myślach.

Zrozumiała, do czego zmierzam. Widziałam, że jest tym tylko rozbawiona.

– I to wszystko? Według mnie miałaś zupełnie dobrą figurę. Ale nie bój się, nie zdradzę twojej przeszłości, chociaż możesz mi wierzyć, są gorsze tragedie niż to, że ktoś trochę za dużo waży. Mam nadzieję, że i ty mnie nie zdradzisz. Leda Sprott jest winna

tu i ówdzie trochę pieniędzy. – Roześmiała się świszcząco i zaczęła kasłać. Poszłam po Artura.

Wyszedł z kuchni pięć minut później. Pani Symons podreptała za nim przez korytarz, kiedy wychodziliśmy, a potem jeszcze po schodkach i po chodniku, obrzucając nas ryżem i konfetti i szczebiocząc wesoło.

– Wszystkiego najlepszego – zawołała jeszcze, machając ręką w różowej rękawiczce.

Szliśmy na piechotę do przystanku autobusowego, niosąc paczki. Artur milczał, minę miał ponurą.

– Co się stało? – spytałam. Czyżby Leda mu mimo wszystko o mnie powiedziała?

– Stara oszustka zdarła ze mnie pięćdziesiąt dolarów – odparł. – Przez telefon powiedziała piętnaście.

Kiedy znaleźliśmy się u mnie, rozwinęliśmy paczki. Zawierały plastikową salaterkę z miseczkami do kompletu, książeczkę na temat kuchni dietetycznej za osiemdziesiąt pięć centów, oprawioną w ramki fotografię Ledy Sprott ściskającej dłoń Mackenziego Kinga i jakieś broszurki traktujące o zdrowotnych zaletach i właściwym użyciu drożdży.

– Nieźle musi na tym zarabiać – zauważył Artur.

Oczywiście trzeba będzie powtórzyć to wszystko w ratuszu, pomyślałam, przecież cała ta maskarada ze stołkiem i wypchaną sową nie może być legalna.

– Myślisz, że naprawdę jesteśmy małżeństwem? – spytałam.

– Wątpię – odparł Artur. Ale, o dziwo, byliśmy.

20

W naszą podróż poślubną wybraliśmy się dopiero cztery lata później, w 1968 roku. Był to rok kolejnego, tym razem separatystycznego wcielenia Artura, który wobec tego zażądał, żebyśmy pojechali do Quebecu, gdzie wprawiał w zakłopotanie kelnerów, usiłując mówić do nich w dialekcie joual[*]. Większość z nich uznała to za obraźliwe. Ci, którzy rzeczywiście byli separatystami, wyszydzali jego wymowę, była dla nich zbyt paryska. Pierwszy wieczór spędziliśmy w tanim motelu, oglądając w telewizji pogrzeb Roberta Kennedy'ego. Telewizor, „królicze uszy", działał dopiero, kiedy jedną ręką trzymało się za uszy, a drugą dotykało ściany. Ta rola przypadła mnie. Artur oglądał. Do tego czasu zdążyłam się już poczuć stuprocentową mężatką. Ale to musiało potrwać. Nasze życie było nieustabilizowane, nie mieliśmy właściwie pieniędzy, poza tym, co zarobiłam, pisząc historyczne powieści grozy i udając, że biorę dorywcze prace. Początkowo mieszkaliśmy w umeblowanych pokojach, dopiero potem zaczęliśmy wynajmować nędzne mieszkania. Czasami miałam do dyspozycji wnękę kuchenną, oddzieloną bambusową zasłoną albo plastikowymi drzwiami typu harmonijkowego, ale najczęściej była to po prostu maszynka elektryczna. Gotowałam

obiady jarskie w plastikowych, odpornych na temperaturę opakowaniach albo ravioli z puszek. Jedliśmy, siedząc na brzegu łóżka i usiłując jak najmniej poplamić pościel keczupem. Po posiłku resztki jedzenia wyrzucałam do klozetu, a naczynia zmywałam nad wanną, jako że rzadko bywały tam umywalki. Oznaczało to, że w czasie kąpieli, którą braliśmy razem – mydliłam zwykle plecy Arturowi, któremu żebra sterczały niczym u średniowiecznej rzeźby przedstawiającej śmierć – ze zdumieniem znajdowaliśmy w pianie zabłąkany makaron czy groszek, jakby nasza wanna stanowiła fragment Morza Sargassowego. Dla mnie był to miły tropikalny akcent pośród tych skądinąd polarnych kąpieli, ale Artur kręcił nosem, bo chociaż się do tego nie przyznawał, miał fioła na punkcie zarazków.

Narzekałam na niedogodności naszego improwizowanego życia na walizkach, więc po dwóch latach, kiedy Artur został asystentem na wydziale nauk politycznych i miał jakie takie stałe uposażenie, uległ i wynajęliśmy prawdziwe mieszkanie. Znajdowało się w ruderze – która później została modnie odmalowana na biało i oświetlona lampami „dyliżansowymi" – ale przynajmniej, poza karaluchami, miało prawdziwą kuchnię. Ku swojemu przerażeniu odkryłam wtedy, że Artur oczekuje ode mnie gotowania – miałam przyrządzać posiłki z takich produktów jak mąka czy słonina. Nigdy w życiu tego nie robiłam. Gotowała matka, ja jadłam – taki był podział ról. Nawet by mnie nie wpuściła w tym czasie do kuchni, bałaby się, że jej coś stłukę, wsadzę do sosu pełen zarazków palec albo stąpnę za mocno, od czego mogłoby opaść ciasto. W szkole średniej zamiast na gospodarstwo domowe chodziłam na zajęcia dla sekretarek. Nie

miałabym nic przeciwko gotowaniu, chociaż z tego, co mówiły inne dziewczyny, wynikało, że przerabiają głównie teorię żywienia, ale na samą myśl o szyciu dostawałam dreszczy. Jakże mogłabym ślęczeć nad jakimś wzdętym namiotem, podczas gdy moje koleżanki raz-dwa szyły sobie zgrabne spódniczki i marszczone bluzki?

Ale dla Artura skłonna byłam spróbować wszystkiego, chociaż gotowanie okazało się nie takie proste, jak myślałam. Zawsze brakowało mi podstawowych artykułów, jak masło czy sól, więc musiałam wyskakiwać do sklepiku na róg, i nigdy nie miałam czystych naczyń, ponieważ nie znosiłam zmywania. Artur jednak nie lubił się stołować w restauracjach, najwyraźniej wolał moje niejadalne potrawy: fondue, które z powodu zbyt wysokiej temperatury zamieniało się w grudki gumy do żucia pływające w limfie, jajka sadzone, które rozłaziły się jak śluz, pieczone kurczaki, z których po przekrojeniu tryskała krew, chleb z ciasta, które nie chciało rosnąć i leżało w misce, przypominając ruchome piaski, flakowate naleśniki, cieknący w środku gumowaty pieróg. Rzadko kiedy opłakiwałam te niepowodzenia – szczerze mówiąc, dla mnie były to raczej sukcesy, ciche tryumfy nad samą ideą jedzenia. Chciałam udowodnić, że mi na tym wcale nie zależy.

Od czasu do czasu nie gotowałam nic, bo po prostu zapominałam. W takie dni o północy zastawałam w kuchni Artura szykującego sobie kanapkę z masłem orzechowym. Na myśl o tym, że go głodzę, ogarniało mnie poczucie winy. Ale mimo że stale krytykował moje gotowanie, jadł to, co upichciłam, i bardzo nie lubił, kiedy niczego nie było. Ta przypadkowość stanowiła dla niego pewną rozrywkę, jak zjawisko mutacji czy

hazard. Potwierdzała też jego wizję świata – następujących po sobie szybko katastrof na tle nieustannie zagrażającej zagłady. Moja sztuka kulinarna doskonale do tej wizji pasowała, podczas gdy dla mnie te hałdy niewyrośniętego ciasta, te przypalone na brzegach gnioty, ta nieprzetworzona krew znaczyły coś zupełnie innego. Każdy posiłek zmieniał się w kryzys, który można było obrócić na dobre przez... dodanie odrobiny pieprzu czy wanilii. W duszy byłam bowiem optymistką i pragnęłam szczęśliwych zakończeń.

Dość długo trwało, zanim się zorientowałam, że Artura cieszą moje porażki. Że go podnoszą na duchu. Lubił słyszeć brzęk gorącego półmiska, który upuszczałam na podłogę, zapomniawszy włożyć rękawicę, lubił, jak klęłam w kuchni, i kiedy wyłaniałam się spocona i rozczochrana po jednej z moich potyczek, witał mnie uśmiechem czy żartem, a czasem nawet pocałunkiem, który był w tym samym stopniu nagrodą za przedstawienie, za straconą energię, co i za jedzenie. Odczuwałam autentyczną frustrację i złość, ale wcale nie uważałam się za złą kucharkę. Moje porażki były przedstawieniami, a Artur widownią. Jego aplauz dostarczał mi niezbędnego bodźca.

Mnie to nie przeszkadzało – ostatecznie być złą kucharką jest łatwiej, niż starać się być dobrą, a cały ten szum i przepychanki nie nadwerężały rezerw mojej inwencji. Mój błąd polegał na mylnym wyobrażeniu sobie, że wymagania Artura ograniczają się do gotowania. To tylko tak wyglądało z początku, ponieważ według niego niczego innego nie próbowałam.

Nie chcę powiedzieć, że Artur był nieuczciwy: to, co myślał i co mówił, niczym się od siebie nie różniło. Tyle że i jedno, i drugie

różniło się od tego, co czuł. Latami chciałam stać się kimś, za kogo Artur mnie brał, albo uważał, że powinnam takim być. Miał mnóstwo dotyczących mnie planów, wielkie ambicje i pomysły, jak mogłabym w sposób konstruktywny wykorzystać moją inteligencję, a ja, rano, kiedy on się zrywał, by zrobić sobie kawę i ścigać któryś ze swoich celów, gniłam w łóżku. I to właśnie miał mi do zarzucenia, jak wyznał: że nie stawiam sobie żadnych celów. Słowo „cel" jednak kojarzyło mi się tylko ze strzelaniem do celu – a tego sportu nie lubiłam.

Artur nie zawsze był rannym ptaszkiem. Miał chwile załamań. Rozczarowany do działaczy ruchu przeciwko bombie atomowej, na jakiś czas w ogóle wyłączył się z polityki. Bardzo szybko jednak znów złapał wiatr w żagle. Tym razem stanął do walki o prawa człowieka, pojechał do Stanów, gdzie go omal nie zastrzelili. Potem i ta grupa się rozleciała, a on popadł w kolejną depresję. Następnie szybko, jedno po drugim, przeszedł przez Wietnam i bierny opór wobec służby wojskowej, rozruchy studenckie i fascynację Mao. Każdy z tych zrywów wymagał solidnego oczytania nie tylko od niego, ale i ode mnie. I chociaż naprawdę się starałam, to jakoś nie byłam na bieżąco – pewnie dlatego, że studiowanie dzieł teoretycznych przychodziło mi z wielkim trudem. Zaledwie zdążyłam dostosować swoje poglądy do jego poglądów, Artur już przechodził na coś innego. Wtedy musiał mnie od nowa nawracać i dokształcać, żebym znów mogła ujrzeć światło... „O, masz, przeczytaj to koniecznie" – mówił i po tym rozpoznawałam początek nowego cyklu.

Problem z Arturem polegał na tym, że chciał dobrze, za dobrze, chciał, by wszyscy chcieli tak dobrze jak on. Kiedy dochodził do

wniosku, że nie chcą, że nie wszyscy płoną tym samym świętym ogniem, że jedni są próżni, inni egoistyczni i żądni władzy – ogromnie się wściekał. Był więźniem sumienia.

Swego czasu uważałam go za człowieka jednego ducha, jednego serca, jednego ciała. Ja, dla kontrastu, stanowiłam żałosne nagromadzenie pozorów i kłamstw, z których każde tworzyło zamkniętą całość, czyniąc zarazem pozostałe całkowicie bezużytecznymi. Ale wkrótce odkryłam, że istnieje tak samo wiele wersji Artura jak i mnie. Z tą różnicą, że ja byłam wszystkim naraz, a on po kolei. U szczytu każdej ze swych pasji Artur miał zapas energii za sześciu, prawie nie sypiał – działał, pisał materiały propagandowe, wygłaszał mowy, nosił transparenty. W chwilach depresji ledwie mu jej wystarczało na wstanie z łóżka – cały dzień siedział w fotelu, przypalając papierosa od papierosa, wyglądając przez okno, patrząc w telewizor i rozwiązując krzyżówki i układanki w formie obrazów Pollocka czy wschodnich dywanów. Ja – jako wyraźny kształt – istniałam dla niego jedynie w drodze pod górę albo z góry, poza tym byłam tylko czymś w rodzaju bryły służącej do karmienia. Kochaliśmy się wyłącznie w okresach pośrednich. Kiedy był na szczycie, nie miał czasu, kiedy był na dnie, nie miał energii.

Podziwiałam go i zazdrościłam mu tej prostolinijności, mimo jej złych stron: kiedy ogarniała go chandra na skutek rozczarowania, potrafił w oparach grobowego nastroju pisać listy do wszystkich, z którymi pracował w okresie euforycznym, nazywając ich zdrajcami i łobuzami, ale oczywiście potem to ja odbierałam telefony od wściekłych, zaskoczonych czy obrażonych ludzi. „Znasz

Artura – mówiłam wtedy. – Jest ostatnio w złej formie, ma chandrę".

Wolałam rzecz jasna, żeby sam się przed nimi tłumaczył, ale Artur był mistrzem zasadzek. Nigdy się z nikim nie kłócił, nigdy niczego nie wyjaśniał. Po prostu w pewnym momencie, stosując własne zawiłe i niejasne kryteria oceny, decydował, że ktoś jest zły. Nie dlatego nawet, żeby popełnił coś złego, po prostu to zło miał wrodzone. Od raz powziętej opinii nie było odwołania. Żadnej rewizji, żadnej rehabilitacji. Powiedziałam mu kiedyś, że zachowuje się podobnie jak Bóg Kalwina, ale się obraził, więc dałam spokój. Bałam się po cichu, że tak samo ocenia mnie.

Często marzyłam o tym, aby wreszcie znalazła się jakaś grupa ludzi, która by uniosła straszliwy ciężar jego zaufania. I nie chodziło mi tylko o szczęście Artura, chociaż o nie też. Istniały po temu jeszcze dwie inne przyczyny. Po pierwsze, bardzo źle znosiłam jego chandry, czułam, że nie spełniam pokładanych we mnie nadziei. Miłość właściwej kobiety powinna uchronić mężczyznę przed podobnymi stresami – tyle wiedziałam. A ja w takich chwilach nie potrafiłam go pocieszyć – żebym nie wiem jak źle gotowała. Widocznie nie byłam właściwą kobietą.

Po drugie, kiedy Artur miał chandrę, nie mogłam pisać swoich powieści. Cały czas snuł się wtedy po domu, a kiedy niczego nie robił, nie życzył sobie, żebym ja robiła cokolwiek. Jeśli na przykład zamknęłam się w sypialni, otwierał drzwi, stawał w nich i patrząc na mnie z wyrzutem, oświadczał, że boli go głowa. Albo domagał się mojej pomocy przy rozwiązywaniu krzyżówki. Zaprzątnięta takimi sprawami, nie mogłam się skupić na falujących piersiach mojej bohaterki czy wąskich, drapieżnych

ustach bohatera. Musiałam udawać, że wychodzę w poszukiwaniu pracy, i rzeczywiście od czasu do czasu jakąś pracę przyjmować w zwykłym akcie samoobrony.

Dopiero po ślubie pisanie stało się dla mnie czymś więcej niż tylko stosunkowo łatwym sposobem zarabiania na życie. Zawsze pisałam jak gdyby ukradkiem, jakbym czuła, że coś mi uchodzi na sucho, że nikt nigdy mnie na tym nie złapał; teraz stało się to dla mnie ważne. Ale prawdziwe znaczenie miały nie same książki, które w gruncie rzeczy się nie zmieniały, tylko fakt, że byłam dwiema różnymi osobami naraz, z dwoma kompletami dokumentów stwierdzających moją tożsamość, dwoma kontami bankowymi i dwiema różnymi grupami ludzi wierzących w moje istnienie. Byłam Joan Foster – bez wątpienia – ludzie tak się do mnie zwracali i miałam na potwierdzenie tego faktu autentyczne papiery. Ale byłam także Louisą K. Delacourt.

Dopóki mogłam pewien czas w ciągu tygodnia spędzać jako Louisa, wszystko szło dobrze: byłam cierpliwa, wyrozumiała i ciepła, byłam uważną słuchaczką. Ale kiedy nie miałam takich możliwości, kiedy nie mogłam pracować nad bieżącą powieścią, robiłam się zła, drażliwa, zaczynałam popijać i płakałam z byle powodu.

W ten sposób mijały nam lata – szalone zrywy Artura przeplatały się z moimi i było naprawdę dobrze, kochałam go. Od czasu do czasu napomykałam, że może pora się ustatkować, osiąść gdzieś i mieć dzieci. Artur jednak twierdził, że na razie do tego nie dojrzał, że czeka go jeszcze wiele zadań, a i ja sama miałam mieszane uczucia. Pragnęłam dzieci, ale zastanawiałam się, co

zrobię, jeśli moje dziecko stanie się podobne do mnie. Albo co gorsza, jeśli ja stanę się podobna do mojej matki.

Przez cały czas nosiłam wspomnienie matki jak zadrę pod paznokciem. Śniła mi się często – trzygłowa, groźna i zimna. Czasem siedziała przed toaletką, czasem płakała. Nigdy nie śmiała się ani nie uśmiechała.

W najgorszym ze snów w ogóle jej nie widziałam. Kryłam się za drzwiami albo stałam pod drzwiami – to nie było jasne. Drzwi były białe, jak do łazienki albo do szafy. Zamknięta wewnątrz czy też z zewnątrz, zawsze po drugiej stronie słyszałam głosy. Czasem tych głosów było dużo, to znów tylko dwa: mówiły o mnie, dyskutowały na mój temat, a ja, słuchając ich, czułam, że stanie się coś bardzo złego. Byłam jednak bezsilna, nic na to nie mogłam poradzić. W tym śnie zaszywałam się w najdalszy kąt pomieszczenia, zapierałam się ramionami o ściany, wbijałam obcasy w podłogę. Nie wydostaną mnie stąd. I wtedy słyszałam kroki – zbliżały się po schodach, a potem korytarzem.

W tym momencie Artur mną potrząsał.

– Co się dzieje? – pytał. – Jęczałaś.

Jęczałam? Upokarzające. Krzyk to co innego, ale jęki...

– Śniło mi się coś nieprzyjemnego – odpowiadałam.

Artur nie rozumiał, skąd miałyby się u mnie brać nieprzyjemne sny. Przecież chyba nigdy nie spotkało mnie nic aż tak strasznego, żeby mnie prześladowały jakieś koszmary. Jestem normalną dziewczyną, której niczego nie brakuje, ładną i inteligentną, dlaczego nie chcę tego wykorzystać? Powinnam mieć więcej instynktu przywódczego, mówił.

Niestety, nie mógł zrozumieć sprawy zasadniczej: że istnieją tylko dwa rodzaje ludzi – grubi i szczupli. Patrząc na siebie w lustrze, widziałam co innego niż on. Zarys dawnej sylwetki otaczał mnie jak mgła, przypominałam księżyc w lisiej czapie, wizerunek latającego słonia Dumbo nałożony na moje kontury. Chciałam zapomnieć o przeszłości, ale przeszłość nie chciała zapomnieć o mnie, czekała tylko, aż zasnę, żeby mnie dopaść.

---

[*] Joual (kanadyjski fr.) – dialekt Francuzów kanadyjskich, używany głównie przez warstwy niewykształcone (przyp. red.).

21

Kiedy się nad tym zastanawiałam, dochodziłam do wniosku, że nasze małżeństwo jest szczęśliwsze od wielu innych. Byłam nawet z tego dumna. Według mnie większość kobiet popełniała zasadniczy błąd: oczekiwały, że mąż je zrozumie. Traciły wiele cennego czasu na to, żeby się tłumaczyć, odkrywając swoje uczucia i reakcje, miłość i złość, czułe punkty, życzenia czy wady, jakby samo opowiadanie o tych sprawach mogło przynieść pożądane skutki. Przyjaciele Artura żenili się na ogół z takimi właśnie kobietami, które uważały mnie za niemrawą, niechlujną i raczej głupią. Same żyły od kryzysu do kryzysu, wśród nieustannego narzekania i podenerwowania, przypalając papierosa od papierosa, stawiając siebie za wzór uczciwości i nie ustając w gderaniu. Ponieważ ja tego wszystkiego nie robiłam, przyjaciele Artura zazdrościli mu trochę i zwierzali mi się czasem w kuchni: czuli się osaczeni i wyczerpani, ich żony – podobnie jak moja matka – miały w sobie coś z moralizującej jędzy.

Ja nie starałam się o to, żeby Artur mnie zrozumiał, przeciwnie, zadawałam sobie sporo trudu, żeby do tego nie dopuścić. I chociaż czasem nachodziła mnie pokusa, to jednak zawsze tłumiłam w sobie odruch szczerości. Artur miał

spartańskie upodobania i moje dawne życie oraz najbardziej skryte skłonności musiałyby go przerazić. Jakby prosił o befsztyk, a dostał całą zarżniętą krowę. Myślę, że podejrzewał prawdę i że świadomie pohamował mnie w moich paru nieśmiałych próbach odkrycia się przed nim.

Tamte żony chciały również, aby mężowie ucieleśniali ideał ich życia, który, z wyjątkiem może drobnych szczegółów, nie różnił się tak bardzo od mojego. Nie wyrażały tego wprost, ja jednak wiedziałam, że chcą, by ich mężczyźni byli silni, pożądliwi, namiętni, podniecający, o surowych, drapieżnych ustach, ale przy tym pełni czułości i uwielbienia. Pragnęły mężczyzn w tajemniczych pelerynach, którzy by je wykradali z balkonów, lecz jednocześnie zależało im na związkach autentycznych, głębokich i szczerych. (Szkarłatny Kwiat, miałam ochotę powiedzieć im po cichu, nie ma czasu na autentyczne, głębokie związki). Chciały wielokrotnych orgazmów, chciały, żeby ziemia się kołysała, ale także domagały się pomocy przy zmywaniu.

Uważałam mój układ za lepszy. Są dwa rodzaje miłości, powiedziałam sobie: w jednym z nich Artur jest wspaniały, nie należy od jednego mężczyzny wymagać wszystkiego. Przestałam po nim oczekiwać, że kiedykolwiek stanie się tajemniczym, trochę groźnym nieznajomym w pelerynie. Po prostu nie mógł być kimś takim: żyłam z nim, a przecież tajemniczy nieznajomi w pelerynach nie zostawiają skarpetek na środku pokoju, nie wiercą sobie palcem w uchu, rano nie płuczą głośno gardła, żeby zabić zarazki. Artur był w domu, a tajemniczy nieznajomi w zamkach i na dworach, tam gdzie jest ich miejsce. Uważałam, że to dobrze świadczy o mojej dojrzałości i że pozwala mi na

większą pogodę ducha niż żonom jego przyjaciół, nad którymi miałam wszakże jedną zdecydowaną przewagę: mimo wszystko w sprawach świata wyobraźni ja byłam profesjonalistką, one zaledwie amatorkami.

Z czasem zaczęłam odczuwać pewien brak. Może, myślałam, ja nie mam duszy, pływam tylko, coś tam śpiewając, jak mała syrenka z bajki Andersena. Aby mieć duszę, należy cierpieć, z czegoś zrezygnować; może zresztą chodziło nie o duszę, tylko o nogi? Nie pamiętałam. W każdym razie ona została tancerką, tyle że bez języka. No i była jeszcze Moira Shearer w *Czerwonych trzewikach*. Żadna z nich nie potrafiła spełnić oczekiwań przystojnego księcia, obie umarły. Ja w porównaniu z nimi lepiej sobie radziłam. Ich błąd polegał na tym, że tańczyły publicznie; ja ze swoim tańcem kryłam się za zamkniętymi drzwiami, co było bezpieczniejsze, ale...

To prawda, miałam dwa życia, jednak w dni, które należały do mnie, czułam, że żadne z nich nie jest w pełni autentyczne. Z Arturem po prostu bawiłam się w dom, w gruncie rzeczy niewiele z siebie dając. A moje historyczne powieści grozy to przecież tylko papier: zamki z papieru, papierowe kostiumy, papierowe lalki, tak bezwładne i pozbawione życia jak te pustookie, oszukańcze kukły, które ubierałam i rozbierałam w domu matki. Zyskałam sobie opinię roztrzepanej, co przyjaciołom Artura wydawało się urocze. Już wkrótce tego po mnie oczekiwano, a ja dopisałam to do listy swoich wad.

– Za dużo się usprawiedliwiasz – zwróciła mi kiedyś uwagę jedna z tych jazgotliwych żon. Zaczęłam się nad tym zastanawiać. To prawda, usprawiedliwiałam się, ale dlaczego tak

potrzebowałam przebaczenia? Dlaczego chciałam zostać zwolniona i od czego? W szkole średniej można było nie grać w baseball, jak się miało miesiączkę czy bolał brzuch, ja zresztą wolałam stać na uboczu. Teraz pragnęłam uznania, ale jednocześnie się go bałam. Gdybym połączyła razem te dwie oddzielne części mego życia (jak uran czy pluton, na oko nieszkodliwe, lecz naładowane śmiercionośną energią), z pewnością doszłoby do eksplozji. Zamiast tego unosiłam się na falach, grając na zwłokę.

Był wrzesień. Artur przeżywał jedną ze swoich depresji; właśnie napisał całą partię listów, krytykując wszystkich, którzy byli zaangażowani w ruch reformy programów studiów, jego ostatnie hobby. Ja zaczęłam nową książkę. *Miłość, moje wybawienie* – tak brzmiał tytuł roboczy. Ponieważ Artur stale snuł się po domu, trudno mi było zamknąć oczy i przenieść się w świat cieni. Poza tym wciąż ta sama konwencja pościgów i ucieczek przed gwałtem czy też morderstwem już mnie tak nie pasjonowała jak dawniej. Potrzebowałam czegoś nowego, jakiegoś świeżego pomysłu. Konkurencja w tej chwili była większa, powieści grozy przestano uważać za czystą grafomanię, uznano je teraz za grafomanię, na której można zarobić, i wobec tego obawiałam się, że zostanę wyparta z rynku. Przeglądając prace konkurencji, co robiłam raz na tydzień, gorączkowo, w narożnej drogerii, doszłam do wniosku, że ostatni krzyk mody to okultyzm. Już nie wystarczał bohater w pelerynie, musiał być do tego obdarzony siłą magiczną. Poszłam do Centralnej Biblioteki Źródłowej i zaczęłam studiować siedemnasty wiek. Potrzebny mi był jakiś rytuał, ceremoniał, coś złowieszczego, a jednocześnie spektakularnego...

Penelopa po przebudzeniu stwierdziła, że ma zasłonięte oczy, nie mogła też ruszyć ręką ani nogą. Została przywiązana do krzesła. Tamtych dwoje szeptało między sobą w drugim pokoju. Wiedząc, że od tego mogło zależeć życie jej i sir Percy'ego, wytężała słuch, by pochwycić, co mówią.

– Powiadam ci, możemy ją wykorzystać, żeby zyskać dostęp do wiedzy – mówiła Estelle, ognista piękność, w której żyłach płynęła cygańska krew.

– A ja uważam, że lepiej się jej pozbyć – mruknął François. – Za dużo widziała.

– Tak, tak – potwierdziła Estelle – ale najpierw ją wykorzystajmy. Rzadko kiedy wpada mi w ręce ktoś o tak wielkich, a tak mało rozwiniętych zdolnościach.

– Niech ci będzie – wycedził François przez zęby – pod warunkiem, że potem zrobimy po mojemu. – Omiótł wzrokiem młode, drżące, bezradne ciało Penelopy. – Szsz... Obudziła się.

Estelle podeszła do niej, poruszając się z gracją dzikiego, nieobłaskawionego zwierzęcia. Jej małe białe zęby błysnęły w półmroku, odrzuciła do tyłu długie, potargane rude włosy.

– No cóż, moja mała – powiedziała z fałszywą słodyczą. – Widzę, że nie śpisz. Mam nadzieję, że oddasz nam pewną małą przysługę, co?

– Niczego dla was nie zrobię – odparła Penelopa. – Wiem, z kim mam do czynienia.

Estelle się roześmiała.

– Co za odwaga u takiej małej osóbki. Ale to ci w niczym nie pomoże. Masz, wypij to. – Siłą wlała Penelopie między zęby jakiś płyn z egzotycznie wyglądającej flaszki. Następnie zdjęła

jej opaskę z oczu i ustawiła przed nią mały stolik z lustrem, zapalając na nim świecę.

Penelopa czuła, jak wokół niej narasta atmosfera zła. Mimo woli płomień świecy przyciągał jej wzrok. Duch dziewczyny szamotał się, zafascynowany, bezradny niczym ćma, jej odbicie zniknęło... Wchodziła w lustro coraz głębiej i głębiej, aż przeszła jak gdyby na drugą stronę szkła, w krainę niewyraźnych cieni. Przed sobą, we mgle, słyszała szepty.

– Nie bój się – dobiegł ją z oddali głos Estelle. – Powiedz, co widzisz. Powiedz, co słyszysz.

Pisałam jak zwykle z zamkniętymi oczami, ale w tym momencie je otworzyłam. Uderzyłam głową w mur: nie miałam zielonego pojęcia, co też Penelopa może tam zobaczyć czy usłyszeć. Myślałam nad tym pół godziny – bez skutku. Zdecydowałam, że muszę tę scenę odegrać. Był to mój stary sposób – kiedy utknęłam w martwym punkcie, inscenizowałam dany epizod i szkicowałam akcję jak reżyser.

Postanowiłam zaryzykować, mimo że Artur oglądał telewizję w sąsiednim pokoju. Poza tym chyba nie miałam w domu żadnej świecy. Poszłam do kuchni i przeszukałam szuflady; znalazłam krótki, zakurzony ogarek. Służył kiedyś jako część podgrzewacza do potraw, który kupiłam w chwili złudy, a następnie wyrzuciłam w chwili złości. Przylepiłam świeczkę do talerzyka, znalazłam zapałki i wróciłam do sypialni, zamykając za sobą drzwi. Artur myślał, że piszę pracę na temat socjologii garncarstwa – powiedziałam mu, że się zapisałam na taki kurs na uniwersytecie.

Zapaliłam świeczkę i ustawiłam ją przed lustrem toaletki. (Właśnie ostatnio kupiłam takie potrójne, jak miała matka). Ale

dopiero kiedy przed nim zasiadłam, przypomniałam sobie moje doświadczenie z pismem automatycznym, które przeprowadziłam jeszcze w szkole średniej – wtedy gdy przypaliłam sobie grzywkę. Na wszelki wypadek spięłam włosy z tyłu. Nie oczekiwałam żadnego przesłania, chciałam tylko opracować scenę do książki, ale mimo to powinnam mieć pod ręką pióro albo ołówek.

Penelopa była oczywiście naturalnym medium. Łatwo dawała się zahipnotyzować. No i napiła się jakiegoś płynu z egzotycznej flaszki, który miał w tym pomóc. Wróciłam do kuchni, nalałam sobie whisky z wodą i wypiłam. Następnie usadowiłam się przed lustrem i usiłowałam się skoncentrować. Może Penelopa powinna dostać wiadomość od sir Percy'ego, że grozi mu niebezpieczeństwo? A może powinna przekazać wiadomość... Czy Penelopa jest nadawcą, czy odbiorcą? Telefon Bella zupełnie wyszedłby z użycia, gdyby udało się udoskonalić tę metodę...

Nie mogłam się skupić. „Jesteś Penelopą" – powiedziałam sobie stanowczo.

Wpatrywałam się w odbicie świecy w lustrze. Było więcej świec niż jedna – były trzy – i wiedziałam, że jeśli zbliżę do siebie skrzydła lustra, pojawi się niezliczona liczba świec ustawionych w rzędzie jak okiem sięgnąć... Pokój wydawał mi się ciemny, znacznie ciemniejszy niż poprzednio, świeca płonęła jasno; trzymając ją w ręce, szłam korytarzem, schodziłam w dół, skręciłam za róg. Niewątpliwie zaraz kogoś spotkam. Muszę spotkać.

Na skraju lustra dostrzegłam ruch. Drgnęłam i obróciłam się. Jeszcze przed chwilą stała za mną jakaś postać. Ale teraz nie było nikogo. Oprzytomniałam całkowicie i usłyszałam lekkie

mruczenie telewizora dochodzące z sąsiedniego pokoju oraz głos sprawozdawcy sportowego: „Strzela! Gol! Wspaniały, błyskawiczny strzał! Mógł być słupek. Zaraz zobaczymy powtórkę”.

Spojrzałam na świstek papieru. A na nim, wypisane koślawym, z pewnością nie moim charakterem pisma, widniało jedno słowo: „Dziób”.

Zdmuchnęłam świecę i zapaliłam górne światło. Dziób. Co to, do diabła, ma znaczyć? Wzięłam słownik wyrazów bliskoznacznych, którym posługiwałam się, szukając synonimów często używanych przeze mnie słów, jak na przykład drgać – drżeć, dygotać, trząść się, i zajrzałam pod hasło „dziób”.

1. Wydłużona przednia część głowy ptaków obejmująca otwór gębowy; ma kształt dwóch zgrubiałych, rogowych pochew, różnorodnie ukształtowanych, wspartych na zrębie kostnym.

2. D. dziobu a. dzioba, przednia część okrętu, statku, łodzi itp.

3. Wydłużone wystające zakończenie niektórych przedmiotów.

4. Zwykle w 1. mn. blizny na twarzy, najczęściej po ospie.

Co za głupie słowo, pomyślałam. Na nic mi się nie zda przy Penelopie i Estelle. Wtedy do mnie dotarło, co się właściwie stało: napisałam słowo, nie będąc tego świadoma. I nie tylko to – w lustrze, czy raczej w pokoju, zobaczyłam kogoś, kto za mną stał. Nie mogłam się mylić. Przypomniało mi się w tej chwili wszystko, co mi mówiła Leda Sprott – to była prawda, bez wątpienia: ktoś miał dla mnie przesłanie. Zapragnęłam znów iść tym ciemnym, lśniącym korytarzem, chciałam zobaczyć, co jest na drugim końcu...

Ale jednocześnie nie chciałam. To było zbyt przerażające. A zarazem zbyt ośmieszające: co ja wyprawiam – zabawiam się ze

świeczkami i lustrami jak osiemdziesięciolatki Ledy Sprott. Potrzebne mi jest przesłanie dla Penelopy, ale przecież nie za cenę podpalenia się.

Poszłam do kuchni i nalałam sobie następnego drinka.

I tak się zaczęło. Lustro zwyciężyło, ciekawość okazała się silniejsza. Odsunęłam na bok Penelopę. Niech sobie siedzi na swoim krześle, później się nią zajmę. To słowo nie było przeznaczone dla niej, tylko dla mnie, a ja byłam ciekawa, co ono ma znaczyć. Nazajutrz rano poszłam do najbliższego sklepu Loblawsa, kupiłam sześć par uroczystych świec i wieczorem, kiedy Artur oglądał w telewizji rozgrywki piłki nożnej, znów weszłam w głąb lustra.

Moje obecne doświadczenie do złudzenia przypominało poprzednie i przez najbliższe trzy miesiące, kiedy powtarzałam swój eksperyment, było właściwie takie samo. Za każdym razem miałam uczucie, że idę długim, wąskim korytarzem wiodącym w dół i że jeśli tylko skręcę za najbliższy róg albo za następny – bo te wyprawy stawały się coraz dłuższe – znajdę tę rzecz, prawdę, słowo czy osobę przeznaczoną dla mnie, która tam na mnie czeka. Zmieniło się tylko jedno: przestałam mieć wrażenie, że ktoś za mną stoi. Kiedy budziłam się z transu – bo chyba tak to można nazwać – zwykle w notatniku przed sobą znajdowałam słowo, czasem kilka słów albo nawet i zdanie, chociaż dwa razy były to jedynie jakieś bazgroły. Wpatrywałam się w te słowa, usiłując doszukać się w nich jakiegoś sensu, sprawdzałam je w słowniku i wtedy często obrastały tkanką innych słów.

Kim ta stojąca jest u dziobu,
Kim, która płynie tam
pod nieba łukiem, pod ziemi łukiem,
pod łukiem zrobionym ze strzał
w łodzi śmiertelnej śpiewa czemu.

Przyklękła schylona
władzy brzemieniem,
jej ciemne łzy,
strzępy jej łez,
jej łzy to śmierć, twój lęk
i pod tę wodę, pod wodne niebo
jej łez padają ciemne kwiaty.

Ani nie wiedziałam, co to ma znaczyć, ani nigdy nie mogłam dotrzeć do końca korytarza.

W każdym razie słowa, które w ten sposób zbierałam, stawały się coraz bardziej dziwaczne, a nawet groźne: „żelazo", „gardło", „nóż", „serce". Początkowo zdania koncentrowały się wokół tej samej postaci, tej samej kobiety. Po chwili zaczynałam ją niemal widzieć: żyła gdzieś pod ziemią albo w piwnicy wielkiego budynku, czasami widziałam ją w łódce. Miała ogromną władzę, prawie jak bogini, ale nie była to władza dająca szczęście. Ta kobieta mnie zdumiewała. Nie przypominała mi nikogo z moich wyobrażeń i z całą pewnością nie miała nic wspólnego ze mną. Ja byłam zupełnie inna, byłam szczęśliwa. Szczęśliwa i głupia.

Potem zaczął się pojawiać ktoś inny, mężczyzna. Coś między nimi dwojgiem się nawiązywało, na kartkach powstawały jakieś

zaszyfrowane listy miłosne, niejasne, przerażające. Wyczuwałam w tym mężczyźnie kogoś złego, ale trudno było powiedzieć o nim coś więcej. Niekiedy wydawał się dobry. Miał wiele wcieleń. Czasem następowały akapity jakby z innej książki, a czasem nudne, banalne kazania na temat sensu życia.

Wszystkie te słowa i dłuższe fragmenty, które udało mi się z nich złożyć, trzymałam w teczce zatytułowanej „Przepisy". Nieraz do tej samej teczki chowałam notatki do moich powieści grozy, chociaż maszynopisy leżały w szufladzie z bielizną.

Bywało, że pomiędzy tymi seansami, w dzień, kiedy zmywałam naczynia czy błądziłam wśród półek domu towarowego, opadały mnie nagle wątpliwości. Co ja najlepszego robię? Dlaczego to robię? Jeśli już mam się hipnotyzować, czy nie powinno to służyć jakiemuś zbożnemu celowi, na przykład rzuceniu picia? A może powoli dostaję bzika? Co by sobie pomyślał Artur, gdyby mnie na tym nakrył?

Nie wiem, do czego by doszło, gdybym się w to dalej zabawiała, bo w pewnym momencie musiałam przestać. Któregoś wieczoru weszłam w lustro i nie mogłam stamtąd wyjść. Szłam korytarzem jak zwykle ze świecą w ręku, gdy świeca zgasła. Przypuszczam, że naprawdę musiała zgasnąć, dlatego utknęłam w ciemności, niezdolna się poruszać. Kompletnie straciłam poczucie kierunku, bałam się nawet obrócić, żeby nie zabrnąć głębiej. Czułam się tak, jakbym się dusiła.

Trudno powiedzieć, jak długo to trwało, może całe wieki, ale nagle poczułam, że Artur mną potrząsa, wyraźnie zły.

– Joan, co ty wyprawiasz? Co się z tobą dzieje?

Byłam z powrotem w sypialni. Z wdzięczności zarzuciłam mu ręce na szyję i zaczęłam płakać.

– Przeżyłam coś okropnego.

– Ale co takiego? Zastałem cię tutaj, po ciemku, wpatrującą się w lustro. Co się stało?

Nie byłam w stanie wyznać mu prawdy.

– Zobaczyłam kogoś za oknem – powiedziałam. – Mężczyznę. Zaglądał do środka.

Artur rzucił się do okna, a ja szybko spojrzałam na kartkę. Nie było na niej nic, nawet znaczka czy choćby jakiegoś gryzmołu. Przysięgłam sobie z miejsca dać spokój tym bzdurom. Leda Sprott powiedziała, że potrzebny jest trening, i teraz byłam gotowa jej uwierzyć. Nazajutrz wyrzuciłam wszystkie świeczki i wróciłam do Penelopy i sir Percy'ego Somerville'a. Chciałam jak najprędzej zapomnieć o moim wypadzie w nadprzyrodzone. Nie jestem stworzona do wiedzy tajemnej, powiedziałam sobie. Wykreśliłam scenę z lustrem. Z gwałtem i morderstwem Penelopa będzie sobie musiała poradzić tak samo jak wszyscy inni.

Ale została mi cała kolekcja kartek. Kilka tygodni później wyjęłam je i przejrzałam. Materiał wydał mi się nie gorszy od wielu podobnych rzeczy, które zdarzało mi się widywać w księgarniach. Pomyślałam, że może zainteresuję nim któreś z małych wydawnictw eksperymentalnych, przepisałam więc wszystko i posłałam do Black Widow Press. Niemal odwrotną pocztą przyszedł list, który oceniłam jako dość grubiański.

„Szanowna Pani Foster, szczerze mówiąc, to, co Pani nadesłała, przypomina skrzyżowanie Khalila Gibrana

z Rodem McKuenem. Niektóre fragmenty nie są pozbawione wartości literackiej, ale niestety, cały zbiór jest nierówny i niekonsekwentny. Może powinna Pani zacząć od publikacji w czasopismach literackich. Albo proszę się zwrócić do Mortona i Sturgessa, to ich profil wydawniczy".

Przez jakiś czas byłam przygnębiona. Może mają rację, może to jest nic niewarte. Nie sądzę, aby poprawiło sytuację, jeśli im powiem, że rękopis został mi podyktowany przez siły będące poza moją kontrolą. Dlaczego mimo wszystko zależało mi, żeby to opublikować? Za kogo się uważałam? „Za kogo ty się masz?" – pytała mnie zazwyczaj matka, z reguły nie czekając na odpowiedź.

Ale miałam takie samo prawo spróbować jak ktokolwiek inny. Otrząsnęłam się i wysłałam kartki do Mortona i Sturgessa. Zupełnie nie byłam przygotowana na to, co się stało.

Na decydujące spotkanie zaproszono mnie do baru w hotelu przy Park Street. Nigdy tam do tej pory nie byłam – ten lokal nie należał do miejsc, które odwiedzałby Artur. Był zbyt drogi, po pierwsze, a po drugie, w sposób oczywisty przeznaczony dla kapitalistów. Wbrew mojej woli zrobił na mnie wrażenie.

Na spotkanie przyszło ich trzech: John Morton, nobliwie wyglądający właściciel wydawnictwa, Dough Sturgess, jego odpowiedzialny za plany wydawnicze wspólnik, który wydał mi się Amerykaninem, i mizerny młody człowiek, Colin Harper, którego Sturgess mi przedstawił i serdecznie zarekomendował jako redaktora i „też poetę".

Wszyscy trzej zamówili martini. Miałam ochotę na podwójną szkocką, ale nie chciałam, żeby o mnie źle pomyśleli, przynajmniej nie od razu. I tak wiedziałam, że wkrótce sami się przekonają. Poprosiłam więc o grasshoppera.

– No cóż... – zaczął John Morton, zetknąwszy czubki palców i patrząc na mnie życzliwie.

– Tak – dodał Sturgess. – Zaczynaj, Colin.

– Hm... Doszliśmy do wniosku, że te pani rzeczy przypominają mieszaninę Khalila Gibrana i Roda McKuena – wykrztusił Colin Harper.

– O – powiedziałam. – To chyba bardzo źle, prawda?

– Źle? – powtórzył Sturgess. – Ona powiedziała „źle"? Czy pani się orientuje, w jakich nakładach sprzedajemy tych facetów? Dziewczyno, to idzie jak Biblia. – Miał na sobie garnitur z marynarką typu safari.

– Czyli chcecie to wydać? – spytałam.

– Przecież to jest dynamit – odparł Sturgess. – No, czy to nie wspaniała dziewczyna? Będzie kapitalna okładka. Cztery kolory, jest w robocie. Czy pani gra na gitarze?

– Nie – odparłam zdziwiona. – A dlaczego pan o to pyta?

– Zrobilibyśmy z pani kogoś w rodzaju Leonarda Cohena w żeńskim wydaniu – rzekł Sturgess.

Pozostali dwaj sprawiali wrażenie lekko speszonych.

– Oczywiście tekst będzie wymagał pewnej drobnej adiustacji – powiedział Morton.

– Tak – potwierdził Colin. – Można by zrezygnować z co bardziej...

– Oczywiście niech tu i tam trochę tego zostanie – dodał Sturgess. – Bo, mówiąc szczerze, niektóre fragmenty są niezbyt zrozumiałe: na przykład co ma znaczyć ten mężczyzna z żonkilami i zębami jak sople lodu?

– A mnie się to podoba – rzekł Colin. – To takie jakby trochę z Junga...

– Ale ten kawałek z drogą życia...

– A mnie się on właśnie podoba – odezwał się Sturgess. – To jest przynajmniej jasne, coś, na czym można palec położyć...

– Panowie, to są szczegóły – zabrał głos Morton. – Później możemy wszystko omówić. Jasne jest jedno: to książka, w której każdy znajdzie coś dla siebie. Moja droga – zwrócił się do mnie. – Z największą radością opublikujemy pani książkę. Czy ma już pani gotowy tytuł?

– Jeszcze nie – odparłam. – Prawdę mówiąc, niewiele się nad tym zastanawiałam. Jeśli mam być szczera, to nie wierzyłam, że coś z tego wyjdzie. Nie bardzo się na tym znam.

– A co byście powiedzieli na ten oto fragment – rzekł Sturgess, kartkując maszynopis. – To zwróciło moją uwagę. Część piąta:

Na tronie żelaznym zasiada
Jest trójjedyna
Pani ciemna pani złocista
Pani biała wyrocznia
z krwi, która wymaga
posłuszeństwa zawsze
Straciła skrzydła
W dół rzeki spływa
ostatnią nucąc pieśń

I tak dalej.

– Tak – potwierdził Morton – to jest głębokie. To mi coś przypomina.

– Miałem na myśli, że tu jest gotowy tytuł – powiedział Sturgess. – *Pani Wyrocznia*. To jest to, ja mam nosa do tytułów. Ruch kobiecy, okultyzm, macie tu wszystko.

– Ale ja bym nie chciała publikować tej książki – wtrąciłam – jeśli ona nie jest naprawdę dobra. – Byłam właśnie przy trzecim grasshopperze i zaczynałam odczuwać upokorzenie. Zaczynałam się także zastanawiać nad Arturem. Co sobie o tym pomyśli, o tej nieszczęsnej, choć gorącej i – wiedziałam już teraz – trochę niedorzecznej miłości między kobietą w łódce a mężczyzną w płaszczu, z zębami jak sople lodu i oczyma jak płomienie?

– Dobrze – powiedział Sturgess. – Niech sobie pani nie zawraca swojej ślicznej główki tym, czy to dobre, czy niedobre. Od tego my jesteśmy, prawda? Już ja sobie z tym poradzę. Dobrych rzeczy jest na kopy, a to jest wspaniałe.

22

– Artur, chcą mi wydać książkę. – Była jedenasta wieczór, Artur oglądał właśnie wiadomości w telewizji i miałam nadzieję, że nie dosłyszy, co mówię. Ale dosłyszał.

– Co takiego? – spytał. – Książkę? Tobie?

– Tak – odpowiedziałam.

Sprawiał wrażenie przerażonego. Przyciszył telewizor.

– A o czym?

– To coś w rodzaju... To znaczy można powiedzieć, że to jest książka o roli kobiety i mężczyzny w naszym społeczeństwie. – Troszkę mi się zrobiło głupio, pomyślałam bowiem o części czternastej, o tej z uściskiem miłosnym między żelazną dziewicą, gładką z wierzchu, lecz w środku najeżoną kolcami, a mężczyzną w nadmuchanym gumowym kombinezonie. Ale usiłowałam znaleźć coś, co by Artur zaakceptował, i chyba mi się udało, bo przestał się chmurzyć.

– To dobrze – powiedział. – Zawsze ci mówiłem, że jesteś zdolna. Jak chcesz, mogę przejrzeć maszynopis. I poprawić.

– Dzięki, ale książka jest już zredagowana.

Była to prawda: biedny Colin Harper przeczytał maszynopis kilka razy od deski do deski, wykreślając różne rzeczy i pisząc na

marginesach „usunąć”. Usiłował być taktowny, musiał się jednak czuć bardzo skrępowany. Dwukrotnie używał określenia „melodramatyczne”, a raz „wrażliwość gotycka”, co mnie przeraziło. Aha, pomyślałam, wie. Ale to był przypadek.

– Książka jest już w drukarni. Chcą, żebym wystąpiła w telewizji – dodałam, prawdopodobnie po to, żeby zrobić na Arturze wrażenie.

Bo Artur był znów niezadowolony, co przewidziałam.

– Dlaczego mi wcześniej o tym nie powiedziałaś?

– Byłeś taki zajęty – mruknęłam. – Nie chciałam ci zawracać głowy. – Istotnie, Artur poznał nową grupę ludzi i właśnie nabierał nowego rozpędu.

– Ależ to cudowne – oświadczył. – Muszę tę książkę przeczytać. Chodźmy gdzieś to uczcić, zresztą i tak chciałem, żebyś poznała pewnych ludzi.

Lokal, który wybrał Artur, żeby uczcić tę okazję, nosił nazwę Young Lok Gardens i mieścił się przy Spadina Street.

– Tak było u Sai Woo, zanim zrobił się sławny – powiedział Artur. Należało przez to rozumieć, że lokal jest tani. Już tam kiedyś jedliśmy i było smacznie, ale dla mnie taka uroczystość wymagała co najmniej paru drinków i w miarę możności świec. Tymczasem Young Lok Gardens nie miało licencji na alkohol.

Artur jednak był w drażliwym nastroju, więc nie proponowałam nic innego. Podeszliśmy do przystanku i tam wsiedliśmy w autobus. Artur w dalszym ciągu nie zgadzał się na kupienie samochodu; to marnotrawstwo – utrzymywał. Wiedziałam, że z moralnego punktu widzenia ma rację; zawsze miał rację

z moralnego punktu widzenia. Było to wspaniałe, ale zaczynało mnie męczyć.

Ludzie, z którymi mamy się spotkać, to Don i Marlena Pughowie – wyjaśnił mi Artur. Artur i Don prowadzili zajęcia na tym samym wydziale i łączyły ich wspólne poglądy. Artur – jak mi wyznał – podziwiał Dona za umysł. Był bardzo dobry w podziwianiu cudzych umysłów – na początku. Ale potem zawsze potrafił się dopatrzyć jakiejś skazy, jakiegoś słabego punktu. „Nikt nie jest ideałem" – mówiłam mu i miałam coraz większą ochotę dodać: „Nawet ty".

Weszliśmy do Young Lok Gardens, gdzie jak zwykle panował tłok. Para siedząca pod przeciwległą ścianą pomachała do nas i przecisnęliśmy się pomiędzy stolikami, żeby się do nich przysiąść.

– Joan, to jest Don Pugh i jego żona Marlena – przedstawił ich Artur, a mnie nagle zrobiło się słabo. Znałam Marlenę. Byłyśmy razem w zuchach.

Nie zmieniła się wiele, w dalszym ciągu była znacznie szczuplejsza ode mnie. Miała na sobie spłowiały drelichowy żakiet z wyhaftowanym na kieszeni kwiatkiem i dżinsy, rzadkie blond włosy, nierówno obcięte, niedbale puszczone do ramion. Nosiła okrągłe okulary w metalowej oprawce. Była szczupła i muskularna, na czterech palcach lewej dłoni miała szerokie srebrne pierścionki przypominające kastety. Mogłam się założyć, że przefrunęła do skautów, zdobywając wszystkie możliwe sprawności, że chodziła na kursy tańca nowoczesnego, na psychoterapię, karate, stolarstwo. Uśmiechnęła się do mnie, opanowana i pewna siebie. Ja oczywiście cała byłam we frędzlach:

miałam na sobie szal, zwisający naszyjnik, za pomocą którego można mnie było z łatwością udusić, i chustkę. Nieumyte włosy i brudne paznokcie stwarzały takie wrażenie, jakbym miała rozwiązane sznurowadła – chociaż sznurowadeł nie miałam w ogóle.

Na udach i ramionach wykwitły mi nagle wałki tłuszczu, brzuch spęczniał jak dynia, przez czaszkę przebił się brązowy wełniany beret, długie ciepłe majtki otuliły przerażone biodra, a gdzieś w głębi za oczami wzbierały łzy. Jak wirus atakujący osłabione gardło moja uśpiona przeszłość ruszyła do boju.

– Miło mi poznać – powiedziała Marlena.

– Przepraszam – odparłam – ale muszę iść do toalety.

Ruszyłam w stronę „Dla pań", odprowadzana zdumionymi spojrzeniami obecnych. Dobrnąwszy na miejsce, zamknęłam się w kabinie i usiadłam, ogarnięta falą rozczulenia nad sobą, pochlipując i wydmuchując nos. Ładna mi uroczystość. Marlena, moja prześladowczyni, która mnie przywiązała na mostku i zostawiła – żywą ofiarę złożoną potworowi wąwozu; Marlena – pomysłowy inkwizytor. Znów zostałam wydana na pastwę koszmaru swego dzieciństwa – w nieustannej pogoni za obojętnymi albo pełnymi pogardy rówieśnikami, żebrząca o dobre słowo. Nie poznała mnie, ale gdyby poznała, wiedziałam, jak by się zachowała: pobłażliwym uśmiechem skwitowałaby swoje poprzednie wcielenie, a ja bym się spaliła ze wstydu. A przecież nie zrobiłam nic, czego musiałabym się wstydzić, to raczej ona powinna być zażenowana. Skąd więc u mnie poczucie winy, dlaczego jej miało ujść na sucho? Bo ona korzystała ze swobody silnych, ja zaś miałam poczucie winy słabych, tych, których się

łapie na gorącym uczynku, tych, którzy przegrywają. Nienawidziłam jej.

Przecież nie będę tu siedziała całą noc. Przetarłam twarz wilgotnym papierowym ręcznikiem i poprawiłam makijaż. Muszę to przetrzymać.

Kiedy wróciłam do stolika, jedli właśnie rybę na słodko-kwaśno, całą, z wytrzeszczonymi upieczonymi oczami. Prawie nie zauważyli mojego powrotu, byli pochłonięci dyskusją na temat imperializmu kulturalnego Stanów Zjednoczonych. Dołączył do nich łysiejący blondyn o smętnym spojrzeniu. Z rozmowy wywnioskowałam, że ma na imię Sam – nikt nie raczył mi go przedstawić.

Siedziałam i przysłuchiwałam się, jak odbijają argumenty niby piłeczki pingpongowe, licząc punkty. Decydowali o przyszłości kraju. Czy ma być nacjonalizm z zabarwieniem socjalistycznym, czy też socjalizm z zabarwieniem nacjonalistycznym. Wyglądało na to, że Don jest od statystyki, natomiast do Artura należał zapał. Sam występował jako teoretyk; okazało się, że studiuje w jeszibie. Marlena ferowała opinie. Jej mocną stroną jest pewność siebie, pomyślałam. Była jeszcze bardziej pewna siebie niż Artur. Miała w ręku wszystkie atuty – pracowała kiedyś w fabryce, co na reszcie robiło wielkie wrażenie. Do mnie nikt nie odezwał się słowem. Uważałam, że Artur mógłby wspomnieć o mojej książce, ale on się asekurował. Nie chciał nic mówić, dopóki jej nie przeczyta, nie ufał mi. Gdybym chciała nawiązać z kimś przy stole kontakt, mogłam liczyć tylko na pieczoną rybę, zredukowaną już w tej chwili do kręgosłupa i głowy.

– Może byśmy zamówili ciastka z wróżbą? – powiedziałam z wymuszoną wesołością. – Uwielbiam je, a ty, Arturze? – Artur spełnił moje życzenie z taką miną, jakby ulegał kaprysowi rozpieszczonego dziecka. Marlena spojrzała na mnie z pogardą.

Postanowiłam chwycić byka za rogi. Byłam przygotowana na najgorsze i chciałam mieć to z głowy.

– Wydaje mi się, że byłyśmy razem w zuchach – zwróciłam się do Marleny.

Roześmiała się.

– W zuchach? W zuchach byli wszyscy.

– Ja byłam w grupie Krasnali.

– Kto by sobie takimi rzeczami zaprzątał głowę – odparła. – Niewiele mi z tego zostało. Pamiętam tylko, że po zbiórce chowałyśmy się w szatni i dzwoniłyśmy do różnych ludzi z kościelnego telefonu. Jak się ktoś odezwał, mówiłyśmy: „Jutro umrzesz", i rzucałyśmy słuchawkę. To chyba wszystko.

Pamiętałam doskonale tę zabawę, ponieważ nigdy mnie do niej nie dopuszczały. Byłam zdziwiona, że w dalszym ciągu sprawia mi to taką przykrość. Ale jeszcze większą przykrość sprawiło mi to, że Marlena mnie nie poznała. Cóż za niesprawiedliwość: epizod tak dla mnie upokarzający nie zrobił na niej najmniejszego wrażenia.

Nadeszły ciastka z wróżbą. Don i Artur zignorowali swoje całkowicie, reszta zajrzała do swoich. W moim było: „Czeka cię nowa miłość". Sam dostał obietnicę bogactw, a Marlena: „Najlepiej być sobą".

– Mnie przypadła omyłkowo cudza wróżba – powiedział Sam.

– No, nie wiem – odparła Marlena. – Zawsze byłeś teoretycznym kapitalistą. – Najwyraźniej znali się lepiej, niż na to wyglądało.

– Ja też dostałam złą wróżbę – stwierdziłam. Uważałam, że mnie należała się ta, która przypadła Marlenie. „Najlepiej być sobą" – szeptał mi do ucha cichy, miękki głos, jak głos sumienia. Ale którą sobą, którą? Gdybym kiedyś rzeczywiście zaczęła być sobą, to już sobie wyobrażam, jakie by to wywołało przerażenie.

– Co się z tobą działo? – zapytał mnie Artur po powrocie do domu.

– Nie wiem – odparłam. – Jeśli mam być całkiem szczera, to Marlena nie przypadła mi specjalnie do gustu.

– A ty jej się bardzo podobałaś. Powiedziała mi, to kiedy byłaś w klopie.

– Za pierwszym razem?

– Nie, chyba za trzecim.

Dzięki ci, Boże, za kabiny w toaletach, pomyślałam, jedyne miejsce, w którym można się w prawdziwej samotności pomodlić i pomedytować. Ale o co ja się modliłam? Modliłam się, z całego serca, żeby Marlenę pochłonęła ziemia.

W następnym tygodniu Marlena i Don, z nieodłącznym Samem, prawie się do nas przeprowadzili. Marlena stała się platonicznym ideałem Artura. Nie tylko miała umysł, za który mógł ją podziwiać, ale także wspaniale gotowała, głównie potrawy jarskie. Don i Marlena mieli dwójkę małych dzieci i chociaż to Artur dekorował naszą sypialnię wszelkimi możliwymi środkami antykoncepcyjnymi, zmuszał mnie do brania pigułki, zrzędził,

kiedy po niej wymiotowałam, robił się zielony za każdym razem, gdy spóźniała mi się miesiączka – to właśnie teraz ten sam Artur miał do mnie cichą pretensję o to, że nie mam dzieci.

Marlena była redaktorem naczelnym „Zmartwychwstania", niewielkiego lewicowego pisma nacjonalistycznego, w którym Don pracował jako redaktor, a Sam jako jego zastępca. Artur bardzo szybko zaczął współpracować z redakcją. Napisał solidnie udokumentowany artykuł na temat zakładów branżowych, który Marlena czytała, przypalając papierosa od papierosa (jej jedyna wada), kiwając z namysłem głową i wygłaszając uwagi w rodzaju: „O, to bardzo ważne". Artur promieniał. Muza, psiakrew – wściekałam się w duchu; nigdy nie zadała sobie trudu, żeby mi pomóc przynajmniej w podawaniu kawy, zawsze musiałam zajmować się tym sama. Było to minimum tego, co mogłam zrobić dla sprawy – jak się wyraził Artur – postanowiłam więc ograniczyć się do minimum.

Byłam zazdrosna o Marlenę, ale nie w zwykły sposób. Nie przyszło mi nawet do głowy, że Artur mógłby choć dotknąć jej małego, chudego tyłka, podobnie jak gorliwy katolik nie dotknąłby Matki Boskiej. Wkrótce zresztą stało się dla mnie jasne, że Marlena ma romans z Samem i że Don nic o tym nie wie. Postanowiłam nikomu nie mówić, jeszcze nie teraz. Natychmiast mi to poprawiło humor; zaczęłam kupować ciastka, które podawałam do kawy, uczestniczyłam w naradach redakcyjnych. Szczególnie miło traktowałam Sama, wiedziałam, że jest bardzo spięty. I chociaż był tak samo zapalony i oddany sprawie jak Artur, to jednak miał drugie, bardziej ludzkie oblicze, które objawiał jedynie w kuchni, pomagając mi przy kawie. Podobało mi

się to, że mi pomaga i że jest w kuchni jeszcze bardziej niezręczny niż ja.

Tymczasem z wydawnictwa nadeszła korekta szpaltowa *Pani Wyroczni.* Czytałam ją ze wzrastającą obawą. Książka wydała mi się dość dziwna. W gruncie rzeczy, może z wyjątkiem stylu, bardzo przypominała jedną z moich zwykłych powieści grozy, w której jednak coś było nie tak. Jakby mi wyszła do góry nogami. Były niby cierpienia, był bohater udający czarny charakter i czarny charakter udający bohatera, były ucieczki, groźby śmierci, poczucie uwięzienia, ale zabrakło szczęśliwego zakończenia, prawdziwej miłości. Odkrycie tego podobieństwa mnie zaniepokoiło. Może zamiast do wydawnictwa powinnam była pójść do psychiatry. Przypomniał mi się psychiatra, do którego wysłała mnie matka. Niewiele mi pomógł, a zresztą kto wie, co to takiego automatyczne pismo. Może nie należało używać swojego nazwiska, czy raczej nazwiska Artura – nie musiałabym mu wtedy pokazywać książki. Bałam się tej chwili coraz bardziej. Nie wspomniał o książce ani razu, od kiedy mu o niej powiedziałam, ja też nie. I chociaż brak zainteresowania z jego strony sprawiał mi przykrość, to jednak byłam zadowolona, że dzień sądu się odwleka. Arturowi książka się nie spodoba – byłam tego pewna – nie spodoba się zresztą nikomu.

Zadzwoniłam do Sturgessa z wydawnictwa Morton i Sturgess.

– Rozmyśliłam się – powiedziałam. – Nie zgadzam się na opublikowanie książki.

– Co takiego? – zdziwił się Sturgess. – Dlaczego?

– Trudno mi to wyjaśnić – odparłam. – Ze względów osobistych.

– Przecież podpisała pani umowę.

Na szczęście nie krwią, pomyślałam.

– Czy mimo to nie moglibyśmy całej sprawy odwołać?

– Książka jest w produkcji – powiedział Sturgess. – A może byśmy się umówili na drinka i przedyskutowali sprawę?

Poklepał mnie po plecach, w sensie przenośnym oczywiście, i zapewnił, że wszystko będzie dobrze. Wolałam mu uwierzyć.

Potem dzwonił do mnie od czasu do czasu, żeby mnie podnieść na duchu. Mówił na przykład tak: „No, dodajemy gazu". Albo: „Wyeksponowaliśmy panią w paru najważniejszych miejscach", albo: „Wysyłamy panią w podróż przez całą Kanadę". To ostatnie przypomniało mi królową, jak stoi na końcu pociągu i macha ręką. Czy i ja tak będę musiała? Pomyślałam także o Panu Fistaszku, który w pewne soboty przychodził na parking Loblawsa. Miał nogi i ręce, występował w kamaszach i białych rękawiczkach, ale całe jego ciało było jednym wielkim fistaszkiem. Wykonywał człapiący taniec, a w tym czasie dziewczyny sprzedawały książeczki do kolorowania i torebki fistaszków. Jako dziecko uwielbiałam go, ale nagle dotarło do mnie, co to znaczy być fistaszkiem – to znaczy być na widoku, czuć się głupio, dusić się. Może nie powinnam podpisywać umowy tak lekkomyślnie, tak beztrosko, po piątym grasshopperze. W miarę jak zbliżał się termin ukazania się książki drukiem, co rano budziłam się z jakimś niejasnym złym przeczuciem, zanim sobie uprzytomniłam jego przyczynę.

Nadejście egzemplarzy sygnalnych trochę mnie jednak uspokoiło. Książka wyglądała na zupełnie prawdziwą. Na czwartej stronie okładki było moje zdjęcie, też jak prawdziwej autorki. Louisa K. Delacourt nigdy nie miała zdjęcia na okładce. Trochę mnie zaniepokoiła notka na obwolucie: „Nowoczesna

miłość i walka płci ukazane z wielką ostrością i szokującą szczerością". Nie uważałam, żeby taki był rzeczywiście temat książki, ale Sturgess zapewnił mnie, że wie, co robi.

– Pani pisze książkę, a nasza w tym głowa, jak ją sprzedać – wyjaśnił. Zawiadomił mnie również radośnie, że już „nadał" najważniejszą recenzję.

– Co to znaczy? – spytałam.

– Zadbaliśmy o to, żeby książka poszła do kogoś, komu się na pewno spodoba.

– Ale czy to nie jest nieuczciwe? – spytałam i Sturgess się roześmiał.

– Pani jest niesamowita – powiedział. – Oby tak dalej.

„Nieznana gwiazda pojawiła się na firmamencie literackim jak kometa" – głosiła pierwsza recenzja w „Toronto Star". Wycięłam ją i wkleiłam do nowego albumu z wycinkami, który kupiłam u Kresge'a. Zaczynało mi się poprawiać samopoczucie. Recenzja w „Globe" nazywała moją książkę w tym samym akapicie „gnomiczną" i „chtoniczną". Sprawdziłam oba terminy w słowniku. Ostatecznie mogło być gorzej.

(Ale nie zadałam sobie trudu, żeby się zastanowić nad naturą komet. Bryły kosmicznych odprysków z długimi rudymi włosami i efektownymi ogonami, odkrywane przez astronomów, którzy nazywają je swoimi nazwiskami. Zwiastuny nieszczęść. Heroldowie wojen).

23

Ofiarowałam Arturowi egzemplarz *Pani Wyroczni, z* dedykacją na pierwszej stronie: „Arturowi – z wyrazami miłości, Joan". Nie skwitował książki ani słowem, a ja bałam się zapytać, co o niej myśli. Zrobił się oziębły i zaczął coraz więcej czasu spędzać na uniwersytecie, przynajmniej tak mówił. Kiedy myślał, że nie widzę, posyłał mi pełne urazy spojrzenia. Nie wiedziałam, co o tym sądzić. Spodziewałam się komentarza, że książka jest burżuazyjna, pozbawiona smaku, mętna czy że jest jedną wielką mistyfikacją, zamiast tego zachowywał się, jakbym popełniła jakiś niewybaczalny, ale zarazem niemożliwy do nazwania grzech.

Poskarżyłam się Samowi, który miał teraz zwyczaj wpadać popołudniami na piwo. Wiedział, że wiem o Marlenie, więc mógł mi się zwierzać.

– Wpadłem w gówno po uszy – powiedział. – Marlena trzyma mnie za jaja i wykręca. Chce powiedzieć Donowi. Uważa, że powinniśmy być szczerzy i uczciwi. Teoretycznie to bardzo piękne, ale... Ona chce się do mnie sprowadzić, z dzieciakami i ze wszystkim. Chyba bym zwariował. A zresztą – podjął znów w tonie świętoszkowatym – pomyśl, co by się stało ze „Zmartwychwstaniem", rozpadłoby się.

– Fatalna sprawa – powiedziałam. – Ja też mam problem.

– Ty masz problem? – zdziwił się Sam. – Ty nigdy nie masz żadnych problemów.

– Tym razem mam. Chodzi o Artura i o moją książkę. On mi nawet nie powiedział, że jest zła. To zupełnie do niego niepodobne. Zachowuje się, jakby w ogóle nie istniała, a jednocześnie czuje się dotknięty. Czy rzeczywiście ta książka jest taka straszna?

– Muszę powiedzieć, że i ja nie przepadam za metaforami, ale uważam, że książka jest zupełnie niezła. Zawiera dużo prawdy. Na przykład cała ta sprawa małżeństwa tak szczerze pokazana. Nie znam Artura z tej strony, ale jako osoba postronna mogę tego nie widzieć, prawda?

– O Boże – jęknęłam. – Uważasz, że to jest książka o Arturze?

– Jak to? Artur też tak uważa – odparł Sam. – Przecież dlatego czuje się urażony. A nie jest?

– Oczywiście, że nie – odparłam. – W żadnym razie.

– Wobec tego kto to jest ten facet? – chciał wiedzieć Sam. – Jak Artur się zorientuje, że chodzi o kogoś innego, to będzie jeszcze bardziej wkurzony.

– Sam, ta książka nie jest o nikim konkretnym. Nie mam żadnego kochanka. Możesz mi wierzyć. To wszystko jest po prostu zmyślone.

– No to wpadłaś jak śliwka w kompot – rzekł Sam. – On w to nigdy nie uwierzy.

Tego się właśnie obawiałam.

– A może mógłbyś z nim pogadać?

– Spróbuję – obiecał. – Ale nie sądzę, żeby to coś pomogło. Co miałbym mu właściwie powiedzieć?

– Nie wiem.

Musiał mu jednak coś powiedzieć, bo zachowanie Artura uległo pewnej zmianie. Dalej patrzył na mnie takim wzrokiem, jakbym go wydała w ręce hitlerowców, ale jak przystało na dobrego kumpla, postanowił więcej o tym nie wspominać.

– Kiedy będziesz pisała następną książkę, byłoby miło z twojej strony, gdybyś ją najpierw pokazała mnie. – I to było wszystko na ten temat.

– Nie mam już zamiaru pisać żadnych książek – odparłam.

Praca nad powieścią *Miłość, moje wybawienie* posuwała się wartko naprzód, ale Artur nie musiał o tym wiedzieć.

Miałam inne kłopoty na głowie. Plany strategiczne Sturgessa były w pełnym rozkwicie i zbliżało się moje pierwsze wystąpienie telewizyjne. Zaraz potem Morton i Sturgess wydawali przyjęcie na moją cześć. Byłam bardzo zdenerwowana. Przypudrowałam grubo nos, włożyłam długą czarną sukienkę i usiłowałam sobie przypomnieć, co broszurki ciotki Lou mówiły na temat wilgotnych dłoni. Chyba talk, pomyślałam. Przetarłam dłonie talkiem, wsiadłam w taksówkę i pojechałam do telewizji. Najlepiej być sobą – poradził mi Sturgess.

Moim rozmówcą okazał się młody mężczyzna, bardzo gorliwy. Dowcipkował z obsługą techniczną, kiedy zakładali mi pętlę na szyję; mikrofon, powiedzieli. Przełknęłam kilka razy ślinę. Czułam się jak Pan Fistaszek, duża i niezręczna. Zapalono ostre światła i młody, energiczny mężczyzna zwrócił się do mnie:

– Witamy panią w Popołudniowym Magazynie Na Gorąco. Dzisiaj gościmy panią Joan Foster, autora, czy raczej autorkę, błyskotliwego bestsellera *Pani Wyrocznia.* Proszę mi powiedzieć,

czy woli pani podczas naszego spotkania występować pod nazwiskiem panieńskim, czy pod nazwiskiem męża?

Właśnie napiłam się wody i tak gwałtownie odstawiłam szklankę, że resztę wylałam. Oboje udawaliśmy, że woda nie płynie przez cały stół i nie ścieka do butów mojemu rozmówcy.

– To obojętne – odpowiedziałam.

– Czyli nie jest pani uczestniczką ruchu wyzwolenia kobiet?

– Rzeczywiście, nie jestem. Owszem, podzielam niektóre ich poglądy, ale...

– Pani Foster, czy jest pani szczęśliwa w małżeństwie?

– O tak, i to od lat.

– Dziwne. Przeczytałem książkę i wydaje mi się ona bardzo gniewna. Chyba na miejscu pani męża nie byłbym zachwycony. Co pani o tym sądzi?

– To nie jest książka o moim małżeństwie – odparłam poważnie. Mężczyzna uśmiechnął się głupawo.

– Ach, nie? To może nam pani zdradzi, co panią zainspirowało do jej napisania.

Powiedziałam prawdę. Może nie powinnam była tego robić, ale gdy już zaczęłam, nie mogłam się powstrzymać.

– Eksperymentowałam trochę z pismem automatycznym. Pan wie, jak to się robi: siada się przed lustrem z kawałkiem papieru, długopisem, zapaloną świecą i... i potem... te słowa... one jak gdyby są mi dane. To znaczy znajduję je napisane, bez mojego udziału, jeśli pan rozumie, co mam na myśli. Następnie... No, w każdym razie tak do tego doszło.

Czułam się jak skończona idiotka. Miałam ochotę na łyk wody, ale nic już nie zostało w szklance. Rozlałam wszystko.

Mój rozmówca był bezradny. Posłał mi spojrzenie, które wyraźnie mówiło, że robię go w konia.

– Chce pani powiedzieć, że te poezje zostały napisane przez jakąś duchową rękę? – usiłował zażartować.

– Tak – odparłam. – Coś w tym rodzaju. Sam pan może tego spróbować po powrocie do domu.

– No cóż – powiedział prezenter. – Dziękujemy pani serdecznie, że znalazła pani dla nas chwilę czasu. To była, proszę państwa, nasza urocza pani Joan Arturowa Foster – ależ ja za to dostanę! – nie, po prostu pani Joan Foster, autorka *Pani Wyroczni.* I ja, Barry Finkle, gospodarz dzisiejszego Popołudniowego Magazynu Na Gorąco.

Na przyjęciu Sturgess wziął mnie za łokieć i popychał wokół sali, jakbym była wózkiem w domu towarowym.

– Bardzo mi przykro z powodu tego wywiadu – powiedziałam. – Nie powinnam była tego mówić.

– Co pani?! – zaszczebiotał wesoło. – To była bomba! Jak pani to wymyśliła? Ale go pani zrobiła!

– Wcale nie miałam takiego planu. – Przecież w żaden sposób mu nie wytłumaczę, że mówiłam prawdę.

Na przyjęciu były tłumy ludzi, ale nie miałam głowy do nazwisk. W każdym razie nakazałam sobie w myśli, żeby nie pić za dużo. Już raz tego dnia zrobiłam z siebie idiotkę. Muszę się pilnować. Siedzieć cicho.

Kiedy wreszcie Sturgess puścił mój łokieć, stanęłam pod ścianą. Ukrywałam się przed felietonistą, który oglądał program telewizyjny i chciał ze mną porozmawiać na temat zjawisk parapsychologicznych. Zbierało mi się na płacz. Co z tego, że

byłam jednodniową królewną, skoro czułam się jak Kopciuszek? I tak też się zachowywałam. Artur byłby upokorzony. W sumie to, co powiedziałam, daleko odbiegało od linii partyjnej. Nie żeby Artur należał do jakiejś partii. Zresztą co tam partia. Chodzi o party. A party jest tu. Skończyłam podwójną szkocką i poszłam po następną.

Kiedy brałam drinka w barze, podszedł do mnie jakiś mężczyzna.

– Czy to Pani Wyrocznia?

– Taki jest tytuł mojej książki.

– Tytuł bomba – oświadczył – książka niewypał. Popłuczyny po dziewiętnastym wieku. Mieszanka Roda McKuena z Khalilem Gibranem.

– Mój wydawca powiedział mi to samo.

– Rozumiem z tego, że odniosła pani sukces wydawniczy. Jakie to uczucie być wziętym złym pisarzem?

Zaczynała mnie ogarniać wściekłość.

– Niech pan opublikuje książkę, to się pan przekona.

– Spokojnie. – Uśmiechnął się. – Ma pani w każdym razie fantastyczne włosy. Niech ich pani nigdy nie obcina.

Tym razem na niego spojrzałam. I on był rudy, miał eleganckie wąsy i brodę – wąsy wypomadowane i podkręcone do góry na końcach, a brodę w szpic. Był ubrany w długą czarną pelerynę i kamasze, miał laskę ze złotą gałką, białe rękawiczki i cylinder ozdobiony kolcami jeżozwierza.

– Podoba mi się twój kapelusz – powiedziałam.

– Dzięki – odparł. – Miałem dziewczynę, która mi robiła takie ciuchy. Zrobiła mi też do tego rękawiczki, ale ja mam fioła na

punkcie takich rzeczy, jak ludzie w kolejkach po chleb, zdechłe psy, nylonowe pończochy – tego rodzaju historie. To jest mój strój galowy. A może byśmy tak poszli do mnie?

– Och, nie mogę, ale w każdym razie bardzo dziękuję.

Najwyraźniej go to nie speszyło.

– To chociaż przyjdź na moją wystawę. – Wręczył mi zaproszenie, lekko zaplamione. – Dziś było otwarcie. To kilka ulic stąd. Dlatego tu wlazłem na gapę, bo mnie znudziła moja impreza.

– W porządku – powiedziałam. Ostatecznie co mi szkodzi. W duchu czułam, że mi to pochlebia: już dawno nikt mnie nie podrywał. Poza tym spodobał mi się ten chłopak. On, czy też jego peleryna – nie byłam pewna. Zresztą chciałam uciec od felietonisty.

Otwarcie było w małej, podrzędnej galerii sztuki, Karykatura, a tytuł wystawy brzmiał *ROZ-DUSZANIE*.

– To coś w rodzaju kalamburu – wyjaśnił mi, kiedy szliśmy na Yonge Street. – Coś jak „rozpłaszczanie", kapujesz?

– Chyba tak – odparłam. Studiowałam zaproszenie w świetle padającym z wystawy. „Jeżozwierz Królewski" – przeczytałam. – „Mistrz poezji kon-kretów". Na zaproszeniu widniało zdjęcie artysty w pełnej gali, a obok fotografia zdechłego jeżozwierza, uchwyconego z dołu, tak że było widać długie przednie zęby.

– Jakie jest twoje prawdziwe nazwisko? – spytałam.

– To jest moje prawdziwe nazwisko – odparł nieco urażony. – Właśnie legalizuję jego zmianę.

– O – zdziwiłam się. – A dlaczego wybrałeś akurat takie?

– Jestem rojalistą. Popieram królową. Uważam, że powinienem się nazywać w sposób, który by to odzwierciedlał. To tak jak Poczta Królewska, Królewska Kanadyjska Policja Konna. Poza tym wydaje mi się, że takie nazwisko jest łatwe do zapamiętania.

– A skąd jeżozwierz?

– Zawsze byłem zdania, że bóbr jako symbol narodowy jest do niczego – wyjaśnił. – No bo pomyśl: bóbr. Zwierzę głupie i zbyt dziewiętnastowieczne, z całym tym przemysłem. Wiesz, dlaczego na nie polowano? Futro na czapki, jaja na perfumy. Co za los. A jeżozwierz robi, co mu się podoba, jest pokryty kolcami, więc nikt mu nie podskoczy. Ma poza tym dziwne upodobania: bobry gryzą drzewo, a jeżozwierz deski klozetowe.

– A ja myślałam, że jeżozwierza łatwo zabić – powiedziałam. – Wystarczy walnąć kijem.

– Propaganda – oświadczył.

Kiedy wchodziliśmy, wiele osób właśnie wychodziło; przed wejściem stały pikiety Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami, trzymając transparenty: „Chrońcie nasze zwierzęta”. Wystawa składała się z kilku zamrażarek ze szklanym wiekiem i szklaną przednią ścianą, przypominających gabloty z lodami i mrożonym sokiem w domach towarowych. W zamrażarkach leżały różne zdechłe zwierzęta, najwyraźniej przejechane przez samochody. Zwierzęta zamrożono natychmiast po znalezieniu i dokładnie w takich pozach, w jakich zginęły. Z boku, w miejscu zwykle zarezerwowanym na tytuł dzieła, wymiary i materiały – Kompozycja numer 72, 5×9 stóp, rurki akrylowo-nylonowe – każde z nich miało przyczepioną kartkę, na której był podany gatunek

zwierzęcia, miejsce, gdzie zostało znalezione, i opis obrażeń. Na przykład: „Pracz pospolity, młody, Don Mills 401, złamany kręgosłup, krwotok wewnętrzny" albo „Kot domowy, Russell Hill Road, zmiażdżona miednica". Były także: skunks, kilka psów, jelonek i jeżozwierz, jak również zwykłe koty, świstaki, krety i wiewiórki, a nawet wąż, ale tak zmasakrowany, że trudno go było poznać.

– Co o tym sądzisz? – spytał Jeżozwierz Królewski, kiedy obeszliśmy całą wystawę.

– Cóż... – powiedziałam. – Nie wiem. Nie znam się specjalnie na sztuce.

– To nie sztuka, to poezja – wyjaśnił, z lekka urażony. – Poezja kon-kretów. Jestem pierwszym, który przywrócił konkretom siłę twórczą.

– Na tym też się nie bardzo znam.

– To widać jasno z tego, co piszesz – stwierdził. – Takie rzeczy mógłbym machnąć lewą nogą. Jesteś taka sławna tylko dlatego, że to, co piszesz, jest przestarzałe, siostro. Kupują to, bo nie nadążają za teraźniejszością. Wsteczne lusterko, jak mówi McLuhan. Nowa poezja to poezja rzeczy. Niczego podobnego dotychczas nie było – rzekł Jeżozwierz Królewski, spoglądając w stronę drzwi galerii, skąd właśnie wychodziła kolejna grupa zielonych na twarzach, „znudzonych" wernisażowych bywalców. – Czy zdajesz sobie z tego sprawę?

– Sprzedałeś coś? – spytałam bystro.

– Nie – odparł. – Ale sprzedam. Powinienem pojechać z tą wystawą do Stanów, tutaj ludzie są strasznie ostrożni, każdy boi

się ryzyka. Dlatego Aleksander Graham Bell musiał jechać na południe.

– Mój mąż też tak mówi – rzuciłam.

Jeżozwierz Królewski spojrzał na mnie z nowym zainteresowaniem.

– Jesteś mężatką? Nie wiedziałem. Masz najbardziej seksowne łokcie, jakie kiedykolwiek widziałem. Myślę o zrobieniu wystawy poświęconej łokciom, to zupełnie niedoceniona część ciała.

– A skąd weźmiesz eksponaty? – spytałam.

– Pełno jest łokci dokoła – powiedział i wziął mnie za łokieć. – Chodźmy stąd.

Kiedy mijaliśmy pikietę Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami stojącą przed wejściem, szepnął:

– Oni nic nie rozumieją. Ja ich przecież nie roz-duszam, ja w nie tchnę jakby nową duszę. Co w tym złego?

– Dokąd idziemy? – spytałam Jeżozwierza Królewskiego, który w dalszym ciągu trzymał mnie za łokieć.

– Do mnie.

– Jestem głodna – powiedziałam wymijająco.

Poszliśmy więc do Zumsa na Bloor Street, gdzie zjadłam zumburgera z dodatkami, a Jeżozwierz Królewski wypił koktajl mleczno-czekoladowy. Kiedy zapłaciłam – on nie miał pieniędzy – zaczęliśmy rozważać za i przeciw pójścia do niego.

– Chcę miłości na łokcie – powiedział – i z wszelkimi dodatkami.

– Ale ja jestem mężatką – odparłam, żując z namysłem resztki zumburgera.

Usiłowałam oprzeć się pokusie – bo była to jednak pokusa. Artur zmroził mnie całkowicie. Jeśli chodzi o niego, równie dobrze mogłam być brukwią. Zauważyłam, że ostatnio robią na mnie wrażenie zupełnie nieodpowiedni mężczyźni: komentatorzy telewizyjni, konduktorzy autobusowi, konserwatorzy maszyn do pisania. W moich rojeniach nie zawracałam sobie głowy dekoracjami czy kostiumami: od razu przystępowałam do akcji. Musiało być ze mną źle.

– To bardzo dobrze – odrzekł Jeżozwierz Królewski. – Wolę mężatki.

– A jak myślisz, co wolałby mój mąż?

– Przecież nie musi wiedzieć, prawda?

– Ale będzie wiedział. Ma intuicję. – Była to nieprawda. Ale dręczyło mnie zupełnie co innego: czy gdyby Artur wiedział, to byłby zazdrosny? A jeśli nie, co wtedy? – Uznałby cię za dekadenta, uważałby, że jesteś dla mnie nieodpowiedni ze względów ideologicznych.

– To niech on sobie weźmie twoją ideologię, a ja biorę resztę, zgoda? Chodź, niech ci wreszcie zawrócę w głowie. Jesteś w moim typie, słowo daję.

Skończyłam zumburgera.

– Nie, to niemożliwe – powiedziałam.

– Niech ci będzie. Postawisz na swoim, ale coś stracisz.

– Nie mam siły – jęknęłam.

Oświadczył, że odprowadzi mnie do domu. Ruszyliśmy Bloor Street w kierunku zachodnim, ku ulicy dwupiętrowych domów z czerwonej cegły, z gankami i przyczółkami, gdzie w tym czasie mieszkaliśmy z Arturem, też tymczasowo, jak zwykle. Jeżozwierz

Królewski najwyraźniej zapomniał już o swojej propozycji. Martwił się o powodzenie wystawy.

– Z poprzedniej wyszła tylko jedna recenzja. Stary skurwiel napisał, że to nieudana próba budzenia niesmaku. Dziś już niczym nie poruszysz burżujów – zrobisz wystawę amputowanych stóp sierot, a oni ci powiedzą, żebyś je podpisał.

Minęliśmy muzeum i stadion Varsity i szliśmy dalej na zachód przez dzielnicę nędznych starych sklepików, które zamieniano na butiki, obok hurtowni elementów budowlanych. Przy Brunszwiku skręciliśmy na północ, ale po chwili Jeżozwierz Królewski zatrzymał się i krzyknął. Znalazł zdechłego psa, i to całkiem dużego. Wyglądał jak husky.

– Pomóż mi wsadzić go do torby – powiedział, wyjmując spod płaszcza zielony plastikowy worek na śmieci. W notatniku, który nosił specjalnie w tym celu, zapisał miejsce. Następnie uniósł zad psa, a ja nałożyłam na niego worek. Ale był za mały i głowa wystawała, majtając jęzorem.

– Dobranoc – powiedziałam. – Miło było cię poznać.

– Chwileczkę, sam nie dam sobie z tym rady.

– Ale ja nie mam zamiaru tego nieść. – Krew była jeszcze niezakrzepła.

– To weź moją laskę.

Podniósł psa i schował pod peleryną. W ten sposób przemyciliśmy go jakoś do taksówki, za którą oczywiście zapłaciłam, i tak na koniec znalazłam się w norze Jeżozwierza Królewskiego. Mieszkał w śródmieściu, w magazynie zamienionym na pracownie artystów.

– Jestem tu jedynym lokatorem – wyjaśnił. – Nie stać mnie na nic lepszego. Inni mają oprócz tego prawdziwe domy.

Ciężką windą towarową wjechaliśmy na drugie piętro. Jeżozwierz Królewski miał nieliczne sprzęty, ale poczesne miejsce zajmowała wśród nich duża zamrażarka, do której natychmiast włożył psa, a następnie związał mu łapy, żeby zamarzł w takiej pozie, w jakiej go znaleźliśmy.

Kiedy gospodarz zajmował się tymi sprawami, zwiedzałam mieszkanie. Było prawie puste. W rogu znajdowało się łóżko – materac leżący wprost na podłodze, bez bielizny pościelowej, przykryty kilkoma nędznymi futrzakami z kawałków kożucha, a nad nim wznosił się sfatygowany czerwony baldachim z pluszu, ozdobiony frędzlami. Umeblowania dopełniały stolik do kart i dwa krzesła. Zarówno na stole, jak i na krzesłach walały się niepozmywane talerze i kubki. Na ścianie wisiało powiększenie fotografii przedstawiającej gospodarza w jego stroju, trzymającego za ogon zdechłą mysz. Obok oprawny w ciężką złotą ramę oficjalny portret królowej i księcia Filipa ze wszystkimi odznaczeniami i w koronie, jak w gabinecie dyrektora gimnazjum. Pod przeciwległą ścianą stał bufet kuchenny, ale bez jakichkolwiek instalacji. Mieścił kolekcję wypchanych zwierząt. Część stanowiły zabawki – misie, tygrysy i zajączki – a część prawdziwe zwierzęta, fachowo wyprawione i wypchane, głównie ptaki: nur, sowa, sójka czubata. Było też kilka wiewiórek zwykłych i ziemnych i kilka łasiczek, bardzo tandetnie spreparowanych. Wyłaziły szwy, zwierzęta nie miały oczu z koralików, były długie i tłuste jak kiszka pasztetowa ze sztywno sterczącymi łapami.

– Zabawiałem się kiedyś taksydermią – powiedział Jeżozwierz Królewski – ale mi nie szło. Zamrażanie jest znacznie lepsze. Nie zalęgają się mole.

Zdjął pelerynę i kiedy się odwróciłam, zobaczyłam, że zdejmuje również koszulę. Przy guzikach zostały czerwone plamy psiej krwi; wyłonił się tors porośnięty rudymi włosami.

Jego zielone oczy zalśniły jak u rysia, kiedy do mnie podchodził, mrucząc cicho. Zrobiło mi się miękko w kolanach, w łokciach poczułam dziwne mrowienie.

– Chyba powinnam już iść. – Nie odezwał się słowem. – Jak się uruchamia tę windę?

– Na miłość boską – powiedziałam chwilę później. – Umyj ręce!

– Zawsze mnie ciekawiło, jak się pieprzy przedmiot kultu – powiedział w zamyśleniu Jeżozwierz Królewski. Leżał na wznak na materacu i przyglądał mi się, podczas gdy ja rogiem jego koszuli umoczonym w sedesie ścierałam z brzucha psią krew. Nie było umywalki.

– No i jak się pieprzy? – spytałam ostro.

– Masz ładny tyłeczek – odpowiedział. – Ale niczym szczególnym nie różni się od innych.

– A czego się spodziewałeś? – spytałam. – Pewnie trzech pośladków. Dziewięciu sutek.

Usiłując zetrzeć psią krew, czułam się jak wariatka, jakbym gwałciła jeden z jego rytuałów. Zawiodłam go. Nie stanęłam na wysokości zadania, a jednocześnie już czułam się winna wobec Artura.

– Nieważne, co się ma – powiedział. – Ważne, co się potrafi z tym zrobić.

Nie powiedział mi, czy to, co z tym zrobiłam, odpowiadało jego wymaganiom, czy nie, ale w tej chwili było mi wszystko jedno. Chciałam po prostu iść do domu.

24

Tak się zaczęło moje podwójne życie. Ale czyż moje życie i do tamtej pory nie było podwójne? Zawsze miałam bliźniaczkę, szczupłą, kiedy byłam gruba, grubą, kiedy byłam szczupła, srebrzysty negatyw siebie samej, z ciemnymi zębami i błyszczącymi źrenicami, które lśniły w czarnym świetle słonecznym tego drugiego świata. Podczas gdy ja, uwięziona w swoim rzeczywistym ciele, patrzyłam na prozaiczny kurz i nigdy nieopróżniane popielniczki codziennego życia, ta lekkomyślna bliźniaczka domagała się krainy z bajki. Gdzie tam bliźniaczka – ja przecież byłam więcej niż podwójna, byłam potrójna, wielokrotna. Zobaczyłam teraz, że mam przed sobą więcej niż jeszcze jedno życie, że czeka mnie ich wiele. Jeżozwierz Królewski otworzył przede mną czasoprzestrzenne drzwi piątego wymiaru w chytrym przebraniu windy towarowej i jedna z wersji mojej osobowości beztrosko dała w nie nura.

Ale nie inne.

– Kiedy się zobaczymy? – spytał.

– Wkrótce – powiedziałam. – Ale nie dzwoń do mnie. Sama do ciebie zadzwonię. Okej?

– Ja nie szukam pracy, kapujesz?

– Jasne. Ale musisz mnie zrozumieć. – Pocałowałam go na dobranoc. Zaczynało do mnie docierać, że nie mogę się z nim więcej widywać, że byłoby to zbyt niebezpieczne.

Kiedy wróciłam do domu, Artura nie było, choć dochodziła dwunasta. Rzuciłam się na łóżko, schowałam głowę pod poduszkę i wybuchnęłam płaczem. Znów miałam uczucie, że zrujnowałam sobie życie. Odpokutuję to jakoś, odwrócę nową kartę, nie odezwę się już więcej do Jeżozwierza Królewskiego, chociaż mam na to ochotę. Co mogę zrobić, żeby to jakoś Arturowi wynagrodzić? Może specjalnie dla niego napiszę kolejną powieść grozy i zawrę w niej jego manifest w formie zrozumiałej dla innych? Wiedziałam, że nikt nie czytuje „Zmartwychwstania" poza redaktorem pisma, garstką profesorów akademickich i konkurencyjnymi grupami radykalnymi, które wydawały własne pisma i trzecią część każdego numeru poświęcały na wzajemne ataki. A moje książki czytało przynajmniej sto tysięcy ludzi, wśród nich matki tego narodu. Zatytułowałabym tę książkę *Strach w Casa Loma*[*], zawarłabym w niej całe zło Family Compact, męczeństwo Louisa Riela, potworności kolonializmu zarówno angielskiego, jak i amerykańskiego, walkę robotników, strajk generalny w Winnipeg...

Ale to na nic. Żeby Artur mnie docenił, musiałabym przyznać się do Louisy K., a przecież wiedziałam, że nie mogę. Obojętne, co bym zrobiła, zawsze spotkam się z pogardą Artura. Nigdy nie będę osobą, którą chciałby we mnie widzieć. Nigdy nie będę Marleną.

Artur wrócił o drugiej nad ranem.

– Gdzie byłeś? – pytałam, pochlipując.

– U Marleny – powiedział, a mnie serce podskoczyło do gardła. Chciał, żeby go pocieszyła, i...

– A Don? – spytałam słabym głosem.

Okazało się, że Marlena powiedziała Donowi o Samie i Don podbił jej oko. Marlena zwołała cały zespół redakcyjny „Zmartwychwstania", łącznie z Samem. Spotkali się u niej wszyscy i w gorącej dyskusji zamierzali ustalić, czy Don miał prawo to zrobić, czy nie. Ci, którzy byli po stronie Dona, utrzymywali, że robotnicy często biją swoje żony, że jest to bardzo szczery i bezpośredni sposób wyrażania uczuć. Ci, którzy byli przeciw, twierdzili, że to poniżające dla kobiety. Marlena oznajmiła, że się wyprowadza. Sam powiedział, że nie może się wprowadzić do niego, i dyskusja wybuchła na nowo. Jedni byli zdania, że jest kutasem, skoro nie pozwala Marlenie się wprowadzić, inni, że jeżeli tego nie chce, to ma prawo postawić sprawę jasno. W środku tej debaty wrócił Don, który poszedł się upić do knajpy Grossmana, i powiedział wszystkim, żeby poszli do diabła.

Byłam po cichu zadowolona z tego zamieszania. Artur już nie mógł uważać Marleny za ideał, tak jak dawniej, a poza tym odwróciło to w pewnym stopniu jego uwagę ode mnie.

– I co z Marleną? – spytałam z fałszywą troską. – W porządku?

– Siedzi pod drzwiami – oznajmił Artur ponuro – na schodach. Ale pomyślałem, że muszę się najpierw z tobą porozumieć. Nie mogę jej tak zostawić. Zwłaszcza kiedy on jest w takim stanie.

Nie powiedział ani słowa na temat wywiadu telewizyjnego, za co byłam mu wdzięczna. Może go nie oglądał. Na pewno czułby się

okropnie upokorzony. Miałam nadzieję, że nikt mu o tym nie opowie.

Marlena spała na kanapie tej nocy i następnej, i jeszcze następnej. Wyglądało na to, że się do nas przeprowadziła. Nie mogłam nic poradzić, bo czyż nie była w kłopocie, czyż nie była polityczną uchodźczynią? Tak to odczuwała, i Artur też.

Całymi dniami negocjowała przez telefon z Donem i, o dziwo, z Samem. W przerwach między tymi rozmowami siedziała w mojej kuchni, paląc papierosa za papierosem, pijąc moją kawę i pytając mnie, co robić. Już nie wyglądała schludnie i porządnie, oczy miała podkrążone, włosy tłuste, paznokcie poobgryzane. Czy powinna dalej widywać się z Samem, czy wrócić do Dona? Dzieci były chwilowo z Donem. Kiedy tylko znajdzie sobie własny kąt, zabierze mu je, nawet gdyby miała iść do sądu.

Powstrzymałam się od pytania, kiedy zamierza znaleźć sobie ten własny kąt.

– Nie wiem, którego z nich kochasz. – Moje słowa zabrzmiały jak żywcem wzięte z moich powieści, jakby je wypowiedziała życzliwa gosposia, ale co innego mogłam powiedzieć?

– Kocham! – chlipała Marlena. – Tu nie chodzi o miłość. Chodzi o to, który z nich jest zdolny do prawdziwie partnerskiego związku. Który z nich będzie mniejszym wyzyskiwaczem.

– Tak na pierwszy rzut oka – powiedziałam – to uważam, że Sam. – Sam był moim przyjacielem, a Don nie, więc stawiałam na Sama. Z drugiej strony, w dalszym ciągu nie przepadałam za Marleną, więc dlaczego miałabym jej rekomendować swojego przyjaciela? – Ale z całą pewnością Don to też bardzo miły człowiek – dodałam.

– Sam to świnia – powiedziała Marlena.

Kiedy powstał ruch wyzwolenia kobiet, odrzuciła go jako burżuazyjny, a teraz się nawróciła.

– Do tego, żeby się człowiekowi otworzyły oczy, niezbędne jest osobiste doświadczenie.

Dawała mi do zrozumienia, że nie dość cierpiałam; nawet w tym byłam kiepska. I choć nie powinnam czuć się urażona, to jednak się czułam.

Kiedy Marlena wychodziła do Sama, wpadał Don, żeby się mnie poradzić.

– Może powinieneś się przenieść do innego miasta? Ja na twoim miejscu tak bym właśnie zrobiła.

– To by była ucieczka – odparł Don. – Ona jest moją żoną. Chcę, żeby do mnie wróciła.

Czasem wieczorami, kiedy Marlena szła na spotkanie z dziećmi, wpadał na drinka Sam.

– Rany, skończę u czubków – skarżył się. – Owszem, kocham ją, ale to nie znaczy, że chcę z nią być na stałe. Tłumaczę jej, że możemy spędzać razem czas ważny, znaczący, ale lepiej, jak będziemy mieszkać osobno. I nie pojmuję, dlaczego nie mielibyśmy mieć innych związków, skoro nasz jest i tak najważniejszy, ale ona tego nie rozumie. No wiesz, nie jestem typem zazdrośnika.

W całym tym zamieszaniu czułam się tak, jakbym mieszkała na stacji kolejowej. Artur rzadko bywał w domu, ponieważ Marlena i Don zrezygnowali ze „Zmartwychwstania” i teraz sam redagował pismo. Marlena nie miała głowy do tego, żeby mi pomóc w gotowaniu czy sprzątaniu, nie mówiąc o innych sprawach.

Coraz częściej śniłam na jawie o Jeżozwierzu Królewskim. Jeszcze do niego nie zadzwoniłam, ale wiedziałam, że lada chwila się poddam. Przeglądałam gazety w poszukiwaniu recenzji z *ROZ-DUSZANIA* i znalazłam – w dodatku kulturalnym do sobotniego wydania. „Wymowny i ostry komentarz do naszych czasów" – głosiła.

– Nie wybrałabyś się na wystawę sztuki? – zapytałam Marlenę. Wystawa była nadal otwarta, co mi szkodziło obejrzeć ją raz jeszcze.

– Co, te pretensjonalne burżuazyjne bzdury? – powiedziała. – Nie. Dziękuję.

– A widziałaś ją?

– Nie. Ale czytałam recenzję. To wystarczy.

Do tego wszystkiego były jeszcze moje sukcesy literackie. Po wywiadzie telewizyjnym rozdzwoniły się telefony. Pochodziły głównie od ludzi, którzy mi uwierzyli i którzy chcieli wiedzieć, jak nawiązać kontakt z tamtą stroną, ale dzwonili i tacy, którzy uważali, że zrobiłam balona z mego rozmówcy, że szydziłam ze spirytyzmu, albo i jedno, i drugie. Niektórzy uznali, że umiem przepowiadać przyszłość, i domagali się wróżb. Na razie nikt nie żądał ode mnie przepisu na napój miłosny ani na środek do usuwania brodawek, ale czułam, że i do tego dojdzie.

No i były listy, które przesyłali mi Morton i Sturgess. Chodziło w nich głównie o to, bym pomogła ich autorom w wydaniu książki. Początkowo odpowiadałam na te listy, ale jak szybko pojęłam – ludzie nie chcą, żeby im odbierać złudzenia. Kiedy wyjaśniłam, że nie mam żadnych znajomości w świecie wydawniczym, obrażali się z powodu mojej bezsilności. Napełniało

mnie to poczuciem winy, że nie spełniam ich oczekiwań, więc po jakimś czasie zaczęłam wyrzucać te listy bez odpowiedzi, a potem wręcz nieczytane. Wtedy zaczęli mnie nachodzić w domu, pytając, dlaczego im nie odpowiadam.

Co tydzień pojawiały się nowe artykuły, zatytułowane: „Sprzedaż *Pani Wyroczni*" albo „*Pani Wyrocznia*: oszustwo czy urojenie?". Do tego jeszcze po moim pierwszym katastrofalnym wywiadzie, który wywołał całą tę medialną burzę – AUTORKA TWIERDZI, ŻE PISAŁA Z INSPIRACJI DUCHA – inni amatorzy wywiadów, ustawiający się z błogosławieństwem Sturgessa w kolejce, nie dawali mi spokoju. Nie pomagało, kiedy mówiłam, że nie chcę na ten temat rozmawiać; to tylko podniecało ich ciekawość.

– Podobno *Pani Wyrocznia* została napisana przez anioły, coś jak Księga Mormonów – mówili.

– Niezupełnie – odpowiadałam i próbowałam zmienić temat, mając nadzieję, że Artur tego nie ogląda. Czasami moi rozmówcy zdradzali autentyczne zainteresowanie, co było jeszcze gorsze.

– A więc pani uważa, że jest życie po śmierci – mówili.

– Nie wiem. Myślę, że tak naprawdę tego nie wie nikt.

Po takim programie dzwoniłam do Sturgessa i błagałam go ze łzami, żeby mi darował następny wywiad. Czasami próbował podtrzymać mnie na duchu: jestem wspaniała, świetnie sobie radzę, książka sprzedaje się fantastycznie. Czasami był jednak wyraźnie obrażony i uświadamiał mi, że podpisując umowę, zobowiązałam się tym samym do odbycia pewnej liczby takich wywiadów – czyżbym o tym zapomniała?

Czułam się jak na cenzurowanym. Ale jednocześnie tak, jakby to ktoś inny o moim nazwisku działał za mnie w tym rzeczywistym świecie – reprezentując mnie, mówiąc to, czego nigdy nie powiedziałam, ale co ukazywało się w gazetach, robiąc rzeczy, za które musiałam ponosić konsekwencje – moja ciemna bliźniaczka, moje odbicie w krzywym zwierciadle. Była ode mnie wyższa, ładniejsza, groźniejsza. Chciała mnie zabić, żeby zająć moje miejsce, a kiedy już nareszcie tego dopnie, nikt nie zauważy różnicy między nami, ponieważ telewizja była z nią w zmowie, pomagała jej.

To jeszcze nie wszystko. Teraz, kiedy stałam się osobą publiczną, żyłam w strachu, że prędzej czy później ktoś się zorientuje, wytropi moje poprzednie wcielenie, wywlecze na widok publiczny. Moje dawne sny na jawie z Grubą Panią w roli głównej powróciły, tylko że tym razem najpierw spacerowała po linie w różowej spódniczce, a potem spadała, koziołkując w zwolnionym tempie... Albo tańczyła na scenie w stroju odaliski i czerwonych pantofelkach. Właściwie nie był to taniec, tylko striptiz, a ja patrzyłam, jak zaczyna się rozbierać, i nie mogłam jej powstrzymać. Kołysała biodrami, zdejmując jedną po drugiej swoje zwiewne szatki, lecz nikt nie gwizdał, nikt nie wrzeszczał: „No, mała, wyskakuj z tego!”. Próbowałam wyłączać to urojenie, ale nie mogłam, musiałam oglądać je do końca.

Któregoś popołudnia po wyjściu Sama siedziałam w kuchni przy stole i popijałam whisky. Marlena była u adwokata. Zostawiła na stole niezmyte po śniadaniu naczynia, stertę skórek z pomarańczy i miseczkę do połowy napełnioną zalanymi wodą chrupkami ryżowymi. Jej zdrowe, dietetyczne obyczaje znikły bez

śladu. Moje też. Stwierdziłam, że jestem kłębkiem nerwów, i to już od dawna. Mój dom przypominał camping, zaśmiecony cudzymi odpadkami zarówno w sensie fizycznym, jak i duchowym. Artura nigdy nie było, o co nie miałam do niego pretensji. Zdradziłam go, ale nie mogłam się zdobyć ani na to, żeby mu o tym powiedzieć, ani żeby powtórzyć ten akt, na co miałam wielką ochotę. To jednak nie silna wola trzymała mnie z dala od Jeżozwierza Królewskiego, tylko tchórzostwo. Byłam głupia, niechlujna i pusta – oszustwo, urojenie. Po twarzy płynęły mi łzy, spadając na usiany okruchami stół.

– Weź się w garść – powiedziałam sobie. – Musisz z tego wyjść.

Marlena wróciła z zaciśniętymi zębami, miotając oczami błyskawice; wizyty u adwokata zwykle wprawiały ją w taki nastrój. Usiadła i zapaliła papierosa.

– Kutas – powiedziała.

Nie wiedziałam, którego ma na myśli, ale było mi wszystko jedno.

– Wiesz co, Marlena? – zaczęłam. – Przyszła mi do głowy pewna myśl. To mieszkanie jest za małe dla nas trojga.

– Masz rację. Rzeczywiście trochę tu ciasno. Wyniosę się, jak tylko znajdę sobie jakiś kąt.

– Nie. To my się wyniesiemy. I tak semestr prawie się kończy. Wyjedziemy z Arturem na lato, a ty możesz tu zostać. To ci ułatwi sytuację.

Artur nie był zachwycony moim pomysłem. Najpierw oświadczył, że nas na to nie stać, ale mu powiedziałam, że umarła

mi ciotka i zostawiła trochę pieniędzy.

– Myślałem, że twoja ciotka umarła już wiele lat temu.

– To inna ciotka, Lou. A teraz umarła ciotka Deirdre. Nie byłyśmy w szczególnie zażyłych stosunkach, ale nie miała komu tych pieniędzy zostawić. – Tak naprawdę to mi sporo zapłacili za *Miłość, moje wybawienie*. W życiu Joan Foster wszystko się pogmatwało, ale Louisie K. wiodło się całkiem dobrze.

– A co z pismem? – zapytał Artur. – Nie mogę go tak po prostu zostawić.

– Należy ci się odpoczynek. Marlena zajmie się pismem. Powinna coś zrobić, żeby nie myśleć bez przerwy o tamtych sprawach.

Sturgessowi powiedziałam, że moja matka umiera na raka i muszę jechać do Saskatchewan ją pielęgnować.

– A co z tymi wszystkimi spotkaniami – spytał przygnębiony – i z podróżą przez całą Kanadę?

– Musicie to odłożyć. Do mojego powrotu.

– Może chociaż wywiad dla „Reginy”?

– Moja matka jest umierająca – powtórzyłam i musiał się tym zadowolić.

Włochy były pomysłem Sama – to on dał nam adres pana Vitroniego, który dostał od kogoś z przyjaciół. Artur chciał, żebyśmy pojechali na Kubę, ale nie dostaliśmy na czas wiz.

Polecieliśmy samolotem do Rzymu, a stamtąd wynajętym czerwonym fiatem pojechaliśmy do Terremoto. Pilotowałam Artura, opierając się na informacjach przyjaciół Sama i na mapie. Kilka razy spadła nam gałka od dźwigni biegów, ale Artur zawsze miał kłopoty z samochodami. Wynajęliśmy mieszkanie, w którym

wreszcie znaleźliśmy się sami, z dala od innych, żeby uporządkować swoje życie.

Przypuszczam, że spodziewałam się jakiegoś pojednania albo przynajmniej powrotu do sytuacji sprzed *Pani Wyroczni,* i w pewnym sensie te oczekiwania się spełniły. Moje koszmarne urojenia dotyczące Grubej Pani ustały. Z dala od zespołu „Zmartwychwstania" Artur był milszy, bardziej skupiony. Rano robiłam kawę i podawałam mu przez okienko w kuchni. Potem siadaliśmy wśród kawałków tłuczonego szkła na balkonie i piliśmy tę kawę, ucząc się włoskiego z *fotoromanzi* albo leniwie podziwiając widok na dolinę. Spacerowaliśmy po wzgórzach nad miasteczkiem i napawaliśmy się krajobrazem. Artur planował jakąś pracę w terenie, jak ją nazywał, dotyczącą systemu własności ziemskiej, ale za słabo znał włoski, więc zrezygnował. Od czasu do czasu zasiadał do artykułu dla „Zmartwychwstania" na temat trudności kręcenia filmów pełnometrażowych w Kanadzie, lecz wyraźnie stracił zapał. Kochaliśmy się często i zwiedzaliśmy ruiny.

Pewnego dnia pojechaliśmy do Tivoli. Kupiliśmy sobie lody i poszliśmy zwiedzać ogrody kardynalskie ze słynnymi fontannami w kształcie posągów. Zeszliśmy schodami, podziwiając ustawione po ich obu stronach sfinksy – woda tryskała im z sutków – a potem błądziliśmy od groty do groty. Na koniec doszliśmy do Diany z Efezu, jak informował przewodnik, wynurzającej się z sadzawki. Jej słodka twarz była osadzona na tułowiu z samych kiści winogron – cała w piersiach od stóp do głów, wyglądała jak dotknięta framboezją[**]: u dołu i u góry małe

piersi, a wokół tułowia duże. Zakończone dziobkami sutki jednak nie działały.

Stałam, liżąc lody i chłodno przyglądając się bogini. Kiedyś może i mogła symbolizować mnie, ale już nie teraz. Moja umiejętność dawania miała granice, nie byłam niewyczerpana. Nie byłam też słodka. Chciałam różnych rzeczy – dla siebie.

---

[*] Casa Loma – pałacyk w Toronto z pięknymi wnętrzami o charakterze muzealnym, wynajmowany na wystawy, bankiety, koncerty i inne uroczystości (przyp. tłum.).

[**] Framboezja (malinica, jagodzica) – występująca w krajach tropikalnych choroba zakaźna o przebiegu podobnym do kiły; głównym objawem są wykwity na skórze przypominające maliny (przyp. tłum.).

25

Prawie zaraz po powrocie z Włoch zadzwoniłam do Jeżozwierza Królewskiego. Nie zdziwił się zbytnio.

– Co tak długo? – spytał.

– Nie było mnie – odpowiedziałam enigmatycznie. – Dzwoniłam przed wyjazdem, ale nie mogłam cię zastać.

Spotkaliśmy się w barze Kuźnia w Piwnicy Simpsona. Jeżozwierz Królewski wyjaśnił, że jego sytuacja finansowa jeszcze się pogorszyła, a to jest miejsce, gdzie można najtaniej zjeść lunch – dwa hot dogi i sok pomarańczowy za dolara. Jego peleryna wydała mi się w Piwnicy Simpsona trochę nie na miejscu i seksualne fantazje, jakie snułam na jego temat, nieco zblakły. Lecz i tak było w nim coś z Byrona. Byron, o ile pamiętałam, trzymał w mieszkaniu oswojonego niedźwiedzia i pił wino z czaszki.

Jeżozwierz Królewski pożyczył ode mnie żeton na metro i pojechaliśmy do niego.

– Chciałabym postawić sprawę jasno – oświadczyłam, kiedy jechaliśmy windą towarową. – Musimy naszą znajomość traktować lekko. Artur jest dla mnie bardzo ważny i nie chcę robić nic, co by go mogło urazić.

Jeżozwierz Królewski zapewnił mnie, że jemu to nie przeszkadza, że im się lżej sprawy traktuje, tym lepiej.

I rzeczywiście początkowo traktowaliśmy je bardzo lekko. Wreszcie miałam kogoś, kto chciał tańczyć ze mną walca – tańczyliśmy więc po całym ogromnym parkiecie magazynu, w którym mieszkał – on w samym cylindrze, ja otulona koronkowym obrusem – przy dźwiękach orkiestry smyczkowej Mantovaniego. Płytę kupiliśmy u Niepełnosprawnych Cywilów, tam też nabyliśmy – za dziesięć dolarów – adapter. Kiedy nie tańczyliśmy walca ani się nie kochaliśmy, chodziliśmy do sklepów ze starzyzną, przewracając je do góry nogami w poszukiwaniu kamizelek, rękawiczek zapinanych na osiem guziczków, czarnych atłasowych halek i wizytowych sukien z lat pięćdziesiątych. Jeżozwierz marzył o sztylecie w lasce, ale nic takiego nie udało nam się znaleźć. Odkryliśmy natomiast sklep w dzielnicy chińskiej, gdzie mieli trzewiki z roku 1905, z cholewką zapiętą na guziczki. Nie sprzedali ich dotychczas z powodu nietypowych rozmiarów. Siadłam więc na krawężniku, a Jeżozwierz Królewski wciskał mi na nogi wszystkie pary po kolei: w pięknych pastelowych kolorach, z białej koźlęcej skórki *glacé*, perłowoszare. Czułam się jak brzydka siostra Kopciuszka. Jedyne, które na mnie pasowały, były to buty praczki, czarne, sznurowane, z okutymi czubkami, ale i te wydały mi się wspaniałe. Kupiliśmy je, dobierając później do nich czarne siatkowe pończochy.

Szybko się zorientowałam, że moje zainteresowanie dziewiętnastowiecznymi drobiazgami było niczym w porównaniu z obsesyjnym upodobaniem Jeżozwierza Królewskiego do kulturowych odpadków. Podczas gdy mnie się podobały stare

srebra i tabakiery, on pożądał butelek po coca-coli z zielonego szkła, starych komiksów z Kapitanem Marvelem, zegarków z Myszką Miki, Dużych Małych Książeczek i papierowych lalek przedstawiających gwiazdy filmowe z lat dwudziestych. Miał bardzo mało pieniędzy, nie mógł więc sobie kupić wszystkiego, ale był chodzącym katalogiem tego, co efemeryczne, niepotrzebne, nietrwałe. Ważny dla niego był styl, treść się nie liczyła. Przy nim czułam się niemal głęboka.

Niestety, czarne sznurowane trzewiki do kostki piekły mnie okropnie, jeśli miałam je na nogach dłużej niż pół godziny, ale wystarczało to w zupełności na parę przyzwoitych walców. Gdy już byliśmy zupełnie skonani, szliśmy na róg do KFC, braliśmy na wynos kurczaka z rożna à la Kentucky i dwie coca-cole i zjadaliśmy to w domu u Jeżozwierza, któremu zależało na kościach. Gotował je potem, sklejał i drutował, i tak powstała rzeźba, którą nazwał „Joan Foster KFC z rożna"; miała się znaleźć na następnej wystawie. Kapitalny pomysł, powiedział. Czarne trzewiki zatytułuje „Taniec Foster Nr 30", a płytę z muzyką Mantovaniego, ozdobioną kosmykiem moich włosów, „Kudłata Muzyka Foster". A gdyby tak zdobył moje majtki, Komplet Weekendowy, toby dopiero...

– To bardzo twórcze – powiedziałam – ale nie uważam, żeby pomysł był najlepszy.

– Dlaczego? – spytał lekko urażony.

– Artur by się dowiedział.

– Artur. Zawsze tylko Artur i Artur.

Zaczynał nabierać niechęci do Artura. Uparł się, żeby mi opowiadać o swoich dwóch dziewczynach, mężatkach. Jedna była

żoną psychologa, druga profesora chemii. Twierdził, że obie są głupie i beznadziejne w łóżku. Żona profesora chemii miała zwyczaj bez uprzedzenia zostawiać mu koło windy różne wypieki. Leżeliśmy na brudnym materacu i jedliśmy wilgotne ciastka z dyni i niewyrośnięty chleb o wysokiej zawartości białka (miała bzika na punkcie dietetycznego żywienia), a Jeżozwierz Królewski omawiał ze mną jej wady. Zastanawiałam się, czy tak samo rozmawia o mnie z nimi. Budziło to mój sprzeciw, choć wiedziałam, że nie mogę sobie na to pozwolić.

– To po co się z nimi widujesz, skoro są takie nudne?

– Muszę coś robić, jak ciebie nie ma – odparł opryskliwie. Zdecydował, że to moja wina.

Od czasu do czasu miewałam wyrzuty sumienia w stosunku do Artura i wtedy gotowałam mu specjalne dania, które wychodziły mi jeszcze gorzej niż zwykle. Brałam nawet pod uwagę, że wszystko mu wyznam, próbując szczerości i uczciwości jak Marlena, ale jej przecież niewiele z tego przyszło, a z pewnością mnie by przyszło nie więcej. Bałam się, że Artur mnie wyśmieje, powie, że zdradziłam sprawę, albo po prostu wyrzuci. A tego nie chciałam, kochałam go nadal, byłam o tym przekonana.

– Może byśmy spróbowali małżeństwa otwartego – zaproponowałam mu pewnego wieczoru, kiedy męczył się nad kotletem schabowym, który włożyłam do szybkowaru i o którym zapomniałam. Nawet mi nie odpowiedział, być może dlatego, że miał pełne usta, a ja nie nalegałam.

Po powrocie z Włoch nie zastaliśmy już Marleny. Wróciła do Dona. Jakoś „doszli do porozumienia” – wyjaśnili – lecz Marlena

w dalszym ciągu widywała się z Samem. Miała to być tajemnica, ale oczywiście Sam natychmiast mi powiedział.

– Coś się zmieniło? – spytałam.

– Jesteśmy dokładnie w punkcie wyjścia, tyle że bardziej doświadczeni.

Podobnie było ze mną i z Arturem. Tylko mój problem polegał na tym, że chociaż zyskałam pewne doświadczenie, to jednak niczego mnie ono nie nauczyło.

Artur wrócił do swojej pracy dydaktycznej, zespół redakcyjny „Zmartwychwstania" wznowił działalność, więc właściwie powinien być szczęśliwy. Ale nie był, nie ulegało wątpliwości. Dawniej za wszelką cenę starałabym się go rozweselić, lecz ciężka atmosfera, jaka nieustannie go otaczała niby odwrotność aureoli, zaczynała mi przeszkadzać. Były dni, kiedy siebie obarczałam winą: zaniedbywałam go. Częściej jednak starałam się wszystko bagatelizować. Może Artur miał po prostu talent do tego, żeby być nieszczęśliwym, tak jak inni mają talent do robienia pieniędzy. A może dążył do samounicestwienia, pragnąc mi dowieść, że to ja jestem elementem destrukcyjnym. Zaczął mnie oskarżać o zbyt małe zainteresowanie jego pracą.

Jeżozwierz Królewski stanowił miłą ucieczkę od tej drętwej domowej atmosfery. Nie miał wielkich wymagań, trzymał się zasady: łatwo przyszło, łatwo poszło. Zrobiłam się nieostrożna. Dzwoniłam do niego z domu, kiedy Artura nie było, a potem także kiedy Artur siedział w drugim pokoju. Cierpiała na tym moja praca: całkowicie straciłam zainteresowanie dla powieści grozy. Po co mi one były teraz?

Kiedy wreszcie wyruszyłam w sławetną podróż przez całą Kanadę, zorganizowaną przez Sturgessa, Jeżozwierz Królewski pojechał ze mną i mieliśmy dużo frajdy z przemycaniem go do pokojów motelowych. Czasem przebieraliśmy się za parę turystów w średnim wieku, kupując rzeczy u Niepełnosprawnych Cywilów i meldując się pod przybranym nazwiskiem. W Toronto zaczęłam przychodzić na przyjęcia nie razem z nim, ale pięć minut przed nim czy po nim. Prosiliśmy obcych ludzi, żeby nas sobie nawzajem przedstawiali. Były to dziecinne zagrywki, ale nas bawiły.

Na jednym z takich przyjęć poznałam Frasera Buchanana. Podszedł do mnie ze szklaneczką w ręku i stał, uśmiechając się głupio, akurat kiedy pytałam Jeżozwierza Królewskiego, z czego żyje.

– Jestem przedsiębiorcą pogrzebowym – odparł. Oboje uznaliśmy to za bardzo zabawne.

– Przepraszam panią – odezwał się Fraser Buchanan, wyciągając do mnie rękę. – Nazywam się Fraser Buchanan. Może pani o mnie słyszała.

Był to niski, schludnie ubrany mężczyzna w tweedowej marynarce, w golfie i z faworytami, które najwyraźniej uważał za bardzo śmiałe, jako że często kręcił głową, prezentując ich widok z boku.

– Przykro mi, ale nie – powiedziałam i uśmiechnęłam się. Byłam w dobrym humorze. – Pan pozwoli, to jest Jeżozwierz Królewski, poeta kon-kretów.

– Wiem – powiedział Fraser Buchanan, uśmiechając się do mnie dziwnie porozumiewawczo. – Znam jego... prace. Ale jeśli mam być szczery, bardziej interesuje mnie pani. – Podszedł bliżej,

wbijając się klinem pomiędzy mnie a Jeżozwierza Królewskiego. Odchyliłam się trochę do tyłu. – Czy mogłaby mi pani powiedzieć – zapytał niemal szeptem – jak to możliwe, że do czasu *Pani Wyroczni* nie widziałem żadnej pani pracy w druku? Większość poetów, albo raczej poetek, przechodzi okres... hmmm... terminowania w jakichś skromniejszych pismach czy coś w tym rodzaju. Śledzę je bardzo pilnie, ale nigdy nie natrafiłem na nic, co by wyszło spod pani pióra.

– Jest pan dziennikarzem? – spytałam.

– Nie, nie – odparł. – Ja również zajmowałem się poezją, trochę pisałem. – Jego ton wskazywał na to, że już zdążył z tego wyrosnąć. – Mogę uchodzić za zainteresowanego obserwatora. Wielbiciela... – uśmiechnął się – ...sztuki.

– Po prostu – odparłam – nie uważałam, żeby którakolwiek z moich rzeczy zasługiwała na wydanie. Wolałam ich nigdzie nie posyłać. – Roześmiałam się w swoim pojęciu skromnie i ponad jego ramieniem zerknęłam w stronę Jeżozwierza Królewskiego, oczekując od niego wybawienia. Udo Frasera Buchanana lekko opierało się o moje.

– Aha, wyskoczyła pani od razu jako twór doskonały, niby Atena z głowy Zeusa – powiedział. – Czy może raczej z głowy Johna Mortona. Ten ma rzeczywiście nosa do młodych talentów.

Trudno byłoby mi to sprecyzować, ale czułam w tym jakąś wyjątkowo nieprzyjemną insynuację. Roześmiałam się znów i powiedziałam, że idę na drinka. Uświadomiłam sobie, że gdzieś go już widziałam – tak, siedział w środku pierwszego rzędu na jednym z programów telewizyjnych i robił notatki w małym

zeszyciku. Na kilku programach. Na programach poza Toronto. W motelowym holu.

– Kim jest ten dziwny facet? – zapytałam Jeżozwierza Królewskiego później, kiedy zmęczeni leżeliśmy na jego materacu. – Czym on się zajmuje?

– On zna ludzi. Kiedyś pracował w CBC, jak zresztą wszyscy. Potem założył pismo literackie pod nazwą „Odrzut". Idea była taka, żeby drukować tylko rzeczy odrzucone przez inne pisma literackie, a żeby było śmieszniej – razem z tekstami listów odrzucających. Miał nagradzać najlepsze listy z odmowami, twierdził, że to też sztuka. Ale pomysł spalił na panewce, ponieważ nikt nie chciał się przyznać, że mu coś odrzucono. W pierwszym numerze zamieścił sporo własnych rzeczy. Zdaje się, że jest Anglikiem. Chodzi na wszystkie przyjęcia, w każdym razie na wszystkie, na które może się wcisnąć. Miał zwyczaj mówić: „Cześć, jestem Fraser Buchanan, poeta z Montrealu". Chyba kiedyś mieszkał w Montrealu.

– A ty skąd go znasz?

– Posłałem coś kiedyś do „Odrzutu" – powiedział Jeżozwierz Królewski. – W czasach, kiedy jeszcze bawiłem się w słowa. Odrzucił mi. Nienawidzi moich rzeczy, uważa, że są zbyt awangardowe.

– Odnoszę wrażenie, że za mną łazi – powiedziałam, mając na myśli coś znacznie gorszego, a mianowicie, że łazi za nami.

– On jest stuknięty – orzekł Jeżozwierz Królewski. – Ma fioła na punkcie ważnych osobistości. Twierdzi, że pisze kronikę naszych czasów.

Tego wieczoru wcześnie złapałam taksówkę i wróciłam do domu. Znów zadręczałam się wątpliwościami. Problem polegał na tym, że każde ze swoich wcieleń uważałam za całkowicie normalne i stosowne, ale z osobna. Kiedy byłam z Arturem, Jeżozwierz Królewski wydawał mi się fantazją z jednej z moich bardziej nieprawdopodobnych powieści, i do tego jeszcze o posmaku absurdu, którego starałam się w moich książkach unikać. A kiedy byłam z Jeżozwierzem, to znów on wydawał mi się wiarygodny i realny. Wszystko, co robił i mówił, miało sens w jego własnych kategoriach, podczas gdy właśnie Artur stawał się nierzeczywisty, jakby odczłowieczony do postaci bezcielesnego ducha, wyblakłej fotografii, zapomnianej przeze mnie już dawno na jakimś kominku. Czy ja go krzywdzę, czy go zdradzam? Jak można zdradzać fotografię?

Kiedy tego wieczoru wchodziłam do domu, w dalszym ciągu byłam pochłonięta takimi myślami. A w domu zastałam grupę „Zmartwychwstania" w pełnym składzie. Działo się coś ekscytującego. Sam był jedynym, który mi powiedział „cześć". Złapali gdzieś autentycznego działacza związkowego, którego przypierali do muru. Zwracał się do nich per „wy, dzieciaki".

– Jeśli wy, dzieciaki, chcecie działać, to w porządku – mówił – ale jeśli robotnicy chcą pluć na policjantów, niech sobie plują. To ich sprawa. Wy, dzieciaki, możecie siedzieć w pudle, wy nie macie stałej pracy, macie za to czas. Z nimi jest inaczej.

Don zaczął go przekonywać, że właśnie dlatego powinni to robić oni, a nie robotnicy, ale działacz związkowy machnął lekceważąco ręką.

– Nie, nie, wiem, że wy, dzieciaki, chcecie dobrze, ale wierzcie mi, czasem niewłaściwa pomoc jest gorsza od żadnej.

– Co tu się dzieje? – spytałam Sama.

– W fabryce materacy jest strajk – wyjaśnił. – Problem polega na tym, że większość robotników to Portugalczycy i troszkę inaczej to widzą. Nacjonalizm kanadyjski nic dla nich nie znaczy, rozumiesz? Trudno im to wyjaśnić wprost, w dalszym ciągu czekamy na tłumacza.

– A kto napluł na policjanta?

– Artur – odpowiedział Sam.

Rzeczywiście, mogłam to poznać po jego zadowolonej z siebie, a jednocześnie skromnej minie. Z jakiegoś względu mnie to zirytowało.

Gdybym nie przyszła prosto od Jeżozwierza Królewskiego, nie powiedziałabym nic, ale on uważał, że polityka jest nudna, a nacjonalizm kanadyjski jeszcze nudniejszy. „Sztuka jest uniwersalna – mawiał. – Tamci po prostu usiłują zwrócić na siebie uwagę".

Kiedy byłam z Arturem, wierzyłam w słuszność jego sprawy, a właściwie spraw, wszystkich po kolei – jakże inaczej mogłabym z nim żyć? Jeżozwierz Królewski natomiast odbierał im całą rangę. Znów zaczynali się Kawalerowie i Okrągłe Łby.

– Na miłość boską – zwróciłam się do Artura. – Aż się prosisz, żeby cię wsadzili. Ale co to zmieni? Nic. Zamiast żyć w realnym świecie, wstąpić do jakiejś partii politycznej i rzeczywiście próbować coś zmienić, wy tylko siedzicie, dyskutujecie i skaczecie sobie do oczu. Przypominacie Brać z Plymouth, interesuje was tylko dowiedzenie własnej słuszności przez wykluczenie innych.

A potem robicie jakieś pozbawione znaczenia bezsensowne gesty, jak plucie na policjantów.

Nikt się nie odezwał słowem, wszystkich zamurowało. Byłam ostatnią osobą, po której by się spodziewali takiej tyrady, bo jak się zastanowić, jakie miałam do tego prawo? Co ja takiego robiłam, żeby zbawić świat?

– Joan ma rację – odezwała się Marlena chłodnym tonem taktyka. – Ale może by nam wobec tego powiedziała, jakie gesty ona uważa za niepozbawione znaczenia i sensowne.

– Och, nie wiem – odparłam. Natychmiast zaczęłam się wycofywać i usprawiedliwiać. – To nie moja działka, ja się nie znam na polityce. Moglibyście na przykład wysadzić w powietrze Peace Bridge czy coś w tym rodzaju.

Z przerażeniem stwierdziłam, że traktują mnie poważnie.

Następnego dnia wieczorem przyszła do nas niewielka delegacja. Marlena, Don, Sam i dwóch młodych „zmartwychwstańców".

– Mamy to w samochodzie – oznajmiła Marlena.

– Ale co macie? – spytałam. Właśnie umyłam włosy, nie spodziewałam się ich wizyty. Artura nie było, prowadził wieczorne zajęcia z literatury kanadyjskiej. Prawie cały dzień się do mnie nie odzywał i nie byłam z tego powodu w najlepszym humorze.

– Dynamit – odpowiedziała. Była podniecona. – Mój ojciec pracuje w budownictwie, więc dość łatwo nam przyszło to rąbnąć. Plus detonator, plus parę spłonek.

– Dynamit? Co zamierzacie robić z dynamitem?

– Przedyskutowaliśmy twój pomysł i doszliśmy do wniosku, że wcale nie jest taki głupi. Zamierzamy wysadzić w powietrze Peace Bridge jako symboliczny gest. Najlepiej się do tego nadaje ze względu na nazwę.

– Chwileczkę. Przecież możecie kogoś zranić.

– Marlena mówi, żeby to zrobić w nocy – wtrącił szybko Don. – Całego mostu zresztą nie wysadzimy. Chodzi o symbol. Gest, jak sama powiedziałaś.

Chcieli, żebym im ukryła dynamit. Opracowali nawet plan. Miałam pod przybranym nazwiskiem kupić używany samochód i posłużyć się adresem jednego z nowych „zmartwychwstańców", który wyjeżdżał na parę miesięcy. Następnie miałam włożyć dynamit do bagażnika i codziennie przestawiać samochód z ulicy na ulicę, z jednego całonocnego parkingu na drugi.

– Używany samochód kosztuje – powiedziałam wolno.

– To był twój pomysł – odparła Marlena. – Możesz przynajmniej w ten sposób nam pomóc. Poza tym można kupić coś taniego za paręset dolarów.

– Ale dlaczego ja?

– Bo ciebie nikt nie będzie podejrzewał – wyjaśniła. – Nie wyglądasz na taką, co by się zajmowała dynamitem.

– Jak długo miałabym to robić?

– Tylko dopóki nie dopracujemy planu w szczegółach. Potem przejmiemy od ciebie samochód.

– Zgoda. Załatwię to. Gdzie ten dynamit?

– Tu. – Don wręczył mi tekturowe pudło.

Ani mi w głowie było im w tym pomagać. Nazajutrz wzięłam taksówkę, pojechałam do Jeżozwierza Królewskiego i schowałam

pudło u niego w piwnicy, wśród mnóstwa innych skrzyń i kartonów. Powiedziałam mu, że to bardzo brzydka figurka, którą dostałam w prezencie ślubnym, i ani chwili dłużej nie mogę jej znieść w domu.

– Wolałabym, żebyś nie zaglądał do środka – powiedziałam. – Ze względów uczuciowych.

26

Jeżozwierz Królewski nigdy niczego nie zostawił w spokoju – jedna z jego cech, które mi się podobały: nie był letni, lubił ekstrema.

– Skąd wzięłaś dynamit? – zapytał. Leżeliśmy u niego na materacu; poważne pytania zawsze chował na potem.

– Prosiłam cię, żebyś nie otwierał tego pudła – powiedziałam.

– Przecież wiedziałaś, że i tak otworzę. Wiesz, że uwielbiam brzydkie figurki. Skąd to wzięłaś?

– To nie jest mój dynamit – odparłam – tylko jednych takich ludzi.

– Nigdy nie widziałem, jak to wybucha – rzekł w zamyśleniu. – Ale zawsze lubiłem Dzień Zwycięstwa, to było moje ulubione święto. Dzień Zwycięstwa i wigilia Wszystkich Świętych.

– Jeśli myślisz o wysadzeniu czegoś w powietrze – powiedziałam – to wybij to sobie z głowy. Narobiłbyś mi cholernego kłopotu, gdyby się zorientowali, że to przepadło.

– Moglibyśmy im potem skombinować inny dynamit.

– Nie.

Przypomniało mi się, jak nas o mało nie zabił prądem elektrycznym. Słyszał od jednego ze swoich przyjaciół, również

artysty kon-kretów, że jeśli włączyć do gniazdka lampki choinkowe i jedną z żarówek wykręcić, a potem w chwili wytrysku wsadzić tam palec, to ty i twoja partnerka przeżyjecie największy orgazm świata. Recepta przyjaciela przewidywała przedtem jeszcze kilka skrętów, ale Jeżozwierz Królewski rzucił narkotyki. Mówił o nich „ta trutka". „Fred Astaire nie palił trawki, prawda?" Usiłował mnie przekonać, że powinniśmy spróbować takiego aktu, czy raczej orga-niz-acji, jak to nazwał – co miało zawierać element orgazmu i kopulacji. Kupił nawet używany komplet lampek na choinkę.

– Nie mam zamiaru robić za toster elektryczny – powiedziałam – tylko po to, żeby zaspokoić jeden z twoich chorych kaprysów. – Schował lampki pod materac i włączył je przed moją kolejną wizytą. Zamierzał w kulminacyjnym momencie wsadzić tam palec bez mojej wiedzy. Ale jeszcze na dobre nie zaczęliśmy, kiedy spod materaca wydobyły się pierwsze smugi dymu. Bałam się, że podobnie będzie z dynamitem.

Jak zwykle, im bardziej się opierałam, tym bardziej nalegał. Wstał i zaczął się przechadzać po pokoju. Włożył futrzaną czapkę, najnowszą, z nausznikami, w stylu Królewskiej Policji Konnej.

– Wiesz co – powiedział. – To będzie bomba! Niczego nie wysadzimy w powietrze, po prostu zdetonujemy ten ładunek gdzieś w nocy i popatrzymy sobie, jak huknie. Ale hit. To będzie coś w rodzaju happeningu, z nami jako jedyną widownią – tylko dla nas. Ka-buum! Taka szansa się nie powtórzy. Jak mogłabyś ją zmarnować?

– Z łatwością – odpowiedziałam. – Nie znoszę głośnych, bezsensownych hałasów.

– Wobec tego związałaś się z niewłaściwym człowiekiem – orzekł i zaczął lizać moje ucho.

– Chuck, bądź rozsądny.

– Rozsądny – mruknął ponuro. – Gdybym był rozsądny, tobyś mnie nie kochała. Wszyscy są rozsądni. – Zdjął futrzaną czapkę i cisnął ją przez cały pokój. – I nie mów do mnie „Chuck". (Właśnie ostatnio dowiedziałam się, że jego prawdziwe imię i nazwisko brzmi Chuck Brewer i że pracuje na pół etatu jako plastyk we wzornictwie przemysłowym. Zwierzył mi się z tego w najgłębszej tajemnicy, jakby to było coś wstydliwego).

Pięć dni później szliśmy przez High Park, szukając odpowiedniego miejsca. Była jedenasta wieczór, połowa marca, na sadzawkach zalegał jeszcze lód, a pod drzewami śnieg, nadeszła spóźniona wiosna. Jeżozwierz Królewski miał na sobie jedno ze swoich futer i futrzaną czapkę z opuszczonymi nausznikami. Pod futrem taskał dynamit w tekturowym pudle, z lontem i spłonką. Zapewnił mnie, że się dowiedział, jak to się robi. Nie wierzyłam mu, nie miałam również zaufania do jego motywów.

– Nie chcę mieć z tym nic wspólnego, jeżeli narażasz na szwank ludzi – oświadczyłam.

– Mówiłem ci, że nikomu nic się nie stanie.

– Czy zwierzęta. Czy domy albo jakieś drzewa.

– W dalszym ciągu nic nie rozumiesz – powiedział zniecierpliwiony. – Nie chodzi o to, żeby coś wysadzić, chodzi o to, żeby wysadzić sam dynamit. Jako czysty akt.

– Nie wierzę w czyste akty.

– To nie musisz ze mną iść – rzekł przebiegle, ale bałam się, że gdybym puściła go samopas, mógłby złamać obietnicę i wysadzić

w powietrze coś ważnego, na przykład jakiś zbiornik czy pomnik Gzowskiego koło jeziora, o którym wspomniał, kiedy tamtędy przechodziliśmy.

Po obejrzeniu kilku odpowiednich miejsc zdecydował się na otwartą przestrzeń koło średniej wielkości jeziorka. W pobliżu nie było żadnych budynków, jeziorko leżało dość daleko od drogi, zgodziłam się więc. Przykucnęłam, dygocąc, w kępie krzaków, podczas gdy Jeżozwierz majstrował przy dynamicie, przymocowując spłonkę i rozplątując lont.

– Czy odeszliśmy dostatecznie daleko? – spytałam.

– Oczywiście – odparł.

Lecz kiedy zdetonował ładunek, rozległ się potężny grzmot i posypała się na nas kaskada ziemi i małych kamyków.

– Ha! – wykrzyknął. – Widziałaś coś takiego?

Nie widziałam nic, ponieważ zamknęłam oczy i zasłoniłam je rękami.

– To było coś wspaniałego – orzekłam z podziwem.

– Wspaniałego! Czy to wszystko, co masz do powiedzenia? To było po prostu w cztery dupy, najwspanialszy arte-fakt, jaki kiedykolwiek wyszedł spod mojej ręki. – Wciągnął mnie pod swoje futro i zaczął rozpinać mi guziki.

– Musimy stąd wiać – zaprotestowałam. – Ktoś to na pewno usłyszał, przyjedzie policja, przecież oni patrolują park.

– No chodź – błagał, a ja nie miałam siły mu odmówić, tak bardzo było to dla niego ważne. Kochaliśmy się wewnątrz jego futra w sposób sejsmograficzny, nasłuchując wycia syreny, które nigdy się nie rozległo.

– Jesteś jedna na milion – powiedział. – Żadnej innej nie byłoby na to stać. Wiesz... Chyba się w tobie zakochałem.

Myślę, że powinnam przyjąć to wyznanie z ironią, ale tej ironii nie czułam. Ucałowałam go z wdzięcznością.

Był trochę zawiedziony, że eksplozja nie trafiła na pierwsze strony gazet. Co gorsza, tego dnia nie trafiła do gazet w ogóle, lecz nazajutrz Jeżozwierz wynalazł w piśmie „Star" krótką wzmiankę:

TAJEMNICZY WYBUCH W HIGH PARKU

> Policja była zaskoczona niewielkim wybuchem, najwyraźniej dynamitu, jaki miał miejsce w środę w High Parku. Ofiar w ludziach nie było, został jedynie czasowo uszkodzony system kanalizacyjny pobliskiej restauracji. Trudno dopatrzyć się jakichkolwiek innych przyczyn poza zwykłym wandalizmem.

Jeżozwierz Królewski był zachwycony tym doniesieniem, które odczytywał mi głośno po kilka razy. – „Trudno dopatrzyć się jakichkolwiek przyczyn" – piał. – Bomba! – Wyciął tę wzmiankę, sfotografował, powiększył, oprawił w rzeźbioną ramkę kupioną u Niepełnosprawnych Cywilów i powiesił na ścianie obok królowej.

Przez wiele tygodni po wybuchu Marlena, Don i cała reszta wierzyli, że wożę dynamit z miejsca na miejsce w błękitnym chevrolecie z 1968 roku. A tymczasem omawiali planowaną akcję. Nie chodziło o szczegóły techniczne, do tego nigdy nie doszło. Nie osiągnęli nawet etapu map czy strategii, utknęli na poziomie czystej teorii: czy wysadzą w powietrze właściwy obiekt? Będzie to działanie o charakterze nacjonalistycznym, nie da się ukryć, ale

czy dostatecznie nacjonalistyczne, a jeśli tak, to czy będzie służyło ludowi? Jakaś zdecydowana akcja jest niezbędna, utrzymywał Don, w przeciwnym razie ktoś ich może podejść. Idee, które uważali za wyłącznie swoje, zaczęły się pojawiać w artykułach wstępnych gazet, a ankieta przeprowadzona przez Instytut Gallupa wykazała zwrot opinii w ich kierunku. Przyjęli te wiadomości z wielkim niepokojem: rewolucja może się dostać w niewłaściwe ręce.

Nie miałam nic przeciwko krążeniu z ich urojonym dynamitem po mieście. Mogłam w ten sposób wychodzić z domu, kiedy tylko chciałam.

– No, czas przerzucić dynamit w inne miejsce – mówiłam wesoło i Artur nie miał nic do powiedzenia. W gruncie rzeczy był nawet ze mnie dumny.

– Musisz przyznać, że ona jest nieustraszona – stwierdził Sam. Podziwiali moją zimną krew.

Na ogół szłam do Jeżozwierza Królewskiego. Ale wyczuwałam jakieś zmiany. Koronkowy obrus, w którym tańczyłam z nim walce, znów był obrusem, i to jeszcze z dziurą, a czarne trzewiki z wąskimi nosami przestały być warte bólu, który sprawiały. Motele stały się motelami i oznaczały dla mnie już tylko ciężką pracę i skrępowanie. Sturgess organizował coraz to nowe wyjazdy – a to do Sudbury, a to do Windsoru – i te spotkania oraz wywiady kosztowały mnie coraz więcej.

Wieczorem wracałam do motelu, prałam w umywalce bieliznę i rajstopy, wyciskając je w ręczniki i rozpinając na wieszakach. Nigdy nie były suche do rana, więc czułam potem na skórze ich lepki, niedoprany dotyk, jakby mnie spowijał nieświeży oddech

innych ludzi. Tymczasem Jeżozwierz Królewski siedział na brzegu łóżka, biały i chudy jak korzeń, i zadawał mi pytania.

– Jaki on jest?

– Kto?

– No wiesz, Artur. Jak często z nim...

– Chuck, to nie twoja sprawa.

– Owszem, moja. – Tym razem nie przyczepił się do „Chucka”; coraz mniej był Jeżozwierzem Królewskim, a coraz bardziej Chuckiem.

– Ja ci nie zadaję takich pytań na temat twoich przyjaciółek.

– Ja je wymyśliłem – burknął. – Jesteś tylko ty.

– To kto podrzuca te ciastka z dyni?

– Moja matka. – Wiedziałam, że to kłamstwo.

Zawsze żył w ramach swojej nienapisanej biografii, ale obecnie zaczynał widzieć teraźniejszość tak, jakby to już była przeszłość owiana mgiełką nostalgii. Z każdej restauracji, w której jedliśmy, wychodził, wzdychając i oglądając się za siebie, o rzeczach, które robiliśmy tydzień temu, mówił niczym o zdjęciach z dawno zaginionego albumu. Każdy mój gest w momencie wykonywania ulegał zamrożeniu, każdy pocałunek zabalsamowaniu, jakby to wszystko oszczędzał na przyszłość. Czułam się jak eksponat.

– Przecież jeszcze nie umarłam – mówiłam mu nieraz. – Dlaczego traktujesz mnie w ten sposób?

Ale to był jeden z jego nastrojów. Kiedy indziej zachowywał się w stosunku do mnie wrogo. Wykazywał niezdrowe zainteresowanie nie swoją pracą, bardzo skromną, ale moją. Wycinał recenzje mojej książki i używał ich do znęcania się nade mną.

– O, tutaj mówią, że stwarzasz zagrożenie dla męskiego ego.

– No i czy to nie jest głupie?

– Ale kiedy rzeczywiście stwarzasz zagrożenie dla męskiego ego.

– Daj spokój. Komu ja kiedykolwiek zagrażałam?

– Tu piszą, że jesteś prawdziwym niebezpieczeństwem.

– O co ci, do diabła, chodzi? – zapytałam. Całe popołudnie byłam dla niego bardzo miła.

– Depczesz ego swoich bliźnich, nawet o tym nie wiedząc. Jesteś niezdarą w sensie uczuciowym.

– Jeśli mamy dalej prowadzić tę rozmowę, to może byś się ubrał, dobrze? – Broda mi się trzęsła; jakoś nie potrafiłam się kłócić z nagim mężczyzną.

– Nie wiesz, o co mi chodzi? Mówisz mi, co mam robić. Stanowisz dla mnie zagrożenie.

– Nie stanowię żadnego zagrożenia – zaprotestowałam.

– Jeżeli nie stanowisz zagrożenia, to dlaczego krzyczysz?

Zaczęłam płakać. Objął mnie ramionami, ja objęłam jego, roniąc łzy jak sierota, jak cebula, jak posypany solą ślimak.

– Przepraszam cię – powiedział. – Ja i tak nie mam żadnego męskiego ego, najprawdopodobniej mam co najwyżej ego wombata.

– Mieliśmy traktować te sprawy lekko – przypomniałam mu między jednym a drugim szlochem.

– Traktujemy, traktujemy – uspokoił mnie. – Na razie jest lekko, potem będzie ciężko. Mam po prostu chandrę, bo pada i jestem bez forsy.

– To chodźmy do KFC na kurczaka – zaproponowałam, wycierając nos. Ale Chuck nie był głodny.

Pewnego deszczowego popołudnia, kiedy do niego przyszłam, czekał na mnie wystrojony, w pelerynie i krawacie od Niepełnosprawnych Cywilów, którego nigdy do tej pory nie widziałam, brązowym, z syreną. Złapał mnie wpół i okręcił dokoła. Miał błysk w oku.

– Co się stało? – spytałam, kiedy zdołałam zaczerpnąć tchu. – Co w ciebie wstąpiło?

– Niespodzianka – powiedział.

Zaprowadził mnie do łóżka: na materacu leżał autentycznie groteskowy biały płaski kapelusz z lat pięćdziesiątych, z piórem i woalką.

– Skąd to masz? – spytałam, zastanawiając się, co za nowy fioł strzelił mu do głowy. Lata pięćdziesiąte nigdy nie były jego ulubionym okresem.

– To twój kapelusz pożegnalny – wyjaśnił. – Kupiłem go u Sally Ann za osiemdziesiąt dziewięć centów.

– Ale po co?

– Na pożegnanie oczywiście. – Był dalej w podniosłym nastroju. – Wiesz co, pomyślałem sobie, że moglibyśmy się razem urwać. Ulotnić.

– Chyba zwariowałeś. I dokąd mielibyśmy pojechać?

– Co byś powiedziała na Buffalo?

Zaczęłam się śmiać, zorientowałam się jednak, że mówi poważnie.

– To bardzo miłe z twojej strony, ale przecież wiesz, że nie mogę.

Chciał, żebym rzuciła dla niego Artura. Do tego się wszystko sprowadzało, w końcu się przyznał. Siedzieliśmy obok siebie na łóżku i gapiliśmy się w podłogę.

– Chcę z tobą normalnie żyć – powiedział.

– Jakim cudem? Jestem beznadziejna w kuchni. Wszystko przypalam.

– Chcę budzić się rano i jeść z tobą śniadanie, i czytać „The Globe and Mail".

– Mogłabym przychodzić na śniadania. Na późne śniadania.

– Chcę czesać twoje włosy.

Zaczęłam pochlipywać. Kiedyś mu powiedziałam, że Artur lubi mnie czesać, czy raczej że ma zwyczaj mnie czesać.

– Co on ma takiego, czego ja nie mam?

Nie wiedziałam. Ale nie chciałam, żeby wszystko popsuł, żeby stał się szary i wielowymiarowy, i skomplikowany jak wszyscy inni. Czy zawsze Heathcliff jest Lintonem w przebraniu? O co mi chodziło bardziej – o przygodę czy o bezpieczeństwo, i co gwarantował każdy z nich? Prawdopodobnie ani jeden, ani drugi nie oferował żadnej z tych rzeczy, obaj chcieli tego ode mnie, a ja jeszcze raz nie potrafiłam sprostać oczekiwaniom. Jeżozwierz Królewski leżał z głową na moim brzuchu i czekał na odpowiedź.

– Nie wiem – odparłam. – Nie o to chodzi.

Usiadł.

– Z tobą najgorsze jest to, że brak ci motywacji. Czy zdajesz sobie sprawę, jakie to niebezpieczne? Przypominasz autobus szkolny, który wpadł w poślizg.

– Ale to nie jest przeze mnie zamierzone – broniłam się. Na otarcie łez kupiłam mu słoik witamin do brania raz dziennie

i skarpetki i odkurzyłam wypchane zwierzęta. Ofiarowałam mu nawet mojego lisa, tego, który niegdyś należał do ciotki Lou. To był prawdziwy dar: coś, co sama sobie ceniłam. Kiedyś Jeżozwierz wpadłby w zachwyt, teraz ledwie na niego spojrzał.

– Przynajmniej mogłabyś mu o nas powiedzieć. Czasem myślę, że się mnie wstydzisz.

Ale tu ustanowiłam granicę.

– Nie mogę – odparłam. – To by wszystko zniszczyło. A ja cię kocham.

– Boisz się zaryzykować ze mną – mruknął ponuro. – Myślisz, że tego nie widzę. Teraz rzeczywiście nic specjalnego sobą nie reprezentuję, przyznaję, ale pomyśl o moim potencjale!

– Podobasz mi się taki, jaki jesteś – zapewniłam go, ale mi nie uwierzył. Nie to żebym go nie kochała. Kochałam go, w pewien szczególny sposób, wiedziałam jednak, że nie potrafiłabym z nim żyć. Dla niego rzeczywistość i fantazja to było jedno, co znaczyło, że nie ma rzeczywistości wcale. Dla mnie znaczyłoby to, że nie ma fantazji, a tym samym ucieczki.

Kiedy następnym razem wysiadłam z windy, czekała mnie niespodzianka. Zastałam go wprawdzie w domu, ale to już nie był Jeżozwierz Królewski. Ostrzygł się krótko i zgolił brodę. Stał na środku pokoju, bez peleryny, bez laski, bez rękawiczek, i miał na sobie jedynie dżinsy i podkoszulek z napisem *HONDA*. Był po prostu Chuckiem Brewerem – czyżby pod kamuflażem brody był nim zawsze? Wyglądał, jak ograbiony ze wszystkiego.

– Mój Boże – prawie wykrzyknęłam. – Dlaczego to zrobiłeś?

– Zabiłem go – powiedział Chuck. – Jest załatwiony, koniec z nim.

Zaczęłam płakać.

– Zapomnij o tym. – Zdarł ze ściany portret królowej, a potem oprawiony wycinek z gazety dotyczący dynamitu i rzucił to wszystko na stertę, którą tworzyły jego kostiumy.

– A co z twoimi zwierzętami? – spytałam idiotycznie.

– Pozbywam się ich. Nie są mi już potrzebne.

Patrzyłam na jego dolną szczękę. Nigdy jej do tej pory nie widziałam.

– Czy teraz przeniesiesz się do mnie? – zapytał. – Niekoniecznie tutaj. Możemy wykombinować jakiś dom.

To było straszne. Wyobraził sobie, że zamieniając się w kogoś bardziej przypominającego Artura, zdoła zająć jego miejsce. Ale w ten sposób zamordował tę część siebie, którą kochałam. Nie wiedziałam, jak pocieszyć to, co z niego zostało. Bez brody wyglądał jak młodszy księgowy.

Nienawidziłam siebie za te myśli. Czułam się jak potwór, wielki, głupi potwór, nieuleczalnie płytki. Jak mogłam w takim momencie zajmować się jego podbródkiem? Zarzuciłam mu ręce na szyję. Spełnienie jego życzeń nie wchodziło w grę, wszystko było nie tak.

– Już widzę, że nie – powiedział, uwalniając się z moich ramion. – Wobec tego jest tylko jedno wyjście. Co byś powiedziała na podwójne samobójstwo? Albo ja cię zastrzelę, a potem sam wyskoczę z Toronto Dominion Centre z twoim ciałem w ramionach. – Zdobył się na szeroki uśmiech, który jednak mnie nie zwiódł. Mówił całkiem serio.

27

Winda towarowa ciężko zjeżdżała w dół. Wyobrażałam sobie Jeżozwierza Królewskiego, jak zbiega z trzech kondygnacji schodów, zrzucając po drodze ubranie, żeby na dole powitać mnie zupełnie nago. Ale kiedy winda stanęła i drzwi otworzyły się ze zgrzytem, nie było go tam. Pobiegłam trzy przecznice dalej, do KFC, wpadłam do środka i zamówiłam porcję rodzinną. Następnie wzięłam taksówkę do domu. Powiem wszystko, wypłaczę. Zyskam przebaczenie, nigdy więcej już się to nie powtórzy, jeśli tylko Artur daruje mi winę i mnie ochroni, zapewni mi poczucie bezpieczeństwa.

Weszłam na górę i zdyszana energicznie otworzyłam drzwi. Przygotowałam się dobrze – ta scena będzie nie tylko wyznaniem, ale i oskarżeniem: dlaczego Artur mnie do tego doprowadził, co w tej sytuacji proponuje, czy nie powinniśmy przedyskutować naszego wzajemnego stosunku, żeby ustalić, co w nim jest nie tak? Dla jakichś pokrętnych i być może sadystycznych, sobie tylko znanych powodów pozwolił mi na romans z opętanym manią zabijania szaleńcem i najwyższy czas, żeby się o tym dowiedział. Nie wymagam wiele, chcę tylko być kochana. Chcę odrobiny

zwykłych ludzkich względów. Czy to takie dziwne, czy to niemożliwe, czy jestem jakimś mutantem?

Artur oglądał telewizję. Siedział tyłem do mnie, z odsłoniętym karkiem. Zauważyłam, że jest nieostrzyżony, i zrobiło mi się przykro. Był jak dziecko, tkwił po uszy w swoich przekonaniach i poglądach. Co ja najlepszego robię?

– Artur – powiedziałam. – Muszę z tobą porozmawiać.

– Nie możesz poczekać, aż się skończy? – zapytał w odpowiedzi, nawet się nie odwracając.

Usiadłam na podłodze obok jego fotela i rozpieczętowałam porcję rodzinną kurczaka. Poczęstowałam go w milczeniu.

– Jak możesz jeść to amerykańskie świństwo? – Mimo to jednak wziął pierś. Oglądał igrzyska olimpijskie w jeździe figurowej par na lodzie. Kiedyś oglądał tylko wiadomości, teraz właściwie wszystko, co się dało: komedie sytuacyjne, rozgrywki hokejowe, seriale kryminalne, rozmowy. Telewizor miał pionowe załamania na jednej trzeciej ekranu, licząc od dołu, tak że ludzie występujący w dyskusjach mieli po cztery ręce, jak indiańscy bogowie i boginie, a sceny pościgów w serialach kryminalnych wychodziły do góry nogami – po dwa komplety policjantów i złodziei. Ale Artur nie naprawiał telewizora ze względu na koszt. Powiedział, że zna kogoś, kto mu to zrobi.

Austriaccy łyżwiarze, w kostiumach z długimi białymi rękawami – dziewczyna w ciemnym staniku – sunęli tyłem dokoła lodowiska z niesamowitą szybkością i idealną synchronizacją ruchów. Każde z nich miało po cztery nogi. Odwrócili się i dziewczyna frunęła w powietrze, a następnie zatrzymała się do góry nogami, dwugłowa, podtrzymywana przez partnera na jednej

ręce. Kiedy opadała z powrotem, komentator zawołał: „Dotknięcie prawą stopą", po czym runęli oboje, powielając się, gdy uderzyli o lód. Podnieśli się i kontynuowali program, ale to już nie było to samo. Kanadyjska para też upadła, chociaż rozpoczęła brawurowo.

Na lodowisko wjechała Gruba Pani – nic na to nie mogłam poradzić. Przeżywałam jeden z najważniejszych momentów w moim życiu, powinnam była zdobyć się na to, żeby ją oddalić, lecz oto pojawiła się w różowym kostiumie, z głową przybraną łabędzim puchem. Towarzyszył jej najchudszy mężczyzna świata. Słała dokoła uśmiechy, nikt na nie nie odpowiadał, ludzie nie wierzyli własnym oczom, ponieważ śmigała po lodowisku z niebywałą gracją, wirując na drobnych stopach jak fryga. Potem chudy partner uniósł ją i rzucił, a ona leciała i leciała w górę, by w końcu zawisnąć w powietrzu... Dowcip polegał na tym, że mimo swego ogromu była bardzo lekka, bo pusta w środku, lekka jak balon wypełniony helem; należało ją przytraczać do łóżka, żeby nie pofrunęła, a ona całą noc napierała na te liny...

Muszę z tobą porozmawiać – chciałam powiedzieć podczas reklam. Ale Artur właśnie grzebał w rodzinnej porcji kurczaka, szukając jeszcze czegoś do zjedzenia, palce miał całe w tłuszczu, a na brodzie kawałek mięsa; delikatnie mu go starłam. Był w tej chwili zupełnie bezbronny, musiałam to uszanować. Brakowało mu niezbędnej godności.

Sławna łyżwiarka figurowa zachwalała właśnie margarynę, nieprzekonująco, ze wzrokiem utkwionym hipnotycznie w tekst. Potem znowu rozpoczęły się pokazy. Gruba Pani w dalszym ciągu unosiła się pod sufitem. Para ze Stanów Zjednoczonych

przemknęła na dole ekranu jak stonoga, ale nikt nie zwrócił na nią uwagi, ponieważ wszyscy byli pochłonięci obserwowaniem wielkiego różowego balonu, który w tak niesmaczny sposób kołysał się nad ich głowami.

Gruba Pani lekko majtała łyżwami, widać było jej rajstopy i ogromny księżyc tyłka. Coś obrzydliwego. „Poszli po kuszę z harpunem" – usłyszałam słowa komentatora. Zestrzelą ją z zimną krwią, eksploduje, mimo że właśnie zaczęła śpiewać...

„Dlaczego ja to robię? – zadawałam sobie pytanie. – Kto mi to robi?"

– Idę się położyć – powiedziałam Arturowi. Nie mogłam w tym stanie działać, nie mogłam nawet normalnie myśleć. Lada chwila Jeżozwierz Królewski zacznie walić w drzwi albo wykrzykiwać przez telefon jakieś okropne rzeczy – tuż przed swoim skokiem – ja zaś byłam jak porażona, nie mogłam nic na to poradzić. Mogłam tylko czekać na cios topora, a znając Jeżozwierza, wiedziałam, że nie będzie to nawet topór, tylko na przykład kauczukowy indyk ze sklepu ze śmiesznymi drobiazgami – to albo jakiś potężny wybuch. Nie miał żadnego poczucia proporcji. Rosjanie wygrali mistrzostwa. Znowu.

Nazajutrz rano odebrałam pierwszy telefon. Cisza, nic, chociaż trzykrotnie powiedziałam „halo". Tylko oddech i trzask odkładanej słuchawki. Wiedziałam, że to na pewno on, ale zdumiał mnie brak oryginalności. Drugi telefon był o szóstej, a trzeci o dziewiątej. Następnego dnia dostałam od niego list, to znaczy czułam, że to od niego. W kopercie znalazłam niepodpisaną kartkę, a na niej mały drzeworyt przedstawiający śmierć z kosą i krótki tekst: „Ten walc należy do mnie". Litery

i słowa były wycięte z żółtych kartek książki telefonicznej i naklejone; śmierć z jakiegoś pisma. Zgniotłam list i wyrzuciłam do śmieci. Jeżozwierz Królewski działał szybko, ale nie zamierzałam dać mu odczuć, że robi to na mnie wrażenie.

Prawdę powiedziawszy, spodziewałam się anonimu do Artura. Zaczęłam cenzurować jego korespondencję, ale w tym celu musiałam wstawać wcześnie, żeby zdążyć przed nim na dół do przedpokoju i wziąć listy, kiedy tylko wpadną przez szparę w drzwiach. Zastanawiałam się nad każdą kopertą i jeżeli jej zawartość nie była oczywista, odkładałam ją, żeby później otworzyć nad parą. Robiłam to przez pięć dni, niczego jednak nie znalazłam. Telefony trwały nadal. Nie wiem, czy były i do Artura, ale jeśli tak, to się nie przyznał.

Wszystko zależało od tego, czy Jeżozwierz Królewski chce, żebym do niego wróciła – w takim razie nic by nie mówił Arturowi – czy zamierza mnie zabić, w co wątpiłam, czy też zwyczajnie chodzi o zemstę. Chciałam nawet do niego zadzwonić i spytać. Przypuszczam, że powiedziałby mi prawdę, gdybym trafiła na właściwy moment. Nigdy nie powinnam mu była dawać takiej władzy nad sobą – możliwości zrujnowania mi życia. Bo ono jeszcze nie legło całkowicie w gruzach, jeszcze dałoby się coś z niego uratować. Wspomniałam Arturowi, że moglibyśmy się przenieść do innego miasta, że byłaby to fajna odmiana.

Szóstego dnia dostałam kolejny list. Zaadresowany na maszynie i bez znaczka pocztowego – ktoś musiał go przynieść. W środku znalazłam następny tekst złożony z wyciętych liter: „Otwórz drzwi”. Odczekałam pół godziny i otworzyłam. Pod drzwiami leżał

zdechły jeżozwierz przebity strzałą. Na przyczepionej do strzały karteczce przeczytałam „Joan”.

Na miłość boską. Gdyby to znalazł przede mną właściciel domu albo Artur, byłby straszny szum, a przynajmniej dochodzenie. Należało jak najprędzej pozbyć się przesyłki. Jeżozwierz był duży, mocno poraniony i już zaczynał śmierdzieć. Przeciągnęłam go na krawędź ganku i cisnęłam między hortensje, w nadziei że nikt z sąsiadów tego nie widzi. Następnie wzięłam zieloną plastikową torbę, wsadziłam do niej jeżozwierza i dowlokłam go jakoś na tyły domu, do pojemnika na śmieci z napisem „Lokatorzy”, znajdującego się w głębi większego pojemnika z pokrywą na zawiasach. Wyobraziłam sobie, jak Jeżozwierz Królewski rozmraża jedno po drugim wszystkie swoje zwierzęta i kolejno podrzuca mi pod drzwi. Miał ich mnóstwo, wystarczyłoby mu na wiele tygodni.

Czułam, że posuwa się za daleko. Po południu zadzwoniłam do niego z budki telefonicznej.

– Chuck, to ty? – spytałam, kiedy się odezwał.

– Kto mówi? Myrna?

– Wiesz bardzo dobrze, że to nie żadna Myrna, obojętne co to za jedna. Mówi Joan i chciałam ci powiedzieć, że to wcale nie jest śmieszne.

– Co nie jest śmieszne? – Robił wrażenie szczerze zdziwionego.

– Doskonale wiesz co. Twoje listy. Uważasz, że jesteś taki strasznie przebiegły i że jak wytniesz litery z książki telefonicznej, to ja nie poznam, że to od ciebie?

– Nic nie wycinałem. O jakie listy ci chodzi? Nigdy nie wysyłałem do ciebie żadnych listów.

– A co powiesz na ten „prezent”, który mi zostawiłeś dziś rano pod drzwiami? Mam nadzieję, że nie pochodzi z twojego bezcennego zbioru roz-duszonych zwierząt?

– O czym ty mówisz? Chyba zwariowałaś. Nic takiego nie zrobiłem.

– I prosiłabym cię jeszcze, żebyś przestał dzwonić i dyszeć mi w słuchawkę.

– Przysięgam na Boga, że ani razu do ciebie nie dzwoniłem. A masz jakieś telefony?

Załamałam się. Jeżeli kłamie, to znaczy, że nie ma zamiaru przestać. Jeśli nie, to kto inny mógłby robić takie rzeczy?

– Chuck, bądź uczciwy – powiedziałam.

– Prosiłem cię, żebyś mnie tak nie nazywała – odparł chłodno. – Nic złego ci nie zrobiłem. Bo niby dlaczego? Powiedziałaś mi, że to koniec. Zgoda, na początku byłem wściekły, ale przemyślałem sprawę i skoro mówisz, że koniec, to koniec. Znasz mnie przecież – dziś jestem, jutro mnie nie ma. Łatwo przyszło, łatwo poszło. Dlaczego miałbym się przejmować?

Było mi przykro, że traktuje mnie tak lekko.

– Aha, czyli tylko tyle dla ciebie znaczyłam, tak?

– Słuchaj, przecież to ty odeszłaś, nie ja. Skoro nie chcesz ze mną żyć, to czego po mnie oczekujesz? Że wsadzę głowę do pieca?

– Może nie miałam racji – powiedziałam. – Może rzeczywiście powinniśmy się rozmówić.

– Po co rozdrapywać rany? A poza tym nie jestem sam. – I odłożył słuchawkę.

Odwiesiłam słuchawkę i ja. Zaczęłam walić w widełki, żeby odzyskać monetę – przynajmniej tyle był mi winien. Ale czarne

pudło ani drgnęło.

Pobiegłam z powrotem do domu, ukryłam się w sypialni, wyciągnęłam maszynę do pisania i zamknęłam oczy. Tylko wysoki mężczyzna w pelerynie mógł mi teraz pomóc. Przez cały czas, kiedy byłam z Jeżozwierzem Królewskim, nie napisałam ani słowa. Czy to dlatego moje twory wydawały mi się bardziej realne niż zwykle, bliższe, naładowane większą energią niż ta, którą je sama obdarzyłam?

Ale nic z tego nie wyszło, nie zatrzymam przecież czasu, od niczego się nie odetnę.

Wieczorem znów był telefon, a nazajutrz kolejny list: „Przyjdź do zakładu pogrzebowego" – z przyklejonym obrazkiem przedstawiającym pająka. Następnego dnia pod drzwiami leżała zdechła sójka. W nocy wydawało mi się, że słyszę, jak ktoś wdrapuje się po schodach przeciwpożarowych.

Zaczęłam się wahać przed podniesieniem słuchawki. Może powinnam sobie kupić bardzo ostry gwizdek, jaki się stosuje wobec tych, którzy dzwonią, żeby powiedzieć jakieś świństwo. Raz wrzasnęłam w słuchawkę: „Dość tego!" – zanim się zorientowałam, że to tylko Sam. Szczerze mówiąc, nie bałam się, uważałam to za dalszy ciąg mściwej psoty. Jeżozwierz Królewski – byłam przekonana, że to jednak on – traktuje pewno swoje wybryki jako następne swoiste dzieło sztuki. Może robi mi zdjęcia, kiedy otwieram drzwi i natykam się na jego cuchnące drobne dowody pamięci, i może te zdjęcia trafią na wystawę. Zastanawiałam się, czyby nie pójść do jego magazynu i nie próbować mu tego wyperswadować...

Zadzwonił telefon. Odliczyłam trzy dzwonki i dopiero wtedy podniosłam słuchawkę, przygotowana na dyszenie, a może i złowrogi śmiech.

– Halo? – powiedziałam.

– Czy to Joan Delacourt? – Był to męski głos, przytłumiony i jakiś dziwny.

– Tak – odpowiedziałam machinalnie, zanim miałam czas się zdziwić, że ktoś używa mojego panieńskiego nazwiska, podczas kiedy wszyscy znali mnie teraz jako Joan Foster.

– Joan. Wreszcie cię znalazłem.

– Kto mówi?

– Nie poznajesz? – zapytał nieśmiało głos. Teraz już zabrzmiał swojsko. – Twoja przyjaciółka Mavis. – I kokieteryjny śmiech.

– Paweł – powiedziałam. – O Boże.

– Przeczytałem o tobie w gazecie – podjął Paweł, niezrażony moim strachem. – Poznałem cię na zdjęciu, chociaż w rzeczywistości jesteś dużo ładniejsza. Ogromnie się ucieszyłem z twojego sukcesu, już nie musisz pisać swoich powieści grozy – jesteś prawdziwą pisarką. Czytałem twoją książkę. Bardzo obiecująca. Jak na pierwszą książkę, i to kobiety.

Usłyszałam, że Artur wchodzi do mieszkania. Trzeba było jakoś skończyć rozmowę z Pawłem, ale nie chciałam go urazić.

– Słuchaj – powiedziałam. – Musimy się zobaczyć. Bardzo bym chciała się z tobą spotkać.

– To podobnie jak ja z tobą – odparł Paweł. – Znam jedną dobrą restaurację...

Spotkaliśmy się w tej restauracji nazajutrz na późnym lunchu. Nazywała się U Zerda. Dawniej w Toronto nigdy nie było

restauracji, które nosiłyby nazwiska właścicieli, w rodzaju Zerdo, ale teraz zrobiło się ich pełno. To podobne do Pawła – wyszukać restaurację ochrzczoną nazwiskiem jakiegoś hydraulika czy kogoś w tym rodzaju, pomyślałam, otwierając drzwi. Było to wąskie, ciemne pomieszczenie, z obrusami w kratkę na stolikach i lampami w kształcie świec. Ściany zdobiły festony sztucznych winogron. Za salą znajdował się korytarz wyklejony tapetą imitującą mur i obwieszony miedzianymi rondlami. Podskoczył do mnie *maître*, niski i czujny, niosąc pod pachą karty ze złotą zakładką.

– John – powiedziałam mimo woli. Ten delikatny wąsik poznałabym na końcu świata.

– Przepraszam panią bardzo, ale nazywam się Zerdo.

Właśnie zobaczyłam nadchodzącego Pawła. Ceremonialnie ucałował mnie w rękę i z uprzejmą melancholią poprowadził do stolika. Kiedy usiedliśmy, nie odezwał się słowem, tylko patrzył na mnie z wyrzutem zza szkieł, które były, jak zauważyłam, zabarwione na bladofioletowo.

– Kiedyś ten lokal nazywał się Przysmak – powiedziałam. Nie przyznałam się jednak, że byłam tu kasjerką. Teraz przy kasie siedział mój sobowtór: zwalista baba uczesana w kok i ubrana w czarną sukienkę, która wprawdzie ukazywała tłuste łokcie, ale zasłaniała dekolt. Jedna z moich potencjalnych przyszłości we własnej osobie – niewątpliwie pani Zerdo. W tym momencie jej zazdrościłam.

– Joan – zapytał Paweł. – Dlaczego ode mnie uciekłaś?

Wyjął z wazonu plastikową różę i kręcił ją w palcach, najwyraźniej nieświadom tego, że jest sztuczna. Co miałam

powiedzieć w takiej chwili, żeby zabrzmiało stosownie?

– Dla twojego dobra.

– Nie, mylisz się – rzekł ze smutkiem. – Ja cię kochałem. Zamierzałem się z tobą ożenić, kiedy będziesz trochę starsza. Planowałem to, powinienem był ci o tym powiedzieć. A ty ode mnie uciekłaś. Byłem bardzo nieszczęśliwy. – Niezupełnie mu wierzyłam. Rzucił mi się w oczy jego garnitur, wyraźnie droższy niż kiedyś, i ta wyczuwalna pewność siebie – też coś nowego. Zgorzkniały arystokrata w wyświechtanym ubraniu zatracił jakby ostre kontury, a na niego nałożył się obraz dobrze prosperującego biznesmena.

Pojawił się Zerdo z kartą win. Odnosił się z szacunkiem do Pawła, który złożył zamówienie bez zarzutu. Paweł wziął gauloise'a, poczęstował mnie, a następnie wsadził swojego w cygarniczkę, nową i elegancką.

– Cieszę się, że cię odnalazłem – odezwał się, kiedy popijaliśmy zupę cytrynową. – Trzeba się zastanowić, co dalej, bo widzę, że wyszłaś za mąż.

– Paweł, ty tu teraz mieszkasz? Przeniosłeś się do Kanady? – spytałam, by zmienić temat.

– Nie – odparł. – Ale bywam tu często. W interesach. Już od sześciu lat nie pracuję w banku, zajmuję się czym innym. Jestem... – zawahał się – ...importerem.

– A co importujesz?

– Wiele rzeczy – odparł ogólnikowo. – Przedmioty drewniane, szachy i pudełka na papierosy z Czechosłowacji, ubrania z Indii, jest teraz na nie duże zapotrzebowanie, i z Meksyku. Znajomość wielu języków ogromnie mi się przydaje. Oczywiście nie władam

sam wszystkimi, ale jakoś sobie radzę. – Nie bardzo chciał o tym mówić. Przypomniał mi się rewolwer. Czyżby owo niewielkie wybrzuszenie pod pachą to było to? Czyżby nosił zawieszoną na ramieniu kaburę? Błyskawicznie pomyślałam o heroinie, opium, broni atomowej, kosztownościach i tajemnicach państwowych.

– Zdołałem sprowadzić z Polski matkę, ale umarła.

Przy musace mówiliśmy o tym i o jego córce. Kiedy doszliśmy do nugatów, powiedział:

– Przeczytałem w gazecie, że twój mąż jest komunistą. Joan, jak mogłaś wyjść za kogoś takiego? Przecież ci mówiłem, co to za ludzie.

– Ale on nie jest prawdziwym komunistą. Trudno mi to wytłumaczyć, ale tutaj wszystko wygląda zupełnie inaczej. Poza tym jego przekonania nic tu nie znaczą. Jest przyzwoitym człowiekiem. Oni nic właściwie nie robią, po prostu spotykają się, dyskutują, coś jak teozofowie.

– Dyskusje są niebezpieczne – rzekł ponuro. – Wszystkie tego rodzaju rzeczy zaczynają się od dyskusji. W gadaniu są dobrzy, jak jezuici. Biedne dziecko, i tak cię właśnie nabrał na małżeństwo. Zrobił ci pranie mózgu.

– Nie, wcale tak nie było. – Ale Paweł wiedział lepiej.

– Daję głowę, że jesteś bardzo nieszczęśliwa.

Powiedział prawdę, więc nie zaprzeczyłam. W gruncie rzeczy dobrze się czułam, taplając się w ciepłej kąpieli jego współczucia. Myślałam, że będzie na mnie zły, a on był taki miły. Wypiłam jeszcze kieliszek wina i Paweł zamówił koniak.

– Możesz mi wierzyć – powiedział, poklepując mnie po ręce. – Byłaś jeszcze dzieckiem. Nie znałaś samej siebie. Teraz jesteś

kobietą. Odejdziesz od tego człowieka, rozwiedziesz się z nim i będziemy szczęśliwi.

– Paweł, ale ja nie mogę od niego odejść.

Pływał mi przed oczyma, otoczony nostalgiczną mgiełką. Czyżbym spotkała utraconą miłość, swojego wybawiciela? Oczy mi wezbrały łzami, nos też. Wytarłam je serwetką. Jeszcze chwila i zacznę płakać.

Pawłowi stwardniała szczęka.

– On cię nie puści, już to widzę. Oni właśnie tacy są. Jeśli mu powiesz, że mnie kochasz, to on... Ale ja mam przyjaciół. W razie potrzeby możemy cię wykraść.

– Nie, Paweł, nie możesz tego zrobić. To by było niebezpieczne. Poza tym tutaj takie rzeczy nie są przyjęte.

Paweł poklepał mnie po ręce.

– Nie martw się. Wiem, co zrobię. Zaczekam, a potem w odpowiednim momencie uderzę. – Oczy mu zabłysły. Miał przed sobą zadanie, chciał zwyciężać.

Nie mogłam mu powiedzieć, że nie chcę zostać wykradziona, że byłoby to zbyt prostackie i bolesne, również dla niego.

– Słuchaj, ważne jest, żebyś nikomu nie mówił, że mnie widziałeś. I nie powinieneś dzwonić... Paweł, czy kiedykolwiek przedtem dzwoniłeś do mnie, a potem nic nie mówiłeś?

– Może raz – przyznał. – Myślałem, że wykręciłem zły numer.

A więc to nie on.

Wstaliśmy. Paweł wziął mnie pod rękę.

– Czy dalej pisujesz te swoje Quilpy? – przypomniałam sobie. – Już chyba nie musisz?

– Pisuję dalej, tak sobie, dla rozrywki. To uspokaja po ciężkim dniu pracy. – Przerwał i zaczął czegoś szukać w kieszeni. – O, masz, przyniosłem ci w prezencie. Jesteś wyjątkową dziewczyną. Czuję się bardzo samotny, wiem, że nikogo by to nie obeszło. Ale ty na pewno docenisz.

Wręczył mi książkę. Tytuł brzmiał: *Pielęgniarka z dalekiej Arktyki.* Mavis Quilp. Na okładce rumiana pielęgniarka uśmiechała się ujmująco w aureoli futrzanego kaptura kurtki.

– Och, Paweł, jestem ci wdzięczna. – Czułam śmieszne wzruszenie. Ta scena przypominała koniec filmu o wielorybie. Taki był smutny, taki ufny, taki pozbawiony wszelkiej nadziei, a pocieszenie go tak bardzo niemożliwe. Zarzuciłam mu ręce na szyję i wybuchnęłam płaczem.

A jednak – pomyślałam, szlochając mu na ramieniu. Musiałam w tym celu trochę się pochylić. Pachniał płynem po goleniu Hai Karate, co jeszcze bardziej wyciskało mi łzy z oczu. Ciekawe, jak z tego wybrnę. Znów byłam za miękka.

28

Paweł chciał mnie wsadzić do taksówki. Taką miał wizję – że odjeżdżam taksówką – ale powiedziałam, że wolę iść pieszo, więc sam wsiadł. Patrzyłam, jak taksówka uwozi go z Church Street na północ wśród metalicznie migotliwego ruchu. Następnie ruszyłam w stronę domu.

Miałam opuchnięte oczy, czułam się odrętwiała i przybita. Jego chęć uratowania mnie była gestem tyle rycerskim, ile próżnym, jak próżne wydawały mi się teraz wszelkie gesty rycerskie. Poza tym nie chciałam, żeby mnie w ogóle ratował, ale nie miałam odwagi mu tego powiedzieć. Prasowałabym mu ponuro gatki i jadła jego kawior w jakiejś nędznej norze, udając, że jestem szczęśliwa i wdzięczna. A potem ponuro bym od niego uciekła, pozostawiając go zawiedzionego i może tym razem żądnego zemsty. Kiedyś mi się wydawało, że jestem w nim zakochana. Może byłam.

„Miłość i uśmiech działają cuda. Niech ci towarzyszą we wszystkim, co robisz, a zobaczysz, jak wielkie ci przyniosą korzyści” – szczebiotała Brunatna Sowa, czytając to ze swego małego notatnika. Wierzyłam w ten slogan i wierzyłam, że brak tych wielkich korzyści w moim życiu to moja wina, niedostatek

miłości we mnie. Teraz zrozumiałam, że w tej formule można z powodzeniem zastąpić słowo „miłość” słowem „szuwaks” i nic się nie zmieni. Miłość to tylko narzędzie, podobnie jak uśmiech, służące do osiągnięcia pewnych celów. Żadnych cudów, zwykłe substancje chemiczne. Odniosłam wrażenie, że nigdy nikogo nie kochałam tak naprawdę – ani Pawła, ani Chucka-Jeżozwierza Królewskiego, ani nawet Artura. Pucowałam ich tylko szuwaksem, by się świecili na tyle, na ile chciałam się w nich przejrzeć, zobaczyć swoje odbicie, jeszcze wyrazistsze, pełne blasku.

W tej chwili wydało mi się niemożliwe, żeby w ogóle ktokolwiek kogokolwiek kochał, a jeśli nawet, to żeby wynikło z tego coś trwałego czy pięknego. Miłość to pogoń za cieniem, tak jak ja byłam cieniem dla Pawła, nieuchwytnym jak obłok. Ładny mi obłok, pomyślałam i poczułam, że bolą mnie nogi. Prawdopodobnie wcale mu nie zależy na mnie, tylko na przygodzie, jaką byłoby uprowadzenie mnie z jaskini krwiożerczych komunistów, uzbrojonych po zęby w urządzenia do prania mózgu i morderczą retorykę – a pośrodku ja, związana, jak to się mówi, w kij. Ale kiedy już by mnie zdobył, toby nie wiedział, co ze mną zrobić. Nie potrafił żyć ze mną poprzednio, nie mógł znieść bałaganu, a z wiekiem wcale nie stałam się porządniejsza. Jego wyobrażenie o mnie to nie to samo co ja.

Kiedy przyszłam do domu, czekał na mnie następny anonim, w którym było też coś o trumnach, ale ledwie na niego spojrzałam. Szłam wolno po schodach na górę, bolał mnie pęcherz na nodze. Miałam nadzieję, że zastanę Artura, oczekiwałam pociechy płynącej z obecności kogoś bliskiego. Ale Artura nie

było – przypomniałam sobie o jakimś zebraniu. Mieszkanie robiło wrażenie pustego i opuszczonego, tak jak się spodziewałam, że będzie wyglądać bez niego. Najwyższy czas, żebym się do tego przyzwyczaiła – lada dzień Jeżozwierz Królewski, znudzony swoją grą, posunie się dalej.

Poszłam do łazienki, napuściłam ciepłej wody z płynem do kąpieli i weszłam do wanny z Mavis Quilp. Łazienka zawsze była moim azylem, jedynym pomieszczeniem w domu, we wszystkich domach, gdzie mogłam się zamknąć. Pławiłam się w wannie jak parujący mors, podczas gdy moja matka chrząkała dyskretnie za drzwiami, rozdarta między odgłosami ciała, do którego posiadania nie chciała się przyznać, a niechęcią do nazywania rzeczy po imieniu.

– Joan, co ty tam robisz?

Długa cisza.

– Kąpię się.

– Ale siedzisz już od godziny. Inni też chcą skorzystać z łazienki, powinnaś się bardziej liczyć z ludźmi.

Zapadłam się w pianę i zatonęłam w *Pielęgniarce z dalekiej Arktyki.* Dlaczego Sharon porzuciła wygodny szpital w Anglii i przyjechała na Północ, gdzie nie było żadnych wygód i gdzie przystojny lekarz szydził z niej za każdym razem, kiedy upuściła skalpel? Pędziła po krze w saniach zaprzężonych w psy, a za nią na piechotę podążał zrzędliwy doktor. „Zatrzymaj się, ty mała idiotko. Nie mogę, nie umiem". Wiedziałam, co się stanie, znałam styl Pawła... Dopiero gdy doktor zobaczy ją leżącą na lodzie, przywaloną futrami, zrozumie, jak bardzo ją kocha, i od tej chwili będzie starał się zasłużyć na jej wzajemność. On lub ona ulegną

wypadkowi – jedno albo drugie. Czysty lód, czysty śnieg, niewinny pocałunek.

Tęskniłam za prostotą tego świata, gdzie szczęście było możliwe, a rany miały znaczenie tylko rytualne. Dlaczego zostałam wykluczona z tego nieprawdopodobnie białego raju, w którym miłość była tak ostateczna jak śmierć, i wygnana w inny świat, gdzie wszystko się zmieniało i przesuwało?

Zadzwonił telefon, ale nie kwapiłam się go odebrać. Nie miałam zamiaru wychodzić z wanny i zostawiać kałuży na podłodze po to tylko, żeby posłuchać czyjegoś dyszenia; zostanę tutaj z Sharon i doktorem Hunterem. „Dotknął jej policzka i odgarnął kosmyk włosów. Szorstko zwrócił jej uwagę, że powinna upinać włosy z tyłu: czy nie pamięta tego ze szkoły?". W książkach Pawła, zupełnie jak u Miltona, zawsze występowały uwodzicielskie kędziory, kosmyki i warkocze. „Sharon stanęła w pąsach i odwróciła się, żeby ukryć rumieniec".

Trzy kwadranse później, właśnie w momencie kiedy helikopter z uratowanym Eskimosem dotykał ziemi (lada chwila wyznanie i pocałunek) i kiedy woda wystygła już po raz drugi, wydało mi się, że słyszę kogoś w pokoju. Nasłuchiwałam, uważając, żeby nie plusnąć. Tak, zdecydowane kroki przemierzyły pokój, zbliżając się do mojej sypialni.

Zamarłam w wannie zesztywniała ze strachu. Przez chwilę leżałam w wodzie jak gigantyczne lody na patyku, a przed moimi oczyma przesuwały się straszliwe wizje: gwałciciele z nożami i o kłach ociekających krwią, groźni włamywacze z narkotycznym szaleństwem w oczach, zboczeńcy, którzy przyszli mnie porąbać na kawałki i już w porcjach, powrzucać do wszystkich pojemników

na śmieci w całym mieście. Łazienka nie miała okna. Może jeśli będę cicho, to po prostu weźmie, co ma wziąć, czyli niewiele, i pójdzie, jak przyszedł. Mogłabym przysiąc, że zamknęłam okno wychodzące na schody przeciwpożarowe, a drzwiami nie wszedł na pewno – skrzypiały tak, że musiałabym usłyszeć.

Powoli wyszłam z wanny. Nie wyciągnęłam zatyczki, żeby woda nie bulgotała. Rozpostarłam dywanik, uklękłam i przytknęłam oko do dziurki od klucza. Początkowo nic nie widziałam. Tajemniczy gość był w sypialni poza zasięgiem mego wzroku. Czekałam, aż wyjdzie. Twarz miał wprawdzie odwróconą, ale widziałam, że jest niski, było w nim coś znajomego.

Zdecydowałam, że to Paweł. Nie spodziewałam się go tak szybko. Doszedł mnie odgłos krzątaniny, jakieś pomruki. Co on robi? Chyba powinien mnie szukać, zamiast grzebać w mojej szafie. Miałam ochotę krzyknąć: „Paweł, tu jestem, na miłość boską". Owinęłam się ręcznikiem kąpielowym. Muszę wyjść i poważnie z nim porozmawiać, wytłumaczyć mu się, przeprosić i powiedzieć, że mnie źle zrozumiał, że jestem z mężem szczęśliwa, a przeszłość to przeszłość. Po takim wyjaśnieniu chyba mnie nie uprowadzi? A potem zostaniemy starymi przyjaciółmi.

Otworzyłam drzwi i boso poczłapałam do sypialni.

– Paweł – zaczęłam. – Chciałam...

Mężczyzna się odwrócił; to nie był Paweł. Przede mną stał Fraser Buchanan w tweedowej marynarce ze skórzanymi łatami na łokciach, porozciąganym golfie i czarnych rękawiczkach. Grzebał w szufladach mojej komody, a sądząc z systematyczności i metody, jaką się posługiwał, widać było, że nie jest to jego debiut w podobnej roli.

– Co pan tutaj robi?! – krzyknęłam.

Wystraszył się, ale bardzo szybko odzyskał pewność siebie. Wyszczerzył zęby jak osaczony szczur.

– Przeprowadzam badania – odpowiedział bardzo spokojnie. Najwyraźniej nie po raz pierwszy złapano go na gorącym uczynku.

– Mogłabym spowodować aresztowanie pana – powiedziałam. Zapewne nie wyglądałam zbyt godnie, stojąc tak i przytrzymując z tyłu ręcznik.

– Szczerze mówiąc, wiem o pani znacznie więcej, niż pani podejrzewa. Wiem o różnych rzeczach, które z pewnością wolałaby pani zachować w... dyskrecji. Tylko między nami.

Ciekawe, co takiego odkrył? I komu zamierzał powiedzieć? Pewnie Arturowi, pomyślałam. Artur się dowie. O moich potajemnych ja, o moich innych życiach, niegodnych. Nie mogę do tego dopuścić.

– Co takiego? – zdołałam zapiszczeć. – O czym pan mówi?

– Myślę, że dobrze pani wie, pani Foster. A może powinienem powiedzieć: panno Delacourt, panno Louiso K. Delacourt, autorko *Miłości odrzuconej* i innych?

To znaczy, że dotarł aż do szuflady z bielizną.

– Czytałem wiele pani książek – podjął – chociaż wtedy jeszcze nie wiedziałem, że to pani je pisze. Nie są złe jak na tego rodzaju rzeczy. Ale jakoś nie pasują do *Pani Wyroczni,* zgodzi się pani ze mną? Fałszywy obraz, powiedziałbym. Nie wiem, czy pani wielbicielki z ruchu wyzwolenia kobiet będą zachwycone, kiedy się o tym dowiedzą, ale z pewnością są tacy, którzy uznają to za zabawne. Nie mówiąc o księdze pamiątkowej Braeside. Te pani

zdjęcia są naprawdę świetne. Ciekawe, jak pani zdołała pozbyć się takiej nadwagi.

– Czego pan chce?

– To zależy – powiedział cierpko. – Od tego, co pani ma do zaoferowania. W zamian, można by powiedzieć.

– Pan pozwoli, że coś na siebie włożę – odparłam – i wtedy porozmawiamy.

– Wolę panią w tym – oświadczył Fraser Buchanan.

Byłam wściekła, ale i przestraszona. Odkrył co najmniej dwie spośród moich skrywanych tożsamości, a ja tak się speszyłam, że nie mogłam sobie przypomnieć, czy mam jeszcze jakieś. Gdybym nie została osobą publiczną w kręgach kultury, nie miałoby to takiego znaczenia, chociaż nie mogłam znieść myśli, że Artur dowie się o moim poprzednim życiu Kobiety Pneumatycznej. Jeśli Buchanan powie mediom prawdę o Louisie K. Delacourt, to krótki okres, kiedy traktowano mnie serio, skończy się nieodwołalnie. I chociaż był on bardzo nieprzyjemny, wolałam jednak to, niż żeby nie brano mnie na poważnie. Wolałam tańczyć kiepsko, lecz jako balerina, niż bezbłędnie jako klown.

Ubrałam się w aksamitną morelową suknię, upięłam włosy do góry, tak że kilka uwodzicielskich kosmyków opadało mi na szyję, i nawet włożyłam złote zwisające klipsy. Umalowałam się i poperfumowałam. Coś należało zrobić z Fraserem Buchananem, ale jeszcze nie wiedziałam co. Zdecydowałam, że będę go podziwiała. Wchodząc do salonu, uśmiechnęłam się do niego. Siedział na kanapie z rękami na kolanach, jak w poczekalni u dentysty.

Zaproponowałam, żebyśmy wyskoczyli na drinka, ponieważ nic nie mam w domu (kłamstwo). Zgodził się chętnie, tak jak przewidywałam. Uważał, że wygrał sprawę i pozostało mu już tylko omówić warunki.

Wybrał bar Czwarta Władza. Miał nadzieję, że zobaczy nas razem wielu dziennikarzy. Zamówiłam dubonneta z lodem i odrobiną cytryny, on podwójną szkocką. Chciałam zapłacić, ale się nie zgodził.

– Wiem nawet o pani małym romansie z takim jednym hochsztaplerem, artystą czy poetą, czy co to za jeden – zwierzył mi się, pochylając się nad wytwornym okrągłym stolikiem z lustrzanym blatem. – Śledziłem panią.

Serce mi zamarło. Tego bałam się najbardziej. Byłam taka ostrożna; czyżby Chuck mu powiedział? Gdyby chciał mi naprawdę zrobić krzywdę, to oczywiście był to najlepszy sposób.

– Wszyscy o tym wiedzą. Nawet mój mąż – powiedziałam z pogardą świadczącą, że lekceważę ten błahy temat. – Ten mężczyzna niemal zamieszczał oświadczenia w prasie. Sprzedał uniwersytetowi dwie moje listy zakupów w zapieczętowanej kopercie i przysięgał, że to listy miłosne. Wyciągnął mi je z torebki. Nie wiedział pan o tym? – Chuck często mi groził, że sprzeda próbki mojego pisma dla chleba, jak się wyraził, o ile jednak wiem, nigdy tego nie zrobił.

Twarz Frasera Buchanana zapadła się niczym źle zasypany dół – skoro Artur wie, to nic w ten sposób nie zyska.

– Jak się pan dostał do mojego mieszkania? – spytałam konwersacyjnym tonem, żeby zatrzeć jego skrępowanie. Poza tym rzeczywiście byłam ciekawa. Spotkałam w życiu wielu

szantażystów, ale żaden z nich nie był profesjonalistą. – Czyżby okienkiem wychodzącym na schody przeciwpożarowe?

– Nie, następnym. Przeskoczyłem.

– Poważnie? To spora odległość. Przypuszczam wobec tego, że te głuche telefony to też pan?

– Musiałem się upewnić, że pani nie ma, żeby móc wejść.

– I co, niewypał?

– I tak by się pani prędzej czy później zorientowała.

Wyjaśnił mi, jak natrafił na moje panieńskie nazwisko, które nigdy nie padło w wywiadach: przeszukiwał księgi z metrykami ślubów.

– Czy rzeczywiście dawała pani ślub osoba o nazwisku Eunice P. Revele? – zapytał. A potem szukał rocznikami w dokumentach szkół średnich, aż mnie znalazł. Skojarzenie mnie z Louisą K. Delacourt wymagało jednak potwierdzenia w dowodach. Jeżozwierz Królewski okazał się najłatwiejszy do wytropienia; Buchanan myślał, że będzie on zarazem najsilniejszym atutem, ale ku mojej uldze przyznał, że nie. – Małżeństwo dzisiaj to już nie to co dawniej – powiedział z niesmakiem. – Jeszcze kilka lat temu ta sprawa byłaby coś warta. Ale dziś wszyscy sobie wszystko mówią, jakby to był jakiś sport.

Spytałam go o zdechłe zwierzęta i o listy.

– A po co miałbym robić takie rzeczy? – zapytał szczerze zdziwiony. – To nie procentuje, a ja jestem biznesmenem.

– Ale jeśli pan mnie śledził, to mógł pan widzieć, kto je zostawia. Świstaki i inne.

– Rano nie pracuję, kochanie – wyjaśnił. – Tylko wieczorami, jestem nocnym markiem.

Powtórzyliśmy zamówienie i przeszliśmy do rzeczy.

– Co pan sobie po tym wszystkim obiecuje? – spytałam.

– To jasne – odparł. – Pieniądze i władzę.

– Ale ja mam niewiele pieniędzy. I żadnej władzy.

W to jednak nie chciał uwierzyć. Nie znosił ważnych osobistości, czuł się przy nich poniżony. Wszystkie te sławy, nawet efemeryczne, miały według niego i pieniądze, i władzę, tylko nie miały talentu, w każdym razie nie większy niż ktokolwiek inny, a swoją pozycję osiągały przez intrygi i oszustwa, zasługując tym samym na to, żeby je przynajmniej częściowo uwolnić od gotówki. Szczególnie pogardzał *Panią Wyrocznią* i moim wydawcą. Był przekonany, że wydanie książki załatwiłam sobie, wykorzystując kobiece wdzięki.

– Ten facet zawsze lansuje młode, nieznane kobiety – powiedział przy czwartym drinku. – Na odwrocie okładki z reguły zamieszcza duże zdjęcie autorki: głowa, szyja, aż do cycków. Ale nie wszystko złoto, co się świeci. Większość z nich to niewypały. Beztalencia.

– Pan powinien uprawiać krytykę literacką.

– Co? I porzucić moją praktykę? Krytyka nie popłaca. – Nigdy nie użył słowa „szantaż", a tych, z których mu zawsze coś tam kapnęło – jak się wyraził – nazywał swoimi klientami.

– Kto jeszcze? – spytałam z podziwem w oczach. Niech się pławi.

I tu właśnie popełnił błąd. Wyjął czarny notes, zdradzając się przede mną z jego istnieniem.

– To chyba jasne, że nie będę pani mówił rzeczy nieprzeznaczonych do szerszej wiadomości, a dotyczących innych

ludzi – powiedział – tak jak i o pani sprawach nie będę mówił innym. Ale żeby pani dać pojęcie... – Przeczytał siedem czy osiem nazwisk, co wywarło na mnie stosowne wrażenie. – O, na przykład ten. Czysty jak łza, można by pomyśleć. Rozpracowanie go zajęło mi pół roku. Ale się opłaciło. Okazało się, że lubi małych chłopców. Tylko trzeba mieć zamiłowanie do takiej pracy. I wytrwałość. Zawsze w końcu coś się znajdzie. No, ale do rzeczy.

Muszę mieć ten jego notes, pomyślałam. Jedyna metoda to trzymać go w barze tak długo, aż się upije – wtedy będę mogła wyciągnąć mu notes z kieszeni marynarki. Zwróciłam uwagę, w której go trzyma. Niestety, sama już byłam trochę pijana.

Po długiej, zawiłej dyskusji, która z każdym drinkiem stawała się coraz powolniejsza i bardziej meandrująca, zgodziliśmy się na dwadzieścia procent od mego dochodu. Będę mu przysyłała duplikaty zawiadomień o wypłatach honorariów, żeby miał pewność, że go nie oszukuję.

– Niech mnie pani traktuje jak kogoś w rodzaju swojego agenta – powiedział. Podobne układy zawarł z jeszcze kilkoma autorami.

Kiedy wstaliśmy, żeby wyjść, dyskretnie położył mi rękę na tyłku.

– Do ciebie czy do mnie? – spytał, zataczając się.

– Wyłącznie do ciebie – odparłam. – Zapomniałeś, że jestem mężatką?

Poszło znacznie łatwiej, niż myślałam. Podstawiłam mu nogę, gdy wchodziliśmy po stopniach jego eleganckiego domu, i pomagając mu wstać, wyciągnęłam notes. Wsiedliśmy do windy i kiedy drzwi zaczęły się zamykać, wyskoczyłam w ostatniej chwili

i wybiegłam z budynku. Upadłam, zahaczywszy nogą o zakład sukienki, ale nie było to nic poważnego. Zatrzymałam taksówkę i było po wszystkim. Gładko jak w telewizji – prawie.

Zastałam Artura w domu. Słyszałam, jak w gabinecie pisze na maszynie: tat-tat-tat. Zamknęłam się w łazience, zdjęłam aksamitną sukienkę i zaczęłam przeglądać notes Frasera Buchanana. Czarna skórzana okładka, żadnego nazwiska ani tytułu, złocone brzegi, pismo drobne niczym ślady karalucha. Nie interesowały mnie zawarte tam dość zdumiewające rewelacje; nerwowo szukałam siebie.

Notes był prowadzony jak dziennik, według dat. Ważne informacje oznaczał gwiazdkami, resztę stanowiły dość luźne notatki. Przeważnie używał tylko inicjałów.

> J.F. „Słynna” autorka *Pani Wyroczni.* Poznałem ją na przyjęciu snobistycznych artystów. Zbudowana jak dom wariatów z cegły. Rude włosy, na pewno farbowane, duże cycki – cały czas celowała nimi we mnie. Zgrywa się często, wybucha idiotycznym, pustym śmiechem, ogląda się przez ramię. Zeżarłaby faceta razem z jajami, widać na pierwszy rzut oka. Wymijająca, jeśli chodzi o książkę, trzeba to sprawdzić. Zamężna z Arturem Fosterem, który pisuje do „Zmartwychwstania”. Nadęty bufon.

I dalej:

> Przypuszczalny dochód? Nie tak wiele, ale może mieć coś od Fostera. Sprawdzić nazwisko panieńskie.

I później:

Sypia z C.B. Najkosztowniejszy kutas, jaki jej się kiedykolwiek trafił. Cena grzechu równa się miesięcznym apanażom niżej podpisanego. Hotelowe książki meldunkowe. Zdobyć zdjęcia w miarę możliwości.

I jeszcze dalej:

Louisa K. Delacourt.

Był naprawdę systematyczny, trzeba mu przyznać. Zastanawiałam się, co takiego mogłam powiedzieć, czym go dotknąć. Czy jego zapiski to wyraz nienawiści, czy zimnego, wyrachowanego cynizmu? Czy rzeczywiście celowałam wtedy w niego cyckami? Być może niski mężczyzna tak to odbiera. Czy mój śmiech jest naprawdę pusty? Nienawidził mnie, czułam wyraźnie. Trochę mnie to zabolało, bo spędziliśmy całkiem miły wieczór.

Ale to było bez znaczenia, skoro miałam jego notes i zamierzałam go zatrzymać. Oczywiście postara się odzyskać notes, i to za wszelką cenę, w końcu z niego żyje. Poza tym to dowód obciążający: jego pismo, jego nazwisko i adres. Nie mógłby się wykręcić. Byłam zdziwiona, że dotąd nikt mu tego notesu nie wykradł. Ale może przed nikim go nie ujawnił.

Wybrałam jedną kartkę, wyrwałam, wsadziłam do koperty i zakleiłam. Jutro rano mu wyślę, jak obcięte ucho ofiary kidnaperstwa – żeby wiedział, że notes jest u mnie. Dołączyłam

informację: „W razie gdyby coś mi się stało, notes jest w dobrych rękach. Jeszcze jedno słowo – i trafi na policję". Postawiłam go w sytuacji patowej, byłam spokojna.

Położyłam się przed Arturem, ale nie spałam jeszcze długo potem, kiedy on zasnął, i usiłowałam rozsupłać węzeł, jakim stało się moje życie. Lada chwila spadnie na mnie Paweł z mieczem w dłoni, by zorganizować akcję ratunkową, która do reszty to życie zrujnuje. No i Fraser Buchanan, który będzie usiłował odzyskać swój notes. Muszę znaleźć jakieś dobre miejsce, żeby go ukryć. Na przykład skrytka na stacji metra. Albo mogłabym go stale wysyłać do siebie tam i z powrotem... Nie, to do niczego. Załatwię sejf depozytowy w banku.

Nieżyczliwość ludzka napływała ku mnie falami, otaczała mnie, ktoś mi przysyłał absurdalne listy z pogróżkami, dzwonił i dyszał w słuchawkę. Fraser Buchanan przyznał się tylko do niektórych z tych telefonów. Ktoś mi zostawiał pod drzwiami zdechłe zwierzęta i jeśli to nie był Jeżozwierz Królewski, musiał to być ktoś, kto o nim wiedział. Ale kto by mógł się dowiedzieć? Może jedna osoba podrzucała zdechłe zwierzęta, druga pisała listy, a jeszcze inna dzwoniła? Nie, niemożliwe. Musiała to być jedna i ta sama osoba, która działała według określonego planu, miała na oku jakiś cel...

Nagle spadło na mnie olśnienie. To Artur. To wszystko Artur. Dowiedział się o Jeżozwierzu Królewskim, musiał już o nim wiedzieć od jakiegoś czasu. Obserwował mnie w milczeniu; to w jego stylu nic nie mówić. A tymczasem podjął już co do mnie decyzję, wydał wyrok: na nie. Jestem nic niewarta, muszę sobie iść, i w ten właśnie sposób postanowił się mnie pozbyć.

Zastanawiałam się, jak on to wszystko organizował. Anonimy to pestka. Mogłam sprawdzić książkę telefoniczną, czy niczego nie brakuje, ale Artur nie był taki nieostrożny. Większość telefonów odebrałam w czasie jego nieobecności, chociaż trzeba przyznać, że nie wszystkie. Mógł jednak poprosić o pomoc kogoś z przyjaciół. (Kogo?). A co do zwierząt – każdemu przecież zdarza się znaleźć martwe zwierzę. Gorzej z podrzucaniem ich pod drzwi, jako że ostatnio wstawałam pierwsza. Ale mógł je tam kłaść w nocy.

Tak, to on, nikt inny. Do czegoś zmierzał i wcale nie miałam ochoty się przekonać do czego. Najłatwiejszym wytłumaczeniem byłoby, że zwariował w jakiś głęboki i niemożliwy do wykrycia sposób. Tylko że wcale nie musiało tak być. Każdy z mężczyzn, którzy przewinęli się przez moje życie, miał podwójną naturę – ojciec, lekarz i zabójca w jednej osobie, mężczyzna w tweedowym płaszczu – wybawiciel, a jednocześnie potencjalny zboczeniec, Jeżozwierz Królewski i jego alter ego Chuck Brewer, nawet Paweł, który, jak zawsze podejrzewałam, prowadził jakieś ponure drugie życie, zupełnie dla mnie niedostępne. Dlaczego Artur miałby stanowić wyjątek? Wiedziałam, że przeżywał różne wcielenia, ale nie podejrzewałam go o drugie, tak odmienne oblicze – aż do tej pory. Fakt, że potrzebowałam tak dużo czasu, by dokonać tego odkrycia, sprawiał, że to wszystko było jeszcze groźniejsze.

Okazało się, że w ogóle nie znałam Artura. A przecież to jego miałam obok siebie w łóżku. Bałam się, obawiałam się niemal poruszyć. A jeśli się nagle obudzi, z błyskiem w oku, i rzuci się na mnie... Do samego rana nasłuchiwałam jego oddechu. Robił wrażenie zupełnie spokojnego.

Muszę jak najszybciej stąd uciec. Gdybym tak po prostu pojechała na lotnisko i wsiadła w samolot, każdy mógłby mnie wytropić. Moje życie było jedną plątaniną, gniazdem szczurów, kłębowiskiem dyndających sznurków i niepowiązanych końców. Skoro nie ma mowy o żadnym szczęśliwym zakończeniu, niechby chociaż było porządne. Coś ostatecznego, jak cięcie nożyczkami. Muszę umrzeć. Ale do tego potrzebna mi jest pomoc. Komu mogę zaufać?

29

Rano zaczekałam, aż Artur wyjdzie, i zadzwoniłam do Sama.

– Muszę się z tobą zobaczyć – powiedziałam. – To ważne.

– Co się stało? – spytał. Telefon odebrała Marlena. Sądząc z głosu, Sam jeszcze spał.

– To nie jest rozmowa na telefon. – Sam święcie wierzył, że jego telefon jest na podsłuchu CIA albo co najmniej policji, i prawdopodobnie miał rację. Poza tym chciałam, żeby to, co powiem, brzmiało od samego początku tyle paranoicznie, ile przekonująco.

– Mam przyjechać? – ożywił się nieco.

– Nie. Spotkajmy się za pół godziny przed Światem Krawatów na Bloor Street. – Sam mieszkał na Anneksie, wiedziałam, że zdąży, jeśli się pospieszy. A powiedziałam mu, żeby się pospieszył – w ten sposób sprawa wyda mu się pilniejsza. Następnie tajemniczo odłożyłam słuchawkę.

Bardzo starannie przemyślałam historię, którą miałam im opowiedzieć, no bo oczywiście musiałam opowiedzieć obojgu – nie było mowy, żeby Sam zjawił się bez Marleny. Prawdę wykluczałam, jak zwykle. Gdybym im powiedziała prawdę, uznaliby, że nie mogą mi pomóc, ponieważ zgodnie z ich

ideologicznymi założeniami sprawy osobiste nie były istotne. Gdybym mogła rozmawiać z każdym z nich z osobna, wszystko wyglądałoby inaczej, skoro jednak występowali razem, byli w stosunku do siebie świadkami, a tym samym potencjalnymi oskarżycielami. A zatem w grę wchodzili tylko właściwi wrogowie, prześladujący mnie z powodów, które oni by uznali za dostatecznie ważne. Trochę mi się to wydawało niesmaczne. Sam, jak większość członków grupy, był w zasadzie uczciwy, ale w dość pokrętny sposób, ja byłam w zasadzie krętaczką, ale z nalotem uczciwości. Trudno. Znalazłam się w sytuacji bez wyjścia.

Czekałam zdenerwowana przed Światem Krawatów, oglądając krawaty na wystawie i od czasu do czasu zerkając przez ramię, dopóki nie zobaczyłam Sama i Marleny. Przyjechali taksówką, co napełniło mnie nadzieją; nigdy nie jeździli taksówkami.

– Zachowujcie się normalnie – powiedziałam im cicho, ukradkiem. – Udawajcie, że po prostu idziecie ulicą. – Ruszyliśmy razem w kierunku zachodnim i po drodze podałam im czas i miejsce właściwego spotkania. – Chyba widziałam jednego z nich na rogu – powiedziałam. – Nie dajcie się śledzić. – Po czym się rozstaliśmy.

Po południu spotkałam się z nimi o wpół do czwartej w Royu Rogersie, tym na Bloor Street na zachód od Yonge. Zamówiłam koktajl mleczno-waniliowy, Sam wziął koktajl firmowy, Marlena jeszcze inny, Dale'a Evansa.

Poszliśmy ze swoimi tacami do okrągłego stolika koło okna ze szkła taflowego, przez które było widać małe kuchenne podwórko z ogromną tablicą reklamową przedstawiającą chłopca i dziewczynkę wpatrzonych w siebie i żłopiących coca-colę.

– Wybrałaś wspaniałe miejsce – stwierdził Sam. – Nigdy byśmy nie podejrzewali istnienia tej spelunki.

– Czy wiecie, że można dostać autentyczne łajno Triggera[*], jeśli się je zamówi? – powiedziała Marlena.

– Autentyczna bzdura – parsknął Sam. – Jest tego wszędzie więcej niż kawałków Prawdziwego Krzyża. Poza tym prawdziwy Trigger został wypchany i wystawiony na pokaz wiele lat temu. – Marlena była zawiedziona.

Sprawdziłam pod blatem stolika, czy nie ma ukrytych mikrofonów. Następnie nachyliłam się do nich.

– Znaleźli dynamit – powiedziałam.

Sam nie odezwał się słowem. Marlena skręciła papierosa. Ostatnio miała zwyczaj robić sobie skręty. Wystawał z nich tytoń i buchały płomieniem, kiedy przypalała, ale rozmawiając, trzymała papierosa zawadiacko w kąciku ust.

– Kto znalazł? – rzuciła. – I skąd wiesz?

– Nie jestem pewna – odpowiedziałam. – Może Policja Prowincji Ontario albo Królewska Policja Konna, a może nawet CIA. W każdym razie ktoś w tym rodzaju. Kiedy przedwczoraj poszłam przestawić samochód, zauważyłam, że obserwują go jacyś dwaj faceci. Nie zbliżałam się na wszelki wypadek, po prostu przeszłam obok, jakbym nie miała z tym nic wspólnego. Wczoraj stali dalej, a może były to jakieś inne dwa typy. Tym razem nawet się nie zbliżałam, przeszłam na drugą stronę i skręciłam w przecznicę.

– To znaczy, że jeszcze nie skojarzyli cię z samochodem – zauważyła Marlena. – W przeciwnym razie zamiast obserwować samochód, śledziliby ciebie.

– Tak, jeszcze nie – powiedziałam – ale skojarzą. I trafią do tamtego domu. Kupując samochód, podałam adres. Mój rysopis dostaną od właściciela domu. Kiedy mnie namierzą, dojdą do mojego prawdziwego nazwiska, a wtedy mają i Artura, i was.

Sam wydawał się poruszony. Jego fantazje związane z ucieczką nabrały w końcu realnych kształtów i wcale mu się to nie podobało. Za to Marlena była bardzo rzeczowa. Zmrużyła oczy, częściowo z powodu dymu.

– Myślisz, że to policja? – spytała.

– W najlepszym razie. Bo oni mogą mnie nigdy nie znaleźć. A nawet jeśli znajdą, to najwyżej będziemy mieli proces. Ale jeśli to są tamci, CIA albo ktoś jeszcze gorszy, to mogą się nas zwyczajnie pozbyć. Oni zawsze pozorują samobójstwo albo wypadek.

– Szlag by to trafił – odezwał się Sam. – Przykro mi, że cię w tę historię wplątaliśmy. Ale dla CIA jesteśmy za drobne płotki.

– Mylisz się – zaprzeczyła Marlena. – Oni nienawidzą organizacji nacjonalistycznych. Chcą trzymać ten kraj pod pantoflem.

– Jedno jest w tym pocieszające – odezwałam się. – Na razie trop urywa się dla nich na tamtym mieszkaniu. Przynajmniej dopóki nie ustalą, kim jestem.

– Powinniśmy zwiewać za granicę – powiedziała Marlena.

– Tak – zgodziłam się, może trochę zbyt skwapliwie. – Ale nie mogę ot tak po prostu wskoczyć do samolotu. Jak zniknę, będą mnie poszukiwali, aż znajdą. Według mnie trzeba ich wpędzić w ślepy zaułek.

– Co masz na myśli? – spytał Sam.

Zastanowiłam się.

– Uważam, że trzeba upozorować moją śmierć. W ten sposób, kiedy zaczną węszyć, stwierdzą, że nie żyję, i na tym się skończy. Poza mną nie zdołają powiązać samochodu i dynamitu z wami. Zostawimy samochód tam, gdzie jest, i niech się dalej martwią.

Ten pomysł zrobił na nich obojgu wrażenie i zaczęliśmy się zastanawiać nad środkami i sposobami. Sam wpadł na pomysł, żeby sfingować wypadek samochodowy, posługując się ciałem zmasakrowanym w stopniu uniemożliwiającym rozpoznanie. Oglądał sporo kryminalnych programów w telewizji.

– Dobrze, ale skąd wziąć takie ciało? – zapytała Marlena i na tym się skończyło.

Sam rozpromienił się nagłe.

– A co byście powiedziały... na kadź z wapnem, w której znaleziono by twoje zęby? Nic tak dobrze nie służy identyfikacji człowieka jak zęby. Tę metodę stosują przy wypadkach lotniczych, w ten sposób identyfikują ofiary. Pomyślą, że reszta została przeżarta przez wapno.

– Dobrze, ale skąd weźmiemy moje zęby? – zainteresowałam się.

– Musisz sobie oczywiście dać wyrwać – wyjaśnił Sam, lekko urażony moją niechętną reakcją. – Możesz sobie przecież zrobić sztuczne, są bardziej higieniczne.

– Nie. Będą torturowali dentystę, aż im wszystko wyśpiewa. Mogłabym się ostatecznie zastanowić nad jednym czy dwoma. – Byłam skłonna iść na ustępstwa.

Sam spochmurniał.

– Jeśli traktujesz sprawę serio, powinnaś to zrobić solidnie.

– Jeśli mam coś zrobić, zawsze załatwiam to bardzo solidnie – oświadczyłam. – A co myślicie o czymś takim? – Wyciągnęłam z torebki wycinek z gazety. Notatka dotyczyła kobiety, która utonęła w jeziorze Ontario. Zwyczajnie poszła na dno jak kamień i nigdy nie znaleziono ciała. Nawet nie zadała sobie trudu, żeby złapać kamizelkę ratunkową, którą jej rzucono. Był to jeden z pierwszych przypadków, napisano w gazecie, kiedy przeprowadzono dochodzenie i wydano świadectwo zgonu bez zwłok. Czasami wycinałam sobie z gazet takie notatki, uważając, że mogą mi się kiedyś przydać w obmyślaniu fabuł. Szczęśliwie tego akurat nie wyrzuciłam.

– Ale to już było – zauważył Sam.

– To nic, nie zauważą. A przynajmniej mam nadzieję, że nie zauważą. Tak czy siak to moja jedyna szansa.

– A co z Arturem? – zainteresowała się Marlena. – Czy nie powinniśmy mu powiedzieć?

– W żadnym razie. Artur nie potrafi grać, znacie go od tej strony. Zaczną go przesłuchiwać, to pewne, i jeśli będzie wiedział, że ja żyję, to albo zachowa się nienaturalnie i od razu poznają, że coś jest nie w porządku, albo będzie tak spokojny i opanowany, że pomyślą, że sam mnie załatwił. On nie przekona nikogo. Możemy mu powiedzieć później, jak już będzie po wszystkim. Wiem, że to okrutne, ale nie ma innego wyjścia. – Wbiłam im to do głowy: wszystko, tylko nie Artur na moim tropie.

Wreszcie się zgodzili. W gruncie rzeczy pochlebiało im nawet trochę, że stawiam bardziej na nich niż na Artura.

– Tylko nie przesadzajcie z opłakiwaniem mnie – upomniałam ich. – Owszem, pewne poczucie winy tak, ale z tym żalem bez

przesady.

Uważali, że powinnam mieć jakieś fałszywe dokumenty, by się wydostać z kraju, lecz i na to znalazłam odpowiedź. Mam przyjaciela, zapewniłam ich, który już o to zadba, a im mniej na ten temat wiedzą, tym lepiej. Byłam zadowolona, że zatrzymałam i paszport, i dowód tożsamości na nazwisko Louisa K. Delacourt.

Marlena oświadczyła, że musi iść na zebranie, więc Sam odprowadził mnie do stacji metra. Coś go jednak trapiło. Wreszcie zapytał:

– Joan, czy jesteś pewna co do tych mężczyzn? Jesteś pewna, że oni obserwowali samochód?

– Tak. A co?

– Oni nie są tacy niemrawi. Gdyby rzeczywiście od dwóch dni coś podejrzewali, to do dziś już by cię mieli.

– Sam – odparłam – oczywiście, że nie mam stuprocentowej pewności. Może jest tak, jak mówię, a może się mylę. Ale to nie jedyny powód, dla którego muszę wyjechać.

– A co jeszcze?

– Obiecasz mi, że nie powiesz Marlenie? – Obiecał. – Jestem szantażowana.

– Żartujesz. Z jakiego powodu?

Chciałam mu powiedzieć, już, już mu właściwie mówiłam, rozmyśliłam się jednak.

– W każdym razie nic politycznego. To sprawa osobista.

Nie nalegał na szczegóły. Wiedział, kiedy się wycofać.

– Ja też jestem szantażowany – wyznał. – Przez Marlenę.

– Sam, a czy Marlena musi brać w tym udział?

– Tak – odparł. – Potrzebujemy dwóch świadków. Poza tym ona będzie niezastąpiona w rozmowach z policją. Jest mistrzynią kłamstwa.

– Sam, jesteś nadzwyczajny, że zgodziłeś się to dla mnie zrobić. – Już teraz widziałam, że nadużywam jego uprzejmości. – Gdybyś z tego powodu miał jakieś poważne kłopoty, przyjadę i zapłacę za ciebie kaucję.

Ścisnął mnie za rękę, chcąc mi dodać otuchy.

– Wszystko pójdzie jak z płatka, zobaczysz – zapewnił mnie.

Nie powiedziałam mu o innych rzeczach – zdechłych zwierzętach, telefonach i listach. Uznałam to za zbyt skomplikowane. Nie wspomniałam też o moich podejrzeniach dotyczących Artura. Sam znał go od dawna i nie uwierzyłby, że Artur może być do czegoś takiego zdolny. Pomyślałby, że mi się wydaje.

Wypadek miał się zdarzyć w ciągu najbliższych dwóch dni, pod warunkiem że pogoda się utrzyma. Tymczasem robiłam niezbędne przygotowania. Przede wszystkim zaopatrzyłam się w spódnicę i bluzkę. Na czas podróży samolotem miałam włożyć rzeczy, w których mnie nigdy nie widziano. Następnie metrem i autobusem pojechałam na lotnisko i kupiłam bilet do Rzymu, posługując się dokumentami na nazwisko Louisa K. Delacourt. Powiedziałam, że wybieram się na czterotygodniowy urlop. Kupiłam też chustkę w różowych policjantów konnych, pod którą ukryłam włosy, oraz ciemne okulary i przebrałam się w to wszystko w damskiej toalecie. U Hertza wynajęłam jaskrawoczerwonego datsuna, zapowiadając, że zwrócę go na

lotnisku za dwa dni. Wróciłam do damskiej toalety, przebrałam się z powrotem w stare ciuchy i odjechałam.

Zaparkowałam za rogiem, niedaleko naszego domu, sprawdziłam, że Artura nie ma, wyciągnęłam z szafy starą walizkę i spakowałam niezbędne rzeczy. Zawinęłam walizkę w szary papier, zaniosłam do samochodu jako paczkę i schowałam do bagażnika.

Nazajutrz rano powiedziałam Arturowi, że boli mnie głowa i że chciałabym dłużej poleżeć. Poprosiłam go o aspirynę i szklankę wody. Miałam nadzieję, że wyjdzie z domu jak najprędzej – nie lubił, jak byłam chora – ale ku mojemu zdumieniu snuł się dość długo, zrobił mi filiżankę herbaty i spytał, czy jeszcze czegoś nie potrzebuję. Byłam wzruszona: a może go skrzywdziłam, może powinnam mu wszystko powiedzieć, jeszcze nie jest za późno... Z drugiej strony, pewnie zachowuje się tak, bo wyczuwa, że coś knuję. Przypomniałam mu o artykule, który miał skończyć dla „Zmartwychwstania", i wreszcie wyszedł.

Wyskoczyłam z łóżka, ubrałam się w przyzwoitą sukienkę i wepchnęłam podkoszulek i dżinsy do swojej przepastnej torebki. Przez Artura byłam o trzy kwadranse spóźniona w stosunku do mojego harmonogramu. Wynajętym samochodem pojechałam na wschód, minęłam centrum i ruszyłam wzdłuż brzegu jeziora Ontario, szukając miejsca, gdzie mogłabym się zatrzymać, tak żeby się nie natknąć na skały czy na tłum ludzi. Znalazłam kawałek plaży z kilkoma mizernymi drzewkami i paroma stolikami, które stały puste. Miałam nadzieję, że nikt ich nie zajmie – był dzień powszedni, początek czerwca, i zalew piknikowiczów jeszcze się nie zaczął. Tu zostawię samochód

i wrócę do niego później. Kiedy będę wracała na brzeg, osłonią mnie drzewa.

Podjechałam do najbliższej budki telefonicznej znajdującej się przed stacją obsługi samochodów i wezwałam taksówkę, wyjaśniając, że nawaliło mi auto, a jestem umówiona w mieście i boję się spóźnić. Opisałam miejsce i powiedziałam, że będę czekać przy czerwonym datsunie. Pojechałam z powrotem na plażę, zamknęłam samochód, z walizką w bagażniku, a biletem lotniczym i paszportem na nazwisko Louisa K. Delacourt w schowku, kluczyki zakopałam w piasku pod prawym przednim kołem. Kiedy przyjechała taksówka, kazałam się zawieźć do hotelu Royal York. Wkroczyłam frontowym wejściem, zeszłam na niższy poziom, przebrałam się w podkoszulek i dżinsy, sukienkę, którą miałam na sobie, wepchnęłam do torby i wyszłam bocznymi drzwiami. Przystań promu znajdowała się w odległości zaledwie kilku przecznic od hotelu. Czekali już tam na mnie Sam i Marlena.

– Śledzili cię? – spytała Marlena.

– Nie sądzę – odparłam.

Jeszcze raz powtórzyliśmy sobie historię, którą mieli opowiedzieć Arturowi: spotkaliśmy się na ulicy i coś nam strzeliło do głowy, żeby popłynąć na wyspę Toronto. Raczej żaglówką niż kanoe, uznaliśmy. Z żaglówki łatwiej wypaść; kanoe musiałoby się przewrócić i wtedy skąpalibyśmy się wszyscy. Zwróciłam im uwagę, że to nie ma sensu.

Wsiedliśmy na prom na wyspę. Marlena wzięła aparat, bo uznała, że konieczne są dowody rzeczowe w postaci zdjęć ukazujących, jak byłam wesoła i beztroska. Pozowałam więc

i z Samem, i z Marleną, wsparta o reling promu i uśmiechnięta jak idiotka.

Kiedy już znaleźliśmy się na wyspie, przeszliśmy się kilka razy koło wypożyczalni łodzi, wybierając sprzęt, który by nie zwrócił na nas specjalnej uwagi. Poprosiliśmy o najbardziej niechlujnie wyglądającą łódź, którą dostaliśmy bez żadnego kłopotu, płacąc z góry pięć dolarów, a reszta po zwrocie. Była mała i człowiek z wypożyczalni powiedział, że w zasadzie jest dwuosobowa, ale on przymknie na to oko pod warunkiem, że nie opuścimy zatoki portowej.

– Potraficie żeglować – powiedział raczej tonem stwierdzenia niż pytania.

– Oczywiście – odparłam skwapliwie. Mężczyzna wrócił do swojej szopy i zostaliśmy sam na sam z łodzią.

Sam zaczął ją żwawo odwiązywać. Wsiedliśmy, odepchnęliśmy się od nabrzeża i wypłynęliśmy na wody zatoki Toronto, gdzie inne żaglówki, łopocząc białymi żaglami, halsowały fachowo tam i z powrotem.

– Co dalej? – spytałam.

– Teraz postawimy żagle – powiedział Sam i zaczął rozwiązywać różne liny, pociągając za nie na różne sposoby, aż żagiel podjechał niepewnie na maszcie.

– Znasz się na żaglówkach? – spytałam go.

– Jasne. Zawsze w lecie jeździłem na żagle.

– Jak dawno to było? – spytała Marlena.

– To znaczy pamiętam główne zasady – powiedział Sam miękko. – Ale gdybyś chciała przejąć...

– W życiu nie byłam na żaglówce – odparła Marlena z tą nutką pogardy w głosie, którą kobiety rezerwują dla mężczyzn złapanych na udawaniu fachowości. W tym czasie sunęliśmy prosto na kurs promu.

– Może powinniśmy wracać – zaproponowałam – i jednak wziąć kanoe.

– Nie możemy – odparł Sam. – Nie umiem zawrócić.

Skończyło się na tym, że Marlenę posadziliśmy przy sterze, podczas kiedy my z Samem miotaliśmy się po łodzi, usiłując jednocześnie unikać bomu i panować nad linami, które rządziły żaglem. Niby jakoś to było, lecz dobry nastrój wyraźnie mnie opuścił. Po co wypichciłam ten tani i w gruncie rzeczy melodramatyczny scenariusz, w którego wyniku mogliśmy naprawdę zginąć wszyscy troje? A tymczasem sunęliśmy chwiejnie po wodach zatoki Toronto, wzdłuż grobli, która sprawiała wrażenie, jakby materiału na nią dostarczały śmietniska, i dalej, na otwartą przestrzeń jeziora. Stwierdziwszy, że mniej więcej panujemy nad łodzią, przykucnęłam na dnie i wpatrując się w lusterko puderniczki, usiłowałam pokryć twarz cieniem do powiek Błękit Północy. Był to pomysł Marleny – w ten sposób, uznała, moja biała twarz nie będzie się rzucać w oczy z brzegu. Z tego samego powodu miałam na sobie dżinsy i niebieski podkoszulek.

Na jeziorze wiało silniej i były prawdziwe fale. Gnaliśmy z wiatrem na wschód. Miałam twarz już dostatecznie niebieską i mogłam obserwować brzeg, który od strony wody wyglądał zupełnie inaczej, usiłując jednocześnie odnaleźć miejsce, gdzie zostawiłam samochód.

– Za daleko wypłynęliśmy – krzyknęłam do Sama. – Nie moglibyśmy się trochę przybliżyć do brzegu?! – Umiałam wprawdzie pływać, ale nie za dobrze, a dryfować ponad kilometr na plecach wcale mi się nie uśmiechało.

Marlena wręczyła mi lornetkę Dona; i o tym pomyślała – skutek wychowania zuchowego. Przyniosła wszystko poza chorągiewkami sygnalizacyjnymi. Zaczęłam badać brzeg jeszcze raz, z lornetką, i rzeczywiście zobaczyłam piaszczystą łachę ze stolikami i samochód, a jakże, który szybko zostawał w tyle.

– To tam! – pokazałam Samowi. – Jak się tam dostaniemy?

– Halsujemy! – wrzasnął Sam, sięgając po linę.

– Co?!

– Muszę wziąć ster! – krzyknął i zaczął się czołgać w naszą stronę.

– O Boże, coś mi przyszło do głowy – powiedziała Marlena, a raczej wrzasnęła, ponieważ inaczej byśmy jej nie usłyszeli poprzez huk wiatru i fal, które zaczęły wyglądać groźnie. Miały białe grzebienie i rozbijały się o burty łodzi.

– Co?!

– Don... Przecież to wszystko będzie w gazetach i on się dowie, że byliśmy razem.

– Powiedz mu, że jesteście teraz po prostu przyjaciółmi! – zawołałam.

– To nic nie da!

Marlena, wyraźnie zdenerwowana, przedwcześnie puściła ster. Łódź zakołysała się, żagiel opadł, Sam zrobił unik, a uwolniony bom walnął mnie w plecy, zmiatając za burtę.

Zupełnie na to nieprzygotowana, łyknęłam potężny haust brudnej wody z jeziora Ontario. Była zimniejsza, niż się spodziewałam, i miała smak stęchłych płetw i starych pieluch. Wypłynęłam na powierzchnię, krztusząc się i łapiąc powietrze.

Sam zrzucił żagiel i łódź kołysała się niepewnie kawałek dalej. Marlena darła się: „O Boże!" – bardzo autentycznie, jakbym rzeczywiście niechcący wypadła za burtę i się topiła. Wyciągnęła do mnie ręce, wychylając się niebezpiecznie i wołając: „Tu, Joan, tu!", ale Sam zdążył ją złapać.

Nie mogłam wdrapać się z powrotem do łodzi i zacząć wszystkiego od nowa zgodnie z planem, musiałam już kontynuować program z wody. Zanurkowałam niemrawo i usiłowałam przepłynąć pod żaglówką, tak jak było przewidziane. Miałam wyłonić się po drugiej stronie, gdzie byłabym niewidoczna z brzegu, na wypadek gdyby nas ktoś obserwował. Ten ruch okazał się niezbędny, jako że przy jednym ze stolików piknikowych zauważyłam jakąś rodzinę. Udało mi się dopiero za drugim razem, ale Marlena i Sam w dalszym ciągu badali tę stronę, po której zniknęłam, jakby zupełnie zapomnieli o szczegółach planu. Zdarłam z szyi lornetkę – ciągnęła mnie w dół – i usiłowałam wrzucić ją do łodzi, lecz na próżno; utonęła na dobre. Potem przypomniałam sobie o sukience, skłębionej w torbie na dziobie.

– Moja sukienka – wrzasnęłam. – Nie zapomnijcie jej wyrzucić! – Wiatr wiał jednak w drugą stronę i odpływając, nie słyszeli, co do nich krzyczę. Próbowali odzyskać panowanie nad łodzią.

Wyplułam jeszcze trochę wody z jeziora i położyłam się zupełnie płasko – nie znałam innej metody na dopłynięcie, jak tylko na

wznak. Skierowałam ciało w stronę brzegu i zaczęłam machać nogami pod wodą. Liczyłam na to, że w ten sposób spokojnie, z pomocą fal, które od czasu do czasu rozbijały się nad moją głową, dopłynę do piaszczystego języka. Sfuszerowaliśmy robotę, ale jeszcze nie było tak źle. Wypadło lepiej, niż gdybym po prostu dała nurka z łodzi. Spojrzałam w górę, na błękitne niebo, po którym płynęły białe obłoki, i skupiłam się na następnym ruchu. Szczęśliwie zbliżałam się do brzegu niewidoczna od strony stolików osłoniętych kępą krzaków. Znajdowałam się zaledwie o jakieś pięćset kroków od celu. Podciągnęłam się na brzeg i leżałam, łapiąc oddech, omywana przez fale niosące skórki pomarańczy, zdechłe ryby i podejrzanie wyglądające brązowe grudki. We włosach miałam pełno piasku i strzępów wodorostów. Kiedy już się pozbierałam, poczłapałam najciszej, jak tylko mogłam, wzdłuż brzegu i przycupnęłam za kępą krzaków. Wiedziałam, że mój samochód znajduje się po ich drugiej stronie, ale tam też siedziała rodzinka plażowiczów. Nie mogłam podejść tak blisko, żeby ich zobaczyć, słyszałam jednak piski dzieciaków i pochrząkiwanie ojca.

Z pół godziny siedziałam tak przyczajona, ociekając wodą i dygocąc, a jednocześnie starając się unikać sumaka jadowitego, hałd wysychających ludzkich kup, rozmoczonego papieru toaletowego, kulek zgniecionego papieru śniadaniowego, kawałków salami i starych butelek po oranżadzie. Zastanawiałam się, czy zamierzają tu spędzić cały dzień, a jeśli tak, to czy nie spóźnię się na samolot. Wreszcie usłyszałam odgłos zapalania silnika i zgrzyt opon na żwirze.

Odczekałam, aż odjadą, następnie podeszłam do samochodu, wygrzebałam kluczyki, wyjęłam z bagażnika walizkę, na tylnym siedzeniu przebrałam się w spódnicę i bluzkę, a mokre włosy ukryłam pod chustką. Moja twarz w lusterku wstecznym wyglądała zaskakująco – jak u autentycznej topielicy, no prawie. Jednorazową chusteczką, którą później wyrzuciłam w krzaki, starłam błękitny cień z twarzy. Wyżęłam dżinsy i podkoszulek, zwinęłam w kulę, włożyłam do specjalnie w tym celu zabranej zielonej plastikowej torby i wepchnęłam na dno walizki. Kiedy odjeżdżałam, mignęli mi Marlena i Sam – zdołali wprawdzie postawić żagiel, ale nie potrafili zawrócić i mknęli teraz ku Kingston.

Dojechałam na lotnisko, zwróciłam samochód i wsiadłam do samolotu z dwudziestominutowym zapasem. Najgorsze było siedzenie w samolocie i oczekiwanie na start. Nie mogłam uwierzyć, że nikt mnie nie śledzi. Lecz byłam bezpieczna.

---

[*] Trigger – koń Roya Rogersa, amerykańskiego aktora filmowego (1911–1998), zwanego Królem Kowbojów. Legenda głosi, że po śmierci Triggera sprzedawano jego ekskrementy w buteleczkach jako upominki (przyp. red.).

CZĘŚĆ

PIĄTA

30

Jaka jest cena bezpieczeństwa? – zadawałam sobie pytanie. Siedziałam na balkonie w samej bieliźnie, owinięta tylko ręcznikami, i brałam słoneczną kąpiel w samym środku głuszy, gdzie diabeł mówi dobranoc. Tamta strona to nie żaden raj, tylko otchłań. Teraz już wiem, dlaczego zmarli przychodzą obserwować żywych: tamta strona jest nudna. Nie ma do kogo ust otworzyć, nie ma nic do roboty.

A może ja się rzeczywiście utopiłam, pomyślałam, i te godziny spędzone w samolocie (oglądałam *Młodego Winstona* bez słuchawek), wypożyczalnia samochodów Hertza i to mieszkanie, i moja wyprawa do Rzymu po farbę do włosów to tylko figiel, który mi spłatało życie po życiu? Dusza jeszcze przez jakiś czas po śmierci nie opuszcza ciała, bo jest zdezorientowana – przynajmniej tak utrzymywali spirytyści. Ale wobec tego powinnam unosić się gdzieś tuż pod lśniącą powierzchnią jeziora Ontario, trochę na wschód od wyspy Toronto, obojętna na prądy. Albo mnie wyłowili i niezidentyfikowana leżę w kostnicy, albo zostałam pokrojona na części zamienne i ta panorama właściwie nie będzie miała końca, ponieważ jakieś inne ciało dostało moje oczy. Tylko że całe moje życie nie przesuwało mi się przed oczyma,

tak jak podobno ma być, ale to pewnie jeszcze nastąpi – zawsze we wszystkim jestem spóźniona.

Ucz się żyć teraźniejszością, bierz życie takim, jakie jest – radzą w podręcznikach samodoskonalenia. A jeśli teraźniejszość to tylko spuszczenie wody, a życie przyszłe – sracz? Czułam się jak wyrzucona na bezludną wyspę; impuls, żeby wysyłać sygnały, obojętne – w butelce czy nie w butelce, przybierał we mnie na sile z każdym dniem. „Żyję. Odcięta od świata, od wielu dni nie widziałam statku. Mam już dość rozmów z miejscową florą i fauną, z mrówkami. Pomocy!”

Otaczał mnie piękny południowy krajobraz, owiany wiatrami i opromieniony urokiem starożytności, ale przez cały czas mój kraj tkwił w świadomości jak metalowa płytka pozostawiona w mózgu po operacji, albo raczej jak jedna z tych gałek, które się wrzuca do naczynia z wodą, gdzie pęcznieją, zamieniając się w jaskrawe mineralne kwiaty. Jeśli stracę nad nią panowanie, wypełni moją głowę bez reszty. Ta próba ucieczki nie miała najmniejszego sensu, wszystkich ich tu ze sobą przywlokłam – słyszałam ich głosy niby pomruk odległego, ale rozwścieczonego tłumu. Za późno na przemeblowanie, już się ich nie pozbędę.

Gdzie jest to nowe życie, w które miałam wejść łatwo, jakbym przekraczała rzekę? Nie pojawiło się, za to stare życie szło naprzód beze mnie, podczas gdy ja siedziałam uwięziona na balkonie, czekając na zmianę. Powinnam sobie wymyślić jakieś hobby – haftować makatki, uprawiać rośliny, zbierać znaczki. Powinnam żyć na luzie, być drapieżną turystką, która robi zdjęcia i podrywa facetów w różowych nylonowych krawatach i spiczastych butach. Chciałam się odblokować, nasiąknąć lokalną

atmosferą, leżeć do góry brzuchem i myśleć o niebieskich migdałach, ale jakoś nie potrafiłam. Czekałam, aż coś się wydarzy, aż w moim życiu nastąpi jakiś kolejny zwrot (koło? spirala?). Całe moje życie to jedna wielka intryga.

Zastanawiałam się, czy Artur dostał już kartkę. Czy do mnie przyjedzie, czy zaczniemy od nowa, czy będzie świeży początek, nowe życie? Czy jeszcze jest zły, ciekawe, czy to rzeczywiście on...? A może nie powinnam była w ogóle wysyłać tej kartki? Z drugiej strony, mógł ją po prostu podrzeć i zignorować moje wołanie o pomoc.

Oparłam się wygodnie w fotelu i zamknęłam oczy. W drzwiach stał handlarz warzyw, trzymał całe naręcze – czegóż by, jak nie warzyw właśnie: przerośniętych cukinii, karczochów, cebuli, pomidorów. Mężczyzna uśmiechnął się, a ja podbiegłam do niego i wtedy on mnie zmiażdżył w uścisku swoich śniadych, nagich ramion. Wszędzie dokoła na podłodze pełno było soku pomidorowego – pośliznęliśmy się i runęli jedno na drugie wśród porozduszanych cukinii. Czułam się, jakbym się kochała z sałatą – ten uścisk miał w sobie coś kruchego i jednocześnie gładkiego. Ale to by wcale nie było tak. On by się pojawił w drzwiach, owszem, lecz ja, zamiast do niego podbiec, przypomniałabym sobie o bieliźnie wiszącej na oparciu fotela. „Przepraszam na chwilę, muszę zrobić porządek". Ciekawe, co by sobie o mnie pomyślał. Miotałabym się po pokoju, zbierając, chowając. „Napije się pan herbaty?" Nieporozumienie. Jego uśmiech znika. Po co ja go tu właściwie zapraszałam? Rozgada jeszcze wszystkim w miasteczku i mężczyźni będą w nocy

przyłazić pod mój dom i gapić się lubieżnie, a dzieciaki rzucać we mnie kamieniami.

Usiadłam prosto w plastikowym fotelu i otworzyłam oczy. To wszystko bez sensu, byłam niezdrowo pobudzona, jak pchła na gorącej blasze, nie mogłam nawet spokojnie pofantazjować na tematy seksualne. Powinnam sobie zrobić drinka, ale skończyło mi się cinzano. A dzieci i tak już rzucały kamieniami, wczoraj jedno o mało mnie nie trafiło.

Wstałam i weszłam do mieszkania. Żyłam bez żadnego ustalonego rytmu i coraz mniej widziałam powodów ku temu, żeby cokolwiek robić o jakiejś określonej porze. Poszłam do kuchni, gubiąc po drodze ręczniki. Byłam głodna, nie miałam jednak nic do jedzenia, poza jakimś ugotowanym makaronem, już lekko obeschniętym, i pożółkłą natką pietruszki w szklance z wodą na parapecie. Tu muszę oddać sprawiedliwość lodówkom. Chociaż w pewnym stopniu inspirują marnotrawstwo, to jednocześnie stwarzają złudzenie, że zawsze będzie jakieś jutro, można w nich trzymać rzeczy bez końca... Dlaczego telewizyjni ankieterzy nigdy nie zajmą się lodówkami? Ci, którzy mają lodówki, z pewnością widzą życie inaczej niż ci, którzy ich nie mają. Czym bank jest dla pieniędzy, tym lodówka dla jedzenia... W miarę jak te myśli sączyły mi się przez głowę, dochodziłam do wniosku, że całe moje życie upływało jak gdyby obok.

Zauważyłam, że coś jest nie w porządku z mrówkami. Przyjrzałam się wystawionemu dla nich spodkowi z osłodzoną wodą: zapomniałam dolać wody i roztwór przypominał gęsty syrop. Niektóre mrówki posilały się na brzegu, inne weszły głębiej i uwięzły jak tygrysy szablozębne w jeziorach asfaltu. Teraz albo

już leżały martwe, albo ledwo ruszały czułkami. Próbowałam ratować te, które jeszcze żyły, wyławiając je za pomocą zapałki i sadzając na brzegu spodka, ale niewiele to pomogło, ponieważ były beznadziejnie oblepione. Nie miałam nigdy szczęśliwej ręki do zwierząt. „SOS – wypisałam w syropie. – Zróbcie coś".

Poszłam do pokoju, żeby włożyć jedną z moich worków sukienek. Chustka w różowych konnych policjantów już nie była mi potrzebna, nazajutrz po wyprawie do Rzymu ufarbowałam włosy i teraz miały kolor brunatnego błocka. Ani śladu obiecanych migotliwych błysków. Szczerze mówiąc, wyglądały koszmarnie. Dlaczego zamiast tego nie kupiłam peruki? Wiedziałam dlaczego – byłaby za ciepła, ugotowałabym się w niej. Ale w ładnej siwej peruce wyglądałabym lepiej niż z tą farbą.

Poszłam w górę na rynek. Droga była usłana ulotkami; prawdopodobnie odbywały się jakieś wybory. Słyszałam niemal co dzień samochody z głośnikami ciągnące pod górę w stronę rynku – nadawały łatwe melodyjki i hasła. Ale to wszystko nie dotyczyło mnie jako cudzoziemki, a zresztą wyczuwałam coś poza tym – coś złego. Szłam korytarzem wrogich spojrzeń, stare ubrane na czarno kobiety z nogami przypominającymi kiełbasy nie odpowiadały już na moje *buongiorno* nawet skinieniem: albo patrzyły jak gdyby przeze mnie na wylot, albo się wręcz odwracały. Jedna z nich zasłoniła oczy małej dziewczynce siedzącej obok niej i przeżegnała się. Co ja takiego zrobiłam, jakie pogwałciłam tabu?

Weszłam do macellerii, roztrącając różnokolorowe plastikowe paski zwisające u wejścia niby wodorosty. Widok rzeźnika i jego żony był krzepiący: para okrągłych tłuściochów odzianych

w wielkie białe fartuchy poplamione krwią. Tac w szklanej gablocie nie wypełniano tu z taką ostentacją jak w Toronto. Towaru nie było za wiele: kilka małych kawałków wołowiny przypominającej cielęcinę, jakiś pojedynczy organ w rodzaju wątroby, serca, nerki czy dwóch, parę białawych owali, które wyglądały mi na jądra. Zwykle rzeźnik i jego żona brali towar do ręki, proponowali, doradzali różne niezrozumiałe rzeczy, a to wszystko z uśmiechem.

Dziś nie było uśmiechów. Kiedy zobaczyli, że wchodzę, ich twarze stężały i zrobiły się czujne. Czy ja to sobie wymyśliłam, czy oni się mnie trochę boją? Nie podpowiadali mi włoskich słów jak zwykle, kiedy zamawiałam, i musiałam pokazywać palcem. Nie udobruchało ich też to, że kupiłam aż pięć cienkich jak bibułka plasterków wołowiny. Nawet nie mogłam ich spytać, co takiego zrobiłam, żeby ich aż tak obrazić czy przestraszyć. Nie znałam odpowiednich słów.

Potem piekarnia, sklep spożywczy, stragan z zieleniną – i wszędzie to samo: pieniądze ciekną z mojej zranionej torby strumieniem, ale coś jest nie tak. Czyżbym popełniła jakieś przestępstwo? Nie miałam odwagi iść na pocztę, wiedziałam, że tam przesiadują policjanci. Przecież nie zrobiłam nic złego, powtarzałam sobie, to musi być jakieś nieporozumienie. Wszystko się wyjaśni. Zapytam pana Vitroniego.

– Delacourt! – wykrzyknęłam odważnie na poczcie.

Na twarzy kobiety w okienku nie zauważyłam żadnej zmiany, zawsze była niesympatyczna. W milczeniu wyciągnęła do mnie opasłą kopertę, szarą, zaadresowaną na maszynie Sama.

Po wyjściu z poczty rozerwałam kopertę. Była wypchana wycinkami z gazet poukładanymi chronologicznie, najstarszy na wierzchu. Zawierała też napisany na maszynie list od Sama. „Gratulacje. Kult pośmiertny". Szybko przejrzałam wycinki. „Śmierć pisarki – podejrzenie samobójstwa. Zarządzono dochodzenie" – głosił wycinek na samym wierzchu, i to był początek. Niektóre gazety zamieszczały reprodukcje zdjęcia z czwartej strony okładki *Pani Wyroczni,* inne fotki robione w dniu mojej śmierci przez Marlenę i przedstawiające mnie, jak stoję uśmiechnięta na promie. Wiele było mowy o mojej chorobliwej żarliwości, smutnych oczach, okresach depresji, które mnie jakoby nawiedzały (choć ani słowa o Jeżozwierzu Królewskim, nic o Louisie Delacourt... Fraser Buchanan najwyraźniej siedział cicho). Sprzedaż *Pani Wyroczni* osiągała szczyty, każdy nekrofil leciał kupić sobie egzemplarz.

Zaliczono mnie do grona tych nieszczęsnych kobiet, licznego, jak się wydawało, które zabił nadmiar słów. Znalazłam się na dnie owej śmiertelnej łodzi, do której tak kiedyś tęskniłam, łodzi z moim imieniem wypisanym na dziobie, niesiona prądem krętej rzeki. Kilka artykułów kończyło się morałem: można tańczyć i śpiewać albo można być szczęśliwym, ale nie jedno i drugie naraz. Może mieli rację – można całe lata spędzić w wieży, tkając i patrząc w lustro, lecz wystarczy raz spojrzeć w okno na prawdziwe życie – i proszę. Przekleństwo, zguba. Poczułam, że nawet jeśli nie popełniłam samobójstwa, to w każdym razie powinnam – w tak przekonujący sposób to wszystko przedstawili.

Moja następna myśl: nie ma już dla mnie powrotu. Co by się stało z ludźmi, którzy wyrzucają z siebie te słowa, jakby sypali

kwiaty na moją trumnę, biorąc za to swoje zwykłe honoraria i traktując sprawę bardzo poważnie? Jeśli wstanę z martwych, beztrosko wparuję między nich i oświadczę, że to było oszustwo, to co mają zrobić? Wyjdą na kompletnych idiotów, znienawidzą mnie i zatrują mi życie do końca. To jakby odwrotność wzgardzonej kobiety – nic nie dorówna wściekłości osoby uprawiającej kult pośmiertny, która poczuła się oszukana. Jakby pojawił się James Dean o trzydzieści lat starszy i z brzuszkiem albo Marilyn przeszła się nagle po Yonge Street w lokówkach i o dwadzieścia pięć kilo grubsza. Wszyscy ci, którzy mnie teraz opłakiwali, wspominając moją eteryczną urodę, byliby wściekli, gdybym się zjawiła we własnej osobie. Muszę pozostać bezpiecznie po tamtej stronie, pogrzebana być może na zawsze. Prawdę powiedziawszy, na mojej śmierci zarobiło tyle osób, że najchętniej zakatrupiliby mnie, oblali betonem i zatopili w porcie Toronto, gdybym tylko wytknęła nad wodę czubek nosa.

Co wynikło z mojego porządnego, cichego, starannie zaplanowanego śmiertelnego wypadku? Wyszło na jaw świadectwo – czyje? jak? – że nie wypadłam, tylko wyskoczyłam. To śmieszne. Owszem, miałam zamiar wyskoczyć, w rzeczywistości jednak wypadłam za wcześnie. Jakiś reporter dobrał się do Marleny, która przedobrzyła. Powiedziała, że rzucili mi kamizelkę ratunkową, ale nawet nie próbowałam po nią sięgnąć i poszłam na dno prawie bez walki. Oczywiście nie było żadnej kamizelki ratunkowej i Marlena nie powinna jej była zmyślać. Ciekawe, kto rozmawiał z moim ojcem i dlaczego ojciec powiedział, że dobrze pływałam? Nigdy w życiu nie widział mnie pływającej. To prawda, nie pływam źle. W szkole średniej

mieliśmy pływanie w programie wychowania fizycznego i był to jeden ze sportów, od których nie stroniłam, bo prawie cały czas pozostawałam niewidoczna. Najlepsza byłam w stylu na wznak i klasycznym. Najsłabsza w kraulu.

Uważali więc, że wyskoczyłam specjalnie, nie skorzystałam z kamizelki ratunkowej i z rozmysłem poszłam na dno, a ja nie mogłam nic zrobić, by im udowodnić pomyłkę, chociaż anonimowy informator donosił, że samobójstwo nie byłoby w moim stylu, bo przecież kochałam życie. Miał rację – nie byłoby w żadnym razie.

No cóż, pomyślałam, może rzeczywiście chciałam umrzeć, a jeśli nie, to po co sfingowałam własną śmierć. Ale to nieprawda – upozorowałam własną śmierć, żeby móc żyć, żeby zyskać nowe życie. Byli przewrotni i to mnie złościło.

Ruszyłam na dół z zakupami. Kochałam życie, zostało to wyraźnie powiedziane w gazecie. Dlaczego więc miałabym popełnić coś takiego?

31

Postanowiłam zignorować swoje samobójstwo, skoro i tak nic nie mogłam na nie poradzić. Przez najbliższe trzy dni próbowałam pracować. Siedziałam z zamkniętymi oczami przed maszyną do pisania i czekałam, aż akcja zacznie się rozwijać sama, jak na filmie. Ale coś ją blokowało. Były jakieś zakłócenia. Przeprowadziłam Charlotte przez kilka sytuacji niemal bez wyjścia: dwukrotnie mało jej nie zgwałcono, a raz prawie ją zamordowano (arszenik w budyniu, który spowodował gwałtowne torsje). Wiedziałam, co musi nastąpić. Oczywiście musi umrzeć Felicia, taki już jest los żon. Wtedy z kolei Charlotte będzie mogła zostać żoną. Ale przedtem stoczy jeszcze ostatnią walkę z Redmondem i czymś go uderzy (kandelabrem, pogrzebaczem, kamieniem, zresztą każdy ciężki i ostry przedmiot jest dobry), pozbawiając go przytomności, co z kolei wywoła gorączkę i majaki, w czasie których jego pragnienia i charakter zostaną uszlachetnione przez cierpienie i Redmond wyszepcze jej imię. Ona będzie go pielęgnowała, robiąc mu zimne okłady, i przy tej okazji uświadomi sobie, jak bardzo go kocha. On odzyska przytomność i, już w pełni świadomy, oświadczy się. Tak się przedstawiał jeden wariant akcji. Inny przewidywał ostateczny

zamach na życie Charlotte i ocalenie jej przez Redmonda, potem on jej wyznaje głęboką miłość – i ewentualnie ona zapada na zapalenie opon mózgowych. Takie były moje upragnione cele, ale miałam kłopoty z ich osiągnięciem.

Przede wszystkim Felicia żyła nadal i jakoś nie umiałam się jej pozbyć. Coraz bardziej traciła na swojej efektownej urodzie: pod oczami pojawiły się ciemne koła, między brwiami pionowe bruzdy, na szyi pryszcz, cera jej pożółkła. Charlotte, przeciwnie, miała cerę jak płatki róż i sprężysty krok, chociaż bała się przechodzić pod parapetami ze względu na spadające przedmioty. Życie w stałym zagrożeniu też jej służyło, a szósty zmysł mówił, że czeka ją nagroda, a właściwie – nagrody, ponieważ poza samym Redmondem miała dostać szmaragdy, srebra rodzinne, przechowywane na strychu dokumenty stwierdzające tytuł własności ziemi. Ponadto przemebluje dom, rzeczy Felicii ofiaruje Niepełnosprawnym Cywilom, wyrzuci złych służących, jak stangret Tom, a nagrodzi dobrych, jak pani Ryerson, i w ogóle będzie rozdzielała łaski. Szło tylko o to, żeby wytrzymała do chwili, kiedy ręce mordercy zacisną się na jej gardle.

Charlotte wyglądała przez okno biblioteki. Do labiryntu wchodziły dwie postacie: kobieca i męska. Usiłowała zobaczyć, kim byli ci dwoje, nie z wścibstwa, po prostu była dociekliwa, co szło w parze z jej odwagą. Usłyszała za sobą hałas i odwróciła się. W drzwiach stał Redmond. Jego lewa brew unosiła się do góry, podczas gdy prawa pozostawała nieruchoma – ale ta lewa wyraźnie podjeżdżała do góry, szacująco, pożądliwie, bezlitośnie, wywołując w niej fale gorąca, gdy jednocześnie oko pod tą brwią, niby pełzająca ostryga, przesuwało się po

oblanych warem policzkach Charlotte. Czy Redmond ją szanował, czy odczuwał zwykłą zwierzęcą żądzę? Nie potrafiła dociec.

Tymczasem Felicia leżała w krzakach labiryntu. Wiedziała, że labirynt jest niebezpieczny, lecz ten fakt tylko ją podniecał. Spódnicę miała zadartą do pasa, tak samo halkę, fichu w nieładzie. Kochała się z Otterlym, który leżał właśnie obok niej, wyczerpany, z lewą ręką na jej prawej piersi, z nosem przy jej uchu, z uchem w jej długich rudych włosach. Redmond niczego nie podejrzewał, co było męczące. Felicia wolałaby, żeby się domyślał – może by się wtedy zorientował, jak bardzo ją zaniedbywał. Chociaż bowiem Otterly był namiętny i pełen inwencji, to jednak wydawał jej się dość głupi. Felicia westchnęła i usiadła, uwalniając jego rękę, nos i ucho.

Następnie wydała okrzyk zdumienia: w krzakach był prześwit, a w nim oko, które ją obserwowało. Oku towarzyszył szczurzy uśmiech, który przeszedł w bezdźwięczny śmiech.

– Myślę, że pan byłby rad z takiej wiadomości – odezwał się głos Toma. Stangret najwyraźniej napawał się swoim odkryciem.

Nie pierwszy już raz przyłapał ich na gorącym uczynku i Felicia zdawała sobie sprawę, że trzeba go przekupić. Porzuciła jednak tę myśl. Właściwie czekała na to, że Redmond się zorientuje; przynajmniej wtedy będzie dla niej jasne, na czym stoi. Tego wieczoru siedziała przed toaletką, czesząc długie do pasa, wyzywające rude włosy i przyglądając się swemu odbiciu w lustrze. Zwolniła pokojówkę. Była bardzo smutna; podejrzewała, że Redmond już jej nie kocha. Gdyby ją kochał, porzuciłaby obecne życie i znów stała się czułą

i sumienną żoną. On zwolniłby Charlotte, a Felicia zaniechałaby romansów z przedstawicielami okolicznej szlachty. „Kochasz mnie?" – pytała go co wieczór, kiedy zataczając się lekko z nadmiaru porto i rozmyślając o nieuchwytnej Charlotte, wreszcie do niej przychodził. Ocierała się o niego jak kotka. Była tylko w halce. Naturalnie mieli z Redmondem osobne sypialnie, ale nie zaprzestał całkowicie swoich nocnych wizyt, w tak ostentacyjny sposób nie dał jeszcze Felicii do zrozumienia, że chce się jej pozbyć. Poza tym znęcanie się nad nią sprawiało mu pewną przyjemność.

– Kochasz mnie? – spytała. Zwykle musiała powtarzać pytanie, ponieważ za pierwszym razem albo nie słyszał, albo udawał, że nie słyszy.

– Oczywiście – odpowiedział z lekkim znużeniem, przeciągając słowo. Przywykł do widoku jej halki, już nie robiła na nim tego wrażenia co dawniej. Ostatnio od Felicii czuć było zwiędłymi hiacyntami – zapach wiosennego rozkładu, nie tak łagodny jak zapach jesiennego rozkładu; przypominał raczej odór unoszący się na obrzeżach bagien. Wolał zapach Charlotte – lekko zwietrzałą lawendę.

– Co ja bym bez ciebie zrobiła? – powiedziała Felicia, pełna uwielbienia.

– Odziedziczyłabyś mnóstwo pieniędzy – odpowiedział Redmond z rozbawieniem.

Stał odwrócony do okna, unosząc lewą brew na widok swego odbicia w szybie. Nieżyczliwy obserwator mógłby powiedzieć, że ćwiczy. Myślał o Charlotte. Lubił wywoływać rumieniec na jej twarzy. Był już zmęczony ekstrawagancją Felicii: jej ciałem, które rozprzestrzeniało się jak trawa, włosami, które

pochłaniały jak ogień, jej duchem, który rozłaził się jak rak albo jak wszy łonowe. „Opamiętaj się" – mówił jej nieraz, ale ona nie mogła się opamiętać, szalała przy nim jak zaraza, pozostawiając go całkowicie wycieńczonego. A Charlotte, z tym swoim gorsetem i szczególnym sposobem bycia, z twarzą jak alabaster i z białymi palcami... Jej rezerwa wydawała mu się intrygująca.

Tak przynajmniej Felicia sobie wyobrażała, zadręczając się, przygryzając dolną wargę, zmysłową i pełną, którą Redmond tak niegdyś lubił pieścić. Dziś przyszedł później niż zwykle. Felicia pochlipywała, ocierając łzy wierzchem dłoni. Zbyt była poruszona, by zawracać sobie głowę chusteczką do nosa. Może przewidywała, że mimo wszystko sprawy przybiorą korzystny dla Charlotte obrót i że w końcu będą się musieli jej, Felicii, pozbyć. Łza spłynęła po jej policzku, a koniuszki włosów skrzesały maleńkie iskry. W lustrze widziała płomienie i wodę, a ona sama patrzyła na swoje odbicie z głębi rzeki. Bała się śmierci. Nie pragnęła nic więcej, tylko szczęścia z ukochanym mężczyzną. I oto właśnie owo jedyne nieziszczalne pragnienie zrujnowało jej życie; powinna się zadowolić tym, co ma, zwykłymi kłamstwami.

Otworzyłam oczy, wstałam od maszyny i poszłam do kuchni zrobić sobie kawę. Czułam, że wszystko jest do niczego.

Współczucie dla Felicii nie wchodziło w grę, pogwałciłoby wszelkie reguły, całkowicie zepsułoby intrygę. Miałam wystarczające doświadczenie, żeby tyle wiedzieć. Gdyby była tylko kochanką, a nie żoną, mogłaby żyć, a tak musiała umrzeć. W moich książkach żony w końcu albo dostawały bzika, albo

umierały, albo jedno i drugie. Ale co ona takiego zrobiła, żeby zasłużyć na śmierć? Jak mogę ją poświęcać dla Charlotte? Charlotte, ze swoją nieskazitelną cnotą i nienagannym postępowaniem, zaczynała mnie nudzić. Mieć ją na głowie to tyle, co nosić włosiennicę, przyprawiała mnie o swędzenie, chciałam, żeby wpadła w błoto, cierpiała bóle miesiączkowe, pociła się, miała czkawkę i wiatry. Bo nawet jej lęki były zbyt czyste, jej mordercy bez twarzy i ciągle te jej korytarze, labirynty i zakazane drzwi.

Może w tym nowym życiu, w życiu, które miało nadejść, mniej będą mnie interesowały peleryny, a bardziej dziury w skarpetkach, problemy z paznokciami, nieprzyjemne zapachy i kłopoty żołądkowe. Może powinnam napisać prawdziwą powieść o kimś, kto pracuje w biurze i ma przeżycia banalne i niesatysfakcjonujące. Ale to niemożliwe, to byłoby wbrew mojej naturze. Pragnęłam szczęśliwych zakończeń, uczucia ulgi, kiedy wszystko szło dobrze i mogłam swoich bohaterów obsypywać radością jak ryżem, zapewniając im szczęście. Redmond całowałby Charlotte do utraty tchu, a potem niech sobie razem znikną. Kiedy wreszcie będą zupełnie szczęśliwi, kiedy moje życie stanie się moje własne?

Nie było kawy, więc zrobiłam sobie herbatę. Potem pozbierałam bieliznę ze wszystkich miejsc, w których zalegała – spod stołu, z oparć krzeseł – i wrzuciłam do miski. Potarłam brudy kawałkiem zielonego, lepkiego mydła w czerwonej wodzie, z lekka pachnącej żelazem, czy może gazem ziemnym; klozet z każdym dniem robił się bardziej oślizły. Okropna kanalizacja, koszmary nocne – może dlatego nie sypiałam.

Wyżęłam bieliznę; była jakby zapiaszczona. Z braku klamerek rozwiesiłam ją na poręczy balkonu. Następnie wzięłam kąpiel, chociaż woda była różowa i w nieprzyjemny sposób przypominała ciepłą krew. Wytarłam się, włożyłam ostatni czysty komplet bielizny i zawinęłam się w ręczniki. Zrobiłam sobie jeszcze jedną filiżankę herbaty i wyszłam na balkon. Usiadłam w plastikowym foteliku, zamknęłam oczy za zasłoną ciemnych okularów i usiłowałam opróżnić swój mózg.

Od strony doliny dochodził monotonny metaliczny dźwięk – to jakiś chłopiec uderzał w cynową płytkę, żeby odstraszyć ptaki. Byłam coraz bardziej nasycona światłem, moja skóra od wewnątrz jarzyła się na czerwono. Słyszałam, jak pode mną, gdzieś w fundamentach domu, ubranie, które tam pogrzebałam, przyobleka się w ciało. Było już prawie gotowe, wygrzebywało się jak wielki ślepy kret, powoli, mozolnie leząc w górę ku balkonowi... Stwór zbudowany z całego tego ciała, które kiedyś należało do mnie i z którym coś się przecież musiało stać. Pozbawiony jakiegokolwiek kształtu, obły niczym kartofel, biały niczym krochmal, będzie przypominał wielkie udo z twarzą jak pierś, tylko bez brodawki. Gruba Pani wzbiła się w powietrze i spadła na mnie spoczywającą w plastikowym fotelu. Przez chwilę unosiła się wokół mnie jak ektoplazma, jak galaretowaty mięczak – mój duch, mój anioł – a potem usiadła i mnie wchłonęła. Dusiłam się wewnątrz swego poprzedniego ciała, usiłując złapać powietrze. Przebrana, ukryta, z nosem i ustami zatkanymi białym futrem. Wymazana.

32

Redmond przechadzał się po tarasie. Była noc, wiatr wzdychał w krzakach. Redmond nosił żałobę. Był spokojny, pogodzony ze sobą. Teraz, po śmierci Felicii – zginęła w nieszczęśliwym wypadku, przyłapana przez niego na cudzołóstwie z jego bratem przyrodnim w płaskodennej łodzi na rzece Pappie – jego życie będzie wyglądało zupełnie inaczej. Po cichu planowali z Charlotte małżeństwo, chociaż ze względu na plotki wstrzymywali się jeszcze z podaniem tego do publicznej wiadomości. Spojrzał z czułością w górę, ku jej oświetlonemu oknu. Kiedy się pobiorą, porzuci swoje smutne i nieokrzesane życie i się ustatkuje. Charlotte będzie mu grała na fortepianie i czytała gazety, podczas gdy on będzie odpoczywał przy płonącym wesoło kominku, w rannych pantoflach, haftowanych również jej ręką. Będą mieli dzieci, ponieważ teraz, po śmierci brata, który zmarł uderzony w głowę wywracającą się łodzią, potrzebny mu dziedzic, prawowity hrabia Otterly. Wszystko ułożyło się pomyślnie, naprawdę. Dziwne tylko, że nigdy nie znaleziono ciała Felicii, aczkolwiek na jego polecenie przeczesano dno rzeki.

Krzaki poruszyły się i wyszła z nich jakaś postać, zastępując mu drogę. Była to nieprawdopodobnie tłusta kobieta,

w ociekającej wodą granatowej aksamitnej sukni z głębokim dekoltem, z którego wyzierały, niby dwa księżyce w pełni, wypchnięte przez stanik piersi. Mokre kosmyki rudych włosów wiły się po jej obrzękłej twarzy jak strumyki krwi.

– Nie poznajesz mnie, Redmond? – spytała gardłowym głosem, który, jak ze zgrozą stwierdził, należał do Felicii.

– Cóż... – rzekł wyraźnie nieszczerze. – Cieszę się, że mimo wszystko się nie utopiłaś. Ale co się z tobą działo przez te dwa miesiące?

Nie odpowiedziała na to pytanie.

– Pocałuj mnie – poprosiła żarliwie. – Nie masz pojęcia, jak bardzo było mi cię brak.

Cmoknął ją niedbale w białe, oślizłe czoło. Jej włosy zalatywały wodorostami, olejem, rozkładającym się jedzeniem i zdechłymi rybami. Ukradkiem wytarł usta w rękaw koszuli. Nadzieja gasła w jego sercu niby świeca: co on teraz pocznie?

Z odrazą zauważył, że kobieta, która nazwała się Felicią, rozpina suknię; jej palce gmerały przy haftkach.

– Pamiętasz, jak to było, kiedy się pobraliśmy? – wyszeptała. – Pamiętasz, jak przychodziliśmy tutaj nocą i całowaliśmy się przy świetle księżyca w pełni... – Spojrzała na niego z zapraszającym uśmiechem, który powoli, na widok jego obrzydzenia, przechodził w szarpiącą serce udrękę.

– Ty mnie nie chcesz – wyrzekła, załamana. Zaczęła płakać, a jej ogromnym cielskiem wstrząsały niekontrolowane spazmy. Co miał robić? – Ty wcale nie chciałeś, żebym wróciła – szlochała. – Jesteś beze mnie szczęśliwszy... Ty nawet nie wiesz, Artur, ile mnie kosztowało, żeby wydostać się z tej wody, przyjść tutaj taki kawał i znów się z tobą połączyć...

Redmond cofnął się zaskoczony.

– Kim jest Artur? – zapytał.

Kobieta zaczęła się rozpływać jak mgła, znikać jak atrament sympatyczny, jak topniejący śnieg…

Słyszałam zbliżające się żwirowaną ścieżką kroki, dobiegały z daleka, niczym przez wiele warstw waty. W dalszym ciągu na wpół drzemałam; wygrzebałam się z fotela i wszystkie ręczniki ze mnie opadły. Złapałam jeden z nich i cofnęłam się do drzwi, ale za późno: pan Vitroni wyłonił się właśnie zza rogu i szedł wzdłuż balkonu. Miał ze sobą wszystkie swoje pisaki, a pod pachą trzymał paczkę zapakowaną w szary papier.

Stanęłam oparta tyłem o poręcz balkonu, przyciskając do siebie ręcznik. Pan Vitroni zatrzymał wzrok na ociekającej wodą bieliźnie. Skłonił się lekko.

– Ja może nie przeszkadzam? – powiedział.

– Oczywiście, że nie – uśmiechnęłam się.

– Żarówki pani świecą?

– Tak. – Skinęłam głową.

– Woda leci?

– W domu wszystko w porządku – zapewniłam go. – Jest wspaniale. Cudowny urlop. Rozkoszna cisza i spokój.

Marzyłam w duchu, żeby sobie poszedł, ale wyglądało na to, że będzie próbował sprzedać mi kolejny obraz. A ja oczywiście nie zdołam się oprzeć.

Obejrzał się przez ramię, niemal ukradkiem, jakby się bał, że ktoś go zobaczy.

– Wejdziemy do środka. – Widząc moje wahanie, dodał: – Muszę coś pani powiedzieć.

Nie miałam ochoty siedzieć z nim przy stole w ręczniku i bieliźnie, jakoś wydawało mi się to bardziej nieprzyzwoite niż siedzenie na balkonie. Poprosiłam, żeby zaczekał, poszłam do łazienki i włożyłam sukienkę.

Kiedy wróciłam, siedział przy stole z paczką na kolanach.

– Pani była w Romie? – zapytał. – Podoba się?

Zaczęło mnie to złościć. Przecież nie przyszedł pytać o moje przeżycia krajoznawcze.

– Piękne miasto – odparłam.

– Mężowi podoba się też?

– Tak, tak sądzę, mówił, że mu się bardzo podobało.

– To jest miasto, które się musi odwiedzić wiele razy, żeby dobrze poznać – powiedział. – Jak kobietę. – Wyjął tytoń i zaczął skręcać papierosa. – On szybko przyjedzie?

– Tak, mam nadzieję – roześmiałam się serdecznie.

– Ja też mam nadzieję, że szybko przyjedzie. Bo dla kobiety niedobrze, jak jest sama. Bo gadają. – Zapalił papierosa, zgarnął resztki tytoniu i schował je do kieszeni. Obserwował mnie pilnie. – To dla pani – powiedział, wręczając mi paczkę.

Spodziewałam się kolejnego malowidła na czarnym aksamicie, ale kiedy rozwiązałam sznurek i rozwinęłam papier, zobaczyłam w środku swoje ubranie, dżinsy i podkoszulek, które tak starannie pogrzebałam pod domem, pięknie uprane i uprasowane.

– Skąd pan to wziął? – spytałam. Może jeszcze będę mogła się ich wyprzeć.

– Mój ojciec zobaczył je w ziemi, tam gdzie są *carciofi*. Widział, że ktoś tam kopie. Myśli, że to pomyłka – zakopać do ziemi takie niestare rzeczy. Nie mówi po angielsku, więc prosi, żebym oddał. Moja żona to pierze.

– Proszę podziękować ojcu ode mnie. I żonie też.

Nie byłam w stanie mu tego wytłumaczyć, chociaż najwyraźniej spodziewał się jakiegoś wyjaśnienia. Czekał; oboje patrzyliśmy na moje poskładane ubranie.

– Ludzie o tym mówią – powiedział wreszcie. – Nie rozumieją, dlaczego pani zakopała ubrania pod domem. Wiedzą o tym. Nie wiedzą, dlaczego odcięła pani tak piękne włosy, co je każdy pamięta, jak pani była wtedy z mężem. Zawsze pani nosi te ciemne okulary jak nietoperz i przyjęła inne nazwisko. Takich rzeczy nikt nie rozumie. Robią znak – wyciągnął dwa palce – przed złym okiem, żeby nie zachorować albo nie mieć nieszczęścia. Ja sam w to nie wierzę – dodał usprawiedliwiająco – ale starsi ludzie...

A więc mnie poznali. Jasne, że mnie poznali, pamiętają wszystko od pięciu tysięcy lat. To była głupota przyjeżdżać tutaj.

– Każą mi powiedzieć, żeby pani wyjechała – podjął. – Boją się, bo nieszczęście z pani wejdzie na mnie, mówi to moja żona.

– Pewnie myślą, że jestem czarownicą – powiedziałam ze śmiechem.

Ale pan Vitroni się nie roześmiał; ostrzegał mnie: to nie są żarty.

– Byłoby lepiej, gdyby pani mąż też był – rzekł poważnie. – A poza tym tutaj rano przychodzi mężczyzna. Pyta o panią. Nie

zna nazwiska, co pani mi podała, ale mówi, że pani, taka wysoka, z rudymi włosami, i wiem, że to pani.

– Co takiego? – zainteresowałam się, zbyt szybko. – Kto to może być?

Wzruszył ramionami, obserwując moją twarz.

– Ja nie myślę, że to pani mąż. Poza tym wiedział, gdzie pani zamieszkuje.

Widział, jakie to na mnie zrobiło wrażenie. Jeśli ma rację i jeśli to rzeczywiście nie Artur, to kto?

– Jak wyglądał? – spytałam. – Co pan mu powiedział?

– Ja myślę, że najpierw trzeba powiedzieć pani – rzekł wolno. – Mówię mu, że jest pani w Romie, wróci za dwa dni. Wtedy może, mówię, ja mu pomogę. Ale mówię mu, może pani nie jest pani, co on szuka.

– Dziękuję. Dziękuję panu bardzo. – Czułam, że po takim przejawie dobrej woli należy mu się jakieś wyjaśnienie. Nachyliłam się ku niemu i zniżyłam głos. – Panie Vitroni – powiedziałam. – Ja się ukrywam. Dlatego zmieniłam nazwisko i obcięłam włosy. Nikt nie może się dowiedzieć, gdzie jestem. Wydaje mi się, że ktoś chce mnie zabić.

Pan Vitroni nie okazał zdziwienia. Skinął głową, jakby wiedział, że takie rzeczy zdarzają się stosunkowo często.

– Co pani zrobiła? – spytał.

– Nic. Nic absolutnie. To bardzo skomplikowana sprawa, tu chodzi o pieniądze. Jestem dość bogata i dlatego ta osoba, ci ludzie, chcą mnie zabić, żeby dobrać się do moich pieniędzy. – Ponieważ wyglądało na to, że mi wierzy, ciągnęłam dalej: – Ten

człowiek, co tu przyszedł, to mógł być ktoś z przyjaciół, ale mógł być i wróg. Jak wyglądał?

Pan Vitroni rozłożył ręce.

– Trudno powiedzieć. Miał czerwony samochód, taki jak pani. – Wyraźnie brał mnie na przetrzymanie. O co mu chodziło? – Może policja powinna aresztować tego człowieka – powiedział.

– To bardzo miło z pana strony, ale ja nie mogę tego zrobić. W dalszym ciągu nie wiem, kto to był, a poza tym nie mam żadnych dowodów. Jak on wyglądał?

– Był w płaszczu – podpowiedział życzliwie pan Vitroni. – Ciemny płaszcz, amerykański. Był wysoki, tak, młody, nie stary.

– Czy miał brodę?

– Brodę nie. Wąsy tak.

Niewiele mogłam z tego wszystkiego wywnioskować. W każdym razie facet nie wyglądał na Frasera Buchanana.

– Mówi, jest reporterem, z gazety – dorzucił pan Vitroni. – Ja nie myślę, że on jest reporter. Na pewno nie chce go pani aresztować? Da się załatwić. Ja to mogę z nimi załatwić.

Czyżby domagał się łapówki? Uświadomiłam sobie, że jego wizyta nie jest przyjacielska. To były negocjacje; niewątpliwie podobne negocjacje prowadził z owym mężczyzną. Jeśli zapłacę, pomoże mi. W przeciwnym razie powie tamtemu, gdzie powinien szukać. Niestety, nie miałam dość pieniędzy. Szybko zdecydowałam, że muszę wieczorem wyjechać. Pojadę do Rzymu.

– Nie, nie, naprawdę. Jakoś sobie poradzę.

Wstałam i wyciągnęłam rękę do pana Vitroniego.

– Bardzo panu dziękuję. To miło z pana strony, że pan mi to wszystko powiedział.

Był zaskoczony. Najwyraźniej oczekiwał, że zawrę z nim jakiś układ.

– Mogę pani pomóc – zaproponował. – Tu jest taki jeden dom za miastem. Mogłaby pani tam zostać, aż ten człowiek odejdzie, przynosilibyśmy pani jedzenie.

– Dziękuję – odparłam. – Zobaczę. Może skorzystam.

Wychodząc, poklepał mnie po ramieniu.

– Proszę się nie martwić. Wszystko będzie szczęśliwie.

Wieczorem spakowałam walizkę i wyniosłam do samochodu. Kiedy jednak chciałam go zapalić, okazało się, że mam pusty bak. Co za głupota. No tak, już wracając z Rzymu, miałam mało paliwa. Ale zaraz potem pomyślałam, że ktoś mi spuścił benzynę.

33

Nigdy w życiu nie powinnam była mu się przyznawać do tego, że mam pieniądze. Teraz wszystko stało się dla mnie jasne. Plan ułożyli bardzo prosty. Mieli to na uwadze od samego początku. Staruch od karczochów, ojciec Vitroniego, był szpiegiem, wysłanym przez nich, żeby mnie śledził. Jak tylko mnie zobaczył bez przebrania, zaczęli spiskować. Gdybym się zgodziła ukryć w owym domku na uboczu, stałabym się ich więźniem. Iść do kogokolwiek i prosić o benzynę również byłoby głupotą z mojej strony. W ten sposób dam do zrozumienia, że zamierzam wyjechać. Poza tym nikt w miasteczku nie handlował benzyną, trzeba by po nią posyłać, a o tym pan Vitroni musiałby się dowiedzieć. Przyszedłby i powiedział, że benzyny nie ma. Ja bym go zaczęła błagać, a on mi na to: benzyna jest bardzo droga.

Wojsko i policja też są z nim na pewno w zmowie, jeszcze by mu pomogli, nikt by ich nie powstrzymał. Nikt nie wie, gdzie jestem, sama mu przecież wyraźnie powiedziałam – a to było jawne zaproszenie. Gdyby się zjawił Artur, powiedzieliby mu, że wyjechałam i że nie mają pojęcia dokąd. Tymczasem ja bym tu tkwiła, unieruchomiona i całkowicie bezradna, oni by się domagali, żebym napisała, prosząc o pieniądze, a gdyby pieniądze

nie przyszły... to co by wtedy ze mną zrobili? Zabiliby mnie i pogrzebali pod żwirem między oliwkami? Albo może by mnie trzymali w klatce i tuczyli, jak to mają w zwyczaju niektóre plemiona afrykańskie – tylko że ogromnymi michami makaronu. Może kazaliby mi nosić czarną atłasową bieliznę, reklamowaną na odwrocie *fotoromanzi* – ciekawe, czy od mężczyzn z miasteczka będą brali za wstęp, czy zostanę jedną z tych kurew Felliniego, gigantycznych i bezkształtnych?

To nie są żarty, powiedziałam sobie, weź się w garść. Może zaczynam wpadać w histerię. Nie miałam ochoty spędzić reszty życia w klatce jako tłusta kurwa, uwięziona Matka Ziemia, którą będą pokazywać za pieniądze. Muszę opracować jakiś plan. Miałam na to dwa dni. Położyłam się do łóżka. Nie ma sensu uciekać w kompletnych ciemnościach, bo tylko zabłądzę. Albo mnie złapią – z pewnością jestem śledzona.

Obudziłam się w środku nocy. Słyszałam kroki pod domem, na tarasie. A potem jakieś skrobanie – ktoś się wdrapywał po kracie! Zamknęłam okno czy nie? Bałam się wyjść z łóżka, żeby sprawdzić. Przywarłam plecami do ściany, wpatrując się w okno, gdzie powoli ukazywał się zarys głowy, potem ramion... W świetle księżyca poznałam, kto to jest, i się uspokoiłam.

To była tylko moja matka. Miała na sobie swój elegancki granatowy kostium, dopasowany w talii i podwatowany w ramionach, biały kapelusz i rękawiczki. I makijaż: wokół ust namalowane szminką większe usta, przez które przebijały kontury jej prawdziwych warg. Płakała bezgłośnie, z twarzą

przyciśniętą do szyby, jak dziecko, a z oczu czarnymi strugami spływał jej tusz.

– Czego chcesz? – spytałam, ale nie odpowiedziała. Wyciągnęła tylko do mnie ramiona, prosiła, żebym z nią poszła, żebyśmy były razem.

Zaczęłam iść w stronę drzwi. Uśmiechała się teraz do mnie całą swoją zapłakaną twarzą – czyżby wiedziała, że ją kocham? Kochałam ją, ale dzieliła nas szyba, będę musiała przez nią przejść. Tak bardzo pragnęłam ją pocieszyć. Pójdziemy razem korytarzem, a potem w ciemność. Zrobię to, czego się ode mnie domaga.

Drzwi były zamknięte. Zaczęłam je szarpać, aż się otworzyły.

Stałam na tarasie w podartej nocnej koszuli i dygotałam na wietrze, w ciemnościach, wśród bezksiężycowej nocy. Byłam całkowicie rozbudzona i dzwoniłam zębami zarówno ze strachu, jak i z zimna. Wróciłam do mieszkania i położyłam się do łóżka.

Tym razem podeszła bardzo blisko, prawie jej się udało. Tak naprawdę nigdy mnie nie wypuściła ze swego uścisku, bo i ja jej nigdy nie puściłam od siebie. To ona stała za mną w lustrze, ona czekała za każdym zakrętem, to jej głos szeptał różne słowa. Ona była panią w łódce, w śmiertelnej barce, tragiczną panią z rozwianymi włosami i udręką w oczach, panią z wieży. Nie potrafiła znieść widoku z okna, życie było jej przekleństwem. Jak

mogłam jej się wyrzekać? I ona wymagała uwolnienia, zbyt długo była moim odbiciem. Ale na czym polega zaklęcie, jak ją uwolnić?

Jeśli już ktoś z tamtej strony miał mnie nawiedzać, pomyślałam, to dlaczego nie zjawiła się ciotka Lou? Miałam do niej zaufanie, mogłybyśmy sobie przyjemnie pogadać, może by mi udzieliła jakichś dobrych rad, powiedziała, co robić. Ale nie umiałam sobie wyobrazić ciotki Lou w tej roli. „Dasz sobie radę" – stwierdziłaby, obojętne jak bardzo bym się upierała, że nie dam. Nigdy by nie przyznała, że moje życie to katastrofa, którą w istocie było.

Podczas gdy matka... Dlaczego musiała mi się śnić, dlaczego występowała w moich sennych koszmarach, dlaczego wychodziłam we śnie na jej spotkanie? Moja matka to wir, czarna dziura, nigdy nie zdołam jej uszczęśliwić. Ani nikogo innego. Może już czas, by przestać próbować.

34

Rano wypiłam kilka filiżanek herbaty, żeby się pokrzepić i uspokoić. Muszę być maksymalnie opanowana. Będę się zachowywała, jakby nigdy nic, wszystko jest w porządku, nie ma żadnego pośpiechu. Zrobię zakupy i pójdę na pocztę jak zwykle, niech im się zdaje, że wszystko dzieje się po ich myśli. Mogę nawet iść do pana Vitroniego i spytać o ten dom, jakbym już przyjęła jego propozycję. Poczekam do popołudnia, aż będzie więcej ludzi. A potem zwyczajnie zejdę na dół, z torebką, ale bez walizki, i złapię jakąś okazję do Rzymu. Niewiele będę mogła ze sobą zabrać, na szczęście do torebki sporo się zmieści.

Przejrzałam szuflady komody, żeby zdecydować, co zostawię. Zapakowałam trzy pary majtek; bez koszul nocnych obejdę się z łatwością – bez czarnego notesu Frasera Buchanana nie. Maszyna do pisania musi zostać, ale *Podchody miłosne* wezmę.

Wyjęłam maszynopis, żeby go zwinąć w rulon. Na chwilę jednak przysiadłam i zaczęłam go kartkować. Teraz zobaczyłam, co było źle, co trzeba zmienić. Charlotte będzie musiała wejść do labiryntu, bez tego nie da rady. Zamierzała tam iść od samego przybycia do Redmond i żadne perswazje, żadna z mrożących krew w żyłach historii, które opowiadała służba, żadne szydercze

uwagi Felicii nie mogły jej od tego odwieść. Ale miała mieszane uczucia: czy wejście do labiryntu oznacza pewną śmierć, czy uzyskanie odpowiedzi na zagadkę, niezbędnej, by mogła dalej żyć? Co jeszcze ważniejsze: czy poślubi Redmonda, tylko jeśli będzie się trzymała z dala od labiryntu, czy jeśli tam wejdzie? Może zdobędzie jego miłość, jedynie ryzykując własne życie i dając mu okazję uratowania jej od śmierci? Redmond rozewrze dłonie zaciśnięte na jej gardle (czyje to będą dłonie?) i powie jej, że jest małym, chociaż dzielnym głuptasem. Zostanie panią Redmond, czwartą z kolei.

Nie wchodź do labiryntu, Charlotte, powiedziałam jej, zrobisz to na własne ryzyko. Zawsze cię do tej pory ratowałam z opresji, lecz tym razem już nie możesz na mnie liczyć. Nie zwróciła uwagi na moje ostrzeżenia, nigdy nie zwracała; podniosła się i odłożyła robótkę – zamierzała wyjść. Tylko nie mów, że cię nie ostrzegałam, powtórzyłam. Ale nie mogłam się powstrzymać. Musiałam to zobaczyć aż do samego końca. Zamknęłam oczy...

Było południe, kiedy Charlotte weszła do labiryntu. Na wszelki wypadek u wylotu przymocowała koniec włóczki, której kłębek pożyczyła od pani Ryerson pod pretekstem reperacji szala; nie chciała zabłądzić.

Ściany labiryntu, utworzone przez jakieś kolczaste krzewy, pozarastały żałośnie. Widać, że od lat nikt tu nie był, pomyślała Charlotte, przedzierając się przez gąszcz pędów, które czepiały się jej sukienki, jakby chciały ją zatrzymać. Skręciła w lewo, a potem w prawo, cały czas rozwijając włóczkę z kłębka.

Na zewnątrz zachmurzyło się i wiał zimny lutowy wiatr. Ale osłoniętej przez grube ściany listowia i gałęzi Charlotte było

zupełnie ciepło. Wyszło słońce, niebo zaczęło się przecierać, gdzieś w pobliżu zaśpiewał ptak. Charlotte z wolna traciła poczucie czasu, miała wrażenie, że kiedy tak szła żwirowaną ścieżką pomiędzy zielonymi, kolczastymi ścianami, mijały godziny. Czy jej się tylko tak wydaje, czy rzeczywiście im głębiej się zapuszcza, tym krzewy są staranniej przystrzyżone, lepiej utrzymane, zaczynają się pojawiać kwiaty? Ale na kwiaty jeszcze za wcześnie. Ogarnęło ją dziwne uczucie, jakby ją śledziły niewidzialne oczy. Przypomniała sobie opowieści pani Ryerson o skrzatach, lecz zaraz roześmiała się sama do siebie na myśl o tym, że choćby przez chwilę dała się zwieść przesądom. Przecież to zwykły labirynt, nie ma w nim nic szczególnego. Z całą pewnością dwie poprzednie panie Redmond musiały zginąć w jakiś inny sposób.

Wyglądało na to, że zbliżała się do środka labiryntu. Skręciła raz jeszcze i oto miała przed sobą owalną żwirowaną przestrzeń otoczoną kwiatami – żonkilami w rozkwicie. Ku jej rozczarowaniu nie było tam nikogo. Zaczęła się rozglądać, wypatrując jakiegoś znaku, który pomógłby jej zrozumieć przyczyny złej sławy labiryntu, ale nie znalazła żadnego. Zawróciła i ruszyła po własnych śladach. Nagle zaczęła się bać, poczuła, że musi się wydostać, zanim będzie za późno. Nie chciała wiedzieć już nic więcej, była głupia, że tu w ogóle przyszła. Puściła się biegiem, ale ponieważ usiłowała jednocześnie zwijać włóczkę, zaplątała się w nią beznadziejnie. Kiedy upadła, na jej gardle zacisnęły się żelazne palce... Próbowała krzyczeć, szarpała się, oczy wychodziły jej z orbit, rozglądała się rozpaczliwie w poszukiwaniu Redmonda.

Zza jej pleców doleciał szyderczy śmiech... Felicii!

– Nie ma miejsca dla nas dwóch, jedna musi umrzeć.

W chwili kiedy traciła przytomność, Felicia została odrzucona na bok jak worek starych szmat i Charlotte spojrzała... w ciemne oczy Redmonda.

– Najdroższa – wyszeptał ochryple. Silne ramiona uniosły ją w górę, gorące wargi wpiły się w jej usta...

Tak miało być i tak zwykle bywało do tej pory, ale tym razem czułam, że coś jest nie w porządku. Musiałam popełnić jakiś błąd, przeoczyłam jakiś fakt, szczegół. Muszę prześledzić całą historię jeszcze raz, znaleźć właściwe miejsce, powtórzyć ruchy. Pomyślałam o ogrodach kardynalskich w Tivoli z ich sfinksami, fontannami i boginią o wielu piersiach. Tak, to wystarczy – tyle w tych ogrodach ścieżek. Wybiorę się tam po południu...

Owszem, ale zapominam o tamtym mężczyźnie i o pustym baku mojego samochodu. Muszę odłożyć książkę na później i skupić się na ucieczce.

Tym razem naprawdę zniknę bez śladu. Nikt nie będzie wiedział, gdzie jestem, nawet Sam, nawet Artur. Tym razem będę całkowicie wolna, nie przylgną do mnie żadne strzępy przeszłości, żadne czepiające się palce. Mogę robić, co chcę, mogę zostać kelnerką w barze, mogę wrócić do Toronto i być masażystką, kto wie, czy właśnie tego nie powinnam robić. Albo mogę się tu zaaklimatyzować i wyjść za mąż za sprzedawcę warzyw: mieszkalibyśmy w małym domu z kamienia, ja bym rodziła dzieci i tyła, jedlibyśmy gorące potrawy i smarowali się oliwą, śmialibyśmy się ze śmierci i żyli dniem dzisiejszym, ja bym się czesała w kok i miała wąsik, nosiłabym fartuch, zielony w kwiatki. Wszystko byłoby zwyczajne, w niedzielę chodziłabym

do kościoła, popijalibyśmy młode czerwone wino, z czasem zostałabym ciotką, babką i wszyscy by mnie poważali.

Ale to do mnie nie przemawiało. Dlaczego każda z moich fantazji zamieniała się w pułapkę? W tej ostatniej widziałam siebie, jak wyłażę przez okno, w fartuchu i koku, obojętna na płacz dzieci i wnuków. Ostatecznie mogłabym stawić temu czoło, pomyślałam, jestem przecież artystką, artystką eskapistyczną. Czasem zdarzało mi się mówić o miłości i oddaniu, lecz prawdziwą urodę życia widziałam w Houdinim, między jego linami i zamkniętym kufrem – poddawanie się więzom i wymykanie się im, oto sedno sprawy. Czym innym było całe moje życie?

Ta myśl wszakże mnie nie przygnębiała. W gruncie rzeczy chociaż się bałam, było mi dziwnie lekko na sercu. To poczucie zagrożenia – doszłam do wniosku.

Umyłam włosy, podśpiewując, jakbym się szykowała na Bóg wie jaką randkę. Zeszło z nich sporo brązu, ale już się tym nie przejmowałam.

Poczłapałam boso, mokra, na balkon, żeby wysuszyć włosy. Wiał wiatr, w dolinie słyszałam odgłosy strzałów; ktoś pewnie strzelał do ptaków. Tutaj strzelali niemal do wszystkiego, co się rusza. Jadali zapieczone w cieście słowiki. Pożerali całą tę muzykę. Oczy i uszy też mieli żarłoczne, choć nie w tak jawny sposób. Od tej chwili, pomyślałam, nie będę tańczyć, jak mi inni zagrają. Czy ten walc może należeć do mnie? – wyszeptałam.

Uniosłam się na palcach bosych stóp i zakręciłam, z początku nieśmiało. Powietrze wypełniło się cekinami. Uniosłam ręce i zaczęłam nimi poruszać w takt delikatnej muzyki – pamiętałam

muzykę, pamiętałam każdy krok i gest. Stąd do ziemi było dość daleko; kręciło mi się w głowie. Zamknęłam oczy. U ramion wyrosły mi skrzydła, w talii objęło mnie czyjeś ramię...

Cholera. Tańcząc, rozbiłam szybę, i to na bosaka. Motylek, psiakość. Pokuśtykałam do pokoju, zostawiając za sobą krwawe ślady i szukając po drodze ręcznika. Umyłam nogi w wannie; moje stopy wyglądały jak przepuszczone przez maszynkę. Prawdziwe czerwone pantofelki – kara za taniec. Możesz tańczyć albo możesz mieć miłość dobrego człowieka. Lecz ty bałaś się tańczyć, przejęta tym nienormalnym strachem, że jeśli spróbujesz, to ci obetną stopy, żeby to był twój ostatni taniec. Wreszcie przezwyciężyłaś strach i ruszyłaś w tan, no i obcięli ci stopy. Dobry człowiek też odszedł, bo ty chciałaś tańczyć.

Ale przecież wybrałam miłość, pragnęłam dobrego człowieka – dlaczego ten wybór okazał się niewłaściwy? Nigdy nie byłam tą tańczącą dziewczyną. Niedźwiedź na arenie udaje tylko, że tańczy, w gruncie rzeczy stoi na tylnych łapach i unika kolców. Najgorsze jednak, że nie miałam plastra. Siedziałam na brzegu wanny, łzy leciały mi z oczu strumieniami, krew leciała mi strumieniami z drobnych skaleczeń na stopach.

Poszłam do drugiego pokoju i ułożyłam się na łóżku z nogami do góry, wspartymi na poduszce. Jak teraz uciekać taka pokaleczona?

35

Po jakichś dwóch godzinach wstałam. Nie było tak źle, jak sądziłam – mogłam chodzić. Kuśtykałam po pokoju tam i z powrotem. Za każdym krokiem czułam drobne ukłucia bólu w stopach. Mała syrena znów próbuje, pomyślałam, duża syrena znów próbuje.

Trzeba iść do miasta i kulejąc, przedefilować wzdłuż szpaleru starych bab, które będą na migi pokazywały mi rogi, mówiły dzieciom, żeby rzucały we mnie kamieniami, i życzyły mi wszystkiego najgorszego. Co one takiego widziały, te oczy za oknami w kamiennym murze? Potwora rodzaju żeńskiego nadnaturalnej wielkości, w każdym razie większego niż wszystko, co tu uchodziło za naturalne, widziały maszkarę, jak schodzi z góry: włosy stoją jej dęba za sprawą siły elektrycznej, wolty złośliwej energii strzelają z palców, zielone oczy za ciemnymi okularami przeciwsłonecznymi, za ciemnymi mafijnymi okularami, świecą jak u kota. Uważajcie, wy stare baby z nogami niczym kiełbasy, obleczonymi w czarne pończochy, bo was załatwię mimo znaków odczyniających i modlitw mamrotanych do wszystkich świętych. Czy one myślą, że latam po nocach jak ćma,

żeby wysysać krew z ich wielkich paluchów? I jeśli włożę czarną kieckę i czarne pończochy, to czy mnie polubią?

Może mimo wszystko matka nie nazwała mnie na cześć Joan Crawford, może tak mi tylko mówiła dla niepoznaki, a naprawdę dostałam imię na cześć Joanny d'Arc – czyżby nie wiedziała, jaki los spotyka tego rodzaju kobiety? Oskarżano je o czary, przywiązywano do pala i dawały piękne światło; gwiazda to bańka płonącego gazu. Ale ja jestem tchórzem, wolę nie zwyciężać i nie płonąć. Wolę raczej siedzieć na trybunie, jeść prażoną kukurydzę i gapić się razem ze wszystkimi. Kiedy już zaczniesz słyszeć głosy, to przepadłaś, zwłaszcza jeśli w nie wierzysz. Anglicy szaleli z radości, gdy Joanna wybuchła jak wulkan, jak rakieta, jak budyń śliwkowy. Rozsypali jej prochy po rzece, zostało tylko serce.

Ruszyłam pod górę. Mijając stare kobiety w czerni, usadowione na stopniach schodów, i ignorując ich wrogie spojrzenia, poszłam ulicą wiodącą do poczty. Policjanci czy też żołnierze tkwili na posterunku, zwalista kobieta w okienku również.

Już mnie zdążyła zapamiętać, nie musiałam podawać nazwiska. Wręczyła mi kolejną szarą kopertę od Sama. Przesyłka wyglądała na nową porcję wycinków z gazet, otworzyłam ją więc.

Owszem, były wycinki, ale na wierzchu znalazłam list na sztywnym papierze firmowym biura prawnego:

> „Droga panno Delacourt!
>
> Na życzenie mego klienta, pana Sama Spinsky'ego, przesyłam pani w załączeniu wycinki z prasy. Pan Spinsky uważa, że pani mogłaby mu pomóc w jego obecnym położeniu.

Życzy sobie zarazem, aby nie ujawniać miejsca pani pobytu aż do następnej wiadomości".

Podpis nieczytelny, a pod listem:

ISTNIEJE OBAWA, ŻE POETKA ZOSTAŁA ZAMORDOWANA W CZYSTCE GRUPY TERRORYSTYCZNEJ!

Zapominając o wszystkim, usiadłam na ławce tuż obok policjanta. To straszne. Sam i Marlena zostali aresztowani pod zarzutem popełnienia morderstwa, oskarżeni o zabicie mnie, siedzieli w więzieniu. Przemknęło mi przez głowę, jaka Marlena musi być szczęśliwa, lecz potem uświadomiłam sobie, że to dla niej poniżające rozczarowanie, skoro przyczyną aresztowania jestem ja, a nie jakiś strajk czy demonstracja. Ale cóż, więzienie jest więzieniem. Jeszcze nie sypnęli, tyle było jasne.

To ta rodzina z plaży. Widzieli, jak rozpaczliwie młócę wodę rękami, jak idę na dno. Przeczytali notatkę w gazecie, rozmowę z Marleną, która powiedziała, że rzucili mi kamizelkę ratunkową. A przecież nie było żadnej kamizelki. Policja sprawdziła to w wypożyczalni sprzętu; nawet na żaglówce nie było kamizelki. Za to znaleźli moją sukienkę w dziobie i wtedy zaczęli coś podejrzewać. Ci ludzie nazywali się Morganowie. Pan Morgan stwierdził, że słyszał krzyk (nie mógł słyszeć, było za daleko i za duży wiatr) i spojrzał właśnie w momencie, kiedy Marlena i Sam wychylali się przez burtę po wypchnięciu mnie z łodzi. Było nawet zdjęcie pana Morgana, jak również moje, to uśmiechnięte, zrobione w dniu mojej śmierci. Pan Morgan wyglądał na poważnego i odpowiedzialnego; przeżywał wielką chwilę, wreszcie był ważny, grał główną rolę w filmie swoich marzeń.

Biedny Sam. Do tej pory zdążyli mu już opróżnić kieszenie, zabrać sznurowadła, spryskać go środkiem odwszawiającym, wsadzić mu palec w odbytnicę. Obrabiało go dwóch śledczych – jeden sympatyczny, który go częstował papierosami i kawą, a drugi brutal – i to wszystko przez moją głupotę, moje tchórzostwo. Powinnam była zostać na miejscu i stawić czoło rzeczywistości. Biedny, poczciwy Sam ze swoimi teoriami dotyczącymi gwałtu – nie skrzywdziłby muchy.

O mnie pisano jako o „kluczowej postaci" w tajemniczym spisku z dynamitem. Ojciec Marleny najwyraźniej powiedział o brakującym dynamicie, a Marlena w chwili załamania przyznała się do kradzieży. Nie mogła jednak go okazać. Dynamit był u mnie, wyznała, poinformowała ich także o samochodzie, ale nie umieli go znaleźć. Policja przyjęła, że – jak to nazwali – „komórka" Sama musiała mnie zlikwidować, ponieważ za dużo wiedziałam i zaczęłam sypać. Przesłuchano również Artura, ale został zwolniony. Nie ulegało wątpliwości, że jest niewinny i że o niczym nie ma pojęcia.

Muszę wracać, muszę ich ratować. Ale nie mogę wrócić. Może powinnam wysłać policji jakąś cząstkę siebie na dowód, że żyję. Palec, autograf, ząb?

Wstałam z ławki, wpychając wycinki do torby. Wyszłam z poczty i ruszyłam w stronę wzgórza. W tym momencie zobaczyłam pana Vitroniego. Siedział przy stoliku przed kawiarnią. Był z nim jakiś drugi mężczyzna. Nie widziałam go dobrze, siedział tyłem do mnie, ale to z całą pewnością ten mężczyzna. Wrócił dzień wcześniej.

Pan Vitroni mnie zobaczył, patrzył wprost na mnie. Ruszyłam przez plac, prawie biegłam. Zmusiłam się, żeby zwolnić. Obejrzałam się za siebie tylko raz: pan Vitroni właśnie wstał, podawał rękę mężczyźnie...

Skręciłam za róg i naprawdę zaczęłam biec. Muszę być spokojna, muszę być opanowana, muszę wziąć się w garść. Moje pokaleczone stopy wyły z bólu w zetknięciu z kamieniami.

36

Wreszcie dopadłam balkonu. Słońce zachodziło i cały balkon iskrzył się odłamkami szkła ostrymi jak płomienie. W szybie okiennej moje odbicie biegło obok mnie, z ciemną twarzą, z włosami rozwianymi niby ruda aureola.

Otworzyłam drzwi i weszłam. Nikogo nie było w środku, miałam jeszcze czas... Nie widziałam go wyraźnie. Może zdołam mu się wymknąć. Poczekam, aż znajdzie się na linii balkonu, a potem wśliznę się do łazienki i zamknę drzwi. Kiedy on będzie usiłował dostać się do środka, wdrapię się na klozet i przecisnę przez małe okienko.

Weszłam do łazienki, żeby je sobie obejrzeć. Było bez wątpienia za małe. Uwięzłabym w nim. A nie miałam ochoty ani zostać aresztowana, ani być przesłuchiwana, kiedy tkwię do połowy w okienku. To zbyt poniżające.

Może udałoby mi się ukryć w karczochach. Może zbiegnę na dół, może zdołam zniknąć, tak że nigdy mnie nie znajdą. Ale przecież jak zacznę uciekać, to mnie prędzej czy później złapią. Nie, będę się broniła. Nie wracam. Poszłam do kuchni i wyciągnęłam z pojemnika na śmieci pustą butelkę po cinzano; chwyciłam ją za szyjkę.

Przycupnięta za drzwiami, niewidoczna przez okno, czekałam.

Czas mijał, nic się nie działo. Może się myliłam, może to nie był ten człowiek. A może w ogóle nie było żadnego mężczyzny, może pan Vitroni go wymyślił, by mnie przestraszyć. Zrobiłam się niespokojna. Uświadomiłam sobie, że za dużo czasu w życiu spędzałam przycupnięta za zamkniętymi drzwiami, nasłuchując głosów po drugiej stronie.

Te drzwi były zupełnie zwyczajne. Przez szybę u góry widziałam mały kawałek świata zewnętrznego: błękitne niebo, szaroróżowe obłoki.

Było południe, kiedy wchodziła do labiryntu. Zdecydowała, że w końcu zgłębi jego tajemnicę. Dość tego strachu. Kilka razy prosiła Redmonda, żeby zniszczyć labirynt, ale nie chciał o tym słyszeć. Labirynt należał do rodziny od wielu pokoleń – powiedział. Jakby go w ogóle nie obchodziło, ile pochłonął ofiar.

Skręciła raz i drugi, bez przygód. Żeby tylko zapamiętała drogę, którą przyszła; próbowała utrwalić sobie w pamięci szczegóły: kształt krzaka, barwę kwiatu. Ścieżka była świeżo wysypana żwirem, tu i tam kwitły żonkile.

Nagle znalazła się w części środkowej. Z jednej strony zobaczyła kamienną ławkę, na której siedziały cztery kobiety. Dwie z nich bardzo przypominały ją samą: miały rude włosy, zielone oczy i drobne białe zęby. Trzecia, w średnim wieku, była w dziwnej sukni – do połowy łydek, obszytej przy szyi wyliniałym futerkiem. Ostatnia, nieprawdopodobnie gruba, miała na sobie różowe rajstopy i króciutką różową spódniczkę naszywaną cekinami. Z głowy wyrastały jej czułki, jak

u motyla, u ramion miała przypiętą parę sztucznych skrzydeł. Charlotte była zdumiona jej wyglądem, ale zbyt dobrze wychowana, żeby to okazać.

Kobiety szeptały coś między sobą.

– Oczekiwałyśmy cię – oznajmiły. Pierwsza posunęła się, robiąc jej miejsce. – Wiadomo było, że teraz twoja kolej.

– Kim jesteście? – spytała.

– Jesteśmy panią Redmond – odrzekła ze smutkiem kobieta w średnim wieku.

– Wszystkie – dorzuciła ta gruba ze skrzydłami.

– To musi być jakieś nieporozumienie – zaprotestowała Charlotte. – To ja jestem panią Redmond.

– Tak, wiemy – powiedziała pierwsza kobieta. – Ale każdy mężczyzna ma więcej niż jedną żonę. Czasami naraz, czasami jedną po drugiej, a czasami ma takie, o których nawet nie wie.

– Jak się tu dostałyście? – zapytała Charlotte. – Dlaczego nie możecie wrócić tam na zewnątrz, do świata?

– Wrócić? – zdziwiła się pierwsza kobieta. – Każda z nas próbowała wrócić. I to był nasz błąd. – Charlotte spojrzała za siebie i stwierdziła, że ścieżka, którą przyszła, była całkowicie zarośnięta, nie potrafiłaby nawet powiedzieć, gdzie jej szukać. Została tu uwięziona z tymi kobietami, w których dostrzegała coś szczególnego. Miały jak gdyby zbyt białą skórę i jakiś błędny wzrok... A przez ich ulotne ciała przezierały nieostre kontury ławki.

– Jedyna droga wyjścia – powiedziała pierwsza kobieta – prowadzi przez te drzwi.

Spojrzała w ich stronę. Znajdowały się w drugim końcu żwirowanego placyku, przymocowane tylko do wolno stojącej

futryny. Obeszła je dokoła; były jednakowe z obu stron – gładka powierzchnia i gałka, u góry niewielka szyba, przez którą ujrzała błękitne niebo i szaroróżowe obłoki.

Przekręciła gałkę: drzwi otworzyły się na zewnątrz... A na progu czekał na nią Redmond. Już, już miała rzucić mu się z płaczem ulgi w ramiona, kiedy zobaczyła w jego oczach dziwny wyraz. Zrozumiała: Redmond to morderca. Morderca w przebraniu. Chce ją zamordować, tak jak zamordował swoje poprzednie żony. To znaczy, że ona, Charlotte, na zawsze musi pozostać tu z nimi, w samym sercu labiryntu... Redmond chce ją zamienić na tę drugą, następną, na tę szczupłą i bez skazy...

– Nie dotykaj mnie – powiedziała, robiąc krok do tyłu. Nie chciała ginąć. Dopóki pozostanie po tej stronie drzwi, będzie bezpieczna. Ile w nim było przebiegłości, kiedy rozpoczął swoją przemianę, wabiąc ją coraz bliżej. Najpierw jego twarz zasnuła się jakby białą gazą, potem pojawiły się na niej liliowo zabarwione ciemne okulary, potem ruda broda i wąsy, które ustąpiły miejsca płonącym oczom i podobnym do sopli lodu kłom. Wreszcie znikła peleryna. Redmond stał, patrząc na nią ze smutkiem. Miał na sobie golf...

– Artur – powiedziała. Czy kiedykolwiek zdoła jej przebaczyć?

Redmond na powrót przyoblókł się w swoją pelerynę. Usta miał surowe i drapieżne, wzrok mu płonął.

– Zabiorę cię stąd – wyszeptał. – Chcę cię ocalić. Będziemy tańczyć razem, na zawsze, do końca naszych dni.

– Do końca naszych dni – powtórzyła, niemal mu ulegając. – Na zawsze. – Kiedyś tak bardzo pragnęła tych słów, całe życie czekała na kogoś, kto je wypowie... Oczyma wyobraźni ujrzała

siebie, jak wiruje z wolna w tańcu na parkiecie sali balowej, objęta w talii silnym ramieniem...

– Nie – rzekła. – Wiem, kim jesteś.

Ciało opadło z jego twarzy, obnażając kości czaszki. Postąpił bliżej, sięgając ręką do jej gardła...

Otworzyłam oczy. Na żwirowanej ścieżce usłyszałam kroki. Prawdziwe kroki. Były już na balkonie. Zatrzymały się pod drzwiami. Ktoś zapukał delikatnie, raz, potem dwa razy.

Miałam jeszcze wybór. Mogłam udawać, że mnie nie ma. Mogłam czekać bezczynnie. Mogłam zmienić głos, podając się za kogoś innego. Lecz jeśli przekręcę gałkę, drzwi się otworzą i będę musiała stawić czoło człowiekowi, który za nimi stoi, dybiąc na mnie, na moje życie.

Otworzyłam drzwi. Wiedziałam, kogo tam zobaczę.

37

Tak naprawdę nie chciałam go uderzyć butelką po cinzano. To znaczy owszem, chciałam, ale nie kogoś konkretnego. Bo ja tego człowieka w życiu nie widziałam na oczy, był zupełnie obcy. Poniosło mnie, kogoś mi przypominał...

Naprawdę nie miałam zamiaru go znokautować, czasami człowiek nie zdaje sobie sprawy z własnej siły. Było mi strasznie przykro, zwłaszcza jak zobaczyłam krew. Nie mogłam go tak zostawić. Mógł mieć pękniętą czaszkę czy umrzeć z upływu krwi, poprosiłam więc pana Vitroniego, żeby sprowadził lekarza. Powiedziałam, że ten człowiek chciał się do mnie włamać, a przynajmniej tak mi się zdawało. Na szczęście był nieprzytomny, więc nie mógł zaprzeczyć.

Kiedy odzyskał przytomność, zachował się bardzo ładnie – nie zgłaszał pod moim adresem żadnych pretensji. Początkowo sądziłam, że chodzi mu tylko o sensacyjny materiał, reporterzy tacy już są. Mówiłam oczywiście za dużo, ale byłam zdenerwowana. Myślę, że jak to napisze, wyjdzie historia dość niesamowita, a najdziwniejsze, że wcale nie kłamałam. No, prawie wcale. Zmyśliłam zaledwie kilka nazwisk i parę innych rzeczy, naprawdę nic ważnego. Chyba mogłabym się z tego jakoś

wyplątać. Mogłabym powiedzieć, że miałam amnezję, czy coś w tym rodzaju... Albo mogłam uciec; nigdy by mnie nie wytropił. Sama się dziwię, że tego nie zrobiłam, skoro tak się zawsze bałam, żeby mnie nie nakryli. Ale jakoś nie potrafiłam ot tak po prostu uciec i zostawić go samego w szpitalu, gdzie nie miałby nawet do kogo ust otworzyć, w każdym razie nie w sytuacji, kiedy o mało go nie zabiłam.

Musiał to być dla niego szok – obudzić się w łóżku, z siedmioma szwami. Miałam okropne poczucie winy. Jego płaszcz był w okropnym stanie, ale zapewniłam go, że to wszystko zniknie po czyszczeniu chemicznym. Ofiarowałam się nawet pokryć koszty pralni. Nie zgodził się. Przyniosłam mu za to kwiatki – nie dostałam nigdzie róż, kupiłam więc jakieś żółte, podobne do słoneczników. Były już troszkę zwiędłe. Powiedziałam mu, żeby poprosił pielęgniarkę o wstawienie ich do wody. Zrobiłam mu chyba przyjemność.

To był ładny gest z jego strony, że pożyczył mi pieniądze na samolot. Zwrócę mu, gdy tylko stanę na nogi. Przede wszystkim jednak muszę wyciągnąć Marlenę i Sama zza kratek – przynajmniej tyle jestem im winna. To adwokat Sama ujawnił fakt, że żyję. Nie powinnam mieć mu niczego za złe, ostatecznie robił to, co do niego należało. No i muszę się zobaczyć z Arturem, chociaż wcale się do naszego spotkania nie palę, ze względu na te wszystkie wyjaśnienia i jego milczącą wściekłość. Ale kiedy cała historia zostanie opublikowana, i tak dowie się prawdy. Zresztą kochał mój fałszywy obraz, nie powinno mi więc być specjalnie przykro, jeżeli przestanie. Mógł nawet nie dostać jeszcze mojej kartki, zapomniałam ją wysłać pocztą lotniczą.

A po tym wszystkim, cóż... Nie mam żadnych określonych planów. Będę się czuła jak idiotka z całym tym szumem w prasie, ale to w końcu nic nowego. Prawdopodobnie o moim zniknięciu powiedzą, że to taki chwyt reklamowy, zagrywka... W każdym razie nie będę więcej pisała historycznych powieści grozy, nie wychodzą mi na dobre. Może spróbuję fantastyki naukowej. I chociaż przyszłość nie przemawia do mnie w tym stopniu, co przeszłość, jestem pewna, że okaże się zdrowsza. Tak sobie myślę, że powinnam to wszystko potraktować jako nauczkę, jak by powiedziała moja matka.

Na razie zostanę przez jakiś czas w Rzymie – znalazłam sobie mały, niedrogi *pensione* – i w godzinach odwiedzin będę chodziła do szpitala. Jeszcze nie powiedział nikomu, gdzie jestem, i obiecał, że przez tydzień nie powie. To naprawdę sympatyczny człowiek; może i nie ma specjalnie pięknego nosa, ale muszę przyznać: w zabandażowanym mężczyźnie coś jest... Poza tym czuję, że to jedyna osoba, która rzeczywiście cokolwiek o mnie wie. Może dlatego, że nigdy przedtem nie uderzyłam nikogo butelką, nikt nie miał okazji poznać mnie z tej strony. Szczerze mówiąc, ja sama nie miałam takiej okazji.

Narobiło mi to wszystko bałaganu, ale czy ja kiedykolwiek będę porządna?

Polecamy również:

Serce
umiera
ostatnie
Margaret
ATWOOD
WIELKA LITERA

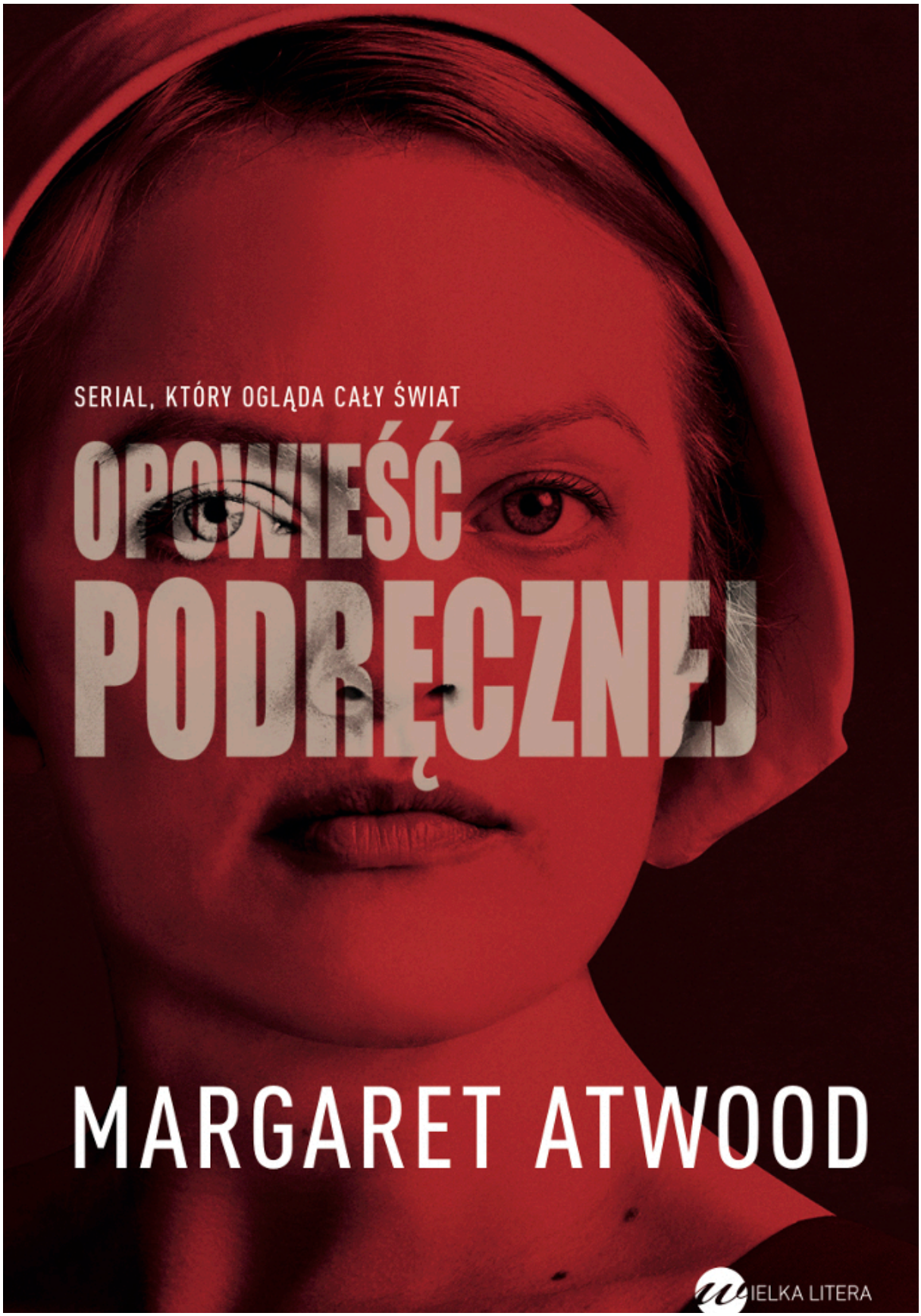
SERIAL, KTÓRY OGLĄDA CAŁY ŚWIAT
OPOWIEŚĆ PODRĘCZNEJ
MARGARET ATWOOD
WIELKA LITERA

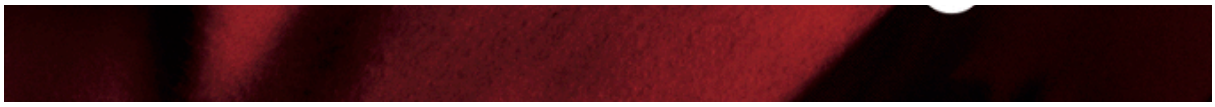

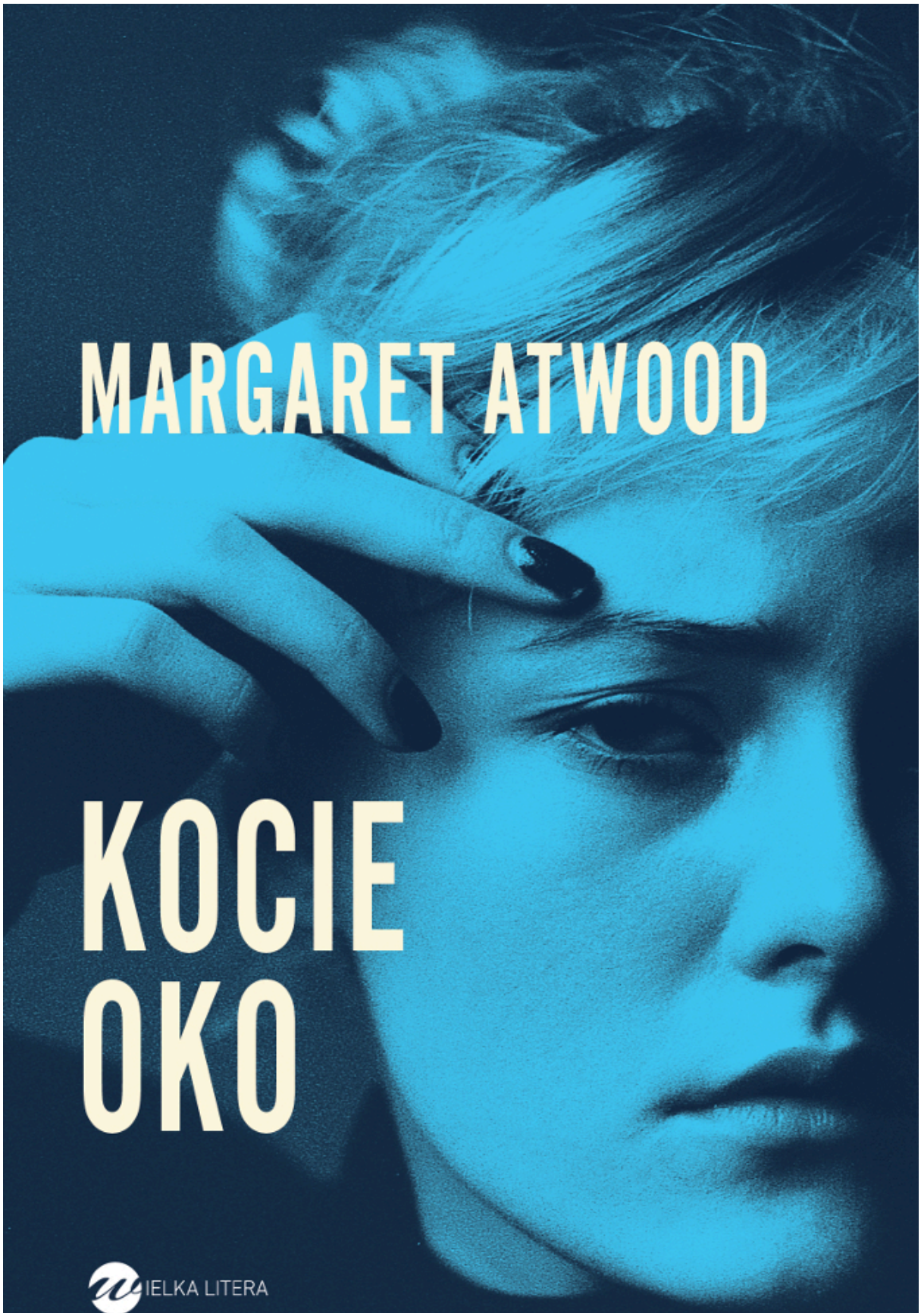
MARGARET ATWOOD
KOCIE OKO
WIELKA LITERA

Pani Wyrocznia

Spis treści

Okładka
Karta tytułowa
I. CZĘŚĆ PIERWSZA
1
2
3
4
II. CZĘŚĆ DRUGA
5
6
7
8
9
10
11
III. CZĘŚĆ TRZECIA
12
13
14
15
16
17
18
IV. CZĘŚĆ CZWARTA

19
20
21
22
23
24
25
26
27
28
29
V. CZĘŚĆ PIĄTA
30
31
32
33
34
35
36
37
Polecamy również
Karta redakcyjna

Tytuł oryginału
LADY ORACLE

Projekt okładki
Tomasz Majewski

Zdjęcie na okładce
Lawrence Gill Salgado/EyeEm/Getty Images

Redakcja
Teresa Podolska

Korekta
Monika Pruska
Teresa Zielińska

Copyright © 1976 by O.W. Toad Ltd.
All rights reserved.
Copyright © for the Polish translation by Zofia Uhrynowska-Hanasz, 2018
Copyright © by Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2018

Wielka Litera Sp. z o.o.
ul. Kosiarzy 37/53
02-953 Warszawa
www.wielkalitera.pl

ISBN 978-83-8032-226-4

Plik ePub przygotowała firma eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: konwersja@elib.pl
www.eLib.pl